

Wyniosły Lord

Foley Gaelen

Książka III z Książę



calibre 0.9.27

GAELEN FOLEY

WYNIOSŁY LORD

Przekład

Ewa Morycińska - Dzius

Zmarzłem okrutnie i źle mi na sercu.

W. Szekspir *Hamlet*, akt I, scena 1

tłum. Maciej Słomczyński

PROLOG

Londyn, 1814 rok

Spójrz na siebie. Znowu jesteś pijany. Doprawdy, wyglądasz żałośnie - stwierdził lord Hubert, patrząc na młodszego brata.

Odpowiedział mu wybuch śmiechu. Major Jason Sherbrooke, wpatrzony w ogień płonący na kominku, zapadł jeszcze głębiej w postrzępiony fotel i pociągnął kolejny łyk dżinu z butelki.

Torując sobie drogę poprzez rozgardiasz obskurnego mieszkanka majora, Algernon Sherbrooke, wicehrabia Hubert, wyjął elegancką chusteczkę opatrzoną wyhaftowanym monogramem i przyłożył ją do nosa, chroniąc się przed wiszącym w powietrzu zaduchem.

- Wielkie nieba! W tym pokoju śmierdzi chyba zgniłym serem... albo sikami... czy czymś jeszcze obrzydliwszym. Nigdy tu nie sprzątasz?

- Prawdę mówiąc, jestem wcieleniem schludności - wybełkotał Jason.

Algernon zacisnął wargi. Przyczyna złego samopoczucia brata była oczywista.

Dyskretnie zerknął na pusty rękaw czerwonego niegdyś, a teraz wyblakłego munduru Jasona.

Major stracił prawą rękę podczas wścieklej szarży pod Albuera. Cudem uszedł z życiem.

Algernon przysunął proste drewniane krzesło bliżej kominka i ostrożnie przycupnął na brzegu siedzenia.

- Może powinieneś wynająć jakąś sprzątaczkę, zamiast siedzieć tu i uzalać się nad sobą.

- Do diabła ze sprzątaczkami. Ostatnia mnie okradła - odburknął brat.

- Nic dziwnego, wzięwszy pod uwagę okolice, w jakiej mieszkasz. Mieszkanie Jasona mieściło się tuż obok skupiska czynszowych kamienic biedoty, których właścicielem (w wielkim sekrecie) był właśnie Algernon - w jednej z niezbyt bezpiecznych dzielnic lon-

dyńskiego East Endu. Niestety, ta inwestycja nie opłacała się aż tak, jak się Algy spodziewał, mimo że w ostatnim miesiącu znowu podniósł czynsze. Nie przejmował się tym, że już tylko dwóch tygodni brakowało do Bożego Narodzenia. Zamierzał eksmitować każdego, kto mu się nie wypłaci.

- Dlaczego tkwisz w tej mysiej norze? Obaj wiemy, że stać cię na coś lepszego.

Jason popatrzył tępo na brata. - Jakie to ma znaczenie?

- Nie masz ani krzty godności?

- Czego ty, do cholery, ode mnie chcesz, Algy? Nie przypuszczam, aby twoja wizyta była efektem nagłego przyływu braterskiej miłości. Zaraziłeś się jakimś idiotycznym „duchem Bożego Narodzenia” czy może zawitałeś tu z innego powodu?

Algernon przypatrywał się badawczo twarzy Jasona ozdobionej zaniedbanym wąsem barwy miedzi. Powinien był działać ostrożniej. Jego bystry młodszy brat nawet pijany nie był człowiekiem, którego można lekceważyć, zwłaszcza że zahartowały go lata spędzone na wojnie.

- Może przyszedłem uratować cię od zapicia się na śmierć.

- Strata czasu. - Jason zerknął na brata z ukosa i znów podniósł butelkę do ust. -

Zresztą nie wierzę, żeby to było powodem twojej wizyty.

Algernon wpatrywał się w niego długą chwilę i wreszcie westchnął z rezygnacją.

- Nie. Nie to.

- W wojsku cenimy ludzi, którzy od razu przystępują do rzeczy.

- Doskonale. - Szczupła twarz Algernona stężała, spojrzenie orzechowych oczu stało się jeszcze zimniejsze. - Muszę mieć posag Mirandy.

Zdumienie sprawiło, że mętny wzrok Jasona nabrał przenikliwości.

- Moja sytuacja jest trudna i...

Och nie. Nie możesz! To absolutnie niemożliwe. Wysłuchaj mnie!

- Nie ma o czym mówić. - Jasonie!

- Te pieniądze nie są moje, Algy, więc nie mogę ich nikomu dać, a już z pewnością ty nie masz prawa ich wydawać. Richard zostawił je swojej córce...

- Swojemu bękartowi! Do diabła, Jason, przecież ona nie należy do naszej rodziny!

- Miranda może być nieślubnym dzieckiem, ale to nie zmienia faktu, że jest córką naszego brata.

Ich najstarszy brat, Richard, był wicehrabią Hubert, zanim tytuł przeszedł na

Algernona. Richard nie ożenił się i nie miał legalnego potomstwa; zostawił jedynie śliczną małą córeczkę, którą urodziła mu jego ukochana, słynna aktorka Fanny Blair. Ale Fanny zginęła razem z nim na jeziorze pewnego letniego dnia, kiedy zatonął ich statek spacerowy.

Przeżyła tylko ośmioletnia Miranda, którą wyratował jakiś rybak.

- Jest twoją bratanicą... a także moją - zakończył lojalnie Jason.

- Nie wobec prawa - odparł Algernon chłodno.

- Prawem krwi.

- Nic jej się od nas nie należy. Niech sobie sama szuka własnego miejsca na ziemi!

- Na Boga, Algy, chyba nie wiesz, co mówisz! Zawsze byłeś bydlakiem bez serca.

- Jak możesz rozczułać się nad tą dziewczyną? Jej matka była dziwką!

- Cóż, tak się składa, że lubię dziwki. - Jason uśmiechnął się pogardliwie, krzyżując nogi w wysokich butach i przysuwając je do ognia.

Algernon ugryzł się w język; wiedział, że jeśli odpowie, będzie tego żałował. Wstał

tylko z krzesła i przemierzał tam i z powrotem ciasny, zarośnięty brudem pokój, potykając się co chwila to o połamany podnózek, to o puste butelki, to o sterty walającej się wszędzie brudnej odzieży. Kopnął leżącą na drodze książkę i w końcu oparł się o ścianę, mrużąc oczy i

walcząc o odzyskanie równowagi ducha. Jak przywrócić rozsądek temu pijanicy? Pod osłoną koronkowego mankietu dłoń wicehrabiego zacisnęła się w pięść. - W razie mojej ruiny cała rodzina okryje się hańbą. Ty także.

- Ejże, Algy, tobie żadna ruina nie grozi - zachichotał Jason .

- Masz spryt lisa i moralność węża. Wierzę w ciebie. Znajdziesz wyjście z każdej sytuacji. Ale nie chcę już słyszeć ani słowa o Mirandzie. Tak się składa, że bardzo lubię tego dzieciaka.

- Ach tak? - rzucił ze złością Algernon. - No to powiedz, kiedy po raz ostatni odwiedziłeś ją w szkole? Rok temu? Dwa lata? Pięć?

- naciskał, podczas gdy Jason mrugał bezradnie. - Przed Albuera, daję głowę!

Oczy Jasona błysnęły groźnie.

- Miranda jest w szkole i pozostanie tam pod dobrą opieką do czasu, kiedy będzie gotowa do debiutu.

- Debiutu?! - wrzasnął Algernon. - To bękart i nie należy jej się żaden...

- Tak, debiutu. Właśnie po to potrzebne jej te pieniądze.

- No cóż, ode mnie nie może się spodziewać żadnej pomocy - warknął Algy. - I jestem pewien, że ani moja żona, ani dziewczynki nie uznają jej w towarzystwie. A po drugie, czy zdajesz sobie sprawę, że pora tego wspaniałego debiutu, który planujesz, już właściwie mija?

Miranda ma dziewiętnaście lat. Gdybyś naprawdę troszczył się o jej dobro, wiedziałbyś, że należało wprowadzić ją w świat już w zeszłym roku lub nawet jeszcze wcześniej.

Jason wpatrywał się w brata w osłupieniu.

- Ona... ona jeszcze nie ma dziewiętnastu lat!

- Ależ ma. Ocknij się, człowieku! Odstaw tę butelkę i zastanów się! To dorosła

kobieta, a ty nie możesz nawet myśleć o wprowadzeniu jej w nasze kręgi. Wyższe sfery nigdy

jej nie zaakceptują. Czy nie widzisz, że byłoby okrucieństwem wślaczać ją w sytuację, w której odniesienie sukcesu nie jest możliwe?

- Ona odniesie sukces, Algy. Nie znasz Mirandy. Nie boi się niczego. A poza tym zawsze zapowiadała się na taką piękność, jak jej matka. Śliczna buzia potrafi zaprowadzić kobietę na same szczyty.

Algernon zmusił się do zachowania spokoju.

- Posłuchaj mnie. Jeśli to rzeczywiście dobra szkoła, Miranda będzie solidnie przygotowana do objęcia posady guwernantki albo jakiegoś innego zajęcia odpowiedniego dla panny z jej pozycją. Ale dlaczego niby my mamy być odpowiedzialni za bękarta Richarda?

- Nie my, Algy. Ja. - Jason potrząsnął głową z niesmakiem. - Richard dobrze wiedział, że gdyby zostawił ją pod twoją opieką, potraktowałbyś ją jak śmieć.

- Gdzie się podziała twoja rodzinna solidarność? Ja, twój brat, stoję w obliczu ruiny! Ostatnie zbiory były do niczego. Akcje na giełdzie lecą w dół i...

- I , pozwól, że dokończę, znowu musisz spłacać karciane długi swojego kochanego Crispina.

Oczy Algernona się zwęziły.

- Crispin to mój syn i następca. Mam go zostawić na pastwę tych krwiopicców lichwiarzy?

- Więc raczej przywłaszczysz sobie posag Mirandy, jej całą przyszłość, byle tylko twój durny smarkacz nie stracił twarzy w klubie. Nie, Algy. Ty i twój synalek możecie sobie iść do diabła.

- Jasonie...

- To tylko pięć tysięcy funtów. Crispin potrafiłby stracić taką sumę w ciągu dziesięciu

minut. A Mirandzie te pieniądze pozwolą ułożyć sobie życie.

- Ty durniu! - Algernon przeszedł przez pokój i opadłszy na krzesło obok brata, wpatrywał się intensywnie w jego wymizerowane oblicze. - Pięć tysięcy funtów? Czy nie potrafisz rozstać się z tą butelką na wystarczająco długo, by zapoznać się z własnymi rachunkami?

Jason pokręcił się na krześle, szukając wygodniejszej pozycji.

- Co przez to rozumiesz? - spytał.

- Zanim pojechałeś na wojnę, zainwestowałeś cały jej spadek w niewielką firmę Waring Iron Foundries. Pamiętasz?

- Tak... i co z tego?

- Jak to co! - Algernon aż zatrzęsł głową nad bratem. - Waring Foundries podłapało w czasie wojny tyle kontraktów, że stało się mocarstwem. Twoje pięć tysięcy jest teraz warte pięćdziesiąt.

Jason odstawił butelkę i zdumiony wpatrywał się w brata.

Algernon uśmiechnął się krzywo, widząc jego osłupienie. Może ten głupiec wreszcie posłucha głosu rozsądku. Zapadła długa cisza, przerywana tylko świstem zimowego wichru pod okapem i odgłosem ognia trzaskającego w kominku.

- Pięćdziesiąt tysięcy funtów?! - Jason nagle odzyskał mowę.

- Tak! I to dzięki tobie! - Głos Algernona przeszedł w gorączkowy szept. - Właśnie dlatego tobie należą się te pieniądze. Widzisz, do czego jesteś zdolny, kiedy nie masz mózgu przesiąkniętego alkoholem?

- A niech mnie diabli, pięćdziesiąt tysięcy funtów! - Jason odrzucił głowę do tyłu, klepnął się po udzie i wybuchnął śmiechem. Wygramolił się z fotela, złapał butelkę i radośnie uniósł ją w górę. - Cha, cha, Mirando, moja kochana! Pięćdziesiąt tysięcy funtów! Na Boga,

dziewczyno, kupisz sobie za to księcia! - Zatoczył się na Algernona, a twarz płonęła mu z przejęcia. - Niech mnie diabli, toż to jakiś cholerny cud! - Wyciągnął skądś swój wojskowy chlebak i niezdarnie, jedyną sprawną ręką zaczął pakować do niego jakieś ubrania.

- Co robisz?

- Jadę do Warwickshire zabrać moją małą ze szkoły! Jeżeli Miranda ma dziewiętnaście lat... naprawdę ma tyle? - spytał, podnosząc wzrok znad chlebaka.

Algernon zignorował pytanie.

- Nigdzie nie pojedziesz.

Jason wyprostował się, przerywając pakowanie.

- Co takiego?

- Nie rób głupstw. Ani na tym, ani nawet na tamtym świecie taka fortuna nie może trafić w ręce kogoś, kto jest zerem.

- Ona nie jest zerem, Algy Już nie. - Jason wyszczerzył zęby w krzywym uśmiechu. -

Teraz jest panną Mirandą FitzHubert, dziedziczką fortuny. Lepiej o tym pamiętaj, inaczej mogłaby ci zaszkodzić, kiedy już zostanie księżną.

Algernon wstał z krzesła; na jego twarzy malowała się groźba.

- Posłuchaj no, bracie. Te pieniądze oddasz mnie. Nie zamierzam wystawiać się na publiczną hańbę z powodu twojej niefortunnej rycerskości wobec naszej bratanicy - bękarta.

Masz przepisać fundusz na moje imię. Kiedy stanę na nogi, oddam te pieniądze, jeżeli tego zechcesz. Miranda nigdy się o niczym nie dowie.

- Odczep się, Algy. Spróbuj szczęścia z bankiem... - Śmiech Jasona urwał się, kiedy

Algernon sięgnął po pistolet i wymierzył bratu między oczy.

- Drogi Jasonie, chyba nie pojmujesz powagi mojej sytuacji. Muszę mieć te pieniądze.

I będę je miał. Przyniesiesz mi dokumenty i przepiszesz na mnie całą sumę. Natychmiast.

Jason wpatrywał się z niedowierzaniem to w pistolet, to w brata.

- Czyżbyś stracił rozum? - spytał.

- My dwaj jesteśmy rodziną. Ona jest dla nas niczym.

- Ty łotrze - wycedził Jason. Algernon odwiódł kurek pistoletu.

- Po prostu zrób, co ci mówię. Jesteś pijany. Nie myślisz trzeźwo. Naprawdę nie nadajesz się do zarządzania pieniędzmi tej dziewczyny. Jako głowa rodziny zdejmuję z ciebie ten obowiązek.

- Jesteś gotów palnąć mi w łeb za pięćdziesiąt tysięcy funtów, prawda, Algy?

Oczywiście, że tak. Zrobiłbyś to w mgnieniu oka! W końcu - Jason przerwał na chwilę, a jego twarz stężała w wyrazie wściekłości - w końcu to przecież ty zabiłeś Richarda, żeby położyć łapę na jego tytule. Czy nie tak było? Czy nie tak?! - ryknął, aż oczy Algernona zapłonęły gniewem. - Nie wiem, jak tego dokonałeś, ale to ty sprawiłeś, że łódź Richarda zatonięła wtedy na jeziorze. Ty zdradziecka glisto! Zawsze cię podejrzewałem, ale nie byłem pewny... dopiero teraz...

- Obawiam się, że pijaństwo doprowadziło cię do obłądu, Jason - odparł Algernon spokojnie. - A teraz proszę, bądź grzecznym chłopcem i oddaj mi dokumenty.

- Nic z tego! Myślisz, że boję się tej twojej pukawki? Przez ostatnich pięć lat napatrzyłem się w lufy francuskich muszkietów. No, dalej, pociągnij za spust, ty tchórze! I tak nie mam już nic do stracenia.

- Nie prowokuj mnie - wycedził Algernon. - To byłoby straszne marnotrawstwo.

Jestem twoim najbliższym krewnym i wiem, że idąc na wojnę, napisałeś testament. Jeżeli cię zabiję, Miranda stanie się moją podopieczną, a wówczas jej majątek tak czy owak trafi pod moją kontrolę.

- I tu się mylisz, bracie. Myślisz, że byłem tak głupi, by ustanowić ciebie jej

opiekunem? - Wargi Jasona zwięzły się w złym uśmiechu. - Nie, wprowadziłem pewne poprawki do testamentu, już kiedy byłem w armii, wśród ludzi, którym mogłem ufać. No, powiedz prawdę. Przyznaj się, że to ty zabiłeś Richarda i Fanny i próbowałeś zabić też Mirandę, a wtedy dam ci te pieniądze.

Algernon wpatrywał się w brata dłuższą chwilę. Serce mu waliło, był jednak zupełnie opanowany. Zniżył pistolet i wycelował Jasonowi prosto w serce.

- Pozdrów ode mnie Richarda - mruknął.

Butelka z dżinem upadła na podłogę; rozległ się strzał, nagły błysk oświetlił na chwilę szczupłą twarz i bezduszne spojrzenie Algernona. Jason padł na podłogę i chwycił się za pierś. Algernon opuścił pistolet.

Jason wpatrywał się osłupiałym wzrokiem w wypolerowane długie buty brata, kiedy ten przeszedł nad nim, zbliżył się do biurka w rogu pokoju, otworzył szufladę i zaczął szperać w jego osobistych papierach.

Jasonowi wirowało w głowie z bólu, nie mógł uwierzyć w straszliwą podłość brata.

Jego pierwszą myślą było, że umiera. Drugą - że nie zabezpieczył spadku Mirandy tak, jak powinien, czyli prawnie. Śmierć Richarda nastąpiła jednak nagle, a on pragnął jak najszybciej pójść na wojnę, aby więc uniknąć biurokratycznych kłopotów, zainwestował pieniądze w prywatny fundusz na nazwisko Mirandy, z nim jako zarządcą.

Teraz dziewczynie groziło ogromne niebezpieczeństwo. Skoro Algy potrafi zabijać z zimną krwią rodzonych braci, na pewno nie będzie miał skrupułów wobec nieślubnej bratanicy. Bezbronny i bezsilny Jason leżał na podłodze w kałuży własnej krwi.

- Aha, tu cię mamy... Miranda FitzHubert. O! A to co takiego? - Algernon zamilkł na chwilę. - Jasonie, coś ty narobił? Cóż za fatalna szkoda!

Jason patrzył, jak brat podchodzi i staje nad nim. Algy pochylił głowę, wpatrując się w

leżącego. Owal jego twarzy niewyraźnie rysował się w zapadającej w pokoju ciemności, a gniewny głos wydał się rannemu dziwnie stłumiony.

- Nie powinieneś był zapisywać tego funduszu na jej nazwisko, Jasonie. Jak mam go teraz uruchomić? Widzisz, co narobiłeś? Będę musiał pozbyć się również twojej wspaniałej bratanicy.

- Nie! - wykrztusił Jason, ale lśniące buty Algernona oddalały się już w stronę biurka.

Leżał, czując, że życie z niego ucieka. Przerażony zdał sobie sprawę, że jego istnienie potrwa jeszcze tylko sekundy, ale... przynajmniej jedno w tym wszystkim zrobił jak należy.

Przywołał w pamięci obraz prawej twarzy żołnierza, którego ustanowił w swoim testamencie opiekunem Mirandy - najtwardszego człowieka, jakiego znał: nieustraszonego pułkownika ze swojego regimentu, Damiena Knighta, hrabiego Winterley.

Umierając, słał rozpaczliwe ostrzeżenia swemu ukochanemu towarzyszowi broni.

Wiedział, że nie pomylił się, wybierając właśnie jego. W końcu Damien Knight był bohaterem tej przeklętej wojny.

Hrabia Winterley urodził się chyba wyłącznie po to, by walczyć za króla, bronić słabych i ochraniać niewinnych. Niczym rycerz z dawnych wieków, był równie czysty duchem i zaciekły w bitwie. Jason powierzył Knightowi Mirandę ze względu na jego niezłomną prawość; nie przyszło mu nawet do głowy, że, niemal nadludzkie zdolności, z jakimi Damien potrafił zabijać, będą mu nieraz potrzebne podczas pełnienia roli jej opiekuna.

Teraz gdy zaczął tracić świadomość z powodu upływu krwi, ponownie powierzył w myślach Mirandę swemu przyjacielowi. Tylko tyle mógł zrobić. Zamknął oczy, czując, że nie potrafi dłużej walczyć z ołowianym chłodem ogarniającym mu członki.

- Jason? - szorstki głos Algy'ego ledwie do niego docierał, jakby dochodził z coraz większej odległości, przez mętną, wilgotną zasłonę...

Strzeż się go, Knight, pomyślał. Tylko ten tchórz może cię zranić.

Potem wszystkie myśli Jasona rozplynęły się i poczuł błogi spokój. Gasnącym spojrzeniem dojrzał w głębi samego siebie nieopisaną piękność światła. Bezsilny i znużony pozwalał, by to światło całkiem go ogarnęło. Śmierć była dla Jasona Sherbrooke'a wybawieniem. Wojna zrujnowała go, okaleczyła jego ciało i duszę... a teraz nie czuł już żadnego bólu. Zamknął oczy. Nareszcie. Wracał do domu.

Berkshire

Damien Knight, hrabia Winterley, zakręcił nad głową siekierą o długim trzonku i z dziką siłą uderzył, rozcinając ustawiony przed sobą kłoc drewna równiutko na pół. Odgłos uderzenia rozszedł się po oszronionym polu niczym wystrzał z broni palnej, płosząc rozwrzeszczane kosy, które pożywiały się pozostałymi na ściernisku zmarzniętymi ziarnami zboża.

Damien odłożył siekierę, poprawił rękawice z grubej skóry i podniósłszy rozłupane polano, dorzucił je do stosu, który w ciągu ostatnich tygodni urósł do rozmiarów fortecy, jakby tylko tak wielka ilość opału zdołała go ogrzać. Położył na pieńku następną kłodę i jej z kolei zadał śmiertelny cios.

Powtarzał tę czynność wielokrotnie, koncentrując się na swoim zajęciu. Nagle zauważył, że coś zwróciło uwagę ogiera, który stał na pobliskim polu.

Siwy rumak stanowił jego jedyne towarzystwo. Dotąd leniwie rozgrzebywał kopytem szron, skubiąc resztki trawy, które zdołał znaleźć, teraz jednak uniósł łeb i nastawił wąskie uszy, nasłuchując. Damien otarł pot z brwi wierzchem dłoni, drugą rękę oparł na trzonku siekiery i mrużąc oczy od blasku grudniowego słońca, spojrzął w stronę, w którą patrzył koń. Ogier zarżał wojowniczo i rzucił się w kierunku płotu; jego ogon rozwiał się jak bojowy buńczuk. Damien przypatrywał mu się chwilę z prawdziwą przyjemnością. Minał już miesiąc od czasu, gdy Zeus ostatni raz nosił siodło. Obaj wracamy do natury, myślał, gładząc szorstką szczecinę porastającą mu szczękę. Bez zdziwienia, ale z lekką niechęcią patrzył na nadjeżdżającego galopem na pięknym czarnym andaluzyjskim rumaku swego brata bliźniaka, lorda Luciena Knighta.

Zeus gnał po przeciwnej stronie ogrodzenia, rzucając czarnemu wyzwanie do walki za

wkroczenie na jego terytorium. Na szczęście Lucien był zbyt dobrym jeźdźcem, by stracić kontrolę nad wierzchowcem.

Damien westchnął; obłok pary z jego oddechu rozpląnął się w mroźnym, rześkim powietrzu. Podejrzewał, że brat przyjechał tu, by go sprawdzić.

Nie miał ochoty na niczyje wizyty; nie chciał, by ktokolwiek widział go w obecnym stanie, ale przynajmniej wobec brata nie będzie musiał udawać, że jego głowa jest w porządku.

Lucien wraz ze swoją zaślubioną przed trzema tygodniami żoną Alice mieszkał w Hampshire, dwie godziny jazdy od rozpadającego się dworu Damiena, którym ostatnio - razem z tytułem - obdarował go Parlament.

Podnosząc z ziemi ostatnie rozłupane kłody i dokładając je do stosu, Damien spojrzął na zarośnięty zielskiemu budynek. Bayley House, wzniesiony przed blisko sześćdziesięciu laty z białoszarego wapienia, przypominał swoim trójkątnym frontonem wspartym na czterech potężnych kolumnach klasyczną grecką świątynię. Damienowi kojarzył się z mauzoleum.

Wewnątrz też czuł się jak w grobowcu, na tych ciągnących się kilometrami pustych posadzkach, wystarczająco zimnych, by zakonserwować trupa. Czasem myślał, że to miejsce musi być nawiedzane przez duchy, choć w gruncie rzeczy wiedział aż za dobrze, że to właśnie on był nawiedzony. Nie miał dość złota ani energii, by przywrócić ten dom do życia, zresztą nie zależało mu na tym. Taki spartanin jak on nie potrzebował luksusów.

Gdy przyjechał tu w listopadzie, urządził sobie obozowisko: biwakował przy kominku w komnacie, która niegdyś była salonem. Oficerowie z jego regimentu - tych kilku, którzy przeżyli - rozproszyli się i wrócili do rodzin. Jemu został tylko ekwipunek, który dźwigał na własnych plecach przez wieleset kilometrów, maszerując przez Portugalię i Hiszpanię - namiot, porysowana, zużyta cynowa menażka i drewniana manierka. Płaszcz mundurowy

służył mu jako koc; chlebak był poduszką; kawał sera, suchar i kęs kielbasy pożywieniem; jedynym luksusem kilka cygar. Żołnierz nie potrzebuje do życia o wiele więcej, wyjąwszy, oczywiście, alkohol i dziwki, ale z tych uciech Damien zrezygnował. Naprawdę starał się uleczyć zszarpane zmysły, żyjąc w ascezie.

Kobiet brakowało mu sto razy bardziej niż dżinu, pomyślał, wzdychając smętnie.

Lucien mógł sobie mieć wykwinłą damę za żonę; on, Damien, zawsze wolał ordynarne, sprośne dziewczuchy, które wiedzą, co robić z żołnierzami. Każda myśl o krągłej i chętej kobiecie wzbudzała w jego wygłodzonym ciele pożądanie, na razie jednak nie pozwalał mu się ponieść.

Spokojnie odłożył siekiere na widok nadchodzącego brata. Nie powinien ryzykować niczego, co mogłoby naruszyć jego wciąż jeszcze bardzo chwiejną równowagę.

Kary rumak zarżał, kiedy Lucien ściągnął wodze. Lucien, z zaróżowionymi od mrozu policzkami i błyszczącymi oczami, wręcz tryskał energią. Szczęśliwy nowożeniec! Przez chwilę unosił się w siodle, wreszcie potrząsnął głową i spojrzał na Damiena z sardonycznym uśmiechem.

- Mój biedny, drogi brat - odezwał się.

- Co? - warknął Damien.

- Jakie to uroczo prymitywne. Wyglądasz zupełnie jak jakiś drwal odludek. Albo jak Lancelot, kiedy został mnichem.

- Więc wypuściła cię na parę godzin spod pantofla, co? - Prychnął Damien. - Ile masz jeszcze godzin do powrotu?

- Dosyć, by moja słodka pani przypomniała sobie, jak bardzo mnie kocha. Kiedy wrócę - dodał z szelmowskim uśmiechem - powitanie powinno być warte rozstania. - Lucien zgrabnie zeskoczył z konia. Szykowny i elegancki, jak przystało na dyplomatę, sięgnął do

kieszeni płaszcza i podał Damienowi gazetę. - Pomyślałem, że chciałbyś się dowiedzieć, co się dzieje na świecie.

- Napoleon ciągle pod strażą na Elbie?

- Oczywiście.

- To wszystko, co chciałem wiedzieć.

- Więc zużyj ją na opał, chociaż widzę, że akurat w ten towar jesteś wyjątkowo dobrze zaopatrzony. Masz zamiar spalić tu czarownicę? - Lucien rzucił podejrzliwe spojrzenie na gigantyczny stos drewna.

Damien wziął wczorajszy numer „London Times” bez dalszych uwag.

Lucien przyjrzał mu się badawczo.

- Jak ci idzie, bracie? - spytał łagodniejszym tonem.

Damien wzruszył ramionami.

- Spokojnie tu - mruknął. - I ładnie. Rzecz jasna, wymaga wiele pracy. Cóż, to stara siedziba. Trzeba połatać płoty. Tu posiejemy jęczmień. - Wskazał na pola. - Tam owies, a tam dalej pszenicę... na wiosnę. - Jeżeli kiedykolwiek nadejdzie, dodał w duchu.

- Nie rób z siebie tępaka, proszę. Nie pytałem o twój dom. Chcę wiedzieć, co z tobą.

Czy powtórzyło się...

- Nie - uciął Damien, rzucając bratu ostrzegawcze spojrzenie. Nie chciał, by mu przypomniano jego piekielny obłąd czy też napad szaleństwa, zwłaszcza w rocznicę spisku prochowego. Huk świątecznych dział i wybuchy fajerwerków zmały mu umysł tak, iż wydało mu się, że znów jest na wojnie. Na kilka minut stracił poczucie rzeczywistości; przerażający stan u człowieka tak doświadczonego w zabijaniu.

Myśl o tym, jak łatwo mógł zrobić komuś krzywdę, zmroziła mu krew w żyłach. Po tej nocy z własnej woli udał się na wygnanie i nie miał zamiaru pokazywać się w

towarzystwie, zanim nie przestanie być zagrożeniem dla ludzi, których opiece kiedyś się poświęcił... Wtedy ponownie stanie się bohaterem wojennym, jakim świat chciał go widzieć.

Zauważył, że Lucien przygląda mu się uważnie, że czyta w nim jak w książce, jak tylko on potrafi, a jego srebrzyste oczy lśnią niezwykłą inteligencją.

- Nadal miewasz koszmarne sny? Damien tylko spojrzał na brata.

Nie chciał się przyznać, że upiorne sny, pełne krwi i zniszczenia dręczyły go teraz nawet częściej, jakby otumaniony mózg nie zdołał się dostatecznie szybko uwolnić od trucizny. Był jak zamarznięta Tamiza otaczająca jego posiadłość. Wiedział, że jest w nim wściekłość, ale nie potrafił jej czuć. Niczego właściwie nie czuł. Widocznie sześć lat walk - nie zwracanie uwagi na przemoc, na okropności wojny, na złamane serce - wpływa w taki sposób na mężczyznę.

- Naprawdę nie powinieneś być teraz sam - rzekł Lucien miękko.

- Powiniennem - odparł Damien - i doskonale wiesz, dlaczego. - Chcąc uniknąć dalszych pytań, poprawił polana w stercie, a polem strzepnął kilka skrawków kory ze spodni z bawolej skóry.

- Ale będziesz z nami w Londynie na święta, prawda? - spytał Lucien.

Damien energicznie skinął głową.

- Będę na pewno. - Dopóki książę regent powstrzyma się od fundowania miastu kolejnych pokazów tych idiotycznych sztucznych ogni, dopóty nie widział powodu do obaw. Boże Narodzenie jest „cichą, świętą nocą”; to sylwester bywa hałaśliwy, pełen wrzasków i wybuchów. Ale wtedy on będzie już w swoim zaciszu w Bayley House. - Napijesz się czegoś?

- zaproponował, nieco zbyt późno przypomniawszy sobie o zasadach gościnności.

- Nie, dziękuję. - Lucien wsunął dłonie do kieszeni płaszcza i stał zapatrzony w horyzont, jakby się nad czymś zastanawiał. - Prawdę mówiąc, przyjechałem tu z inną sprawą.

Właściwie... naprawdę nie wiem, jak ci to powiedzieć.

Damien wpatrywał się w brata, zaskoczony jego poważnym tonem. Dreszcz lęku przebiegł mu po plecach na widok jego pobladłej twarzy i pełnych udręki oczu.

- Na Boga, Lucien, co się stało? - Podszedł do brata, ściągając z dłoni rękawice. - Czy coś w rodzinie...

- Nie, nie, w rodzinie wszystko w porządku - przerwał mu Lucien, po czym spuścił wzrok i mówił dalej. - Na początku tygodnia byłem w Londynie za interesami i wtedy usłyszałem... o tym. Wie już całe miasto. Tak mi przykro, Damien. - Zebrał się w sobie, uniósł głowę i spojrzał bratu w oczy. - Sherbrooke nie żyje. Zamordowano go w środę wieczorem.

- Co takiego?! - wykrzyknął Damien, jakby nie dotarło do niego to, co usłyszał.

- Najwyraźniej był to napad rabunkowy. Intruz strzelił Jasonowi prosto w pierś.

Poszedłem tam, kiedy tylko o tym usłyszałem. - Lucien patrzył na brata ze smutkiem. - Wiem, Boże, wiem, że nie powinieneś wysłuchiwać takich wieści, ale nie chciałem, by dotarły do ciebie inną drogą.

Damien czuł, jak powietrze wydostaje mu się z płuc. - Jesteś tego pewien? - wykrztusił wreszcie. Lucien skinął głową.

- O Boże... - Damien odwrócił się, zrobił kilka kroków i zatrzymał się bezradnie, jakby był w szoku. Przejechał dłonią po włosach i stał tak nieruchomo, patrząc na posępny horyzont, na nagie drzewa w sadzie na wzgórzu i na skutą lodem rzekę. Słońce skryło się za chmurami i tam, gdzie jeszcze przed paroma minutami śnieg skrzył się w jego promieniach, teraz rysowała się tylko biała, surowa skorupa.

Długą chwilę trwała cisza.

Przerwało ją parskanie i uderzenia o ziemię kopyt czarnego ogiera, w ten sposób

okazującego zniecierpliwienie. Lucien szepnął coś łagodnie, uspokajając zwierzę, podczas gdy Damien starał się opanować i nie paść w rozpaczy na kolana.

Już był pewien, że teraz wszyscy są bezpieczni, wszak wojna się skończyła. Jak mógł zapomnieć, że śmierć, ten ostateczny zwycięzca, nadal nieubłagane kroczy naprzód?

Odwrócił się nagle z twarzą pociemniałą od gniewu.

- Wiadomo, kto to zrobił?

- Nie. Policja kryminalna z Bow Street prowadzi dochodzenie, Podejrzanych jest dużo: to dzielnica pełna złodziei i rabusiów. Pozwoliłem sobie wysłać kilku moich młodych kolegów, by zbadali sprawę.

- Dziękuję ci. - Spuścił wzrok, trochę zaskoczony, że tak szybko pogodził się z otrzymaną wiadomością. Bogiem a prawdą śmierć przyjaciela to dla mnie nie nowina, uświadomił sobie z goryczą.

Był wykonawcą testamentu Jasona. Teraz musi wypełnić związane z tym obowiązki.

Uchwycił się tej myśli jak kotwicy.

Moi ludzie mnie potrzebują, pomyślał. Jako ich pułkownik powinien stanowić wzór właściwego postępowania, dyscypliny i opanowania. Nadal byli od niego zależni, tak jak niegdyś na polu bitwy Pół dekady spędzili w wojennym koszmarze, po czym nagle znaleźli się znów w spokojnej, starej Anglii. Skąpane we krwi dzikusy powróciły do towarzystwa, gdzie trzeba było stać się na nowo dżentelmenami.

Boże, jakież ja byłem samolubny, pomyślał, zły na siebie, że ich porzucił i przybył tu lizać własne rany. Gdyby został w Londynie, gdyby serdeczniej zajął się Sherbrookiem...

Powinienem był tam być.

Zwiesił głowę, przytłoczony wyrzutami sumienia. Tak, już wystarczająco długo żył w samotności.

Kiedy znów podniósł wzrok, oczy miał zimne i szare jak granit. Przemówił spokojnym głosem doświadczonego w bojach komendanta:

- Powinienem być w Londynie na jego pogrzebie. Jason nie utrzymywał bliskich stosunków z rodziną.

Lucien obrzucił badawczym spojrzeniem twarz brata, jakby próbował odgadnąć jego myśli.

- Jest jeszcze coś. - Wyjął z kieszeni płaszcza złożony arkusz papieru, który wręczył Damienowi. - Adwokat Sherbrooke'a prosił mnie, bym ci przekazał ten list. Wygląda na to, że Jason ustanowił cię nie tylko wykonawcą testamentu, ale także opiekunem jego bratanicy.

- Do diabła, na śmierć zapomniałem - mruknął Damien, biorąc list. Złamał pieczęć i rozłożył arkusz; zadrżał na wspomnienie rozmowy po bitwie pod Albuera, kiedy Sherbrooke, pólżywy po straszliwej ranie zadanej szablą, z odciętą prawą ręką, błagał go, by zgodził się podjąć opieki nad jego małą osieroconą bratanicą, jeżeli on nie przeżyje. Damien dał mu wtedy słowo, że zajmie się dzieckiem.

Szybko zapanował nad ogarniającą go falą smutku; przypominał sobie, jak Sherbrooke kupował bratanicy prezenty w każdym mieście, które zajmowali, i słał do Anglii: hiszpańskie koronki, koraliki, barwne szale, małe laleczki, jedwabne pantofelki...

Jak ona, do diabła, miała na imię? Przebiegł wzrokiem list od adwokata. Yardley School, Warwickshire...

Nigdy nie widział tej dziewczynki, ale wiedział, że to nieślubna córka zmarłego najstarszego brata Sherbrooke'a, wicehrabiego Huberta, którą spłodził z kochanką... chyba jakąś aktorką. Przed bitwą pod Albuera Sherbrooke często mówił o swojej pełnej życia bratanicy, czytał głośno pełne powagi listy małej, budząc hałaśliwą radość oficerów w kasynie; kiedy jednak został okaleczony, wydawał się zajęty wyłącznie sobą, jakby zupełnie o

niej zapomniał. Pił tylko coraz więcej.

No tak! - pomyślał Damien, odnalazłszy w liście imię dziewczynki.

Miranda.

Tak jak dziewczyna z Szekspirowskiej *Burzy*. Dziwaczne imię jak na angielską uczennicę, pomyślał, marszcząc brwi. Pewnie to robota tej aktorki, jej matki. Smarkula musi już mieć ze czternaście albo piętnaście lat, a może nawet więcej? - zastanawiał się, nagle zażenowany. Zresztą nieważne. Złożył list i wsunął go do kieszeni na piersi surduta.

Poczucie obowiązku wywołało elektryzujący skutek. Od chwili, gdy po zakończeniu wojny jego regiment rozpuszczono do domów, czuł się jak dryfujący, gnany wiatrem statek. Teraz po raz pierwszy od wielu tygodni miał jakiś cel. Dręczące go demony straciły nad nim władzę, kiedy koncentrował się na pomocy innym - swoim ludziom... i swojej nowej podopiecznej. Musi pojechać do Londynu, sprawić Jasonowi porządny pogrzeb i pocieszyć swoich ludzi po tym ciężkim ciosie. Wraz z Lucienem, który pracował jako szpieg dla Ministerstwa Spraw Zagranicznych, pomogę policji z Bow Street znaleźć mordercę; a potem będzie musiał pojechać do Warwickshire i zawiadomić dziewczynkę o śmierci stryja. Do diabła, pomyślał. To będzie najtwardszy orzech do zgryzienia. Wolałby przypuścić atak na ufortyfikowane szanse Francuzów, niż patrzeć na łzy kobiety, nieważne, w jakim wieku. No cóż, tak czy siak musi to załatwić.

Patrzył pustym wzrokiem na Luciena, tego złotoustego, wielojęzycznego dyplomatę - szpiega.

Jak powiedziałbyś małej dziewczynce, która widziała, jak jej rodzice toną w jeziorze, że jedyna osoba, która jej pozostała na świecie i która ją kochała, nie żyje? Lucien skrzywił się i potrząsnął głową.

Łagodnie - odparł. - Bardzo, bardzo łagodnie.

Chryste - szepnął Damien, po czym odwrócił wzrok i zaklął pod nosem. Przynależał Sherbrooke'owi, że da tej dziewczynie - wszystko, co najlepsze, nawet gdyby to oznaczało rezygnację kupna rasowych klaczy, których rozpoczęcie hodowli planował przyszej wiosny, co zawsze było jego marzeniem. Przede wszystkim jednak musiał znaleźć mordercę Jasona. Pojadę z tobą do Londynu, jeżeli chcesz - zaproponował Lucien, bacznie mu się przyglądając.

Dzięki - mruknął Damien, pocierając dłonią szczecinę na brodzie. - Chyba muszę się ogolić. Gotowy czy nie, musiał stawić czoło światu.

Warwickshire, tydzień później

Jedzenie jest ohydne. Nienawidzę pani Brocklehurst. Nigdy nic myślałam, że będę musiała pracować jak galernik. Chciałabym umrzeć!

Och, Amy, przestań wreszcie jęczeć. Zrobiłam trzy razy tyle co ty, a nie stroję fochów.

- Cierpka odpowiedź padła z wnętrza wygasłego kominka, ledwie słyszalna; widać było tylko znoszony szkolny mundurek śliwkowej barwy, teraz uwalany popiołem, i wystającą spod niego parę ślicznie utoczonych łydek w czarnych nicianych pończochach i zniszczonych półbutach.

Bo ty powinnaś robić najwięcej - odparła Amy. Jej blond kędziorki były podobne do miotełki od kurzu, którą trzymała w ręku. Jesteś najstarsza. I najsilniejsza.

A ty najbardziej leniwa - odcięła się Miranda FitzHubert, gramoląc się z kominka.

Chwilę stała zgięta w pół, a potem wyprostowała bolące plecy i trąciła łokciem nadąsaną dwunastolatkę maszerującą do miski z brudną wodą, by wypłukać ściereczkę. - Ej, towarzystwo, ruszcie się! - rozkazała pozostałym dwóm apatycznym dziewczętom. - Muszę stąd wyjść najdalej o piątą i niech nikt nie próbuje zatrzymać mnie dłużej. - Ta jedna jedyna, cudowna, magiczna noc w miesiącu sprawiała, że jej życie stawało się znośne.

- Tak, Mirando - zaszemrały pozostałe dziewczęta, zabierając się do pracy w zimnej, pełnej przeciągów klasie.

Większość z trzydziestu uczennic wyjechała ze szkoły na święta, ale cztery dziewczynki szorujące teraz klasę - Miranda, Amy, Sally i Jane - nie miały rodzin, do których mogłyby pojechać, musiały więc spędzać Boże Narodzenie w Yardley. Stanowiły grupę wyrzutków: ot, bękarty, sieroty, ubogie krewne, zapomniane i niekochane. W ramach zwrotu kosztów za utrzymanie ich w szkole poza lekcjami przełożona, panna Brocklehurst, zatrudniała te biedactwa do robót, które nawet pomywaczkę przyprawiłyby o dreszcz przerażenia.

- Jak myślicie, co one teraz robią? - zastanawiała się Sally, wycie - ; rając listwy przy ścianie.

- Och - westchnęła Jane, która stała na krześle i polerowała świeczniki - założę się, że pieką ciasta razem z mamusiami albo kupują prezenty dla tatusiów.

- Co to was obchodzi, co robią! Nie rozumiem, dlaczego jesteście takie ponure. Bez nich jest tu o wiele spokojniej - mruknęła Miranda, atakując oblepiony grubą warstwą brudu ruszt kominka.

Zegar na obramowaniu kominka nad jej głową tykał bezlitośnie. Podniosła umazaną sadzą twarz i zerknęła na tarczę. Za kwadrans piąta. Boże, na pewno nie zdąży na czas!

Kurtyna idzie w górę punkt szósta.

Zdwoiła wysiłki, gwałtownie szorując mosiężny ruszt, aż mogła w nim zobaczyć odbicie swoich pełnych determinacji zielonych oczu.

Popędzała resztę, aż wreszcie sprzątanie sali szkolnej było skończone. Odłożyły do schowka szczotki i miotły. Miranda uciszyła trajkoczącą Amy i obie na paluszkach przebiegły obok drzwi saloniku przełożonej, gdzie panna Brocklehurst i pan Reed, skąpy jak Harpagon pastor, który ufundował Szkołę dla Dziewcząt w Yardley, pili herbatę w towarzystwie

paskudnych starych dam z Bractwa Ołtarzowego.

Dziewczęta wspięły się po schodach do zimnej sypialni na najwyższym piętrze starego, przerobionego z 'wiejskiej zagrody domu. Światło księżycy padało na ciemny pokój z długiego szeregu okien. Krok Mirandy, kiedy szła wzdłuż ustawionych obok siebie wąskich łóżek w stronę paleniska tłącego się w najdalszym rogu ponurej sali, był lekki jak piórko: zbliżał się moment tak długo wyczekiwanej przygody. Wyjrzała przez zamrożone szyby i stwierdziła, że spadły wczoraj śnieg nadal pokrywa cienką warstwą otaczającą dom pola.

- Jak możesz mieć jeszcze siły, Mirando? - spytała Jane, padając na łóżko. - Harowałaś jak koń.

- Jestem zbyt podniecona, żeby czuć zmęczenie... i zbyt zdenerwowana - wyznała.

Podbiegła do kominka i wydobyła stamtąd kociołek zawieszony na metalowym haku.

Napełniła miednicę gorącą wodą i zapaliła kilka świec.

Lśniły jak robaczki świętojańskie, kiedy ustawiła je dookoła miednicy. Z minuty na minutę była coraz bardziej zdenerwowana. Czy dzisiaj będzie dużo publiczności? Miała nadzieję, że sala będzie pękać w szwach. Żołnierze z pobliskich koszar zawsze ją uwielbiali.

Czasami na przedstawienia przychodzili także podróżni z zajazdu. Może nawet będzie kilku modnych londyńczyków? Może pomyśla, że jest wystarczająco dobra, żeby występować na Drury Lane! No, prawie tak dobra, pomyślała.

Wyszorowała mydłem twarz, szyję i ręce, wydłubała brud spod paznokci, przetarła delikatnie wilgotną szmatką długie, ciemne, falujące włosy, by usunąć z nich resztki sadzy.

Dziewczęta tępych wzrokiem obserwowały ją, czekając, aż pani Warren, kucharka, przyniesie im na górę herbatę i po kawałku czerstwego chleba.

Amy podkradła się bliżej z nadąsaną minką.

- Chcę pójść z tobą! - Wykluczone.

- Czemu?

- Tam nie wpuszczają dzieci.

- Aleja chcę usłyszeć, jak śpiewasz w burlesce. Chcę zobaczyć, jak tańczysz w balecie!

- Nic z tego - odparła Miranda, padając na najbliższe łóżko, by zdjąć zniszczone buty i cuchnące czarne wełniane pończochy.

Postawiła miednicę na podłodze, włożyła do niej nogi i znów przysiadła na brzegu łóżka, rozkoszując się możliwością moczenia stóp chociaż przez kilka minut.

- Ty to masz szczęście - marudziła Amy. - Uciekniesz z trupą pana Chippinga w świat, a ja tu umrę!

- Nie zrobiłabym ci takiej przykrości - zapewniła Miranda.

- Naprawdę? - Amy usiadła obok niej i zarzuciła jej ramiona na szyję jak kochająca młodsza siostrzyczka.

Miranda obdarzyła ją ciepłym uśmiechem.

- Gdybym uciekła, w jaki sposób stryjek Jason dowiedziałby się, gdzie mnie znaleźć, kiedy przyjedzie mnie stąd zabrać? - Jeżeli w ogóle przyjedzie, pomyślała, ale nie powiedziała tego głośno.

- Mogę nałożyć sobie trochę twojego rózu? Proszę...

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Amy, masz dopiero dwanaście lat.

- Różowanie się jest grzechem - oznajmiła Sally, siadając na łóżku.

Amy wyszczerzyła zęby w figlarnym uśmiechu.

- Pewnie. Właśnie dlatego Miranda tak to lubi. Mirando, kiedy będziesz bogata i

sławna i będziesz grać w Londynie, przyjedziesz i zabierzesz mnie z Yardley?

Długie włosy spłynęły na ramiona Mirandy, kiedy pochylona szorowała stopy. - Jeżeli obiecasz, że nie będziesz marudziła.

- Nie będę miała powodu! - Amy wskoczyła na stojący pod ścianą ciężki stół i usiadła na nim, krzyżując stopy. - Będą tylko przyjęcia i bale, i piękne suknie, i setki chłopców przysięgających, że mnie kochają!

Miranda popatrzyła na nią z powątpiewaniem. Wycierała właśnie stopy, kiedy nagle zza drzwi rozległ się wrzask. Wszystkie dziewczęta zamarły.

Amy zeskoczyła ze stołu i zaczęła w panice biegać po pokoju.

- Och nie! Och nie! Miranda spojrzała na nią.

- Co tym razem zmajstrowałaś? - zapytała.

- Nic! To nie ja! - Amy!

- FitzHuberrrrt! - rozległ się ryk panny Brocklehurst, a potem kroki, które dziewczynki znały aż zbyt dobrze i których bały się bardziej niż najazdu legionów rzymskich.

Miranda zerkała to na zamknięte drzwi sypialni, to na Amy, która, blada jak ściana, cofała się jak najdalej od drzwi.

- Amy, co się stało?

- To... był... wypadek!

- Och, Amy. Co znowu stłukłaś?

Wielkie błękitne oczy Amy napęłniły się łzami.

- Tego jej paskudnego porcelanowego pieska! Wszystkie dziewczęta aż jęknęły z przerażenia.

- O nie! - szepnęła Miranda, a serce jej zamarło.

Jeśli panna Brocklehurst wygłosi kolejną długą tyradę, ona nie zdoła zdążyć na czas

do teatru Pavilion. A jeżeli nie wymknie się za piętnaście minut, może się spóźnić na wyjście na oklaski. Pan Chipping dał jej główną rolę w granej dziś burlesce *Zbieg z Wenecji*. Jeśli go zawiedzie, może nigdy więcej nie dostać większej roli. Pan Chipping uważał, że wszystkie aktorki są nieodpowiedzialne. Nie chciała, żeby w jej wypadku miał rację.

- Amy, musisz się przyznać...

- Ale pan Reed mnie zbije! Proszę, Mirando! Nie zrobiłam tego umyślnie!

Odkurzałam tylko, kiedy poszłaś po następne wiadro wody. Wtedy piesek spadł z kominka na podłogę.

- A ty po prostu odstawiłaś po z powrotem?

- Bo się nie rozbił, tylko rozpadł na cztery czy pięć kawałków. Poskładałam je i oparłam o lustro.

- Głowę dam, że gapiłaś się na swoje odbicie w lustrze i dlatego to się stało!

- Nie, przysięgam, że nie! Myślałam, że nikt nie zauważy, że piesek jest stłuczony!

Myślałam, że Brocklehurst pomyśli, że sama go stłukła, kiedy następnym razem go dotknie!

Proszę, Mirando, musisz mi pomóc! Ona mnie zabije! Proszę!

- Niech to szlag! - zaklęła Miranda, słysząc trzask otwieranych drzwi.

Panna Brocklehurst stanęła w progu jak posąg. Świeca, którą trzymała w dłoni, oświetlała rysy jej surowej twarzy, dodatkowo stężale z gniewu.

- FitzHubert - syknęła.

Zawsze podkreślała „Fitz” w jej nazwisku, jakby chciała przypomnieć Mirandzie o jej statusie nieślubnego dziecka.

Podniosła rękę, w której trzymała obtłuczoną główkę swojego pieska z porcelany.

- Ty wstrętna, okrutna, potworna dziewucho! Wiedziałam, że mnie nienawidzisz, ale to, to już przekracza wszelkie granice!

Miranda zmusiła się do spuszczenia głowy; wyglądała jak uosobienie skruchy.

- Niech mi pani wybaczy, proszę. To był wypadek.

- „Niech mi pani wybaczy, proszę. To był wypadek” - przedrzeźniała ją przełożona ze

złością. - Myślisz, że tak łatwo ci pójdzie? - Panna Brocklehurst wkroczyła do pokoju i

postawiła świecę na najbliższym stole. - Ty pyszna, krnąbrna dziewczyno! Staralam się, och,

jak bardzo się starałam, wykierować cię na ludzi, ale z ciebie nigdy nic nie będzie!

Miranda lekko uniosła podbródek, a jej zielone oczy zwęziły się buntowniczo.

- O, nieprawda, będzie. - Może jest pyszna i krnąbrna, ale z pewnością coś z niej

będzie. Wiedziała doskonale, kim chce być, i nikt nie zdoła zdruzgotać jej marzeń. Marzeń,

które zaniosą ją daleko, daleko stąd.

- Nie waż się patrzeć na mnie w ten sposób! - zachnęła się panna Brocklehurst, ale

Miranda była zbyt wściekła, aby posłuchać przełożonej, i nadal wlepiła w nią wzrok, kipiąc

ze złości.

Trzask!

Uderzenie przełożonej było niespodziewane i głowa Mirandy aż odskoczyła. Amy

stłumiła okrzyk przerażenia.

Ocknąwszy się po uderzeniu, Miranda zuchwale nadstawiła drugi policzek, jak

prawdziwa chrześcijanka.

Panna Brocklehurst obrzuciła ją złym spojrzeniem, ale nie uderzyła ponownie.

- Ty nieznośna dziewucho! Nie dostaniesz kolacji ani dzisiaj, ani jutro, ani pojutrze.

Będę cię morzyć głodem, aż zmuszę cię do posłuszeństwa! I przez najbliższe dwa tygodnie

będiesz odpowiedzialna za nocne zlewki! O Boże, tylko nie nocniki! Miranda skrzywiła się

ze wstrętem.

- Panno Brocklehurst, jeśli łaska, proszę mi pozwolić włączyć się do sprawy -

zabrzmiął od drzwi nosowy męski głos.

Miranda natychmiast zeszywniała. Blednąc, patrzyła, jak do sypialni wkracza wielebny Reed, niewątpliwie szczęśliwy, że ma okazję rzucić okiem na dziewczęta ubrane tylko w halki.

Jane przerażona złapała sukienkę, a Sally zanurkowała pod koc. Reed obdarzył przeciągłym spojrzeniem Amy.

Miranda poczuła, jak mrozi się jej krew w żyłach.

- Powiedziałam już, że to był wypadek - wykrztusiła, próbując ściągnąć uwagę tego zboczeńca na siebie.

Wielebny popatrzył na nią.

- Co ma znaczyć ta zuchwałość, FitzHubert? Wiesz, że nie wolno ci się odzywać, chyba że zwracamy się do ciebie.

Wytrzymała jego spojrzenie, choć napawało ją wstrętem. Wielebny Reed był znacznie gorszy od złośliwej i okrutnej panny Brocklehurst. Nie umiał trzymać rąk przy sobie, a używanie brzozonej różgi było jego ulubionym sposobem spędzania czasu. Miranda przełknęła ślinę w obawie, że wielebny tylko czeka, by zabrać się do dzieła.

- Taki akt podstępny wskazuje na poważne braki w rozwoju moralnym - oznajmił, podchodząc do niej. Miał kościste dłonie o długich palcach, rzedniejące włosy, haczykowaty nos i chytne oczka. Wysoki i chudy, lekko się garbił, co sprawiało wrażenie, jakby stale się skradał. - Czy jesteś dumna ze swojego uczynku, FitzHubert?

- Pycha to jej główna przywara - wtrąciła panna Brocklehurst ze wzgardą.

- No tak... pycha. Czy jesteś pyszna, bo mężczyźni uważają cię za piękną? - Wielebny omiół spojrzeniem jej sylwetkę i twarz. - Zapomniałaś, że pycha jest pierwszym z grzechów śmiertelnych, tym, który doprowadził do upadku aniołów?

- Od lat staram się wywabić tę plamę z jej charakteru - zapewniła panna Brocklehurst.

- Podobnie jak ja, madame, podobnie jak ja. Niestety, widzę, że żadnemu z nas się to nie udało - odrzekł Reed, patrząc na Mirandę z lubieżną złośliwością. - Zrobisz to, co zleciła ci panna Brocklehurst, a jutro po nabożeństwie zameldujesz się u mnie w biurze, gdzie wymierzę ci karę... bez świadków.

Mirandę przeszedł dreszcz, ale wiedziała, że lepiej się nie sprzeciwiać. Pogorszyłaby tylko sprawę. Nieważne, powiedziała sobie twardo. Nieraz już przeżywała upokorzenie i ból chłosty. Ważne, że udało jej się uratować Amy. Tylko to się liczyło - to i dzisiejsze przedstawienie. Jakoś przebrnie przez jutro, byle tylko mogła zrealizować dziś wieczorem swoje marzenie.

Kiedy usłyszała szloch Amy, złękła się, że mała może przyznać się do winy. Rzuciła jej ostre spojrzenie, które oznaczało: trzymaj język za zębami.

W tym momencie bardziej niż pogardę dla panny Brocklehurst i nienawiść do wielbego Reeda czuła wściekłość do stryja Jasona za to, że zostawił ją tu i pojechał na wojnę.

Patriotyzm, też coś! - myślała z goryczą. Pojechał szukać przygód i już dawno zapomniał, że ona w ogóle istnieje. Zostawił ją, swoją nieślubną bratanicę, w zawieszeniu pomiędzy dwoma światami - nie była ani arystokratką jak jej ojciec, ani istotą upadłą jak matka. Ostatnio przestał nawet płacić za jej pobyt w szkole, co panna Brocklehurst często jej wypominała. Była kimś zaledwie trochę lepszym niż dziewczynki z sierocińca, co uważała za jeszcze bardziej upokarzające niż poddanie się karze chłosty. Teraz miała okropne uczucie, że wokół niej wszystko wali się w gruzy. Tylko pamięć o ostatnim występie na scenie pozwalała jej zachować odrobinę nadziei.

Wspominała ludzi przypatrujących się jej z przyjemnością i podziwem i

oczarowanych jej śpiewem. Wiedziała, że spektakle w teatrze Pavilion nie dorównują prawdziwemu teatrowi. Publiczność amfiteatru stanowili nie lordowie i damy, lecz robotnicy z fabryk, warsztatów garncarskich, browarów i młynów Birmingham oraz żołnierze z pobliskiego garnizonu. Tak, to był tylko trzeciorzędny teatr objazdowy, ale kiedy zapalały się światła reflektorów i rozlegały się oklaski, ona stawała się kimś innym, kimś pięknym i beztroskim, kimś, kto uszczęśliwia ludzi, podobnie jak robiła to jej matka. Potrafiła rozśmieszać widzów, sprawiać, że zapominali o swoich troskach, a kiedy bili brawo i wiwatowali, przez krótką chwilę czuła się kochana.

To uczucie przypominało jej pogodne, szczęśliwe dni, które spędziła jako mała dziewczynka we wspaniałym świecie swego ojca, świecie bogactwa i zaszczytów. Był to świat bezpieczny i pełen ciepła, męskiej wytworności ojca i podobnej do barwnego motyla *joie de vivre* mamy. Jak oni się kochali! Gdyby tylko byli małżeństwem... Gdyby ona mogła dziś w nocy uciec z teatrem i nigdy, przenigdy nie wrócić do Yardley, gdzie pomiatano nią, bito i znęcano się na wszelkie możliwe sposoby.

Wiedziała jednak, co stanie się z Amy, jeśli ona odejdzie. Widziała, w jaki sposób pan Reed przyglądał się ślicznemu dziecku, kiedy sądził, że nikt nie widzi. Miranda postanowiła pilnować, by zachowywał dystans wobec małej, była bowiem jedyną osobą w Yardley School, która odważała się mu przeciwstawić. Nawet gdy Reed i Brocklehurst wydzierali z niej duszę cząsteczka po cząsteczce - nie opuści tej udręczonej dziewczynki w taki sposób, w jaki sama została opuszczona.

Po ogłoszeniu wyroku wielebny Reed i panna Brocklehurst wyszli z sypialni. Kiedy dziewczynki znów zostały same, zapadła głucha cisza.

Słyszeć było tylko żalospny płacz Amy, aż w końcu żołądek Mirandy zaburczał ze wzburzeniem. Ten dźwięk sprawił, że Amy rozplakała się jeszcze bardziej.

- Możesz zjeść moją kolację, Mirando. To wszystko moja wina...

- Och, zamknij się, Amy. To nie ma znaczenia. Jedzenie i tak jest ohydne. - Miranda

odwróciła się, by ukryć łzy napływające jej do oczu. Uklękła przy swoim łóżku i ostrożnie wydobyla spod siennika kostium. Uniosła go i wpatrzyła się w niego w nabożnym milczeniu. Aż serce bolało, taki był piękny; uszyty z delikatnego muślinu w subtelnym odcieniu bladej lawendy i ozdobiony srebrnymi cekinami.

Dziewczęta zgromadziły się wokół niej, patrząc na kostium jak na jakiś tajemniczy twór z innego świata. Był to strój dla królowej wrózek, rzuconej pomiędzy świat realny i baśniowy, nie należącej w pełni do żadnego z nich. Miranda, która na szczęście zdążyła się umyć przed całą awanturą, teraz usiadła na łóżku i szybko wciągnęła cieliste trykoty, jakie tancerki i aktorki noszą pod kostiumem, a następnie, zdjawszy codzienną śliwkową sukienkę, włożyła swoją muślinową szatę bez rękawów. Natychmiast poczuła się jak przeistoczona.

Spiesząc do lustra, związała gęste włosy pasującą do kostiumu lawendową wstążką.

Nałożyła odrobinę różu na policzki i posmarowała nim wargi, po czym rozejrzała się w poszukiwaniu pantofli. Wyjęła spod łóżka ozdobione cekinami jedwabne baletki, ale zamiast nich wzięła na nogi zniszczone, toporne półbuty: czekała ją długa wędrówka po śniegu w drodze do teatru.

Amy patrzyła posępnie, jak Miranda okrywa płaszczem swój lawendowy strój, ta zaś obdarzyła ją małym radosnym uśmiechem, który, miała nadzieję, nie zdradzał strachu. Amy uśmiechnęła się blado i otworzyła okno. Jane weszła na krzesło i przywiązała do okiennej ramy linę, którą Miranda kiedyś ukradła i która służyła jej teraz jako drabinka sznurowa.

Miranda wdrapała się na parapet, chwyciła linę i zsunęła się po ścianie jak najzwinniejszy z marynarzy admirała Nelsona. Śnieg zachrząścił pod jej butami, kiedy stanęła na ziemi.

Dała znak dziewczętom, by wciągnęły linę. Amy rzuciła jej baletki i pomachała żałośnie.

- Nie zapomnij zejść i otworzyć mi kuchenne drzwi, ale dopiero gdy wszyscy już zasną - poleciła Miranda szeptem.

Amy skinęła głową i jeszcze raz pomachała.

- Złam nogę!

Miranda przesłała jej pocałunek, podniosła z ziemi baletki i pobiegła przez pola na północ. Wkrótce Yardley School, duży, prostokątny budynek z szarego kamienia, z pomalowanymi na białą okiennicami i łupkowym dachem, został daleko za nią.

Grudniowy wieczór był tak cichy, że wydawało się, iż świat wstrzymał na chwilę oddech. Srebrna poświata księżycy i gwiazd rozświetlała magicznym blaskiem zaśnieżone pola. Miranda słyszała tylko swój oddech i skrzyp butów na śniegu. Obłok pary z oddechu snuł się za dziewczyną jak ślubny welon.

Dostrzegła stadko jeleni grzebiących w śniegu w poszukiwaniu pożywienia. Po chwili przebiegi tuż przed nią wystraszony zajęczek, Wreszcie dotarła do drogi i skręciła w lewo. Parę minut później dotarła do mostu nad rzeką Cole. Nie cierpiała chodzić po mostach, Od śmierci rodziców bała się nawet z daleka patrzeć na wodę.

Po drugiej stronie rzeki, już w Bordesley Green, groziło jej kolejne niebezpieczeństwo. Włóczędzy palili tam ogniska na rozległym trawniku. Przyspieszyła kroku i ominęła szerokim łukiem ciemną, otwartą przestrzeń, nazywaną Mud City - Miastem Błota.

To osiedle, zamieszkane przez kryminalistów, żebraków, kieszonkowców, złodziei i wszelkiego rodzaju czających się wszędzie łajdaków, było prawdziwą zarazą Birmingham. Założyli obóz na trawiastym terenie miejskim i potrafili do tego stopnia zastraszyć burmistrza

i jego urzędników, że w końcu w obawie przed rozruchami pozwolono im zostać. Pobliski garnizon wojskowy miał za zadanie utrzymywać w spokoju to plugawe towarzystwo.

Miranda wiedziała, jak nierozważne jest chodzenie po obrzeżach Mud City, ale nie chciała się spóźnić, a do teatru Pavilion właśnie tędy było najbliżej.

Wkrótce widziała już lampy gazowe oświetlające wejście do teatru. Serce aż podskoczyło jej w piersi z podniecenia. Przed teatrem kręcili się ludzie, przeważnie mężczyźni; kończyli w pośpiechu cygara przed wejściem na widownię. Ruszyła do tylnych drzwi, ścigana łakomymi spojrzeniami i niezbyt przystojnymi propozycjami. Nie zwracała na to uwagi i nie obrażała się, świadoma, w jaki sposób większość dziewcząt tej profesji zarabia dodatkowe pieniądze.

Wbiegła po drewnianych schodkach do tylnych drzwi, minęła korytarz i weszła do garderoby z promiennym uśmiechem.

- Panna White! - Aktorzy powitali Mirandę jej scenicznym nazwiskiem. Nie używała własnego, bojąc się, że stryj Jason własnoręcznie ją udusi, jeżeli kiedykolwiek dowie się o tym.

- Spóźniła się pani! Zaczynaliśmy się już niepokoić! - mówił ze szczerym przejęciem klaun.

- Och, moi drodzy, przecież nigdy bym was nie zawiodła - rzuciła wesoło, dając mu prztyczka w czerwony nos. Następnie zdjęła z ramion ciężki wełniany płaszcz.

- Witaj, ślicznotko! - wyszeptał Stefano, główny aktor.

Zbyła jego zalotne spojrzenie śmiechem i ściągnęła zaśnieżone buty. W tym momencie do garderoby wbiegł pan Chipping, rozgorączkowany i ruchliwy jak mała trąba powietrzna. Ten nieduży łysy mężczyzna był dyrektorem owej objazdowej sceny, stale kursującej pomiędzy Birmingham, Coventry, Leicester i Nottingham.

Chipping często zapewniał Mirandę, iż fakt, że jest córką zmarłej Fanny Blair, aktorki o międzynarodowej renomie, pomoże jej zdobyć sławę, byleby tylko zechciała.

Zaproponował jej nawet atrakcyjną pozycję pierwszej amantki, dzięki czemu pewnego dnia mogłaby zacząć grać role głównych bohaterek. Jej matka była przez krótki czas pierwszą amantką w londyńskim teatrze Lyceum przy Strandzie i właśnie tam tata ją zobaczył.

Pan Chipping rozpromienił się na widok Mirandy.

- Jesteś nareszcie! Moje śliczności, mój klejnociku! W samą porę. Wchodzisz za dziesięć minut.

- Już nie mogę się doczekać! - Zarzuciła mu ramiona na szyję, uściskała i wycisnęła żartobliwy pocałunek na jego świecącej łysinie. - Uwielbiam pana, panie Chipping! Taka jestem szczęśliwa. Dziękuję, że dał mi pan szansę.

Odchrząknął, a oczy zalśniły mu wzruszeniem.

- Witaj wśród nas, moja droga. Wiem, że mnie nie zawiedziesz. - Zwrócił się do aktorów. - Wielu ludzi cierpi teraz, zwłaszcza w czasie świąt. Dajmy im z siebie, co mamy najlepszego. - Objął Mirandę w talii, odrywając ją od smutnej myśli, że chyba nikt tak nie nienawidzi Bożego Narodzenia jak ona. Był to dla niej najboleśniejczy dzień w roku. - Gotowa, lalczko? - spytał zachęcająco.

Dramatycznym gestem odrzuciła długie loki z ramion i obdarzyła go najbardziej promiennym z uśmiechów.

- Zawsze!

Damien kłusował na swoim siwku zalaną światłem księżycą drogą ze Stratfordu; do Birmingham przybył koło siódmej wieczorem. Kiedy wjeżdżali na Bradford Street, ściągnął wodze i ogier przeszedł w trucht. Damien z zaciekawieniem przypatrywał się szybko rozbudowującemu się miastu.

Pogrzeb Jasona w Londynie odbył się bez przeszkód, ale jego zabójca nadal pozostawał na wolności. Lucien zdołał przekonać brata, żeby śledztwo pozostawił władzom i w końcu powiadomił swoją podopieczną o śmierci stryja. Damien bał się rozmowy z Mirandą, uznał jednak, że nawet widok łez w oczach osieroconej dziewczynki będzie znośniejszy niż bezczynne czekanie na dalszy rozwój wydarzeń.

Niebawem dotarł więc do hotelu Royal przy Tempie Row i zamówił pokój na tę noc.

Kierownik hotelu osłupiał, ujrzawszy nazwisko Damiena w spisie gości, i kazał przygotować najlepszy pokój. Nalegał też, by Damien był jego gościem, on jednak odmówił i zapłacił jak każdy klient. Wkrótce przyniesiono mu wspaniałą kolację, którą zjadł samotnie w swoim apartamencie.

Skończywszy posiłek, wstał, podszedł do okna i wpatrywał się w światła miasta i ciemniejące w oddali pola. W szybie okiennej zobaczył swoje odbicie: z tymi podkrążonymi oczami wyglądał jak upiór. Zerknął przez ramię na łóżko. Miał już szczerze dość własnego towarzystwa i - Boże, przebacz! - był bardzo, ale to bardzo spragniony seksu.

Teraz, kiedy wreszcie odważył się wrócić do świata, z trudem mógł uwierzyć, że od sześciu tygodni nie miał kobiety. Regulamin hotelowy zabraniał sprowadzania do pokoju prostytutek, ale do diabła! Dla pułkownika lorda Winterley chyba można zrobić wyjątek.

Obsługa na pewno przymknie oko, jeśli bohater wojenny zażyczy sobie, by jakaś dziewczyna rozgrzała mu łóżko w tę chłodną zimową noc.

Nie, zdecydował po chwili. Żadnych kobiet. Żadnego alkoholu. Dyscyplina to podstawa. Odszedł od okna i krążył po pokoju tam i z powrotem. Nie wolno mu ulec pokusie. Nie wolno mu poddać się emocjom, nie wolno stracić samokontroli. Kłopot w tym, że nie mógł ufać samemu sobie, własnym reakcjom. Nigdy umyślnie nie skrzywdził kobiety, ale jeżeli znowu ogarnie go szaleństwo i zaatakuje, nawet o tym nie wiedząc? Po tym, co wydarzyło się w rocznicę spisku prochowego, nie odważył się igrać z czymkolwiek, co mogłoby obudzić w nim bestię. Pofolgowanie namiętności mogłoby pozbawić go hamulców, a tego za wszelką cenę musiał unikać.

Stanąwszy w nogach łóżka, oparł ręce na biodrach i westchnął ciężko. Noc dopiero się zaczyna, może więc nie musi zamykać się tutaj. Dobrze byłoby spotkać się z kolegami oficerami, którzy byli na pogrzebie Jasona. Wiedział, że jego serdeczny przyjaciel, pułkownik porucznik George Morris, stacjonuje w Birmingham. Postanowił złożyć mu wizytę. Zdjął zakurzony strój podróżny i ubrał się w mundur, postanowił jednak nie brać ze sobą szpady ani pistoletu. Uznał, że tak będzie bezpieczniej. Pokrzepiony perspektywą ponownego spotkania ze starym George'em zbiegł ze schodów. Spytał recepcjonistę o drogę do tutejszych koszar i ruszył na wschód przez miasto.

Dotarł do Cole's Hill, a tam skręcił w Belmont Row. Na każdym rogu mijał dziewczynki, jedną ładniejszą od drugiej, a wszystkie ; starały się go przynęcić. Zdecydowany nie dać się sprowokować, ; szedł ze wzrokiem utkwionym przed siebie. Gdy wreszcie skręcił w Duddeston Street i dostrzegł koszary, odetchnął z ulgą, że udało mu się uchronić przed śpiewem tych syren.

Podoficerowie na służbie witali go radośnie, nie szczędząc pochwał. Damien spytał o Morrisa.

- Poszedł do Pavilion obejrzeć spektakl - odparł młody sierżant.

- Pavilion?

- To amfiteatr na końcu ulicy. Raz w miesiącu występuje tam trupa objazdowa. Jedyna rozrywka, jaką można tutaj mieć.

- Aha! I mają najładniejsze tancerki w całym hrabstwie - odparł inny sierżant, szczerząc zęby w uśmiechu. Damien spojrzał na niego. Z trudem przełknął ślinę.

- Tancerki?

- Tak, panie pułkowniku! Mogę wysłać chłopaka, żeby przyprowadził tu pułkownika Morrisa i...

- Nie, chyba sam tam pójde zobaczyć się z nim - przerwał mu Damien, zmierzając do wyjścia. - Nie mam nic innego do roboty.

- Dobrej zabawy, panie pułkowniku! - zawołali za nim obaj sierżanci, mrugając do siebie porozumiewawczo.

Kilka minut później Damien wchodził do gwarnego teatru, mrużąc oczy oślepione blaskiem trzech wielkich kandelabrow płonących pod sufitem. Podłoga wyścielona była słomą, w którą wsiąkało błoto i śnieg spływający z nóg widzów. Siedząc samotnie w Bayley House, Damien odzwyczaił się od tyłu światła, barw i dźwięków.

Stanął w przejściu tyłem do sceny i rozglądał się po ustawionych w podkowę rzędach krzeseł w poszukiwaniu przyjaciela. Miał nadzieję, że bez trudu rozpozna Morrisa po mundurze, ale prawie jedną trzecią sali zapełniali żołnierze w czerwonych kurtkach. Wodził wzrokiem po morzu głów, nie zwracając uwagi na wyczyny bohatera musicalu, który odgrywano na scenie. I nagle usłyszał ten głos.

Wspaniały głos.

Nie był to piskliwy sopran; był to zmysłowy alt przepełniony aksamitnym ciepłem.

Owładnął zmysłami Damiena, wręcz go pochłonał. Zaintrygowany odwrócił się, spojrzał na

śpiewaczkę i serce stanęło mu w piersi.

Chłonał wzrokiem wysoką, posągową postać młodziutkiej piękności. Zachwyciły go jej wspaniałe czekoladowobrązowe włosy opadające kaskadą na plecy, ale przede wszystkim był zafascynowany jej kusym kostiumem, obfitym biustem i krzepkimi udami.

Dobry Boże! Była tak piękna, że naprawdę mogła zatrzymać bicie męskich serc.

Istna róża na śniegu, pomyślał. Rubinowe usta, kremowa cera, lśniące szmaragdowe oczy. Ta wspaniała piękność nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia lat.

Damien schylił się, by pożyczyć program od sąsiada, i odszukał nazwisko aktorki.

Panna White. Biała... No, miejmy nadzieję, że nie niepokalanie biała, pomyślał. Na pewno nie jest to jej prawdziwe nazwisko. Aktorki nigdy nie używają prawdziwych nazwisk.

Osunął się na najbliższe krzesło i jak zahipnotyzowany wpatrywał się w zielonooką piękność przez następne dwie godziny.

Grała swoją rolę z pełną wigoru pewnością siebie i ciętym dowcipem. Prowokacyjnie kręcąc biodrami, potrafiła całą męską część widowni zmusić do okrzyków zachwytu. Damien był zły, kiedy jej głupiutki musical się skończył, bo scena bez niej była dla niego jałową pustynią. Usadowił się wygodniej w krześle i niecierpliwie machał nogą, przypatrując się skaczącym akrobatom. Nie dostrzegając w tych podskokach cienia sensu, tyle że ich występ dał mu czas do myślenia. Kiedy sprzątno scenę, powziął już decyzję.

Musi ją mieć. Do diabła ze ślubowaniem. Cóż, był tylko mężczyzną. W dodatku dopiero co stracił jednego z najbliższych przyjaciół. Czy to nie aż nadto wystarczający powód, by poszukać rozkoszy u gwiazdy tego wieczoru? Postara się, by ich związek trwał jak najkrócej, w pokoju będą się paliły świece... do diabła! Da jej i nawet pistolet, jeśli to może obronić ją przed nim - ale jeżeli nie; będzie jej miał, umrze.

Wszystko sobie dokładnie obmyślił. Rano uda się do Yardley School na rozmowę ze

swoją podopieczną, a po południu odwiedzi Morrisa w koszarach. Dziś jego jedynym celem było usidlenie tego ponętnego stworzenia, zabranie jej do hotelu i... prosto do łóżka.

Oczywiście, musiał się liczyć z ostrą konkurencją. Bez wątpienia miała wielu adoratorów, ale on był gotów zapłacić więcej, niż było go stać, ba! nawet pochwalić się swoim nowym tytułem, gdyby to miało wywrzeć na niej wrażenie.

Pojawiła się znowu w serii tańców kończących przedstawienie - w wielkim finale. Na scenie było około tuzina dziewcząt, ale on widział tylko ją. Siedział oczarowany, spętany wzrastającym pragnieniem. Oczekując chwili, gdy będzie mógł poznać każdy centymetr jej twarzy i ciała, studiował dziewczynę na odległość. Różowe policzki miała młodzieńczo zaokrąglone, co dodawało jej uroku bujności. Miała mocny podbródek i ciemne, wysoko zarysowane łuki brwi, ostro kontrastujące z kremową cerą i nadające jej twarzy wyraz pikantnego uporu. O tak, w tej dziewczynie tkwiła istna diablica, a on uwielbiał niegrzeczne dziewczynki w łóżku.

Stracił poczucie czasu i był gorzko rozczarowany, gdy taniec się skończył i dziewczęta zbiegły lekko ze sceny, by wrócić dopiero razem z pozostałymi 'występującymi tego wieczoru do ukłonów. Kiedy tłum bił brawo, zdawało mu się, że panna White - czy to w ogóle było możliwe? - jeszcze wypiękniała. Z wdziękiem wyciągała ręce i poruszała się z taką godnością, jakby kłaniała się królowej. Gdy znów podniosła głowę, jej wzrok powędrował po twarzach widzów.

Damien patrzył w jej oczy pełne łez, na pozór sprzecznych z olśniewającym uśmiechem. Pojął, że to łzy wdzięczności. Żyjesz po to, by przeżywać takie chwile, nieprawdaż, moja piękna? - pytał w myślach. Wydawała się wchłaniać w siebie serdeczną aprobatę widowni jak róża spijająca energię z promieni słonecznych. Kiedy tak siedział, milcząc, z brodą opartą na pięści, ta część jego serca, którą od dawna uważał za martwą,

kierowała się ku niej - sam nie wiedział, dlaczego. W jej twarzy było tyle szczerości. Starał się wymyślić najlepszy sposób zbliżenia się do niej, gdy nagle jej wzrok spoczął na nim - i się zatrzymał. Ich spojrzenia zderzyły się ze sobą z mocą, która niemal pozbawiła go tchu.

Nie był w stanie się poruszyć. Serce waliło mu jak młotem. Z trudem oddychał, obezwładniony urokiem jej szmaragdowych oczu.

Nagle odwróciła wzrok, a na jej policzki wypłynął jasny rumieniec. Jeśli nawet jego spojrzenie zdenerwowało ją, to szybko odzyskała równowagę i posławszy widowni ostatni radosny pocałunek, pośpiesznie zbiegła ze sceny.

Kurtyna opadła - zaczynało się polowanie.

Damien wstał i ruszył wzdłuż przejścia naprzeciw fali podnieconego tłumu. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz był w łóżku z dziewczyną, która potrafi się zarumienić.

Ludzie schodzili mu z drogi, widząc, jak się zbliża z dzikim wzrokiem utkwionym w drzwi wiodące za scenę, jakby to była hiszpańska twierdza, którą trzeba zdobyć. Na widok mężczyzn wyrzucanych z zaplecza z powrotem na widownię uśmiechnął się tylko.

Może im wystarczyło zwykłe „nie”. On nie da się tak łatwo zniechęcić. Minął gwarny tłum pod głównym wejściem i ruszył na poszukiwanie tylnych drzwi.

Zmęczona, ale szczęśliwa po trwającym sześć godzin spektaklu Miranda przyjęła trzy szylingi będące jej stawką za wieczór, pożegnała się z panem Chippingiem i jego aktorami, po czym wyszła z garderoby, dojadając ostatnie kęsy kiełbaski wetkniętej w przekrojoną bułkę. Była głodna po całonocnym wysiłku, zwłaszcza że w szkole, w ramach kar zadanych jej przez pannę Brocklehurst, nie dostała kolacji. „Wielki Dale”, grający czarne charaktery - w rzeczywistości olbrzym o gołębic sercu - ofiarował jej niewielką flaszczkę porządnego burgunda, który pozwolił jej przełknąć resztki bułki i rozgrzał żołądek przed długą drogą powrotną w mroźną noc.

Otulona szorstkim wełnianym płaszczem i obuta w czarne zniszczone kamasze szła wąskim korytarzem do tylnego wyjścia, chcąc w ten sposób uniknąć tłumu mężczyzn (na ogół żołnierzy) żądających (jak to żołnierze), by ich poznano z dziewczętami z baletu.

Mimo iż wciąż przepełniała ją radość po występie, perspektywa długiej drogi do domu sprawiła, że westchnęła ciężko; nogi już teraz miała jak z waty po forsownym występie w balecie. Pod tylnym wyjściem na pewno stało wielu poszukiwaczy przygód, którzy chętnie by ją odwieźli, ale nie mogła ryzykować niczego, co pozwoliłoby powiązać pannę White z teatru Pavilion z Mirandą FitzHubert z Yardley School.

Dreszcz lęku przeszył jej ciało na wspomnienie jutrzejszego spotkania z wielebny Reedem i jego różgą, ale nie pozwoliła, by ten lęk stłumił poczucie triumfu, jakie je ogarnęło podczas entuzjastycznych oklasków widowni.

Uwielbiają mnie, myślała radośnie, odgryzając kęs kanapki. Pchnęła biodrem ciężkie drzwi i wyszła w mroźną zimową noc. Zbłąkane płatki śniegu krążyły wokół umocowanych na ścianie latarni jak ćmy. Ruszyła w dół po drewnianych schodkach i nagle zamarła z nieprzeżutym kęsem w ustach.

To był on.

Wysoki, uderzająco przystojny oficer, który dzisiaj wpatrywał się w nią tak intensywnie. Stał u stóp schodów, oparty o poręcz. Wojskowy płaszcz zarzucił na ramiona i nerwowo uderzał palcami o drewnianą poręcz. Gdy podniósł wzrok i ją zobaczył, jego palce natychmiast znieruchomiały.

Spojrzeli na siebie. I znowu - tak jak tam, na scenie - jej ciało zareagowało na jego wzrok gorącymi i zimnymi falami dreszczu, który drażnił nerwy i wywoływał uczucie niepokoju w dole brzucha. Wtedy na scenie zarumieniła się od stóp do głów, zafascynowana i równocześnie zaniepokojona jego spojrzeniem. Przypominał jej ogromnego wilka, który

skrada się w kierunku stada i wybiera sobie jedną z owieczek na kolację. Miranda nie miała najmniejszej ochoty być pozartą. A to, na co on miał chęć, nie ulegało wątpliwości.

Zawahała się na trzecim stopniu; serce waliło jej jak oszalałe. Mężczyzna taki jak on - o surowej, przystojnej twarzy i proporcjonalnej, potężnie umięśnionej sylwetce, w dodatku promieniujący w naturalny sposób aurą wyższości - mógłby się okazać bardzo niebezpieczną pokusą, gdyby tylko na to pozwoliła. Postanowiła więc po prostu go zignorować, jak to robiła w wypadku wszystkich innych. Podejście bliżej wydawało się ryzykowne, zwłaszcza że w zasięgu wzroku nie było poza nimi żywej duszy, ale nie miała wyboru. Z trudem przełknąwszy ostatni kęs, przybrała możliwie pewną siebie minę i ruszyła po schodach.

- Przepraszam. Chciałabym przejść.

Posłał jej diaboliczny uśmiech i zamiast odsunąć się na bok, wszedł na najniższy stopień, oparł dłonie na obu poręczach i zablokował jej drogę. Omiotła spojrzeniem jego szerokie ramiona i szczupłą talię. Szare spodnie zimowego munduru opinały zgrabne nogi, ginąc w błyszczących cholewach długich czarnych butów: Mimo iż jego wygląd mógł budzić respekt, nie czuła lęku. Ruszyła powoli w dół i zatrzymała się o stopień wyżej niż on, tak że ich oczy znalazły się na tym samym poziomie.

Uniosła brwi, jakby oczekując, że mężczyzna się poruszy, ale było jasne, że nie miał zamiaru jej przepuścić. Nic nie powiedział; posłał jej tylko anielski uśmiech; ich twarze dzieliły od siebie zaledwie centymetry.

Starając się zwalczyć chęć odwzajemnienia uśmiechu, Miranda odkorkowała flaszkę i pociągnęła duży łyk czerwonego wina, przypatrując się nieznanemu. Miał kruczoczarne włosy, regularne, jakby wyrzeźbione rysy twarzy i głęboko osadzone szare oczy okolone długimi rzęsami. Wzrok Mirandy przesunął się niżej - na jego pięknie wykrojone usta.

- Witam, panno White - szepnął zmysłowym głosem.

Spojrzała mu w oczy. Lśniły jak wypolerowane srebro. Zadowolona, że zwróciła na siebie uwagę takiego przystojniaka, z powściągliwym uśmiechem zakorkowała butelkę.

- No, no - zauważyła - ależ ma pan tupet!

- Tylko wtedy, kiedy widzę coś, na co mam ochotę - odparł, niemal muskając owal jej twarzy czubkiem patrycjuszowskiego nosa. - Jestem pani niewolnikiem, madame. Powiedz tylko, w jaki sposób mogę ci służyć.

- Niewolnikiem? - Przeszył ją dreszcz, cofnęła się jednak i obrzuciła surowym spojrzeniem. - Nawet mnie pan nie okłaskiwał - zauważyła wyniośle.

- Czyżby?

- Nie, po prostu siedział pan sobie. Widziałam pana.

- Byłem zbyt zahipnotyzowany pani pięknnością, by zauważyć, że przedstawienie się skończyło. - Pieścił ją wzrokiem, a głos miał miękki, łagodny i słodki jak łyk koniaku. I działał na nią jak ten trunek; sprawiał, że pozwoliła sobie na odrobinę flirtu, zamiast, jak powinna była, gnać do domu. Mówił z uroczym londyńskim akcentem z odrobiną oksfordzkiego konserwatyzmu. Prawdziwy dżentelmen, pomyślała, nie żaden z tych nieokrzesanych miejscowych hreczkosiejów. - Byłem całkowicie pochłonięty szukaniem słów, które mogłyby wyrazić, jaka jest pani... cudowna.

- Ach tak. - Ponownie odkorkowała flaszkę, pociągnęła kolejny łyk wina i oblizała wargi. - I znalazł pan odpowiednie słowa?

Wolno skinął głową, wpatrzony w jej usta.

- A zatem posłuchajmy!

Jego atramentowe rzęsy uniosły się, kiedy spojrzał jej w oczy. - Jesteś aniołem - powiedział miękko. Miranda parsknęła śmiechem.

- Ta reakcja nie była zbyt grzeczna - rzekł i odsunawszy się o parę centymetrów,

zarumienił się. - Czułe słówka nie są moją mocną stroną.

- Nie odważę się spytać, co jest. Przysunął się bliżej.

- Chodź do mojego pokoju w hotelu Royal, to ci pokażę - wymruczał.

Serce stanęło jej na moment, ale potrząsnęła głową na tę haniebną propozycję.

- No, teraz pan przesadził. Proszę mi wybaczyć, sir. Muszę już iść.

Nawet nie drgnął. Uśmiechnął się tylko chytrze.

- Czy wyglądam na mężczyznę, który łatwo rezygnuje? Spróbowała prześliznąć się obok niego, ale na próżno.

- Może to pana zdziwi, ale tak się składa, że jestem uczciwą dziewczyną.

- Gdybym w to uwierzył, moja piękna, rozplakałbym się z rozczulenia. - Przysunął się jeszcze bliżej, wręcz osaczył ją sobą. - Powiedz, jak się nazywasz, rozkoszne stworzenie. Jak naprawdę się nazywasz.

- Panna White. - Nieprawda.

- Prawda.

- Och, przestań.

- Sam niech pan przestanie. Ja idę do domu.

- Powiedz chociaż, jak masz na imię.

- Snow.

- Snow White? Królewna Śnieżka? - zapytał, obrzucając ją przeciągłym spojrzeniem.

- Adieu! - rzuciła nagle z łobuzerskim uśmiechem i próbowała przemknąć pod jego ramieniem, on jednak zareagował błyskawicznie.

Otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie z niskim, pożądlivym śmiechem.

- Uwielbiam wyzwania, moja słodka - wychrypiął i uniósł jej brodę do góry silną dłonią w skórzanej rękawiczce. - A ty chyba nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo cię pragnę.

- Sir! - Z trudem odzyskując równowagę, dostrzegła zaledwie błysk w jego szarych oczach, zanim je przymknął, pochylił głowę i opadł wargami na jej usta.

Całe jego ciało promieniowało żądzą. Otoczył dłońmi jej szyję i pocałował mocniej, wręcz gwałtownie, zmuszając do rozchylenia warg. Władczo smakował jej usta, a jego silne ramiona opasały ciasno jej talię. Kiedy próbowała go odepchnąć, jeszcze silniej przycisnął ją do swego ciała, twardego jak z żelaza i tak bardzo męskiego. Pieścił językiem jej język, a dłońmi włosy, twarz i szyję. Jak dobrze, dobrze aż do bólu, myślała Miranda, czując, że jej opór słabnie. Przepęłniało ją całkiem nierozsądne, radosne uniesienie. Jego pocałunki i pieszczoty odurzyły ją, sprawiły, że jej ciało zaczęło pulsować; nie była już w stanie zapanować nad sobą. Niepewnie sięgnąwszy w górę, otoczyła go ramionami.

Powitał ten gest cichym pomrukiem zadowolenia. Delikatnie chwyciwszy dwa pasma jej włosów, przesiał je między palcami. Wodziła dłońmi po jego muskularnej piersi, po czym ujęła jego gładko wygolony podbródek, zbyt pochłonięta nowym przeżyciem, by się martwić - na przykład o to, jak jej nowy znajomy ma na imię.

Przerwał pieszczoty, by móc wyszeptać między jednym a drugim pocałunkiem:

- Ogrzej mnie dzisiaj w nocy, moja piękna. Możesz to dla mnie zrobić, prawda? Tak bardzo cię potrzebuję!

Miranda nie była w stanie zebrać myśli, nie mówiąc już o udzieleniu odpowiedzi.

Burząc palcami jego czuprynę, po prostu pociągnęła go w dół, niemo żądając dalszych pocałunków, on zaś z radością spełnił to życzenie. Dreszcz oczekiwania przeszył jej ciało, gdy poczuła, że jego ręka sięga do zapięcia jej płaszcza.

Przylgnęła do niego z gorszącym wręcz zapalem i cała drżała spragniona jego dotyku. Czowała, jak jego dłoń bada wcięcie jej talii i krągłość bioder; wydała głośny okrzyk pożądania, kiedy rytmicznymi ruchami przyciskał jej biodra rozkosznie blisko swojej męskości,

równocześnie całując ją z pożądliwą gwałtownością. Niemal omdlała, gdy czubki jego palców dotarły do szczeliny pomiędzy pośladkami i zapędziły się jeszcze niżej, pieszcząc delikatny muślin sukni w miejscu pomiędzy udami.

- O Boże, dziewczyno, wzięłaś mnie na dobre. Chyba nie zdołam czekać dłużej - wydyszał.

Oszołomiona, z trudem zdołała otworzyć oczy.

Jego pierś falowała, a twarz stężała w wyrazie pożądania. Spojrzał na pogrążoną w cieniu ścianę teatru.

- Tu pod schodami... jest ciemno...

- Nie! - wykrztusiła z przerażeniem.

Obdarzył ją diabolicznym uśmiechem; wargi miał jeszcze wilgotne od pocałunków.

- Doskonale. A zatem hotel. - Całował jej szyję, po czym rozluźnił władczy uścisk. -

Wezwę dorożkę - wyszeptał. - Zaczekaj tutaj.

Miranda, wciąż półprzytomna patrzyła, jak idzie w stronę postoju dorożek.

Dopiero po paru sekundach zaczęło jej się rozjaśniać w głowie.

Zacisnęła mocno powieki i nagle zawstydzona własnym bezwstydem, zbiegła ze schodów i pognąła ku ciemnej, zaśnieżonej drodze wiodącej do domu. Musi uciec, zanim on wróci. Inaczej nie zdoła długo się opierać jego namowom.

Brnęła przez zasypany śniegiem i to ostudziło jej pożądanie. Jego miejsce zajęły gniew i poczucie winy. Może panna Brocklehurst miała rację, twierdząc, że ona, Miranda, zepsucie miała we krwi.

Czyż nie zachowała się głupio? Powinna była od razu rozpoznać osobnika jego typu.

Dobrze urodzony łotr zabawiający się polowaniem na biedne dziewczęta, jakby były zwierzyną łowną. Mężczyźni zawsze chcą tylko jednego. Zwłaszcza ci w mundurach.

Co za egoista - aż prychnęła ze wzgardą. Ani razu nie odpowiedziała „tak” na jego bezwstydną propozycję; po prostu uznał jej zgodę za coś oczywistego. Wezwie dorożkę, rzeczywiście!

Chociaż właściwie dobrze się stało, uświadomiła sobie nagle. Gdyby nadal trzymał ją w swoim stalowym uścisku, nie tak łatwo byłoby uciec.

- Hej! - Minęła dobra chwila, nim usłyszała jego pełen zaskoczenia okrzyk. - Panno White!

Dziękując Bogu, że nie zdradziła swego prawdziwego nazwiska, udała, że nie słyszy, i szła dalej.

- Panno White! - zawołał, wyraźnie rozwścieczony. Był to głos mężczyzny przyzwyczajonego do wydawania rozkazów i do całkowitego posłuchu podwładnych; ona jednak mruknęła tylko coś pod nosem, nadal udając, że go nie słyszy.

Nie miał zamiaru dać się nabrać.

- Dokąd, do pioruna, idziesz?! - wrzasnął jeszcze głośniejsze.

- Do domu! - odchrząknęła, rzucając niedoszłemu uwodzicielowi pogardliwe spojrzenie przez ramię. Jego potężna sylwetka rysowała się wyraźnie na tle oświetlonego budynku teatru.

- Ale dlaczego? - ryknął, jakby nie potrafił sobie wyobrazić, że jakakolwiek kobieta może mu odmówić.

Odwróciła się na tyle, by móc rzucić pełną godności odpowiedź:

- Ponieważ, sir jestem aktorką, a nie prostytutką!

- Ooo! - odchrząknął z sarkazmem. - Nie wiedziałem, że istnieje jakaś różnica!

Spiorunowała go wzrokiem i ruszyła w kierunku Mud City.

Damien zaklął pod nosem; przekleństwo zmieniło się w chmurkę pary w nocnym

powietrzu. Nadal czuł smak tej dziewczyny, ale nie miał zamiaru jej ścigać. Wyszedłem na durnia, myślał, bo zbyt późno zdałem sobie sprawę, że mówiła prawdę, gdy zapewniała, że jest uczciwą dziewczyną. Wcale się nie zgrywała, by wycisnąć z niego więcej pieniędzy. Odwrócił się, przypominając sobie obietnice, których omal nie złamał: Żadnych kobiet. Żadnego alkoholu.

Postanowił wrócić do koszar i spotkać się z Morrisem, lecz niezaspokojona żądza sprawiła, że jeszcze raz rzucił zgłodniałe spojrzenie na odchodzącą dziewczynę. Była już przy zakręcie drogi, a jej długie włosy rozwiewały się na wietrze. Boże, jaka jest piękna, pomyślał smętnie. I uczciwa. To dobrze, dziewczyno. Tylko tak dalej. Patrzył za spiesząco oddalającą się postacią, gdy nagle jego uwagę zwrócił jakiś dziwny ruch. Zza kępy drzew przy moście nad zamarznąłą rzeką Cole wysunęła się ciemna, wysoka sylwetka spośród drzew. Zatrzymała się na drodze, jakby czekając na umówioną osobę.

Przeklęta dziwka! - pomyślał oburzony. Uczciwa?! Akurat!

Po prostu miała już zaplanowaną randkę tej nocy. Czy nie mogła mu o tym powiedzieć, zamiast robić z niego durnia? Potrząsnął głową, upokorzony tym odrzuceniem. Lucien zawsze go przestrzegał, jak łatwo może zostać wystrychnięty na dudka przez kobiety. Jego szczwany brat jak zwykle miał rację.

No, teraz dam jej do wiwatu, pomyślał, ale gdy się odwracał, zauważył drugą męską sylwetkę wyłaniającą się z kępy drzew. A po chwili trzecią.

Damien zatrzymał się, zmarszczył brwi i starał się dostrzec, czy w gąszczu drzew nie czai się jeszcze ktoś. Wydało mu się, że widzi zarysy końskich grzbietów wśród ciernistych krzewów. Włosy zjeżyły mu się na głowie w instynktownym ostrzeżeniu. Czy jeden z sierżantów w koszarach nie wspominał o jakichś bandytach mających siedzibę tuż za miastem?

Tymczasem panna White nieustraszenie szła w ich kierunku, jakby wiedziała, kim są.

Wówczas Damien zdał sobie sprawę, że dziewczyna nie może ich jeszcze widzieć, gdyż dzieliło ją od nich niewielkie wzgórze. Obleciał go zimny strach, kiedy zobaczył, jak trzej mężczyźni ustawiają się w poprzek drogi, jakby szykując zasadzkę.

Nie, to nie byli jej przyjaciele.

Krew zaczęła mu pulsować w skroniach, a serce waliło jak młotem.

To cholerni, przekłęci rozbójnicy.

Już pędził przed siebie, gubiąc płaszcz, który spadł mu w biegu. Z ulgą zrzucił więzy powściągliwości krępujące go przez ostatnich kilka miesięcy. Nie miał broni, ale nie było to problemem dla człowieka, który znał przynajmniej dziewięć sposobów zabijania gołymi rękami. Z każdym krokiem coraz jaśniej i wyraźniej widział swój cel, a mózg już oceniał niebezpieczeństwo z matematyczną precyzją, wskazując właściwy kąt natarcia.

Gdy dziewczyna zbliżyła się do grzbietu wzgórza, Damien jeszcze przyspieszył, desperacko starając się ją zatrzymać, zanim zrobi to banda złoczyńców. Czuli, jak rośnie w nich żądza walki. Dostrzegł, że dziewczyna zamarła, stanąwszy na szczycie pagórka.

Wreszcie dojrzała mężczyzn ustawionych naprzeciw niej w poprzek drogi Damien był za daleko, by słyszeć, co mówili, ruszając w jej kierunku, ale widział, że odwróciła się i zaczęła biec z powrotem ku teatrowi.

- Dalej! Dalej! - popędzał sam siebie, nie był jednak dość szybki, by ich zatrzymać, nim ją pochwycą. Spomiędzy drzew wyjechał czwarty mężczyzna na koniu, a tamci trzej już dogonili dziewczynę i chwycili za długie włosy. Przydusili ją do ziemi. Wydała okrzyk, który jeden z nich natychmiast stłumił, zatykając jej ręką usta. Damien powstrzymał ryk wściekłości: jego jedyną przewagą było przecież zaskoczenie. Na chwilę stracił dziewczynę z oczu, po czym rzucił się w stronę wzniesienia.

Kiedy dotarł na szczyt pagórka, zobaczył, jak jeden z mężczyzn zatrzymuje konia za cugle, podczas gdy jego kamraci, chwyciwszy dziewczynę za ręce i kostki nóg, starają się podać ją jeźdźcowi. Walczyła dziko, kopiąc i drapiąc - do chwili, gdy jeden z napastników wydobyl nóż i przystawił jej do gardła.

Damien poczuł, jak coś ciemnego w jego wnętrzu budzi się na widok błysku noża; tkwiąca w nim bestia poczuła woń krwi. Przez myśl przelatywały mu splątane obrazy z przeszłości: noce na pikiecie, szarże bagnatów... Umysł miał chłodny i krystalicznie jasny, kontrolował się z nieziemskim wprost spokojem; wszystko wokół zdawało się poruszać w zwolnionym tempie. Bandzior schował nóż, by podnieść opierającą się dziewczynę, ale Damien już rzucił się na niego.

Nie zwracając uwagi na jego wrzaski, walnął mężczyznę łokciem w twarz, tak że głowa odskoczyła mu do tyłu z trzaskiem; Damien chwycił pannę White w pasie, by uchronić ją od upadku, gdy jej prześladowca się zachwiał. Koń odskoczył w bok, ale dziewczyna rzuciła się na Damiena z pazurami, zbyt przerażona, by odróżnić wybawcę od napastnika. Kopnęła z całej siły w brodę zwalistego draba próbującego trzymać ją za nogi.

Damien uwolnił ją z jego łap i zaniósłszy parę kroków dalej, posadził na śniegu i czym prędzej ustawił się pomiędzy nią a napastnikami.

Zbój, którego kopnęła, znów rwał się do ataku. Damien walnął go pięścią w twarz z taką siłą, że osiłek zatoczył się i padł nieprzytomny. Damien zdołał zerknąć za siebie, by sprawdzić, czy dziewczynie nic nie grozi. Podniosła wzrok i gdy ich spojrzenia się spotkały, w jednej chwili zrozumiała, kim jest ten, który przyszedł jej z pomocą.

Wtedy z odległości paru metrów padł strzał. Damien kątem oka dostrzegł błysk pistoletu i poczuł, jak kula pogrąża się w jego lewym ramieniu, wypalając dziurę w czerwonej mundurowej kurtce. Zaklął i ucisnął ranę dłonią, a w tej chwili dziewczyna krzyknęła:

- Nie!

Damien przeniósł wzrok ze swego krwawiącego ramienia na mężczyznę, który do niego strzelił.

Opryszek opuścił broń i zaczął ją ponownie ładować, ale robił to wyjątkowo niezdarnie. Damien odjął dłoń od zranionego ramienia i otarł krew o przód szkarłatnej kurtki.

W uszach dudniło mu, jakby gdzieś w oddali strzelano z armat; rzeczywistość falowała niczym królewskie proporce na wietrze. Był znów w Hiszpanii, a Francuzi atakowali jego batalion. Chwilową dezorientację zastąpiła prosta myśl: Niszcz!

- Uciekaj! - rozkazał dziewczynie, zanim odwrócił się do strzelca. Nie chciał, żeby to wiedziała.

Wszystko stało się zbyt szybko.

Miranda zawahała się, serce jej waliło z przerażenia na widok szarookiego nieznajomego, który szedł prosto na mężczyznę z bronią. Przez ułamek sekundy nie wiedziała, co zrobić.

Czuła, że powinna być posłuszna jego rozkazowi - ale jak mogła go opuścić, by ratować siebie? Był sam przeciwko czterem, w dodatku ranny. Wszystko z jej winy. Coś takiego musiało jej się w końcu przytrafić, skoro odważała się chodzić tak blisko Mud City!

Nie wiedziała, czego te łotry chciały od niej ani skąd znały jej prawdziwe nazwisko.

Wiedziała tylko, jak bezgranicznie jest wdzięczna temu pięknemu oficerowi za szlachetne pospieszenie jej na ratunek. Ale w następnej chwili wszelkie myśli o nim jako o rycerzu w lśniącej zbroi zamieniły się w przerażenie. Zaatakował strzelca, rzucając się na niego jak wilk. Opryszek zawył, choć atakujący był bez broni. Oficer błyskawicznie uniósł pięść, z palcami zakrzywionymi w ostry hak, i walnął strzelca w tchawicę, niemal rozrywając mu gardło. Bandzior wydał najbardziej przerażający, dziki charkot jaki kiedykolwiek wyszedł z

ludzkich ust.

Mirandzie zaparło dech. Czują, że zbiera jej się na wymioty, kiedy Damien odrzucił ciało i zwrócił się ku pozostałym opryszkom z morderczym błyskiem w oczach. Tamci na próżno wzywali imienia Bożego, uciekając przed nim z przerażeniem.

Miranda nie czekała na dalszy rozwój wypadków. Wstała chwiejnie, potykając się o obrąbek swojego lawendowego kostiumu, i ruszyła biegiem w kierunku świateł teatru Pavilion. Była w szoku, ale na szczęście zdawała sobie sprawę, w którą stronę powinna biec. Za jej plecami rozległo się kolejne wycie, nie był to jednak głos żołnierza. Wzdrygnęła się na myśl, że oto zabił następnego, i pobiegła jeszcze szybciej, ale jeden ze zbójów przegalopował obok na chudym wierzchowcu, przecinając jej drogę, zanim dotarła do teatru. Osaczona jak dzika klacz, zawróciła w miejscu i rzuciła się w odwrotnym kierunku - w stronę mostu na rzece Cole, do Yardley.

Biegła zygzakami niczym uciekający królik, ale zyskała tylko kilka sekund. Ominęła z daleka swego przerażającego wybawcę. Na ziemi leżało dwóch martwych mężczyzn, a on właśnie zajmował się trzecim; rozbijał mu twarz na miazgę, zatraciwszy się w szale zabijania. Wydawał się zatopiony w jakimś własnym świecie; prawie jej nie zauważył, kiedy przebiegła obok niego, bezskutecznie próbując uniknąć przed jeźdźcem.

- Aaa! - krzyknęła przeraźliwie, słysząc tuż za sobą stukot końskich kopyt.

Jeździec był coraz bliżej. Czują zapach konia, słyszała skrzypienie uprzęży. Ciężko dysząc, obejrzała się przez ramię w chwili, gdy jeździec już pochylał się w siodle, próbując ją chwycić.

- Ratunku! - wrzasnęła.

Czują jego gorący oddech na szyi, lecz nagle jeździec wydał dziwny ryk i runął z konia głową naprzód o kilka metrów przed nią. Usłyszała trzask łamiących się kości, gdy padł

na twarz z nożem wbitym w plecy.

Pośliznęła się i niemal upadła na zabitego, ale zdołała zachować równowagę.

Pozbawiony jeźdźca koń popędził przez most. Nie mając odwagi ruszyć w żadną stronę,

Miranda zakryła rękami wargi, by powstrzymać zwierzęce kwilenie, jakie wydobywało się z

jej ust. Drżała na całym ciele. Powoli odwróciła się i zmusiła do spojrzenia na swego

wybawcę.

Stał na szczycie wzgórza kilka metrów od niej, ze szpadą w dłoni; jego szerokie

ramiona unosiły się i opadały w ciężkim oddechu. Niczym jakiś szalony wojownik z

celtyckich legend, tkwił tam samotnie w zimnym blasku księżyca. Atak furii minął. Ziemia

wokół niego usiana była trupami.

Rzucił odebraną wrogowi szpadę, opuścił głowę na piersi i otarł wierzchem ramienia

zlane potem czoło. Twarz miał umazaną we krwi, piękny mundur podarty, włosy

rozwichrzone. Miranda nigdy nie spotkała istoty bardziej pierwotnej ani groźniejszej niż ten

nieugięty, żywiołowy samiec.

Stała jak sparaliżowana. Spokojny szum rzeki w tej ciszy wydawał się grzmotem

wodospadu. Szarooki nieznajomy, jakby czując na sobie jej pełen przerażenia i odrazy wzrok,

odwrócił się powoli i ich spojrzenia się spotkały.

Jego chłodne oczy były piękne i zarazem straszne, nieobecne, pozbawione

jakichkolwiek emocji.

- Na co tak patrzysz? - spytał nagle.

Dźwięk jego głosu przeraził Mirandę. Uniosła spódnicę, odwróciła się i pobiegła przez

most i dalej przez ciche ośnieżone pola z powrotem do Yardley.

Był późny ranek, mroźny i przeraźliwie cichy, kiedy wierzchowiec Damiena mozolnie dreptał drogą wiodącą do Yardley School, starając się omijać błotniste kałuże i koleiny.

Brudnoszare chmury wiszące nisko nad horyzontem przypominały stare wełniane derki.

Wjechawszy na otoczone murem podwórze, Damien wstrzymał konia i sztywno zeskoczył na ziemię przed frontowymi wrotami szkoły. Po wczorajszej walce był cały obolały, a ręka w miejscu postrzału piekła jak cholera, ale, o dziwo, wcale go to nie martwiło: w końcu wyraźnie coś czuł. Inaczej pozostałoby tylko to okropne, zimne otępienie.

Podprowadził konia do pieńka do wsiadania i mocując lejce do żelaznego pierścienia, przyglądał się domowi z szarego kamienia. Bez pośpiechu podszedł do frontowych drzwi.

Mimo pozorów całkowitego spokoju czuł się chory na duszy. Przenikało go niejasne uczucie wewnętrznej pustki, łatwy do przewidzenia efekt wczorajszych dokonań: siał przecież zniszczenie.

Zastukał w drzwi wierzchem pięści, bo kostki palców miał otarte do krwi po wczorajszej walce.

Czekając, aż ktoś otworzy, wrócił myślami do tego, co się stało po owym krwawym starciu. Kiedy jego „dziewica w potrzebie” uciekła przerażona, poszedł znów do koszar. Na szczęście Morris był już z powrotem. Damien opowiedział mu o napaści, o tym, jak musiał interweniować i jak, być może, przesadnie zareagował. Sam Morris i jego koledzy oficerowie byli oburzeni atakiem na dziewczynę z teatru i wychwalali Damiena za błyskawiczną reakcję. Podczas gdy chirurg wojskowy opatrywał jego ranę, Morris wysłał jeden oddział na patrol terenu wokół Bordesley Green, a drugi na miejsc o walki w celu usunięcia ciał.

Żołnierzom nie udało się ustalić tożsamości zabitych; odkryli tylko dziwny tatuaż na lewym ramieniu najwyższego bandziora: drapieżnego ptaka ze sztyletem w pazurach. Morris

wysnuł na tej podstawie przypuszczenie, że zbój musiał kiedyś służyć w marynarce.

Potem wypili wspólnie za pamięć Sherbrooke'a, niedawno utraconego przyjaciela, i

Morris rozkazał jednemu z podwładnych odwieźć Damiena do hotelu Royal, zapewniawszy go, że nie ma się czego obawiać - cały incydent zostanie w dyskretny sposób zatuszowany.

- I powiedz tej dziewczynie, żeby nigdy więcej tamtędy nie chodziła - dodał nachmurzony.

Gdyby Damien nawet wiedział, gdzie szukać tajemniczej panny White, nie miał zamiaru nigdy więcej jej oglądać. Był rad, że nic nie powiedział jej swego nazwiska. Nie chciał, by wiedziała, że ten dziki szaleniec, który pospieszył jej na ratunek, to znakomity oficer, którego cały naród czci jako bohatera. Żaden cywil nie zrozumie, jak naprawdę bywa na wojnie; ale ta dziewczyna, kimkolwiek była, zeszłej nocy zaznała jej smaku. Miał tylko nadzieję, że nie wywoła to u niej zbyt poważnego urazu. Nie, myślał, patrząc przed siebie pustym wzrokiem. Nic jej nie będzie. Na pierwszy rzut oka rozpoznawał osoby odporne psychicznie. Nie mógł jednak zapomnieć wyrazu jej twarzy w tej ostatniej chwili przed ucieczką - strachu i odrazy w jej oczach. Dostrzegł w nich odbicie siebie - potwora, jakim stał się w tamtej chwili. To wspomnienie sprawiło, że ponownie zaczął się zastanawiać, czy nie powinien skończyć ze sobą, by wyświadczyć w ten sposób przysługę całemu światu.

Wtedy otwarto drzwi.

- Czego pan sobie życzy? - spytała rumiana, okrągłolica służąca.

- Chciałbym spotkać się z moją podopieczną, panną Mirandą FitzHubert.

Oczy kobiety otwarły się szeroko pod falbanami czepka. Dygnęła pośpiesznie.

- Proszę, niech pan wejdzie! Major Sherbrooke, prawda?

Ta omyłka zaboląła go.

- Nie, proszę pani. Jestem pułkownikiem, przyjacielem zmarłego majora Sherbrooke'a.

Lord Winterley, do usług. Zostałem ustanowiony opiekunem panny FitzHubert.

- O Boże - wyszeptała kobieta, pojmując, o co chodzi. - Proszę wejść, sir. Panna FitzHubert jest teraz w kaplicy z resztą dziewcząt. Czy mam ją wywołać?

- Nie, nie ma potrzeby. Na złe wieści zawsze jest czas. - Wszedł do mrocznego holu.

Natychmiast poczuł zimną wilgoć wydzielaną przez kamienne mury. To nie może być zdrowe, pomyślał, marszcząc brwi. Jedyna nadzieja, że dziecko ma silny organizm. - Czy mogę widzieć się z dyrektorem? Chciałbym z nim pomówić.

- Nie, sir, wielbny Reed, który jest zarówno naszym dyrektorem, jak i duszpasterzem, w tej chwili odprawia nabożeństwo w kaplicy. Panna Brocklehurst, przełożona, jest tam także; pilnuje dziewcząt.

- Tak, jak powinna, oczywiście - odpowiedział z wymuszonym, grzecznym uśmiechem. - A pani...

- Nazywam się Warren. Jestem tu kucharką, dozorczynią, praczką; wszystkim po trochu. - Otworzyła drzwi po prawej stronie holu i zaprosiła go do środka. - Może zaczeka pan w saloniku, sir? Najwyżej dziesięć minut.

Skinął głową, ale zanim przeszedł do salonu, spytał:

- Czy dziewczęta wchodzą frontowymi drzwiami, pani Warren? Mój ogier jest trochę nerwowy. Może być niebezpieczny, gdyby , przyszło im do głowy na przykład go pogłaskać.

- Nie, sir, dziewczynki wchodzą tylnym wejściem. Jest tam brukowana ścieżka, która prowadzi prosto z kościoła.

- Doskonale - rzekł. Skinął lekko głową i minawszy gospodynię, wszedł do skromnego saloniku.

- Czy mogę zrobić panu herbatę? Skinął potakująco.

- Dziękuję pani. Będę zobowiązany.

Dygnęła i zamknęła za sobą drzwi saloniku, zostawiając gościa samego. Damien zrzucił płaszcz, zdjął grube skórzane rękawice do konnej jazdy i czekał niecierpliwie. Ogień na kominku ledwo się tlił, nie ogrzewając zimnego pomieszczenia.

Ktokolwiek prowadzi tę szkołę, musi być oszczędny do przesady pomyślał, patrząc na wytarty dywan, spłowiałe obicia mebli i nędzną garstkę węgla; a przecież chesne wcale nie jest małe. Muszą tu źle gospodarować. Dowodził pułkiem, w którym aż nazbyt często brakowało żywności, butów i ubrań dla ludzi, nie mówiąc już o amunicji, więc natychmiast zorientował się, na czym tu polecało robienie oszczędności. Ale przecież trudne warunki, jakie musiało znosić wojsko, nie były do przyjęcia w wypadku delikatnych dziewcząt. Jak dotąd szkoła w Yardley wywarła na nim złe wrażenie, nie mógł tylko zarzucić jej braku czystości. Obejrzał salonik równie dokładnie, jak zwykł sprawdzać kwatery swoich żołnierzy. Nie znalazł żadnej plamki.

Przycupnął na brzegu kanapy i siedział sztywno, jakby kij połknął, ze wzrokiem utkwionym przed siebie i dłońmi opartymi na udach. Powtarzał w myślach smutne słowa, jakie miał powiedzieć swojej podopiecznej. Nie mógł uwierzyć, że za chwilę on, który nie jest godzien przebywać wśród cywilizowanych ludzi, będzie musiał pocieszać osieroczone dziecko.

Niebawem rozdzwoniły się dzwony w kaplicy, oznajmiając koniec nabożeństwa. Pani Warren przyniosła tacę z herbatą i postawiła na małym stoliku obok kominka. Zerknęła na niego przez ramię w chwili, gdy rozległ się dźwięk otwieranych drzwi, a po chwili szczebiotanie dziewczęcych głosików. Jakiś nadęty męski głos uciszał je, twierdząc, że panienki powinno się widzieć, ale nie słyszeć.

- To właśnie on - wyszeptała gospodyni, rzucając Damienowi niepewne spojrzenie.

- Kto? - spytał.

Pani Warren z determinacją zacisnęła usta.

- Wasza lordowska mość, proszę nie zważać na to, co ci dwoje panu powiedzą!

Miranda to dobra dziewczynka, naprawdę kochane dziecko. Więcej - wyszeptała z przejęciem

- to właściwie anioł.

- Pani Warren! Ej, pani Warren! - rozległ się z holu męski głos. - Głupia stara babo, gdzie się podziewasz?

Brwi Damiena się ściągnęły. Spojrzał w kierunku drzwi. Stara służąca konspiracyjnie kiwnęła głową, po czym wybiegła do przedpokoju.

- Tak, wasza wielbność? Ma pan gości, sir. Jego lordowska mość czeka w saloniku.

- Lordowska... mość? - mężczyzna zniżył głos do szeptu.

Damien zastanawiał się nad dziwnymi słowami gospodyni. Usłyszał odgłos wielu stóp biegnących po schodach wiodących z przedpokoju na piętro. Dwie z tych stóp, pomyślał, należą do mojej podopiecznej. Ciekawy, jak wygląda, podszedł do drzwi i wyrztał, na schodach mignęły mu jednak tylko szeleszczące brzegi beżowych sukienek i jasne buciki z koźlej skórki, po czym dziewczynki zniknęły na górze.

- Wasza lordowska mość! Witamy w Yardley School. - Odziany w czerń duchowny zbliżył się do Damiena z usłużnym uśmiechem. - Jestem założycielem i dyrektorem tej szkoły. Nazywam się Reed. Czym mogę służyć?

Damien wstrząsnął się z odrazą.

- Pułkownik lord Winterley - przedstawił się i wydobywszy z kieszeni kamizelki list adwokata Jasona, wręczył go duchownemu. - Z bólem muszę zawiadomić, że major Jason Sherbrooke ze sto trzydziestego szóstego pułku w zeszłym tygodniu został zamordowany w Londynie. Ustanowił mnie opiekunem swojej podopiecznej, panny Mirandy FitzHubert. Chciałbym się z nią zobaczyć.

- Naturalnie, wasza lordowska mość - wymamrotał wielebny, obrzucając gościa

badawczym spojrzeniem. Przeczytał list i oddał go Damienowi. - Proszę mi wybaczyć

wahanie, wasza lordowska mość. Moim obowiązkiem jest strzec naszych dziewcząt.

- To bardzo szlachetne z pana strony. Ziemista twarz pastora się rozjaśniła.

- Może zajdzie pan do mojego gabinetu, a potem ją poprosimy? Proszę nam podać tam

herbatę, pani Warren.

Damien poszedł za dyrektorem do przestronnego pokoju, którego środek zajmowało

imponujące biurko, a pod ścianami stały regały pełne książek.

- Proszę się rozgościć, wasza lordowska mość. - Wielebny Reed wskazał obity skórą

fotel naprzeciw biurka, gdy jednak Damien szedł w tym kierunku, dostrzegł jeszcze jeden

mebel, mebel, który wywołał w nim wiele wspomnień i przyprawił o dreszcz.

Był to klęcznik z podpórką na książkę, ale zwisające po bokach skórzane pętle

zdradzały jego prawdziwe przeznaczenie: przywiązywano do niego dzieci mające otrzymać

karę chłosty.

Jako chłopiec w Eton Damien kilkakrotnie był rozciągany na podobnym urządzeniu,

zwykle dlatego, że nie chciał skarżyć na Luciena za jego psoty.

- Panie Reed. - Spojrzał gniewnie na duchownego, który siedział już za biurkiem. -

Jeśli kiedykolwiek wychłostał pan moją podopieczną, to, Bóg mi świadkiem, spuszczę panu

takie lanie, że popamięta je pan do dnia Sądu Ostatecznego!

- Ależ lordzie Winterley! - odparł wielebny z nerwowym uśmiechem. - Może pan być

□

spokojny, ten *prie - dieu* służy nam jedynie jako przestroga dla najbardziej niesfornych

dziewcząt. W gruncie rzeczy nigdy nie jest używany.

Pani Warren, która akurat stawiała na biurku tacę z herbatą, posłała Damienowi

znaczące spojrzenie.

- Dziękuję, pani Warren - rzekł pan Reed. - To byłoby wszystko. Aha, proszę przekazać pani Brocklehurst, by przyprowadziła do mnie pannę FitzHubert.

- Tak, wasza wielbność. - Rzuciwszy Damienowi ostatnie pełne niepokoju spojrzenie, gospodyni wyszła, zostawiając go samego z dyrektorem. Dziwne miejsce, myślał; nie był jednak pewien, czy napięcie, jakie odczuwał, było spowodowane atmosferą Yardley School, czyjego własnymi problemami.

- A zatem... - Wielbny oparł kościste łokcie na biurku i splótł palce. Jego ziemista twarz odcinała się ostro od białej koloratki. - Co do pańskiej podopiecznej...

- Mam kilka pytań.

- Podobnie jak ja, wasza lordowska mość. Słucham. Damien poprawił się w wielkim skórzanym fotelu.

- Czy jest zdrowa?

- O tak, zdrowa jak rydz, milordzie. Prawie nigdy nie choruje.

- Świetnie. A czy dobrze się uczy?

- Cóż, to inteligentna dziewczyna, ale...

- Tak? - przerwał Damien, widząc wahanie dyrektora. - Proszę mówić otwarcie, wielbny. Chcę znać prawdę o charakterze mojej podopiecznej.

- No więc, jeśli idzie o temperament, panna FitzHubert jest... raczej uparta.

- Hm.

Wielbny Reed upił łyk herbaty.

□ *Prie - dieu* (franc.) - klęcznik.

- Jest inteligentna, ale nie przykłada się zbytnio do nauki. Szczerze mówiąc, wasza lordowska mość - dodał, pochylając się do przodu i zniżając głos - brak jej dyscypliny. Jako

wojskowy z pewnością docenia pan znaczenie i niezbedność dyscypliny.

Damien oparł rękę na poręczy fotela i w zamyśleniu skubał wargę, przypatrując się swemu rozmówcy.

- Proszę, niech pan mówi dalej.

- Zdarzają jej się napady złości. Buntu. Braku szacunku dla starszych. Przejawia skłonności niszczycielskie. Mija się z prawdą.

- Nie jest prawdomówna? Nie znoszę kłamliwych kobiet.

- Ani ja. Cóż, nie dalej jak wczoraj panna FitzHubert umyślnie stłukła porcelanową figurkę, własność naszej przełożonej, a potem próbowała uniknąć kary, kłamiąc.

Dobry Boże! Pomyślał Damien, blednąc. Dostała mu się podopieczna z piekła rodem.

- To wszystko musi być ogromnie uciążliwe - rzekł. - Proszę mi przysłać rachunek, bym mógł wynagrodzić stratę przełożonej.

- To bardzo szlachetnie z pana strony, sir, ale główny problem stanowi zachowanie Mirandy, nie strata sama w sobie. Naprawdę bardzo się cieszę, że pan się po nią zgłosił, bo zarówno ja, jak i panna Brocklehurst jesteśmy już u kresu wytrzymałości.

Damien spojrzał na niego zdziwiony. Zgłosił się po nią? To chyba jakieś nieporozumienie.

- Bardzo mi przykro, że moja podopieczna sprawia państwu kłopoty, panie Reed.

Porozmawiam o tym z Mirandą i zapewniam, że tego rodzaju zachowanie się nie powtórzy.

Na jej obronę chciałbym jednak przypomnieć, że los obszedł się z nią okrutnie, śmierć rodziców, ciągła nieobecność stryja... Obawiam się, że major Sherbrooke zbyt długo ją zaniedbywał. Wygląda na to, że była w dzieciństwie pozostawiona samej sobie.

- Tak, mniemam, że rzeczywiście tak było, ale mimo naszych najsilniejszych starań...

mamy tu na wychowaniu trzydzieści dziewczynek, nie możemy więc poświęcić całej uwagi i

energii opieki nad jedną.

- No cóż, teraz, kiedy Miranda będzie wiedziała, że musi odpowiadać przede mną, jestem pewien, że okaże się łatwiejsza do prowadzenia.

Wielebny Reed wstał i oparłszy dłonie na blacie, przez chwilę wpatrywał się w suszkę do atramentu.

- Obawiam się, wasza lordowska mość, że nic z tego. - Jak to? - spytał Damien, tknięty złym przeczuciem.

- Konieczne jest bardziej zdecydowane działanie.

- Co pan przez to rozumie?

- Pańska podopieczna złamała przepisy naszej szkoły tyle razy, że w innych okolicznościach już dawno zostałaby wyrzucona. Jedynym, co mnie od tego powstrzymywało, była świadomość, że dziewczyna nie ma dokąd pójść. Teraz, kiedy pan się zjawił, proszę wybaczyć, ale nie jestem w stanie dłużej trzymać panny FitzHubert w Yardley.

- Chyba nie sugeruje pan, że mam ją zabrać? - wykrzyknął Damien.

- Wasza lordowska mość - odparł Reed łagodnie, ale stanowczo. - Nalegam na to.

Pańska podopieczna wywiera zły wpływ na pozostałe dziewczęta. Jestem za nie odpowiedzialny. - Chcąc dać do zrozumienia, że sprawa jest skończona, ponownie zasiadł za biurkiem, podniósł blat i zaczął szukać czegoś w papierach.

Damien aż parsknął, protestując.

- Nie może pan tego zrobić! Rozumiem, że musi pan myśleć o innych uczennicach, ale odpowiada pan również za Mirandę!

- Już nie, sir. - Wielebny spojrział na gościa znad uniesionego blatu. - Teraz to pańska sprawa.

Damien zerwał się na nogi i oparł ręce o brzeg biurka.

- Niech pan posłucha, dobry człowieku - wycedził. - Jestem tu wyłącznie po to, żeby przekazać tej smarkuli wiadomość o śmierci Sherbrooke'a. Przykro mi ze względu na jej złe zachowanie i daję słowo, że się to skończy, kiedy tylko z nią porozmawiam. Ale zabrać jej nie mogę. To wykluczone. Planuję spędzenie świąt z rodziną w Londynie.

- Cóż, jeżeli zechce pan wyrzucić ją na ulicę, to już nie moja sprawa. Przekazuję ją panu. - Naskrobawszy podpis, Reed wręczył Damienowi arkusz papieru potwierdzający wypis uczennicy.

- Gratuluję, wasza lordowska mość. Jestem pewien, że major Sherbrooke byłby panu bardzo wdzięczny.

- To niewiarygodne! Czy ja wyglądam na niańkę? Nie mam zielonego pojęcia o wychowaniu dzieci.

- A kto panu powiedział, drogi pułkowniku, że panna FitzHubert jest dzieckiem?

Damien spojrzał na niego w popłochu. - Więc kimże jest, złym duchem?

- Sam pan zobaczy - odparł wielebny. - Panno Brocklehurst!

- krzyknął w kierunku drzwi. - Przyprowadzić tu FitzHubert! Damien odwrócił się, gdy drzwi się otworzyły. Jakaś starsza dama o kościstej twarzy wmaszerowała do środka i skinęła mu głową.

- To panna Brocklehurst - objaśnił Reed.

- Chodźże wreszcie! - przynagliła panna Brocklehurst kogoś w przedpokoju.

- A to - rzekł pan Reed z dezaprobatą graniczącą z wrogością - jest Miranda.

Dziewczyna weszła do pokoju z podniesioną głową, z zielonymi oczami ciskającymi płomień, gotowa do walki.

Damien spojrzał na nią i poczuł, że ziemia usuwa mu się spod nóg. Stał jak przykuty do podłogi, a serce biło mu dziko. Przez chwilę nie był pewien. To nie mogło się zdarzyć... to

było... niemożliwe. Ale gdy spojrzała na niego szmaragdowymi oczami i z okrzykiem zdumienia zatrzymała się w pół kroku, wiedział już, że to nie omyłka. To była ta jedyna kobieta na świecie, której chciał nigdy więcej nie zobaczyć: nieugięta Snow White.

Jej twarz przybrała właśnie taką barwę: była blada jak ściana, kiedy gapiła się na niego ogarnięta paniką. Damien wbił w nią osłupiałe spojrzenie, z trudem wierząc własnym oczom na widok jej przeistoczenia się ze skąpo odzianej syreny w to wcielenie skromności i niewinności. Miała na sobie jasnobeżową sukienkę i eleganckie białe rękawiczki. Gęste ciemne włosy, które zeszłej nocy tak nierozważnie rozpuściła na ramiona, teraz były splecione w dwa grzeczne warkocze związane małymi białymi kokardkami.

- Wasza lordowska mość, pozwoli pan sobie przedstawić pannę Mirandę FitzHubert - oznajmił wielebny Reed. - Panno FitzHubert, to jest pułkownik hrabia Winterley. Twój nowy opiekun.

- Mój... kto? - wykrztusiła; spoglądała to na Reeda, to na Damiena, który był w stanie tylko patrzeć na nią bezradnie.

Myśli wirowały mu w głowie jak szalone. Kolejne kawałki łamigłówek wpadały we właściwe miejsca. Uczciwa dziewczyna... Odmówiła podania mu prawdziwego nazwiska... Matka aktorka, którą straciła... Słowa Reeda ojej buntowniczym zachowaniu... Szkoła odległa zaledwie o półtora kilometra od teatru Pavilion... Przypomniawszy sobie, jak chłonęła oklaski po wczorajszym występie...

Boże, dopomóż! Prawda była niezaprzeczalna. To zmysłowe, uparte, niezdolne stworzenie, które ze sceny kusilo cudownym ciałem jego i całą męską część mieszkańców Birmingham; które topniało w jego ramionach, by za chwilę go porzucić; które niemal przyprawiło go o śmierć, beztrąsko włączając się obok kolonii zbójów; ta diaboliczna o anielskiej twarzy - to była mała Miranda FitzHubert.

Całkowicie należąca do niego i całkowicie mu wzbroniona.

O mój Boże, pomyślał. O mały włos, a uwiódłbym własną podopieczną. Pierwszy raz od niepamiętnych czasów zawahał się w obliczu zadania, jakie przed nim stało. Ponownie oczami duszy zobaczył jej postać, zachwycającą w kostiumie z lawendowej gazy, i przypomniał sobie gorące, aksamitne wargi rozchylające się pod jego pocałunkiem w niewinnym oddaniu.

- Czy ktoś może mi wyjaśnić, co tu się dzieje? - zawołała mała oszustka.

Damien opanował się i spojrzał na wielebnego Reeda. - Proszę zostawić nas samych - zażądał.

Mirandzie serce waliło panicznym staccato. Przyszła tu pewna, że otrzyma chłostę, ale to było chyba jeszcze gorsze. Nie spodziewała się, że ten szarooki potwór ją wytropi, chociaż po tym, co widziała zeszłej nocy, była niemal pewna, że jest on obdarzony jakąś nadnaturalną mocą, otrzymaną chyba od diabła.

Hrabia! - pomyślała ze strachem. Wiedziała, że hrabia to człowiek, który może zrobić, co zechce dosłownie z każdym. Hrabia znaczyło też bogaty. Wystarczająco bogaty, by ją kupić albo przekupić kogoś po to, by osiąść dziewczynę, która odważyła się odrzucić jego awanse.

Pewnie wielebny Reed właśnie sprzedał ją tej nieludzkiej kreaturze. Mógł to zrobić, bo stryjek Jason był nie wiadomo gdzie i wcale, nie zamierzał jej chronić.

Wielebny wymknął się z pokoju jak usłużny piesek, spełniając żądanie lorda

Winterleya. Miranda w ostatniej chwili ugryzła się w język: kusiło ją, by błagać tego znienawidzonego człowieka, żeby został. Była śmiertelnie przerażona perspektywą pozostania sam na sam ze swoim strasznym wybawcą, ale musiałaby przecież wyznać wielebnemu, że j u ż się kiedyś spotkali, całowali i zostali związani poczuciem winy z

powodu przelanej krwi. Bała się, że teraz poniesie konsekwencje swoich czynów.

Kiedy drzwi za wielebnym się zamknęły, oboje stali chwilę w nieufnym milczeniu.

Miranda obrzuciła Damiana długim spojrzeniem, zdumiona w dziennym świetle wydał

jej się jeszcze przystojniejszy, niż zapamiętała, z tym zaskakującym zestawieniem czarnych

jak smoła włosów z jasnymi szarymi oczami. W ich krystalicznej głębi mogła dojrzeć

czającego się drapieżnika, ale pozornie sprawiał wrażenie jaśniejszego wzoru doskonałości i

poprawności. Przypomniała sobie jego wspaniałą czerwoną mundur zakrwawiony i podarty w

walce; teraz jednak był ubrany w idealnie skrojony surdut. Biały jedwabny halsztuk, starannie

zawiązany, tkwił w wysokim kołnierzyku srebrnoszarej kamizelki. Ciemnoszare bryczesy

ginęły w wysokich czarnych butach do konnej jazdy, na których nie było najmniejszego

pyłku.

- Cóż, panno FitzHubert, bo, jak wnioskuję, tak się nazywasz odezwał się wreszcie

wyniosłym tonem - wygląda na to, że się znowu spotykamy. - Zrobił krok w jej kierunku.

- Nie zbliżaj się do mnie! - krzyknęła, chowając się za skórzany fotel. - Co tu robisz?

Czego chcesz? Jak mnie znalazłeś?

- Nie bój się - rzucił, podchodząc z wolna do fotela. - Nie mam zamiaru zrobić ci

krzywdy.

- Odejdź ode mnie - ostrzegła, prześlizgując się koło biurka i starając się tak ustawić,

by była między nimi barykada mebli. - Jeżeli przyszedłeś, żeby się przekonać, czy zachowam

milczenie o wczorajszej nocy, nie masz się czego bać. Nic nikomu nie powiem.

- Nie dlatego jestem tutaj.

- Jestem uczciwą dziewczyną! - wykrzyknęła.

- Och, Mirando, uspokój się! - przerwał jej ze złością. - Nie przyszedłem tu, żeby cię

uwieść.

- To czemu powiedziałaś wielebnemu Reedowi, że jesteś moim opiekunem? To bez sensu! Moim opiekunem jest major Sherbrooke ze sto trzydziestego szóstego pułku i, jeśli tylko mnie dotkniesz, będziesz miał z nim do czynienia!

Po jego twarzy przemknął wyraz cierpienia.

- Postaraj się posłuchać mnie choć przez chwilę, Mirando. Właśnie ze względu na twego stryja Jasona jestem tutaj.

Zamarła, powtarzając w myśli jego słowa.

- Skąd znasz jego imię? - spytała, a niejasne przeczucie sprawiło, że dreszcz przebiegł jej po krzyżu. - Nie powiedziałam też, że to mój stryj. Skąd o tym wiesz?

- Może jednak usiądziesz?

Miranda była skonsternowana. W jego zachowaniu było tyle powagi, że poczuła, iż powinna go wysłuchać. Ostrożnie podeszła do fotela i opadła na siedzenie, gotowa zerwać się w każdej chwili. Kiedy zbliżył się o krok, zauważyła czarną opaskę na jego ramieniu, a potem zmarszczyła czoło na widok ozdabiających jego strój insygniów pułku jej stryja.

Lord Winterley uniósł brodę i założył ręce na plecy.

- Jestem pułkownikiem sto trzydziestego szóstego pułku piechoty, panno FitzHubert.

Otworzyła szeroko oczy.

- Byłem komendantem majora Sherbrooke'a w czasie wojny na Półwyspie Iberyjskim.

Miałem zaszczyt służyć z twoim stryjem przez sześć lat. Był porucznikiem w czasie, kiedy ja byłem kapitanem w mojej pierwszej kompanii fizylierów. - Przerwał, patrząc gdzieś w dal. -

Byliśmy serdecznymi przyjaciółmi. W dniu, w którym stracił rękę w bitwie pod Albuera, stałem przy jego boku, gdy chirurg przypalał ranę.

Wpatrywała się w niego, cały czas czujna. Nie miała zamiaru uwierzyć ani jednemu jego słowu, ale wyglądało na to, jakby rzeczywiście znał jej stryja. Gdzie więc, do diabła, jest

ten łajdak?

- chciała spytać, ale zanim zdołała otworzyć usta, Winterley ciągnął dalej z ponurą determinacją.

- Pod Albuera Jason poprosił mnie, bym zajął się tobą, gdyby on nie przeżył.

Przyrzekłem, że to zrobię. Wykurował się po tej ranie, jak wiesz, ale nasza umowa dotycząca twojej osoby pozostała niezmieniona, Potrząsnęła głową zaskoczona.

- Nie rozumiem. Czy przysłał cię tutaj? Czy wkrótce go zobaczę?

- Nie, moja droga - odparł cicho i łagodnie. - Obawiam się, że przynoszę ci bardzo złe wieści.

Spuściła głowę, zmrożona jego powagą. Opanował ją nagły lęk. Jakaś smętna nuta w jego głosie sprawiła, że dostała gęsiej skórki; przypomniała sobie chwilę, kiedy siedziała w ciemnej kaplicy w wiejskiej posiadłości papy, z nóżkami huśtającymi się w powietrzu, bo nie sięgały jeszcze podłogi, a przed nią stały dwie trumny: jedna biała, druga, nieco większa, mahoniowa. Obok niej siedział wtedy stryjek Jason; trzymał ją za rączkę, podczas gdy ludzie, których nigdy w życiu nie widziała, przechodzili gęsiego obok niej - sztywni, bladzi panowie i damy w czarnych welonach, przypatrując się jej zażawionym wzrokiem i mruczące ze współczuciem: „Biedna mała!” - a stryjek Jason dziękował im za przybycie. Podniosła wzrok na lorda Winterleya.

- O co chodzi? - spytała ochryple.

- Mirando - szepnął i wyprostował plecy, jakby próbował zbierać się w sobie. Mówił wolno i bardzo oficjalnie. - Jest moim smutnym obowiązkiem powiadomić cię, że major Jason Sherbrooke ostał zabity strzałem w serce w zeszłą środę, dwunastego grudnia, podczas włamania do jego mieszkania w Londynie.

Druga część zdania ledwie dotarła do świadomości Mirandy, tak dudniło jej w uszach.

Pokój zawirował jej przed oczami.

- To, co powiedziałem wielebnemu Reedowi, jest prawdą. Jason ustanowił mnie twoim opiekunem w swoim testamencie. Jest mi bardzo przykro, Mirando.

Zapadła głucha cisza.

W głowie Mirandy panował zamęt. Wpatrywała się w niego, nie widząc, i czuła, jak w oczach eksplodują jej czarne kręgi. Ścisnęła poręcz fotela tak mocno, że paznokcie wbiły się w miękką skórę.

- Mirando? - Podszedł do niej z wahaniem i przykucnął przy fotelu. Zaniepokojony obserwował jej twarz. - Dobrze się czujesz? Mam poprosić przełożoną, żeby posiedziała przy tobie chwilę?

Nie odpowiedziała. Nie była w stanie.

- Moja droga, jesteś taka blada. - Wyciągnął rękę, by ją uspokoić. - Może poproszę o sole trzeźwiące...

- Nie dotykaj mnie! - syknęła, gwałtownie odsuwając się od niego. Cofnęła się ze wstrętem; całe jej ciało drżało. - To... to nie jest prawda. To najokrutniejszy, najobrzydliwszy podstęp, jaki kiedykolwiek słyszałam...

Odchylił głowę zaskoczony, gdy zerwała się i stanęła naprzeciw niego.

- Jesteś oszustem! - wołała urywanym głosem, z oczami pełnymi łez. - Uważasz mnie za idiotkę? Stryjek Jason nie umarł! Nie po to przeżył sześć lat na wojnie, żeby zginąć ot tak, po prostu, we własnym domu, zastrzelony przez jakiegoś włamywacza! Umiałby się obronić przed każdym głupim złodziejem!

- Był pijany - szepnął Damien.

- To kłamstwo! Przyjedzie tu po mnie! Przyjedzie! Dlaczego się nie przyznasz, czego naprawdę chcesz, ty obrzydliwy brutalu? Moja odpowiedź jest nadal taka sama!

Wstał; twarz miał spiętą, jakby postanowił nie zwracać uwagi na jej obelgi i okazać tylko współczucie.

- Jason był moim przyjacielem. Jednym z niewielu, jacy mi pozostali. Nigdy nie skłamałbym na temat jego śmierci. Nie mam też żadnych planów co do twojej osoby. Nasze spotkanie zeszłej nocy było przypadkowe. W tej chwili te sprawy pomiędzy nami w ogóle nie wchodzi w grę. Jesteś pod moją opieką. Gdybyś wczoraj wieczorem podała mi swoje nazwisko, nigdy nie ośmieliłbym się ciebie dotknąć.

- Nie podałam, a mimo to mnie znalazłeś!

- Ależ wcale cię nie szukałem, Mirando - przerwał jej niecierpliwie. - Byłem zbyt zajęty: wyjmowali mi kulę z ramienia. - Sięgnął do kamizelki, wydobył z kieszeni złożony list i wręczył jej. - Masz, czytaj, jeśli mi nie wierzysz.

- Co to takiego?

- Sama zobacz.

Ręce tak jej drżały, że z trudem otworzyła list; w głowie miała taki zamęt, iż prawie nie rozumiała treści. Zdołała się jednak na tyle skupić, by móc stwierdzić, że wręczony jej dokument zawiera kopię jednej ze stron testamentu stryja Jasona oraz wyjaśnienia dopisane przez adwokata.

- To może być fałszerstwo - upierała się, oddając list lordowi Winterleyowi.

Popatrzył na nią szczerze zdumiony.

Przełknęła z trudem ślinę i rzuciła mu wyzywające spojrzenie, mimo że jej wzrok wypadał na wysokości jego szpilki od halsztuka.

- Gdybyście naprawdę był bliskim przyjacielem stryja Jasona, wspomniałby o tobie w listach. Często pisał mi o swoich kolegach oficerach, ale nigdy nie padło nazwisko lorda Winterley. Nigdy!

- Bo ten tytuł otrzymałem dopiero miesiąc temu. Jeśli Jason kiedykolwiek pisał ci o mnie, z pewnością użył nazwiska Damien Knight.

Zastygła z szeroko otwartymi oczami, jakby ziemia zatrzęsała się pod nią. Krew odpłynęła jej z twarzy. - Damien... Knight?

- Ach, więc słyszałaś o mnie - mruknął, a oczy zwęziły mu się w uśmiechu satysfakcji.

- Damien, kapitan kompanii grenadierów? - wykrztusiła.

- Byłem nim. Teraz jestem pułkownikiem.

- Damien... ten, który ma brata bliźniaka? Skinął głową; na jego twarzy odmalowała się ulga.

- Tak, chodzi o Luciena.

Miranda patrzyła na niego, nie mogąc znaleźć słów. Kapitan Damien Knight był bożyszczem stryja. W jego listach bliźniacy Knight nabierali wręcz nadludzkich zalet, ale z reguły to starszy, Damien, był bohaterem opowieści, niczym jakiś ksiączę z bajki. Damien atakujący z furją mury starożytnej hiszpańskiej cytadeli, odzyskujący zrabowane przez Francuzów działa, stawiający czoło groźnej szarzy kawalerii, pod gradem kul wyciągający z pola bitwy rannych kolegów.

- Jeśli nadal nie wierzysz, spytaj mnie o coś, co dotyczy Jasona. Znałem twego stryja równie dobrze jak siebie samego. Bogiem, i prawdą, wiem bardzo dużo również o tobie.

- O mnie? - Szybko podniosła głowę; twarz miała szarą jak popiół. - Na przykład?

- Wiem, że nie chcesz się pogodzić z jego śmiercią, bo już kiedyś przeżyłaś stratę rodziców - powiedział miękko. - Widziałaś, jak utonęli.

- Skąd o tym wiesz?

- Jason bardzo lubił opowiadać o tobie. Często czytał nam twoje listy, bo wszyscy tak bardzo tęskniliśmy za domem. - Przyłożył palec do ust, jakby tknięty jakąś myślą. - Pamiętasz

tę lalkę, którą ci przysłał z bazaru w Lizbonie? To była... taka hiszpańska dama w koronkowej mantyli.

Przytaknęła, nie bardzo rozumiejąc, o co chodzi.

- To ja ją wybrałem dla ciebie.

- Cooo?

- No, właściwie my obaj, mój brat i ja - poprawił się. - Wysyłaliśmy lalkę naszej najmłodszej siostrzyczce i pomyśleliśmy o tobie, bo... od bitwy pod Albuera Jason często... hm... zapominał o wielu sprawach.

- Nie! - wykrzyknęła przerażona, unosząc dłonie do ust, gdy prawda dotarła do niej z porażającą siłą.

To nie była żadna szatańska intryga mająca na celu uwiedzenie jej. Ukochany stryj Jason nie żył.

Nie zdając sobie sprawy, że Damien stara się ją podtrzymać, padła na fotel. W głowie jej wirowało. Była nieświadoma szeptanych przez niego serdecznych słów pociechy, ale bezwiednie sięgnęła po jego chusteczkę, by otrzeć łzy. Szlochała w rozpacz, myśląc, jak niesprawiedliwa była śmierć stryja. W końcu Damien przykucnął u jej kolan, jak wielki srogi pies chroniący ją przed złem.

- Znajdę tego, kto to zrobił, Mirando, przysięgam ci.

- I co dalej? Też go zabijesz? - wykrzyknęła przez łzy. - Czy nigdy nie będziesz miał dosyć zabijania? Zbladł, słysząc jej gniewny wybuch.

- Mam go dosyć bardziej, niż mogłabyś sobie wyobrazić - rzekł głucho. - Ale zginął mój przyjaciel.

Zbolały ton jego głosu sprawił, że się cofnęła i przestała płakać. Zdała sobie sprawę, że nie jest w tym pokoju jedyną istotą, która straciła ukochaną osobę. Popatrzyła Damienowi

w oczy, jakby chcąc zajrzeć poza jego zewnętrzną piękność, w głąb duszy dręczonej bólem. Wyczuwała w nim skrajne napięcie, widoczne choćby w układzie jego szerokich ramion. Patrzył na nią wzrokiem nieufnego dzikiego zwierzęcia. Wysokie kości policzkowe rzucały cień na szczupłe policzki, a przenikliwe oczy czujnie spoglądały spod atramentowo czarnych rzęs. Było to pełne goryczy spojrzenie człowieka, który stracił więcej towarzyszy broni, niż można zliczyć. Ona straciła stryja, ale przecież nie widziała go całe wieki; on zaś utracił przyjaciela, z którym spędził ostatnich sześć lat. Teraz pojęła, dlaczego zeszłej nocy tak uparcie poszukiwał dziewczyny, która pozwoliłaby mu o wszystkim zapomnieć. Uniosła rękę i delikatnie dotknęła małej blizny w kąciku jego lewej brwi, po czym bez słowa przyciągnęła go do siebie i objęła.

Czuła, że jego ciało sztywnieje w niepewności, ale po chwili przylał uścisk i otoczył ramionami jej talię. Zamknęła oczy. Przez kilka minut trwali tak przytuleni, jak dwoje rozbitków wyrzuconych na nieznany brzeg, jedynych, którzy przeżyli katastrofę. Czuła, jak pulsuje w nim gniew. Jego potężne ciało wojownika aż drżało, próbując go pohamować. Niepewnie przycisnęła jego głowę do piersi i gładziła jedwabiste czarne włosy, starając się go uspokoić i zapomnieć o tym, że człowiek, którego trzyma w ramionach, potrafi w mgnieniu oka przeistoczyć się w maszynę do zabijania. Pamiętała tylko, że to on ocalił jej życie.

- Damienie Knight, wiem, jak on cię podziwiał - szepnęła. Cofnął się nagle i przez chwilę wpatrywał w nią z konsternacją, jakby zawstydzony swoją reakcją na próbę pocieszenia go. Ich twarze dzieliły zaledwie centymetry. Z tak bliskiej odległości Miranda widziała trwogę w jego oczach. Spontanicznie pogłaskała go po policzku, chcąc mu ulżyć delikatną pieśczęcią.

Przylgnął wzrokiem do jej warg i ten głód pieśczęoty, który poznała poprzedniej nocy,

nagle pojawił się między nimi na nowo, elektryzujący jak błyskawica. Miranda odsunęła się gwałtownie; zaskoczony spojrzał jej w oczy, jakby tym ruchem zbudziła go z transu.

Mamrocząc słowa przeprosin, zerwał się na równe nogi, a z jego twarzy zniknął wszelki ślad słabości. Odwrócił się i zaczął spacerować po pokoju. Miranda patrzyła za nim z bijącym sercem.

Po chwili odchrząknął i rzekł:

- Proponuję zawarcie paktu: zapomnijmy o wczorajszej nocy. - Jakim cudem? -

wyszeptała.

Być może nie usłyszał pytania, bo nie zareagował.

- Zabiorę cię teraz do Londynu, gdzie spędzimy Boże Narodzenie z moją rodziną.

Jedna z moich krewniaczek posłuży ci za przyzwoitkę. Niczego ci nie zabraknie. Wiem, że to wszystko jest bardzo nagłe, ale teraz czeka cię zupełnie nowe życie. Spróbuj tak na to spojrzeć. Będiesz miała wszystko, co potrzebne młodej damie: balowe suknie, konkurentów i co tam jeszcze trzeba. Będzie mnóstwo okazji do spotkań towarzyskich między Bożym Narodzeniem a Trzema Królami. Przyjęcia, koncerty, bale... O tej porze roku towarzystwo jest nieco mniej liczne; mimo to jestem pewien, że szybko znajdziemy ci odpowiedniego męża.

- Męża? - powtórzyła w osłupieniu.

- Naturalnie. - Odwrócił się z brodą zadartą do góry, ze sztywnym, wyniosłym

wyrazem twarzy. - Tego właśnie Jason pragnął dla ciebie. Przypuszczam, że jesteś już w

odpowiednim wieku. Obiecałem twemu stryjowi, że dopilnuję, byś miała zapewnioną

odpowiednią pozycję w świecie, i dokładnie to mam zamiar zrobić. A teraz, jeżeli już

uspokoilaś trochę nerwy, biegnij i spakuj swoje rzeczy. Podróż do Londynu potrwa dwa dni.

Weź ze sobą tylko to, co najniezbędniejsze. Będziemy podróżowali bez bagażu; resztę wyśle

się pocztą do Knights House, to dom mojego najstarszego brata, księcia Hawkscliffe. Mieszka tam też moja siostra, mniej więcej w twoim wieku. Jej guwernantka zajmie się tobą.

Miranda patrzyła na niego, z trudem rozumiejąc, co mówi. Wszystko działo się zbyt szybko.

- Wszystko będzie dobrze, Mirando. Idź i spakuj rzeczy - ponaglił ją delikatnie. -

Zdążymy do Coventry, zanim się ściemni.

- Winna ci jestem podziękowanie - rzekła, starając się mówić klarownie - za uratowanie mnie wczoraj z łap tych zbrojów, za przyjaźń dla mojego stryja i za twoją szlachetną propozycję. Ale nie mam zamiaru jechać do Londynu. Zostanę tutaj z moimi przyjaciółmi.

Nie odważyła się powierzyć swego losu temu żywiołowemu wojownikowi; obraz Damiana stojącego w śnieżnym błocie i zbrozonego krwią zawsze pozostanie wyryty w jej pamięci. Poza tym wiedziała, co spotka Amy po jej wyjeździe z Yardley.

Przez ułamek sekundy rozważała możliwość powiedzenia Damienowi o nienaturalnych skłonnościach wielebnego Reeda, ale porzuciła ten pomysł. Nie zdołałaby wyznać temu w końcu obcemu człowiekowi czegoś tak osobistego i w dodatku poniżającego. Lord Winterley potrząsnął głową.

- To nonsens, Mirando. Nie możesz tu zostać. Jesteś już zbyt dojrzała na uczennicę.

Czas stąd wyjść. Spójrz na to ponure miejsce. Na pewno nie masz ochoty tu tkwić. - Przerwał i oparł dłonie na biodrach. - Podejrzewam, że jedynym powodem twojej chęci, by tu zostać, jest to, że możesz wymykać stąd się do teatru Pavilion. Czy nie mam racji? Nie odpowiedziała, urażona jego protekcyjnym tonem.

- Mirando, Mirando! Wygląda na to, że powinniśmy coś sobie ustalić. Zdecydować, co jest najważniejsze. - Przeszedł za biurko wielebnego Reeda i przysiadł niedbale na blacie

zjedną stopą opartą o podłogę. Oparłszy dłonie na udach, obrzucił ją przenikliwym spojrzeniem: teraz był to w każdym calu despotyczny pułkownik.

Posłuchaj mnie uważnie, moja droga. Koniec z występowaniem w teatrze: wczoraj złożyłaś publiczności ostatni ukłon. Może przyzwyczaiłaś się nabierać swoich opiekunów i biegać po mieście półnago, ale teraz jesteś pod moją opieką. A ja nie toleruję niesubordynacji. Jej nozdrza rozdęły się, kiedy z oburzeniem wciągnęła powietrze. Uniosła brodę, ale zdołała pohamować język.

- Aha, nie podoba ci się to, co mówię, tak? - zakpił dobrotliwie. - Proszę bardzo, możesz obrzucać mnie piorunującymi spojrzeniami. Ostrzegam jednak, że potrafiłem zmienić dwa tysiące wiejskich chłopaków w zdyscyplinowanych żołnierzy, zdolnych uderzyć na Souлта, Massenę i samego Boneya! Zapewniam cię więc: nie masz szans na zwycięstwo. Nie strasz mnie, bo znam wszystkie twoje sztuczki. Boże mój, gdyby Jason widział cię wczoraj na scenie, z pewnością zamknąłby cię w klasztorze. Sam miałbym ochotę to zrobić, ale że wychowywałaś się samopas, jestem gotów dać ci szansę na nowy start. Od tej chwili musisz zachowywać się tak, jak przystoi przyzwoitej młodej damie. Nie będziesz przynosiła wstydu ani mnie, ani mojej rodzinie, ani pamięci swojego stryja. Czy to jasne?

- Nie!

- Słucham?!

Jego protekcyjny ton rozwścieczył Mirandę. - Jeśli chcesz wiedzieć, mam dziewiętnaście lat i nie potrzebuję opiekuna!

- Ach tak? Trochę inaczej wyglądało to wczoraj w nocy. Znalazłaś się przez własną niefrasobliwość w wysoce niebezpiecznej sytuacji.

Gdzie ty miałaś głowę, dziewczyno? Zdajesz sobie sprawę, jakie to było głupie? Czy masz chociaż blade pojęcie, co mogło się stać, gdyby mnie tam nie było? Fuknęła i spuściła

wzrok.

- Ludzie z Mud City nigdy mi dotychczas nie dokuczali - mruknęła.

Kiedy ujął jej podbródek silnym, ale miękkim ruchem, zmuszając do spojrzenia na niego, zaskoczyła ją reakcja własnego ciała na dotyk jego palców.

- Ci mężczyźni mogli cię zgwałcić i porzucić tam na pewną śmierć - mówił twardym, spokojnym tonem. - Dostali dokładnie to, na co zasłużyli. Przykro mi, że musiałaś na to patrzeć, ale nie żałuję tego, co zrobiłem. Zwłaszcza teraz, kiedy wiem, że jesteś moją podopieczną. - Delikatne dotknięcie zmieniło się w pieszczotę. Przeciągnął kostkami palców po linii jej policzka i zniżył głos do sennego szeptu, wpatrując się w nią władczo. - Nie masz się czego obawiać, moja piękna. Myślę, że dogadamy się... doskonale. Ci ludzie tutaj nie mają pojęcia, jak sobie z tobą radzić, ale ja wiem, jak trzeba z tobą postępować.

- Jak? - spytała, chcąc, by to zabrzmiało przekornie.

- Żelazną ręką w aksamitnej rękawiczce. Tak... - zastanowił się chwilę - to powinno poskromić twoje dzikie wyczyny.

Pod jego dotknięciem kolana jej się ugiwały. Uczucia, jakie w niej wzbudzał, szokowały ją i oszałamiały. Ten człowiek był wcieloną przemocą, był bardzo arogancki, niemniej jego dotknięcie napełniało ją pożądaniem.

Zmysłowe usta Damiena wygięły się w szelmowskim uśmiechu; jakby doskonale wiedział, jak na nią działa.

- Biegiem, koteczku. Nie każ mi długo czekać. - Kiedy popchnął ją ku drzwiom, przeklęła sama siebie za to, że znowu pozwoliła mu!

skłonić się do posłuszeństwa. Z ręką na klamce odwrócił się do niej i ironicznie uniósł brwi. i - Jakies pytania? - Jeszcze się na nic nie zgodziłam.

- Twoja zgoda będzie mile widziana, ale w żadnym wypadku nie jest konieczna.

- Nie możesz zmusić mnie do pójścia ze sobą wbrew woli! Nie masz prawa wkroczać

tu, wydawać rozkazów i kontrolować mojego życia.

- Przeciwnie, mam po temu wszelkie prawa. Pozostaniesz pod moją władzą, aż skończysz dwadzieścia jeden lat. Albo wyjdiesz za mąż.

- Nic mnie to nie obchodzi. Nigdzie z tobą nie pójde!

- Tutaj zostać nie możesz - rzekł bez ogródek. - Wielebny Reed cię wyrzucił.

Co takiego?! A więc ten chytry zbrojeniec wykombinował, jak się jej pozbyć -

jedynej przeszkody zagradzającej mu dostęp do Amy! Zacisnęła szczęki i odwróciła pełen furii wzrok. Wiedziała już, co musi zrobić. Skoro Reed ją wyrzucił, odejdzie, ale zabierze Amy ze sobą. Obie przyłączą się w Leicester do trupy pana Chippinga; teatr miał zatrzymać się tam na kolejne występy. Przyjmie role młodych amantek i dzięki temu będzie w stanie utrzymać Amy i siebie. Ale jak uwolnić się od tego opiekuna, skoro postanowił wypełnić wolę stryja?

Nie mogła mu po prostu uciec. Był o wiele szybszy i silniejszy od niej, co

zademonstrował zeszłej nocy aż zbyt dokładnie. Nie, nic powinna więcej protestować: to może tylko obudzić w nim gniew.

Jesteś aktorką, czy nie? - skarciła się w duchu. Może przecież odegrać scenę

posłuszeństwa. A kiedy uśpi czujność tej szarookiej bestii, przy pierwszej okazji pryśnie z powrotem do Yardley, zabierze Amy i obie przyłączą się do trupy pana Chippinga. Przy odrobinie szczęścia potężny lord Winterley nie uzna za wskazane szukać dziewczyny, która odrzuciła jego propozycję życia w nudnym, przyzwoitym świecie zasad.

- A więc, panno FitzHubert - powiedział władczo - jeśli jesteś już spokojna, proszę iść i załatwić swoje sprawy. I to szybko. Dni w zimie są krótkie.

Zdołała opanować dumę i sztywno skłoniła głowę, prezentując pozory poddania. Oczy

błysnęły mu z zadowolenia na widok takiego posłuszeństwa; otworzył drzwi i przepuścił ją.

Miranda minęła go i wyszła z gabinetu.

Wielebny Reed i panna Brocklehurst akurat wychodzili z saloniku, w którym czekali.

- Odjeżdżamy, gdy tylko panna FitzHubert spakuje swoje rzeczy - powiadomił ich lord Winterley.

- Doskonale, sir - odparł wielebny, wyraźnie pod wrażeniem szybkości, z jaką jego lordowskiej mości udało się rzucić na kolana buntowniczkę z Yardley School. - Panno Brocklehurst, czy mogłaby pani być tak dobra i pomóc pannie FitzHubert w przygotowaniach do podróży?

- Z przyjemnością, wasza wielbność.

Ścigana piorunującym spojrzeniem panny Brocklehurst Miranda weszła na górę do sypialni, gdzie skrycie wymieniła spojrzenia z Amy. Błękitne oczy dziewczynki pełne były lęku. Reszta uczennic przypatrywała się wszystkiemu z zainteresowaniem. Miranda pakowała swoje nieliczne ubrania do dużej torby z cielecej skóry. Nie odważyła się wyciągnąć spod siennika kostiumu teatralnego. Zabierze go później, kiedy wróci po Amy.

- Przepraszam, panno Brocklehurst - spytała Amy, nie mogąc dłużej wytrzymać - ale czemu Miranda musi się pakować?

- Bo, panno Perkins, twoja koleżanka opuszcza dzisiaj Yardley - odparła przełożona ze złośliwą satysfakcją.

- Czy to z powodu... porcelanowego pieska? - wykrzyknęła mała z rozpaczą w głosie.

- Nie, Perkins. Opiekun FitzHubert zabiera ją ze sobą. Amy z przerażeniem spojrzała na Mirandę.

- Stryj Jason przyjechał po ciebie?

- Nie. Stryj nie żyje. To ktoś inny - odparła Miranda lakonicznie, po czym rzuciła

Amy krzepiące spojrzenie. - Musimy być dzielne i bez lęku przyjąć to, co nam przyniesie los.

- Twój stryj nie żyje? Och, Mirando... ale ty, nie możesz mnie opuścić!

- Doprawdy, Perkins, dosyć już tego.

- Przepraszam, panno Brocklehurst. - Amy powstrzymała się od dalszych pytań i

ściskała tylko mocno łokieć Mirandy, kiedy ta wkładała wystrzępiony płaszcz i kapelusz i zarzucała torbę na ramię.

- Chodźcie z nami, panienki - zarządziła przełożona. - Pożegnamy się na dole.

Dziewczęta ze smętnymi minami zeszły ze schodów za panną Brocklehurst. Na

półpiętrze Miranda objęła Amy i szepnęła dziewczynce do ucha:

- Wracam po ciebie dzisiaj w nocy. Nie kładź się spać, a przede wszystkim za wszelką cenę unikaj wielebnego Reeda. Rozumiesz, co mam na myśli?

Amy z powagą skinęła głową.

- Rzucę kamykiem w okno, kiedy wrócę; a ty musisz zejść na dół po mojej drabince.

- Dokąd pójdziemy? - spytała Amy.

- Dołączymy do trupy pana Chippinga w Leicester i pojedziemy w objazd!

Amy aż jęknęła z rozkoszy.

- Mówisz poważnie? Ja też będę aktorką?

- Ciii... - Miranda rozejrzała się, sprawdzając, czy nikt nie słyszy. Jestem pewna, że pan Chipping znajdzie dla ciebie od czasu do czasu jakąś niewielką rolę. Jesteś gotowa?

- Czy jestem? - niemal krzyknęła mała. - Pewnie! Och, Mirando, nie mogę się doczekać! Jesteś najlepsza, najdroższa...

- Sza! Wiem, że się cieszysz, ale nie wolno ci tego okazywać. Jeśli Reed albo ta wiedźma coś zwąchają, przepadłyśmy. Aha, kiedy po ciebie przyjdę, nie zapomnij zabrać mojego kostiumu i pantofli. Są pod siennikiem, tak że Brocklehurst ich nie zobaczy.

Amy przyrzekła. Nagle dostrzegła lorda Winterley stojącego na dole i aż się zachłysnęła.

- To jest twój nowy opiekun? Oj, chyba zemdleję! Boski!

Miranda przewróciła oczami i poszła naprzód, naciągając rękawiczki. Ramiona

Damiena wyglądały jeszcze potężniej, kiedy narzucił na nie płaszcz z peleryną. Gdy zbliżyła się do niego, obrzucił ją taksującym spojrzeniem, jak komendant odbywający inspekcję wojsk. Wziął od niej torbę.

- Poprosiłem wielbnego Reeda o przesłanie reszty twoich rzeczy do Knight House przy Green Park, bo tam się zatrzymasz - wyjaśnił.

- To wszystko, co mam - odparła, czerwona ze wstydu.

- Ach tak... - Odwrócił się, lekko zakłopotany. - Wobec tego w drogę! Niestety dyliżans do Londynu z Birmingham już odjechał. Ale że cała trasa to nie więcej niż sto pięćdziesiąt kilometrów, możemy dziś przebyć chociaż część.

Ruszyła za nim do drzwi, zanim jednak wyszła na zaśnieżone podwórze, zatrzymała się. Nie widziała żadnego powozu, tylko wielki, biały rumak grzebał kopytem i buchał parą z nozdrzy. Wyglądał wyniośle i groźnie jak jego pan.

- Pojedziemy razem na tym koniu do Coventry - rzucił krótko Damien, okrążając wspaniałego ogiera i zabierając się do przymocowania jej torby do siodła.

Amy podreptała na podwórze i stanęła obok Mirandy, chichocząc tajemniczo. Patrzyła to na Damiena, to na przyjaciółkę, trącając ją co chwilę łokciem w żebra.

- Przestań - syknęła Miranda.

- Powinniśmy tam być za dwie, najdalej trzy godziny - ciągnął Damien, nieświadomy tej wymiany zdań. - Przenocujemy w zajeździe. Rano wsadzę cię do dyliżansu i pojedę za tobą na Zeusie.

- Klepnął konia po boku i się odwrócił. - Gotowa?

- Nie jeżdżę konno - rzuciła Miranda, patrząc z obawą na groźnie wyglądającego ogiera.

Damien wzruszył ramionami.

- Teraz pojedziesz.

Amy ponownie zachichotała, co zwróciło uwagę pułkownik: Gdy na nią spojrzął, dziewczynka uśmiechnęła się, ukazując dołeczki w policzkach, i dygnęła. Uniósł brwi, zakłopotany.

- To panna Perkins - przedstawiła przyjaciółkę Miranda. Damien złożył dziewczynce lekki ukłon. - Mademoiselle...

Amy wydała pisk zachwyty i rzuciła się w stronę domu. Miranda wzniosła oczy do nieba, modląc się o cierpliwość, ale jej opiekun tylko chrząknął. Odwiązał lejce ze słupka i lekko wskoczy na siodło.

- Wdrap się na podstawkę - poinstruował ją.

Miranda mruknęła coś pod nosem, wykonała jednak polecenie. Kwadratowy kamień był oblodzony i śliski. Hrabia podprowadził do niego konia i wyciągnął rękę do Mirandy, równocześnie przesuając bliżej niej strzemię stopą w lśniącym czarnym bucie.

- Tak, dobrze; teraz złap mnie za rękę.

Chwyła jego potężną dłoń w rękawicy i dotknęła stopą strzemienia. Damien objął ją w pasie i wciągnął na siodło przed sobą. Przyłgnęła do niego z całej siły, bo ogier dreptał i nerwowo potrząsał głową. Po chwili byli już w drodze.

Kiedy Miranda spojrzała na pokryty łupkowym dachem dom grupkę nędznie odzianych dziewczynek machających jej na pożegnanie, ogarnęło ją wzruszenie. Prawda, była tu nieszczęśliwa, ale to w końcu był jej dom. Teraz jej życie się zmieni, choć może nie w taki

sposób, jak zaplanował jej despotyczny opiekun.

Damien wyprowadził konia z podwórka. Przecięli otoczony drzewami podjazd tonący w błocie i zaśnieżone pole, za którym leżała droga do Coventry. Kiedy ruszyli, po raz pierwszy od tygodni spoza chmur wyjrzało słońce.

Mirandzie aż dech zaparło na widok świata tak cudownie odmienionego w olśniewającym świetle. Wyglądało to, jakby ziemia zrzuciła z siebie brudną zasłonę, odsłaniając bezmiar błękitnego nieba. Zalegający wszędzie śnieg lśnił, jakby dopiero co spadł.

Damien cmoknął na konia i ogier przeszedł w trzęsący trucht. Miranda omal nie spadła z jego grzbietu.

Lekki śmiech Damiena przeistoczył się w chmurkę pary, która otoczyła Mirandę.

Chwycił ją mocniej w pasie i popędził konia, który ruszył teraz kłusem. Nagle, zamiast strachu, poczuła uniesienie. To było jak lot w powietrzu. Koń pędził bez wysiłku, wzbijając wokół siebie tumany śniegu. Ona zaś, mając tuż przy sobie silne i lalo Damiena, czuła się bezpieczna.

Kiedy popatrzyła na niego, rzucił jej łobuzerskie spojrzenie; słońce ogrzewało jego ogorzałą twarz, odbijało się w krystalicznych głębiach oczu, które teraz nabrały czystej, bladobłękitnej barwy nieba.

- Trzymaj się - mruknął.

Otworzyła szeroko oczy na widok zagradzającego im drogę żywopłotu. Poczuła, jak Zeus bierze potężny rozbieg, i zaparło jej dech z przerażenia, kiedy przelatywali wysoko nad ogrodzeniem, by miękko wylądować po drugiej stronie. Jeszcze jeden skok w dół z nasypu i ogier znalazł się z powrotem na drodze, niosąc ich ku nieznannej przyszłości.

Dłuższy czas jechali w milczeniu. Jedynym dźwiękiem był szum wiatru szarpiącego oblepionymi szronem gałęziami drzew. Damien starał się, jak mógł, odsunąć od siebie myśl o ponętym, gorącym ciele Mirandy, które trzymał w ramionach. Wbrew temu co mówił wielebny Reed, nie była wcale tak trudna w prowadzeniu, pomyślał z satysfakcją. Od chwili, gdy pojęła, że on jest panem sytuacji, zachowywała się jak anioł.

Zadrżała z zimna. Damien rozpiął płaszcz i otulił ją jego połami, nie zwracając uwagi na protesty. Żaloszny stan jej paletka sprawił, że chętnie obiłby swego przyjaciela za zaniedbywanie dziewczyny przez tak długi czas. Nie spisałeś się jak należy, Jason. Nie spisałeś się!

Do diabła, w końcu była córką wicehrabiego! Te buty już dawno należało oddać szmaciarzowi. Gdy pomyślał o garderobie swojej siedemnastoletniej siostry, pokręcił gniewnie głową. Cały dobytek Mirandy mieścił się w tym biedniutkim skórzanym worku. Nie narzekała jednak. Jest z niej, pomyślał, mały, dzielny żołnierz.

Opiekuńczym gestem mocniej objął jej talię; rozgrzewali się wzajemnie ciepłem swych ciał aż do końca podróży. Damien zastanawiał się, jakie wymagania będą musieli spełniać jej ewentualni konkurenci, gdy nagle głos Mirandy wyrwał go z zamyślenia.

- Myślałam, że wszyscy pułkownicy są starzy.

- Ja jestem stary - odparł z uśmiechem. - W każdym razie czuję się staro.

- Nie jesteś wcale stary. Miałam na myśli kogoś w naprawdę podeszłym wieku.

- No tak, bywa że człowiek pracuje całe życie na szarzę pułkownika. Ja miałem dość szczęścia, by awansować, po trosze dzięki rodowemu nazwisku, ale nie odważyłem się objąć komendy, zanim nic zdobyłem solidnego doświadczenia. Nie ma nic gorszego niż „zielony” oficer.

- Stryj Jason pisał mi, że byłeś kapitanem elitarnej kompanii grenadierów w sto trzydziestym szóstym pułku.

Przytaknął.

- Kilka lat wojny przesłużyłem w Hiszpanii jako kapitan, ale kiedy mój brat wystąpił z armii, wkrótce awansowałem na majora, a potem na podpułkownika, po prostu moi przełożeni ginęli na polu walki. Współczynnik umieralności oficerów jest bardzo wysoki.

- Dlaczego tak się dzieje?

- Bo strzela się przede wszystkim do oficerów. Podkomendni pozbawieni dowództwa nie dają sobie rady.

- Nigdy się nie bałeś, wiedząc, że jesteś celem?

- Pewnie, że się bałem. Ale ktoś musi dowodzić. - Wzruszył ramionami. - Strach czyni żołnierza lepszym. Człowiek przyzwyczaja się do niego i robi to, co powinien.

- Ja chyba nie mogłabym się przyzwyczaić. Raczej uciekłabym.

- Wtedy musiałbym cię zastrzelić za dezercję - odparł z wisielczym humorem.

Warkocze spłynęły jej na ramiona jak jedwabiste liny, kiedy odwróciła się, zerkając niepewnie spod runda kapelusza.

- Nie zabijałeś chyba własnych ludzi za dezercję? Tylko na nią spojrział.

- Och, Damien! - skrzywiła się boleśnie.

- Takie jest prawo. Potrząsnęła głową.

- Twardy z ciebie człowiek.

Nie wiedział, czy był to komplement, czy zarzut. Ale Miranda już zmieniła temat. -

Jak twoje ramię?

- Nie najgorzej.

- Strasznie mi przykro z tego powodu.

- Niepotrzebnie.
- Przecież mogli cię zabić.
- Ale nie zabili. A ty byłaś bezpieczna. To najważniejsze. Milczała chwilę, rozmyślając nad tym, co powiedział, a potem wykrzyknęła spontanicznie:
 - Damien! Och, przepraszam, chciałam powiedzieć: lordzie Winterley...
- Słyszając swoje imię w jej ustach, poczuł dziwny dreszcz w dole brzucha.
- Możesz mówić do mnie „Damien” - mruknął - ale tylko kiedy jesteśmy sami. W towarzystwie najlepiej traktować się oficjalnie.
- Rozumiem. Jak myślisz, czego właściwie ci okropni ludzie chcieli ode mnie?
Spoważniał. Wzmocnił chwyt, by siedziała jeszcze bezpieczniej w siodle.
- Obawiam się, że wszystkiego, co mogliby uzyskać.
- Ale nie zabrali mi pieniędzy. Miałam przy sobie wypłatę z teatru.
- Niestety, nie przypuszczam, by chodziło im o twoje pieniądze. - Poczul szczere zadowolenie, że zabił tych ludzi.
- Może i nie... ale trudno sobie wyobrazić, żeby zwykli włóczędzy z Mud City byli tak doskonale zorganizowani. Mieli nawet konie.
- Pewnie skradzione. Mirando, czy rozpoznałaś któregoś z nich? Zadrzała.
- Nie. Ale... - odwróciła się i spojrzała na niego poważnie - a jeżeli to byli handlarze żywym towarem? Wiesz, tacy, co to łapią dziewczęta i sprzedają je do domów publicznych?
- Och, Mirando, oglądałaś chyba za dużo melodramatów.
- Czyżby? - mruknęła. - Panna Brocklehurst zawsze powtarzała, że jeżeli będziemy niegrzeczne, każe nam stać całą noc na dworze, a wtedy przyjdą handlarze żywym towarem i nas zabiorą!
- I wierzyłyście jej?

- Tak.

Przytulił ją do siebie lekko, po przyjacielsku. Jakąż przedziwną mieszankę brawury, nieufności i naiwności stanowiła ta dziewczyna.

- Niczego się nie bój, Mirando. Gdyby zjawilo się więcej handlarzy żywym towarem, obiecuję, że znów cię obronię. - Cmoknął na konia i uśmiechnął się na jej okrzyk radości, kiedy Zeus przebył następny etap drogi płynnym cwałem.

Wkrótce dotarli do zajazdu w Coventry. Minęła dopiero czwarta, ale było już zupełnie ciemno. Miranda tuliła się sennie do Damiena, gdy między nagimi konarami drzew ukazała się pełna ludzi karczma. Okna były oświetlone, z kominów uchodziły w niebo kłęby dymu, a zapach smacznych potraw, zmieszany z odorem stajni docierał aż do nich. Zeus zarżał, zgłodniały.

Miranda podniosła głowę.

- Pod Starą Czerwoną Krową - odczytała nazwę wymalowaną wielkimi literami nad wejściem do budynku. - Wygląda na to, że jest pełno. Mam nadzieję, że będą mieli pokój dla nas.

- Będą mieli - zapewnił Damien.

Wstrzymał konia na wysypanym żwirem podwórzu i zeskoczył z siodła.

Przerzuciwszy lejce nad głowę Zeusa, odwrócił się do Mirandy. Ogarnęła go fala pożądania, kiedy dziewczyna oparła mu ręce na ramionach i zsunęła się na ziemię. Puścił ją i szybko się odwrócił, zadowolony, że akurat podbiegł stajenny.

- Dobry wieczór, sir. Ogiera dajemy tutaj?

- Tak. Najlepiej z dala od innych koni. Masz wolny boks? Chłopak skinął głową ze zrozumieniem.

- Proszę wprowadzić go tędy, sir. Damien zerknął na Mirandę.

- Zaczekasz w zajęździe? To nie potrwa długo. Pokręciła głową.

- Pójdę z tobą. - Szła tuż przy boku Zeusa, kiedy Damien wprowadzał ogiera przez szerokie wrota do stajni.

Krzętały się tam co najmniej dwa tuziny stajennych, którzy czyścili boksy i oporzadzali liczne konie. Co potulniejsze uwiązywano tylko na lince, ale można było wynająć boks. Miranda zmarszczyła nos: zapach nie był zbyt piękny.

Energiczny stajenny wskazał Damienowi boks w głębi: obok niego był inny pusty, co zapewniało królewskiemu ogierowi komfort odosobnienia.

Damien odprawił stajennego i sam zajął się Zeusem. Zdjął z niego juki, podał Mirandzie jej torbę, a resztę bagażu ułożył w stosik w słabo oświetlonym przejściu.

- Czy wszyscy hrabiowie sami dbają o swoje konie? - spytała ze zdziwieniem.

Spojrzał na nią, zdejmując siodło z grzbietu ogiera i wynosząc je przed boks.

- Zeus nie lubi, kiedy dotyka go ktoś obcy - odparł. - Wobec mnie jest raczej przyjacielski.

- Lubi cię. Powiedział mi to - rzekł Damien z figlarnym błyskiem w oczach. Tak naprawdę po prostu lubił robić wszystko sam przy swoim koniu, bo świetnie przy tym odpoczywał. Wyciągnął zgrzebło z juków i zaczął szczotkować grzbiet Zeusa w miejscu, gdzie było siodło. Po chwili zdał sobie sprawę, że Miranda uważnie śledzi każdy jego ruch. Zerknął na nią przez ramię i poczuł na sobie jej gorące spojrzenie. Spuścił wzrok, wstrząśnięty siłą wzajemnego pociągu, o którym przecież między nimi nie mogło być mowy. Nagle zapragnął znowu prosić Mirandę o wybaczenie za to, co proponował jej ubiegłej nocy, i za to, że całował ją jak ostatni brutal, tam pod teatrem... Uznał jednak, że lepiej nie wracać do tego tematu. Lepiej, by wydarzenia tamtej nocy zostały zapomniane.

Ale wcale nie był pewien, czy naprawdę jest mu z tego powodu przykro.

- Czemu trzymasz ogiera, jeżeli jest z nim tyle zachodu? - spytała.

Zeus potrząsnął łbem i trącił Damiena, dopominając się smakołyku.

- Wynocha - mruknął jego pan z miłością w głosie, odpychając łeb zwierzęcia. -

Będzie kiedyś płodził wspaniałe żrebaki - wyjaśnił Mirandzie.

- Wyścigowe?

- Albo do gry w polo.

- Jest bardzo piękny - przyznała.

- Słyszysz, chłopie? Ta dama uważa, że jesteś przystojny. - Damien ujął w dłoń

delikatny pysk ogiera. Przez perłową sierść przeświecały niebieskoszare cienie otaczające

wielkie, brązowe oczy Zeusa. - Jest w połowie hanowerczykiem i temu zawdzięcza wzrost i

szybkość, po matce odziedziczył nieprawdopodobną wytrzymałość pustynnych koni szejków.

- Poklepał zwierzę po szyi. - Teraz wszystko, czego potrzebuje, to żony. Albo haremu, jak u

szejków - zakończył z chłopięcym uśmiechem.

Miranda zaśmiała się cicho.

- Czemu nie wstąpiłeś do kawalerii, skoro masz takiego bzika na punkcie koni?

- Właśnie dlatego - odparł. - Żeby nie oglądać koni porozrywanych na kawałki. One

przecież nawet nie wiedzą, o co toczy się walka.

Miranda usiadła na beli siana i oparła policzek na dłoni, podczas gdy Damien kończył

oporządzanie konia. Gdy zadowolony Zeus żuł już swój owies, Damien podniósł bagaże i

skinął na Mirandę, by poszła za nim. Przemierzyli podwórze i skierowali się do drzwi

zajazdu.

Wewnątrz panowało miłe zamieszanie. Na lewo od przedsionka mieścił się przytulny,

mroczny bar; z prawej strony była spokojniejsza i bardziej elitarna jadalnia.

- Sir, madame. Witamy państwa! Proszę tędy - powitał ich grzecznie nieduży

człowieczek stojący za kontuarem.

Damien podszedł do niego, mrużąc oczy od blasku skromnego świecznika. Miranda zsunęła rękawiczki i ruszyła za nim. Gospodarz podał Damienowi rejestr gości.

- Może pan podpisać za siebie i żonę, sir.

- Ta młoda dama jest moją podopieczną - odparł Damien szorstko, rzucając mężczyźnie karcące spojrzenie; następnie zanurzył pióro w kałamarzu i złożył wyraźny, kaligraficzny podpis. - Proszę o dwa pokoje; będę też potrzebował dla mojej podopiecznej miejsca w dyliżansie do Londynu na jutro rano.

- Tak... oczywiście, sir... Proszę mi wybaczyć omyłkę. - Gospodarz nie wydawał się przekonany co do charakteru związku łączącego Damiena z jego młodą towarzyszką. - A zatem dwa pokoje i jeden bilet do Londynu, panie... Wielkie nieba! - wykrzyknął nagle, odczytawszy nazwisko Damiena w rejestrze. - Pan pułkownik lord Winterley! Sir, cóż to za zaszczyt dla nas przyjmować takiego gościa!

- Dzięki - wymamrotał Damien, udając, że ma trudności z zawiązaniem halsztuka.

Kilku świadków tej sceny usłyszało okrzyk gospodarza i już wyciągało szyje, by zerknąć na niezwykle gościa.

Damien zmarszczył się, po czym rozejrzał z wymuszonym uśmiechem: prawie wszyscy goście i służba przypatrywali mu się uważnie. Znowu się zaczyna, pomyślał, marząc, by stać się niewidzialnym.

- Dobry wieczór - mruknął, kłaniając się uprzejmie. Miranda obserwowała całą tę scenę z rozbawieniem. Gospodarz po prostu wychodził z siebie.

- Jeśli mogę wyrazić swoje zdanie, dobra robota, wasza lordowska mość, doskonała robota!

- Dziękuję - odparł Damien.

Gospodarz wręczył mu klucze do pokojów, a następnie zwrócił złote suwereny,

którymi Damien zapłacił za nocleg i posiłki w zajęzdzie.

- Nie przyjmę od pana ani pensa, wasza lordowska mość. Chciałbym ofiarować panu i młodej damie nasze najlepsze pokoje, ale obawiam się, że już są zajęte. Drogi są zatłoczone, przed świętami mnóstwo ludzi jeździ tam i z powrotem.

- Ależ wszystko w porządku. Proszę to wziąć. - Damien ponownie podsunął mu monety.

Mały człowieczek wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Mowy nie ma, pułkowniku. Damien się roześmiał.

- No dobrze. Proszę zatem postawić wszystkim w barze kolejkę lub dwie jako prezent ode mnie.

- Doskonale, sir, jak pan sobie życzy - odparł właściciel zajazdu. - Proszę mnie wezwać, gdyby pan czegoś potrzebował. Dyliżans odjeżdża jutro punktualnie o siódmej.

Śniadanie podajemy o wpół do siódmej.

Damien skinął głową i spojrzał na Mirandę.

- Głodna? - spytał, gdy kierowali się ku schodom; dwaj portierzy szli za nimi z bagażami.

- Umieram z głodu - odparła.

- Zainstalujmy się, a potem coś zjemy.

Przystąpiła na jego propozycję. W jej zielonych oczach tańczyły wesołe iskierki, bo na dole w holu personel hotelowy nie szczędził pochwał bohaterowi wojennemu.

- Co za wspaniałe mężczyzna.

- Oto prawdziwy Anglik!

- Wiadomo, krew zawsze się odezwie - mówili ludzie. Damien czuł, że obserwują

każdy jego ruch.

- Na Boga, Damienie, nic mi nie mówiłeś, że sam jeden pobiłeś Napoleona - szepnęła

Miranda, kiedy dotarli na półpiętro.

- Sądziłem, że już o tym wiesz - odparł z wymuszonym uśmiechem.

- Czy ludzie zawsze się tak łaszą do ciebie?

- Nie.

- Na pewno tak. Po prostu jesteś skromny - skarciła go żartobliwie, równocześnie przypatrując mu się uważnie. - Nie znosisz, kiedy robią wokół ciebie tyle szumu, prawda?

Dlaczego? Zasługujesz na to.

- Nie bardziej niż moi żołnierze. A już na pewno nie bardziej niż ci, co zginęli.

- Nie ma nic złego w tym, że uklonisz się rozentuzjasmowanej publiczności, skoro na to zasłużyłeś - orzekła.

- No, od tego ty jesteś ekspertem.

Zareagowała na ten przycinek morderczym spojrzeniem.

Gdy weszli na piętro, portierzy wskazali im dwa pokoje naprzeciwko siebie. Miranda otworzyła drzwi, stojąc tyłem do Damiena, który w tym samym momencie otwierał swoje.

Portierzy wnieśli bagaże i zapalili świece.

- Zaczekam na ciebie na dole - rzekł Damien. - W barze czy w jadalni?

- Sam zdecyduj.

Rzucił jej prowokujący uśmiech. - I pomyśleć, że wielebny Reed uważał cię za trudną.

Odpowiedziała przekornym półuśmiechem i zamknęła mu drzwi przed nosem.

Nie był nawet taki zły, kiedy nie rzucał rozkazów ani nie odrąbywał ludziom głów. Z westchnieniem oparłszy się o drzwi, Miranda obejrzała niewielki, ale ładny pokoik, jaki jej zafundował opiekun na dzisiejszą noc. Zlustrowała solidne dębowe meble, zachęcające do snu

łoże, uroczy kominek z pobielanej cegły i zasłony w kwiaty. Z trudem mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz miała całą sypialnię dla siebie. Pamiętała jak przez mgłę swój pokój dziecięcy w wiejskiej rezydencji papy. Pamiętała jasnoblękitny baldachim nad wysokim, przykrytym kapą z falbanami łóżkiem i tapetę w przepiękne ptaszki.

Przymknęła oczy, bo serce ją bolało na myśl o poniesionych stratach - nie tylko o śmierci stryja, ale i o straconej szansie wejścia drzwiami, które otworzył przed nią Damien, do nowego życia, do olśniewającego świata jej ojca, świata elegancji i zaszczytów. Lord Winterley żył w tym świecie, należał do niego. Przez sekundę wyobraziła sobie, jak ona by się tam czuła. Londyn... Przyjęcia, bale, konkurenci... Och tak, właśnie tego naprawdę pragnęła, pomyślała z tęsknotą. Tandetny blichtr świata sceny był zaledwie parodią *beau*

□ *monde'u*, który ciągle jeszcze widziała przez różową mgiełkę dziecięcych wspomnień. Czyż jej matka nie pragnęła ujrzeć kiedyś córkę jako prawdziwą damę, którą ona sama, sławna Fanny Blair, nigdy nie była?

Ale gdyby nawet zgodziła się, by Damien wprowadził ją do wspaniałego świata wytwornych ludzi, jakimi były wyższe sfery Londynu, Miranda i tak by do nich nie pasowała. Nie była dla nich dość dobra... Nie, nie ma co się oszukiwać, to tylko strata czasu. Zamyślenie na jej twarzy ustąpiło miejsca zaciętości.

□ *Beau mode* (franc.) - wielki świat.

Teraz najważniejsze jest ocalenie Amy Dopóki to dziecko nie będzie bezpieczne, nic nie miało znaczenia - ani marzenia o pięknym życiu, ani niepokojący pociąg do opiekuna.

Kiedy pół godziny później schodziła na dół, odgłosy 'wiwatów i śmiechów z baru wskazały jej, gdzie ma szukać swego bohatera wojennego. Weszła do mrocznego baru i natychmiast go zobaczyła.

Siedział przy wielkim drewnianym stole w pobliżu kominka, otoczony tłumem tłustych, rumianych mężczyzn, lekko podpitych i nastawionych bardzo patriotycznie.

Podsuwali mu kolejne kufle piwa i błagali o opowieści z wojny, których - jak osądziła po jego zażenowanym uśmiechu - nie miał najmniejszej ochoty snuć.

Roznosząca cynowe kufle jasnowłosa karczmarka o obfitych kształtach właśnie szeptała coś Damienowi na ucho, gdy dostrzegł nadchodzącą Mirandę. Stawiając kufle, kobieta dokładała wszelkich starań, by jej piersi znajdowały się jak najbliżej twarzy bohatera.

Miranda z lekkim grymasem niezadowolenia przyglądała się zabiegom tej małej lafiryndy

Damien wstał.

- Wybaczcie mi, panowie. Mam miły obowiązek towarzyszenia tej młodej damie przy kolacji.

Mężczyźni wydali pomruk rozczarowania.

- Nie przerywaj sobie zabawy - wymamrotała Miranda, ale on już ujął jej rękę i wsunął sobie pod ramię.

- Wszystko jest w najlepszym porządku, moja droga - odparł. - Młodemu damom nie wypada wahać się samopas po gospodach.

Gdy wyprowadzał ją z sali, drogę zastąpiła im jasnowłosa karczmarka. Miranda dostrzegła skrytą wymianę spojrzeń Damiena i dziewczyny i serce ścisnęło jej się; było jak zwinięty w kulkę jeź broniący się przed napastnikiem. Damien ścigał tę dziewczuchę takim samym głodnym wzrokiem, jakim patrzył na nią tamtej nocy, kiedy omyłkowo wziął ją za kogoś, kim wcale nie była. Od czego jednak sztuka aktorska? Nie pokazała po sobie, że cokolwiek zauważyła.

Pewnie zaplanował już, że dzisiejszej nocy będzie miał tę dziewczynę w łóżku... ale co ją to obchodzi? - pomyślała z pogardą. Właściwie to nawet dobrze, bo kiedy Damien będzie

zajęty tą swoją lafiryndą, o wiele łatwiej będzie jej uciec.

Cholera, zaklął Damien w duchu. Przyłapała go na gorącym uczynku, kiedy umawiał się na schadzke z barmanką. Teraz siedziała nadąsana niczym zazdrosna żona, jakby nie wiedziała, że jego obecna frustracja to wyłącznie jej wina. Słodkie męczarnie, jakie znosił przez trzy godziny, trzymając ją przed sobą na koniu, omal nie doprowadziły go do szału!

W holu odwróciła się do niego: jej szmaragdowe oczy miotają iskry.

- Może po prostu pójdę na górę i zjem w pokoju, a ciebie zostawię z twoją przyjaciółką?

- Nie rozumiem, o czym mówisz - odparł grzecznie, ale chłodno. - Chodźmy, jadalnia jest tam.

Weszli, usiedli i zamówili kolację. Wkrótce przyniesiono im wino; Miranda nadal unikała spojrzeń Damiena, on zaś uznał, że wszystko ma swoje granice: nie da się sprowokować ani nie będzie się tłumaczył. Jeszcze przez chwilę udawała, że go nie dostrzega.

Nie miał pojęcia, dlaczego, ale czuł się winny. Oparł łokcie na stole i bębnił palcami po podstawce kieliszka. Miranda wpatrywała się w wiszące na przeciwległej ścianie udane obrazki: akwarelowe pejzaże i sceny z polowania.

- Mirando - przerwał w końcu milczenie.

- Słucham? - zwróciła się do niego. Obdarzył ją porozumiewawczym uśmiechem.

Wykrzywiła usta ze wzgardą i przysłoniwszy oczy długimi czarnymi rzęsami, wypila spory łyk czerwonego wina. Potem odstawiła kieliszek, nachyliła się ku niemu przez stół i kiwnięciem palca zachęciła, by się przybliżył.

Zrobił to.

- Myślę, że ktoś jednak powinien cię ostrzec - przemówiła konfidencjonalnym tonem.

- Wiele dziewcząt z teatru Pavilion sprzedawało się, podobnie jak twoja przyjaciółka z baru.

Pamiętaj, że... możesz złapać jakąś chorobę.

- Mirando! - szepnął zgorszony. Rozejrzał się dookoła, by się upewnić, że nikt ich nie słyszy. - Nie mam zamiaru dyskutować z tobą na takie tematy.

- A dlaczego nie? - Jesteś pod moją opieką.

- Istotnie, przybrałeś zupełnie inny ton niż zeszłej nocy - dogryzła mu.

Gniewnie potrząsnął głową. Co za irytująca smarkuła!

- Może masz już francuską chorobę - ciągnęła przemądrzale. - Na wojnie z pewnością było pełno markietanek. A ty, zdaje się, znowu szukasz guza!

- Daj spokój, dziewczyno! Nie mam żadnej francuskiej choroby - rzucił szeptem. - Dla twojej informacji: jestem ostrożny.

Uniosła brwi, wyraźnie rozbawiona jego zmieszaniem.

- Co przez to rozumiesz? Chodzisz do łóżka wyłącznie z dziewczynami? - Pociągnęła kolejny łyk wina i dodała niewinnie: - Ja jestem dziewicą.

Zakrztusił się winem, które właśnie połykał. Niech diabli porwą tę małą piekielnicę!

Wyraźnie kpi sobie z niego! Jak śmie?

O, dobrze widzę, co tu się święci, pomyślał, szybko odzyskując kontenans. Gdyby byli sami, nie odważyłaby się być taka bezczelna, ale obecność innych gości siedzących przy stołach w jadalni ośmielała ją, choć nabrała już dla niego trochę respektu. To, że zainteresował się inną istotą płci damskiej, ubodło jej próżność, więc znów zaczęła się buntować i stawiać mu wyzwania, jak zadufany w sobie rekrut niewidzący sensu posłuchu wobec swego sierżanta. Czyż dyrektor szkoły nie ostrzegał go przed nią? Sam nie wiedział, czyjej zazdrość drażni go, czy bawi, ale wolał raczej ustąpić, niż ryzykować, że ponownie wzbudzi w niej lęk.

- Miło mi to słyszeć, panno FitzHubert - powiedział spokojnie.

- Miałam co prawda wielbiciela, który o mały włos, a byłby to zmienił - dodała z udawaną nonszalancją. - Służył w kawalerii.

Zmarszczył brwi. - Jak się nazywał? - Trick.

- A cóż to, u diabła, za imię?

- Zdrobienie od Patrick.

- Patrick... a dalej?

- Dalej zapomniałam. Nosił błękitny mundur, to pamiętam. Wyglądał bardzo szykownie.

- Kłamiesz jak z nut, moja miła.

- Niby czemu nie miałabym mieć wielbiciela? Chciałam uwierzyć, że jest ktoś, komu na mnie zależy, odkąd stryj Jason zapomniał o moim istnieniu.

Odwrócił wzrok, zaniepokojony smutkiem w jej oczach, wyraźnie sprzecznym z wymuszonym uśmiechem. - I co się stało z tym twoim wielbicielem? - burknął.

- Odmówiłam mu tego, czego chciał, i już nigdy więcej nie wrócił. Miałam szesnaście lat. - Przez chwilę siedziała w milczeniu ze spuszczoneymi rzęsami.

Potrząsnął głową z oburzeniem.

- Kawaleria to beznadziejne typy. Uśmiechnęła się łobuzersko.

- To prawda. Ale umiał dobrze całować.

Zacisnął zęby i odwrócił się, a potem spojrzał na nią ponownie, rozwścieczony.

- Przestań!

- Wasza lordowska mość... ?

- Umyślnie mnie nabierasz! Przechyliła głowę z niewinnym uśmiechem.

- Och, nie złość się, Damienie. Nie całował ani w połowie tak dobrze jak ty. Pewnie masz od niego więcej doświadczenia.

- Przerzucę cię przez kolano i dam w skórę, jeżeli nie zaczniesz okazywać więcej

szacunku dla starszych, moja panno!

Zaśmiała się, a jej spojrzenie mówiło, że może by się jej to nawet podobało. Patrząc mu w oczy, piła powoli wino. Wpatrywał się w nią zgłodniałym wzrokiem, na wpół oślepiiony wspomnieniem tej dziewczyny w kusej lawendowej szatce z przejrzystego muślinu, ukazującej zarysy jej kuszących krągłości. Boże, najchętniej zabrałby ją do łóżka i całował całe jej ciało, od głowy do stóp, chłonał każdy centymetr, aż by się wiała z rozkoszy. Nadejście kelnerów z zamówionymi potrawami osłabiło napięcie i rozwiało ciężką atmosferę. Czekala ich prawdziwa uczta: steki, zapiekanka z gołębia, gorące drożdżowe bułeczki i bukiet jarzyn.

Kiedy obsługa odeszła, Miranda przymknęła oczy i pochyliła głowę, odmawiając krótką modlitwę. Damien przypatrywał się jej; jej bliskość oddaliła od niego wszelkie myśli o barmance. W końcu to były tylko niewarte wspomnienia ciągoty. Wiedział o tym doskonale. Gdy jednak Miranda ponownie otworzyła oczy i wyszeptała „Amen”, ukrył przed nią zmianę planów na temat schadzki.

Nie musi wiedzieć, że ma nad nim aż taką władzę.

Po kolacji wrócili do swoich pokojów; na korytarzu życzyli sobie dobrej nocy, mimo że wybiła dopiero siódma. Damien utrzymywał, że jest zmęczony. Nie sprzeczała się z nim, ale dobrze znała prawdziwy powód, dla którego pożegnał się z nią tak szybko. Nie mógł się doczekać, by ściągnąć tę ladacznicę z baru do swojego łóżka, myślała, wślizgując się pod kołdrę.

Zmęczona - nie miała przecież możliwości odpoczynku w ciągu całej poprzedniej nocy - zasnęła głęboko, ale czekające ją pilne zadanie sprawiło, że obudziła się dwie godziny później. Raczej najedzona niż wypoczęta, wygrzebała się z ciepłej pościeli. Nadeszła pora

ucieczki.

Po wczorajszych doświadczeniach ze zbrojami z Mud City nie była zachwycona perspektywą nocnej podróży bez opieki Damiena. Nie miała jednak wyboru. Nadal miała przy sobie trzy szylingi za występ w teatrze Pavilion, a pojeździe na potężnym Zeusie czuje się wystarczająco odważna, by spróbować samodzielnej jazdy na jednym z koni wynajmowanych w stajni. Nawet najwolniejszy koń będzie szybszy od podróży piechotą, uznała. Przypomniała sobie jednak, że sława jej opiekuna może stanowić przeszkodę. Służba, która tak nadszła bohaterowi wojennemu, z pewnością zauważyła i ją przy jego boku. Gdyby chciała wynająć konia, stajenni staraliby się ją zatrzymać, zanim nie skonsultowałiby się z Damienem.

Cóż, wygląda na to, że będę musiała użyć zdolności aktorskich, myślała, upinając włosy przed podnieszczonym lustrem nad umywalką. Naciągnąwszy płaszcz i zarzuciwszy na ramię skórzaną torbę, otworzyła drzwi i wyjrzała na korytarz. Był pusty, wymknęła się więc z pokoju.

Przebiegła obok drzwi Damiena i cicho zeszła po schodach. Wróciła do jadalni, zerkając po drodze do baru. Odetchnęła z ulgą, widząc, że w żadnej z izb nie ma Damiena; zdziwił ją natomiast widok jasnowłosej barmanki uwijającej się z tacą wśród gości. Czy już jest po wszystkim, czy ta labirynda jeszcze nie dotarła do jego pokoju? - zastanowiła się, po czym wzruszyła ramionami: w końcu to nie jej sprawa. Pożegnała się już z Damienem Knightem, raz na zawsze!

Jadalnia była niemal pusta. Miranda zatrzymała wzrok na dwóch przyszczatych, mniej więcej siedemnastoletnich wyrostkach w towarzystwie niewiele od nich starszego młodzieńca, który zachowywał się jak nauczyciel. Ich guwerner, odgadła. Nie widziała tej trójki przedtem.

Wspaniale, pomyślała. Miała nadzieję, że ci chłopcy przybyli później i nie wiedzą, że ona jest pod opieką honorowego gościa gospody. Jeżeli dobrze odegra swoją rolę, zaproponują jej podwiezienie i dzięki temu za dwie godziny będzie z powrotem w Yardley. Przepowiadała sobie w pamięci swój repertuar melodramatów przydatnych do wymyślenia intrygi, aż wpadła jej na myśl sztuka *Krnąbrna spadkobierczyni*. Tak, pomyślała z chytrym uśmieszkiem, ta świetnie się nadaje. Pan Chipping był o krok od powierzenia jej roli Laury, głównej bohaterki, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie i dał jej rolę drugoplanową. Zagrała Katherine, kuzynkę bohaterki.

Przybrawszy ponury wyraz twarzy - co nie było trudne: wystarczyło, że pomyślała o stryju Jasonie - ciężkim krokiem weszła do jadalni i usiadła przy małym stoliku obok kominka, demonstracyjnie ocierając oczy chusteczką. Chłopcy dostrzegli ją już, gdy wchodziła, jak to zwykle chłopcy.

Podszedł kelner, zdziwiony, że widzi ją po raz drugi. Poprosiła o filiżankę herbaty i ciasteczka, i udawała, że nie dostrzega spojrzeń chłopaków. Słyszała, jak guwerner szeptem zwracał im uwagę, by przestali się gapić, ale gdy zerknęła na niego, stwierdziła, że on także jej się przypatruje. Odwróciła się do kominka, jakby chciała ukryć żalosne łkanie.

Tego już było za dużo, niż pierwszy z chłopców mógł znieść. Młody dżentelmen w ciągu sekundy znalazł się przy jej stoliku, przepełniony młodzieńczą rycerskością.

- Proszę mi wybaczyć... panienko...?

Mirandzie nieobce były podstawowe zasady dobrego wychowania. Młodej damie nie wypada rozmawiać z dżentelmenem, który nie został jej formalnie przedstawiony. Młodzian zrobił dokładnie to, czego chciała, rzuciła mu jednak nieufne, urażone spojrzenie.

- Proszę mi wybaczyć. - Chłopiec się zaczerwienił. - Nie mogliśmy nie dostrzec, że ma pani jakieś zmartwienie, i właśnie zastanawialiśmy się... - Jego głos załamał się, wyższy nagle

o oktawę.

Miranda skrzywiła się, ale zdołała to ukryć.

- To znaczy... - spróbował ponownie - czy nie moglibyśmy jakoś pani pomóc?

Zatrzepotała skromnie rękami i obdarzyła chłopca niepewnym uśmiechem.

To poskutkowało. Zarówno drugi chłopiec, jak i guwerner w okamgnieniu dołączyli do nich, obsypując ją uprzejmościami.

- Biedna, droga pani...

- Co to za zmartwienie?

- Panowie są naprawdę bardzo dobrzy. Nie wiem, co mam robić! - Zdobyła się na

kilka łez. - Otrzymałam wiadomość, że moja stara niania leży na łożu śmierci. Muszę ją zobaczyć. Tak bardzo ją kocham! Nie ma nikogo prócz mnie. Muszę do niej pojechać, a rodzice się nie zgadzają. Przyznaję się, że... że uciekłam z domu, by zdążyć pożegnać się z nią!

- Ależ panienko, to bardzo nierozsądne uciekać od rodziców! - zmarszczył brwi nauczyciel. Miał zaledwie dwadzieścia trzy, może dwadzieścia cztery lata.

- A dlaczego nie pozwolili pani pojechać? - spytał drugi z chłopców, robiąc wielkie oczy.

Miranda chlipnęła.

- Nie pozwolili mi wyjść z domu, bo właśnie tego wieczoru mieli urządzać mi spotkanie z takim okropnym starym... pułkownikiem, za którego każą mi wyjść!

Chłopcom aż tchu zabrakło z oburzenia, ale guwerner spojrzał na nią raczej sceptycznie.

- Zmusiliby panią do małżeństwa wbrew woli? - wykrzyknął pierwszy chłopiec.

- Nic dziwnego, że pani uciekła! - zawtórował drugi. Oszołomieni patrzyli, jak

przykłada chusteczkę do oczu.

- Wiem, wiem. Ale najważniejsza jest dla mnie moja biedna niania. Muszę jakoś dostać się do Yardley, zanim nie będzie za późno - rzekła melodramatycznie. Odsunęła filiżankę z herbatą i wstała.

- Panowie wybaczą, ale muszę już iść.

- Pozwoli pani, że przywołamy jej powóz - zaproponował pierwszy chłopiec.

- Nie mam powozu.

- Więc konia - zaoferował drugi.

- Konia też nie mam. Nie mogłam ryzykować zabrania żadnego z koni ojca, by mnie nie odkryto.

Chłopcy wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- W porządku - rzekli do siebie, po czym zwrócili się do Mirandy: - Jeśli nam pani pozwoli, zawieziemy panią szybko i bezpiecznie do Yardley.

- Och, nie chciałabym nadużywać uprzejmości panów - zaczęła, ale, rzecz jasna, naiwni młodzieńcy wkrótce zdołali ją przekonać.

Damien błędził po polu usłanym ciałami zabitych.

Odgłosy dział ucichły.

Wieśniacy ukradkiem wysuwali się z zakamarków zapyłonej hiszpańskiej osady i wymykali na pole bitwy. Na pobliskich gałęziach, kracząc, czyhały zgłodniałe kruki.

Wieśniacy krążyli pośród ciał, obdzierając zabitych ze wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość. Gdy poranna mgła uniosła się, na polu zostały tylko rozkładające się nagie zwłoki - zarówno najeźdźców, jak i wyzwolicieli.

Ujrzał żołnierzy przy pracy: ściągali na stosy swoich zabitych towarzyszy i składali ich do zbiorowych mogił na skraju pola bitwy; usłyszał, jak ktoś woła go po imieniu. To był

Lucien.

Brat szukał go w morzu ciał, ale Damien nie był w stanie się poruszyć ani odezwać.

Zaczynał zdawać sobie sprawę, że jest ciężko ranny i leży pod stosem trupów. Anioł, który przyszedł zabrać go do nieba, siedział nieopodal, przycupnąwszy na kole od wozu, z brodą opartą na pięści i skromnie opuszczonymi skrzydłami. Miał gęste, ciemne warkocze i oczy barwy wiosennej zieleni, wnikał w głąb duszy Damiena. Ów anioł - a może raczej anielica? - siedziała tam po prostu, patrząc na niego.

Pomóż mi, próbował ją błagać, ale nie mógł mówić. Wydawała się na coś czekać, na jakiś znak od niego, znak, którego nie mógł jej dać, sparaliżowany, półmartwy.

Wtedy poczuł, że jeden z wieśniaków sięga po jego ubranie. Opanował go dławiący lęk. Nie mógł się poruszyć ani obronić, jakby wszystkie członki mu zamarły. Próbował krzyknąć, ale nie mógł wydobyć głosu.

Precz ode mnie, nie jestem martwy. Ciągle jeszcze żyję, do cholery!

Obudził się nagle i usiadł. Ciało pokrywał mu zimny pot, a rwący się oddech rozbrzmiewał ogłuszającym echem w ciszy pogrążonego w ciemnościach pokoju.

Przez chwilę nie miał pojęcia, gdzie się znajduje.

Powoli w głowie zaczęło mu się rozjaśniać; straszne wizje przeszłości pochowały się po kątach, jak potwory z dziecięcych koszmarów, wypuściwszy go na razie ze swoich szponów.

Spuścił nogi na podłogę, usiadł i sięgnął do stolika, by zapalić świecę. Ręce mu się trzęsły; z trudem manewrował krzesiwem i hubką. Ogień na kominku już wygasł i w pokoju panował lodowaty ziąb.

Po pierwszej nieudanej próbie skrziesania iskry Damien dał spokój i odłożył świecę na stół. Patrzył przed siebie wzrokiem pełnym poczucia beznadziejności.

Jason, draniu... ty to miałeś szczęście, pomyślał.

Na chwilę ukrył twarz w dłoniach, następnie podniósł się nerwowo i włożył kamizelkę, nie zapiął jej jednak; nie pomyślał też o halsztuku. Poza tym był całkowicie ubrany, bo zasnął, zanim przyszła pora na rozebranie się przed snem. Spojrzał na zegarek z dewizką: było wpół do dziesiątej.

Miranda.

Myśl o niej ściągnęła go natychmiast do rzeczywistego świata. Postanowił sprawdzić, co się z nią dzieje; miał dość już własnego ponurego towarzystwa. Ciągłe jeszcze dręczony wspomnieniem sennych koszmarów pomyślał, że trzeba by zamówić herbatę, a potem sprawdzić, co z Zeusem. Wyszedł z pokoju i skierował się naprzeciwko zobaczyć, czy Miranda nie jest głodna albo czy czegoś nie potrzebuje. Kiedy jednak zapukał lekko do drzwi, nikt nie odpowiedział.

Pewnie śpi, pomyślał. Już miał odejść i zostawić ją w spokoju - gdy nagle coś go tknęło - może złe przeczucie sprawiło, że się zatrzymał. To był ten sam szósty zmysł, który kazał mu zeszłej nocy obejrzeć się za nią w samą porę, by dostrzec napastników wyłaniających się z mroku. Nieufnie mrużąc oczy, podszedł ponownie do jej drzwi i zastukał znowu, tym razem głośniejsze.

- Mirando?

Nadal nie było odpowiedzi.

Zaczął walić w drzwi.

- Jesteś tam? - Boże, a jeśli coś jej się stało? - Mirando, odpowiedz! - Jego wyczulenie na niebezpieczeństwo sprawiło, że był już w pełnym pogotowiu. Złapał za klamkę i otworzył. Zdumiał się. Pokój był ciemny, łóżko niemal nieruszone.

Uciekła.

Klnąc pod nosem, rozejrzał się i wrócił do swego pokoju po szpadę. Wiedział, jak łatwo Miranda wpada w tarapaty. Już po chwili zbiegał w dół po schodach i pędził przez hol, nie zwracając uwagi na gości i służbę, patrzącą za nim z przestraszonymi twarzami. Z hukiem otworzył frontowe drzwi i wypadł na ciemne podwórze, ciężko dysząc z bijącym gwałtownie sercem. Jego wzrok spoczął na lśniącej dwukółce, która stała na wysypanym żwirze dziedzińcu. Widać było, że zaraz ruszy, bo stajenny czynił ostatnie przygotowania. A na siedzeniu woźnicy, ulokowana pomiędzy jakimiś dwoma żółtodziobami, siedziała jego podopieczna.

Nozdrza Damiana rozdęły się w furii, gdy dotarło do niego, że Miranda ponownie od niego uciekła. Z gniewną miną ruszył w stronę powozu.

- Proszę się odsunąć! - wrzasnął pierwszy z chłopców.

- A któż to taki? - wymamrotał guwerner.

Przerażona Miranda nie była w stanie wykrztusić słowa. Potężny mężczyzna o szerokich barach stał na drodze ze szpadą w ręku. Ucieleśnienie wściekłego, groźnego samca; surowej, nie marnującej czasu na słowa niszczącej siły. W mroźnym powietrzu unosiły się kłęby pary z jego oddechu; wyglądał w tej mgle jak rycerz z bajki.

- Stać! - ryknął.

- Róbcie, co wam każe - wykrztusiła Miranda, przerażona myślą, że Damien mógłby zacząć siać zniszczenie, jak zeszłej nocy.

- Zna go pani? - spytał drugi chłopak.

- To... pułkownik - odrzekła cicho.

Powozik już ruszał, ale Damien natychmiast go zatrzymał.

- Mówiła pani, że pułkownik jest stary!

- O co tu właściwie chodzi? - zdenerwował się nauczyciel.

- Uważaj, bo... - Chłopakowi słowa uwięzły w gardle, kiedy ostrze szpady Damiena znalazło się zaledwie parę centymetrów od jego szyi.

- Winterley! Nie rób mu krzywdy; to wszystko moja wina! - zawołała Miranda przerażona.

- Pułkownik... lord Winterley? - Guwenera aż zatkało ze strachu.

Stalowy wzrok Damiena wędrował od nauczyciela do Mirandy. Wskazała broń.

- Odłóż to! - Patrzyła mu uparcie w oczy, usiłując w ten sposób j go zmusić, by trzymał nerwy na wodzy.

Powoli z jego oczu znikła żądza mordy, ale usta nadal miał gniewnie zaciśnięte.

Opuścił szpadę i wbił ją czubkiem ostrza w błotnisty trakt, tak że weszła w ziemię na dziesięć centymetrów i tkwiła tam, drgając od siły uderzenia. Bez chwili wahania sięgnął po Mirandę, wy dostał z powozu i przerzucił sobie przez ramię.

Krzyknęła, gdy zawisła bezwładnie na jego plecach.

- Dajcie mi jej torbę - warknął Damien. Nauczyciel posłusznie podał mu torbę.

- Proszę wybaczyć chłopcom, milordzie. Ta młoda dama uraczyła nas jakąś nieprawdopodobną bajeczką.

- Wyobrażam sobie - warknął Damien i skierował się do zajazdu.

- Opuść mnie na ziemię! - wołała Miranda, odrzucając włosy z twarzy, ale trzymał ją w żelaznym uścisku. Zawrócił tylko, by zabrać szpadę.

Niósł dziewczynę bez wysiłku na prawym ramieniu, a szpadę i torbę trzymał w lewej ręce. Nie ugiął się nawet, gdy przechodził przez hol obok zaskoczonego w najwyższym stopniu majordoma. Miranda aż skręcała się ze wstydu i strachu na myśl, co z nią zrobi, gdy zostaną sami.

Nie musiała długo czekać. Wkrótce przemierzał korytarz drugiego piętra. Otworzył z impetem drzwi jej pokoju i wkroczywszy do środka, zatrzasnął je za sobą kopnięciem.

Przebiegł pokój w trzech susach i rzucił Mirandę na łóżko.

Wylądowała na plecach na miękkim materacu. Serce podeszło jej do gardła, gdy zobaczyła, jak Damien pochyła się nad nią, straszny i dziki; kilka odpiętych guzików u koszuli ukazywało falującą we wzburzeniu pierś.

- Ty niewdzięczna... zwariowana... mała diablico! - Wykręcił się na pięcie i odszedł kilka kroków.

Ostrożnie usiadła na łóżku, bojąc się oderwać od niego wzrok. Stał ze spuszczoną głową i dłońmi na biodrach. Patrzyła ze strachem, jak jego gigantyczne bary podnoszą się i

opadają, gdy starał się opanować gniew.

- Dlaczego uciekałaś? - spytał głucho, nie odwracając się. - Czy cię w jakiś sposób skrzywdziłem?

Uciekła się do wygodnego pretekstu.

- Chcę zostać aktorką i nie możesz mi tego zabronić! Obrócił się błyskawicznie i spojrzał na nią morderczym wzrokiem.

- Czy myślisz, że mam ochotę na tę opieką nad tobą? Uważasz, że nie mam nic lepszego do roboty, niż bawić się w twoją niańkę?

- To mnie puść i będziesz miał spokój!

- Gdyby to było możliwe! Ale mam zobowiązania względem twego stryja. Na miły Bóg, dziewczyno! Uciekać z obcymi ludźmi?

- Też jesteś obcy - odparła cicho.

- I zaufałaś im bardziej niż mnie? No, oczywiście! Mnie nie ufasz, Mirando. Ja tylko uratowałem ci życie. Ja tylko oberwałem kulę przez ciebie. Dlatego cały dzień opowiadałaś mi różne kłamstwa. Na tym polegała twoja gra, tak? A gdy tylko się odwróciłem, uciekałaś. Czy nie masz dość odwagi, żeby przeciwstawić mi się otwarcie?

Zaczęła protestować, ale jej przerwał.

- Nie. Dość już tych kłamstw. Rozumiem cię lepiej, niż myślisz, Mirando. Chcesz zostać aktorką, bo jesteś spragniona oklasków, wiem. Sądzisz, że twoja publiczność szalenie się tobą przejmuje, ale musisz poznać gorzką prawdę: ci mężczyźni chcą tylko iść z tobą do łóżka. Zapewniam cię, że nie mają ani krzty szacunku dla aktorki, którą koniecznie chcesz zostać. Myślisz może, że nadal będą ci wierni, kiedy twoja piękność przeminie? Wiesz, gdzie aktorki lądują na starość? W rynsztoku, tak, właśnie tam. Zapomniane. Samotne. Czy tego ci trzeba?

- Nie masz pojęcia, czego mi trzeba - wykrztusiła; trzęsła się cała po jego tyradzie.

Przejrzał ją na wylot. Spuściła wzrok.

- Oklaski to nie miłość, Mirando.

- Dla mnie to coś bardzo podobnego.

- Nieprawda. Boże, ależ z ciebie irytująca smarkula! Potrzebujesz kogoś, kto cię obroni. Zaopiekuje się tobą. Będzie się dla ciebie poświęcał. Ty po prostu potrzebujesz męża; przestań więc, do cholery, walczyć ze mną, jedź do Londynu i pozwól, że ci tego męża znajdę!

- A co cię obchodzi, co się ze mną stanie? - Poderwała się z łóżka i stanęła naprzeciw niego. - Czemu nie pilnujesz własnego nosa? Nie potrzebuję twojej pomocy. Nie potrzebuję opiekuna. Zostaw mnie! Jako twoja podopieczna zwalnięm cię od wszelkiej odpowiedzialności...

- Ponoszę za ciebie odpowiedzialność prawną, a od tego nie tak łatwo się wykręcić! Zresztą nie robię tego bynajmniej dla ciebie. Robię to wyłącznie dla Jasona.

- Nie ma go tu. Jeszcześ tego nie zauważył? Nie może cię kontrolować. Ot, nieboszczyk! - rzekła z goryczą.

- Licz się ze słowami! Pamiętaj, że mówisz o moim przyjacielu - ostrzegł. - Obietnica to obietnica, a ja dałem słowo. A teraz daj mi klucz od pokoju. Zamykam cię do rana.

- Prędej cię diabli wezmą! - Rzuciła się do nocnego stolika, gdzie zostawiła klucz, i chwyciła go.

Damien z surowym wyrazem twarzy wyciągnął rękę.

- Oddaj mi klucz, Mirando. Schowała rękę za plecami.

- Nie oddam! Nie pozwolę się zamknąć.

- Nie bądź dzieckiem! - Sięgnął jej za plecy, złapał nadgarstek i usiłował rozewrzeć

zaciśnięte palce. - Do cholery, Mirando, nie mam zamiaru pozwolić ci na zmarnowanie sobie

życia! Nie zostaniesz żadną aktorką; zostaniesz godną szacunku mężatką, tak jak chciał

Jason! Poddaj się, ty nieznośna złośnico!

Z łatwością pokonał ją i wydobyl klucz z jej dłoni.

- Nienawidzę cię! - wrzasnęła w desperacji.

- Nic mnie to nie obchodzi. - Obrócił się na pięcie i skierował ku drzwiom. - Radzę ci się przespać. Dylizans odjeżdża bardzo wcześnie.

Przerażona myślą, że za parę sekund będzie tu zamknięta i nie uda jej się nic zrobić dla Amy, patrzyła bezradnie za odchodzącym.

- Winterley! Nie rób tego!

- Nie mogę ci zaufać. Nie mam wyboru. Łzy napłynęły jej do oczu.

- Czekaaj!

Zatrzymał się i spojrzał na nią nieufnie przez ramię.

- Czego chcesz?

Z trudem przełknęła ślinę; czuła, jak krew pulsuje jej w żyłach.

- Ja... nie uciekłam po to, żeby zostać aktorką.

- Ależ tak, uciekłaś...

- Tak, ale tylko dlatego, że nie miałam wyboru.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Ja... chcę pojechać z tobą do Londynu. Chcę zostać damą. Ale nie wolno mi myśleć tylko o sobie. Dlatego właśnie muszę zostać aktorką. A przedtem muszę jeszcze wrócić do szkoły.

- Co takiego? To kompletnie bez sensu!

- Och, Damienie - szepnęła, potrząsając głową. - Tam... nie wszystko jest w porządku.

Nie zrozumiesz tego. Proszę...

- O co chodzi, Mirando? - spytał twardo.

Zamknęła na chwilę oczy, dygocząc. Nie mogła wprost uwierzyć, j że musi mu o tym powiedzieć.

i Ale nie miała wyboru. Damien pewnie jej nie uwierzy. Co znaczy jej słowo przeciw słowu duchownego, w dodatku teraz, kiedy już tyle razy skłamała? Nie, on musi jej uwierzyć. Musi.

Zebrała się w sobie, wzięła głęboki oddech i otworzywszy oczy, napotkała jego przenikliwe spojrzenie.

- Pamiętasz tę małą dziewczynkę ze złotymi kędziorkami? Dygnęła przed tobą na podwórzu szkolnym.

Skinął głową.

- Ona... jest w wielkim niebezpieczeństwie - wyrzuciła z siebie.

Przewrócił oczami, wyraźnie zamierzając wyjść.

- Kolejna bajeczka.

- Nie! Damienie, proszę, musisz mnie wysłuchać! Muszę tam wrócić i zabrać ją.

Miałeś rację: skłamałam dzisiaj, udawałam, że zrobię to, co mi każesz. Kłamałam też tamtym chłopcom w powozie. Cały dzień planowałam, jak wrócić i uratować Amy.

- Przed czym?

Rzuciła mu błagalne spojrzenie.

- Przed wielebnym Reedem. Potrząsnął głową, nie rozumiejąc.

- Co masz na myśli?

- A jak sądzisz, co mogę mieć na myśli? - szepnęła, siłąc się na zuchwałość, ale widać było, że jest roztrzęsiona.

Powoli podszedł do łóżka. Oparł dłonie na biodrach i spojrzał jej w twarz.

- Mów dalej.

- Reed... krzywdzi dziewczynki. On nie jest... normalny. Nikt nie wie, co naprawdę dzieje się w murach tej szkoły. Bije nas... brzozową różgą. - Zaciśnęła oczy z obrzydzeniem i zmusiła się, by mówić dalej. - On nas... dotyka. I... siebie też.

Kiedy odważyła się ponownie spojrzeć na Damiena, dostrzegła w jego oczach żądę mordy. Usiadł na łóżku obok niej, w zamyśleniu pocierając wargi.

Kiedy się wreszcie odezwał, jego głos był bardzo spokojny.

- Słucham cię, mów dalej.

- Najbardziej zależy mi na małych dziewczynkach. Podobają mi się takie, no wiesz...

jeszcze... bez piersi. - Gorycz wezbrała w jej głosie. - Chyba tylko po to otworzył szkołę dla dziewcząt. A na Amy Perkins ma oko już od miesiący. Jak dotąd udawało mi się trzymać ją z dala od niego. Ale teraz, kiedy mnie nie ma... - aż się zająknęła na myśl o tym, co mogło się już wydarzyć. - Proszę cię, Damienie! Musimy jej pomóc. Ma dopiero dwanaście lat. On zaczeka, aż inne dziewczęta pójną spać, i...

- Zajmę się tym - szepnął. Ujął jej rękę i przez chwilę trzymał w dłoniach. - Na pewno mówisz prawdę? Bo zamierzam położyć na szalę cały swój autorytet. Ręczyć swoim honorem.

- Mówię prawdę - szepnęła z błagalnym łkaniem.

Dotknął ręką jej policzka, wpatrując się w nią intensywnie. Głos miał szorstki, ale mimo gniewu opanowany.

- Nikt nigdy cię już nie skrzywdzi, rozumiesz? Jesteś teraz pod moją opieką i...

Rzuciła mu się w ramiona, zanim skończył, i mocno objęła za szyję. Przywarła do niego, tuląc drżące ciało do jego ciała. Przez chwilę gładził jej włosy, a potem po prostu tylko

trzymał ją w ramionach.

- Aniołku, wiem, jak się mnie bałaś po tamtej nocy - wyszeptał ale niezależnie od tego, co się stanie, możesz mi ufać. Daj mi szansę, żebym ci to udowodnił.

Zacisnęła powieki, zbyt wzruszona jego słowami, by odpowiedzieć. Wiedząc, że liczy się każda chwila, odsunęła się i spojrzała mu w oczy.

- Chcę z tobą pojechać - powiedziała drżącym głosem. - Dziewczęta będą mnie potrzebowały.

Skinął głową i wstał, ale powstrzymała go, chwytając za rękę. - Damienie, proszę... już dość przelewu krwi. Wiem, że na to zasłużył, ale... chyba tego bym nie wytrzymała. Podniósł jej dłoń do ust i pocałował delikatnie.

- Za nic w świecie nie chciałbym znowu cię przestraszyć. - Czułym gestem zacisnął jej palce w pięść, jakby chciał zachować swój pocałunek wewnątrz jej dłoni. Potem odwrócił się do drzwi i otworzył je. - Szykuj się. Wynajmę powóz. Szybkim zaprzęgiem dotrzemy tam w półtorej godziny - stwierdził. Światło padające z korytarza oświetliło jego profil.

Skinęła głową, zbyt przejęta, by wykrztusić choćby słowo podziękowania. Wtedy wyszedł, zostawiając ją tulącą do piersi zaciśniętą piąstkę i drżącą w ciemności wobec przerażająco nowego doznania, że oto ma kogoś po swojej stronie.

Wkrótce pędzili do Yardley w lekkim powoziku zaprzężonym w czwórkę koni, który Damien wynajął w zajeździe. Powoził sam, spokojnie i pewnie, jak starożytny Rzymianin kierujący rydwanem. Stajenny zajął miejsce z tyłu powozu, Miranda natomiast siedziała obok woźnicy, trzęsąc się z niepokoju i z zimna tej wietrznej nocy. Damien bezlitośnie popędzał konie po krętej drodze. W świetle księżycy jego twarz była nieporuszona, ale błysk gniewu w oczach mówił Mirandzie wyraźnie, że jej dawny dyrektor znajdzie się za chwilę w poważnym niebezpieczeństwie.

Gdy w końcu wjechali na szkolny podwórzec, niespokojnie objęła wzrokiem stary dom. Okna były ciemne, świeciło się tylko w saloniku panny Brocklehurst. Damien zatrzymał konie, zeskoczył z kozła i skierował się do frontowych drzwi.

Po chwili nocną ciszę zmaćił huk: lord Winterley walił w ciężkie, dębowe drzwi. Miranda nadal siedziała na kozle jak sparaliżowana, a serce tłukło jej się w piersi. Zasłona w oknie saloniku poruszyła się i panna Brocklehurst wyjrzała na zewnątrz. Widok znienawidzonej twarzy przełożonej pobudził Mirandę do działania. Musiała myśleć teraz o Amy. Nie było czasu na przejmowanie się własnymi krzywdami czy wstydem. Musiała uratować to dziecko, i tylko to się liczyło. Zeskoczyła na ziemię, pobiegła za Damienem i weszła za nim do środka, kiedy panna Brocklehurst otworzyła drzwi.

- Lordzie Winterley, co też pana sprowadza...

- Gdzie on jest? - rzucił Damien.

- Może w swoim gabinecie - zasugerowała Miranda, gdy Damien przeszedł obok przełożonej i wkroczył do holu.

- Reed! - ryknął na cały głos.

- O co chodzi?! - krzyknęła panna Brocklehurst. - Dobrze pani wie - mruknęła Miranda, podbiegając do schodów. - Amy! Sally! Jane! - zawołała.

Gdy Damien otworzył drzwi gabinetu wielbnego Reeda, zamarła na dźwięk dochodzącego stamtąd krzyku Amy. Z przekleństwem na ustach Damien wpadł do pokoju.

Miranda była zaledwie krok za nim, ale panna Brocklehurst spróbowała zagrozić jej drogę.

- Co ty sobie wyobrażasz, moja panno? Miranda odepchnęła ją.

- Precz ode mnie! Amy!

Wpadła do gabinetu w chwili, gdy Amy zrywała się ze stojącej pod ścianą kanapy.

Potykając się, przebiegła przez pokój i z oczami pełnymi przerażenia rzuciła się w objęcia

przyjaciółki.

Miranda mocno przycisnęła dziewczynkę i patrzyła, jak Damien zbliża się do dyrektora. Na twarzy wielebnego Reeda malował się strach; z podwiniętymi rękawami koszuli, w rozpiętej kamizelce, z rozczochranymi tłustymi włosami i na pół zdjętym kołnierzykiem cofał się pod ścianę. Miranda i Amy przytulone do siebie, patrzyły z drżeniem, jak Damien przyparł Reeda do ściany i uderzył go potężnie w twarz. Gdy wielebny upadł, podniósł go z podłogi za kołnierz i zadał następny cios. Stojąca w drzwiach panna Brocklehurst aż jęknęła na widok ogłuszonego Reeda, padającego na ziemię jak worek, ze strużką krwi płynącą z nosa.

Damien stanął nad półprzytomnym mężczyzną z zaciśniętymi szczękami i nozdrzami rozdętymi w furii, jakby miał ochotę nadziać go na ostrze szpady.

- Poszukaj pani Warren - rozkazał Mirandzie. - Każ jej natychmiast jechać do Birmingham i sprowadzić tu konstabla i sędziego pokoju. Nasz stajenny ją tam zawiezie.

Miranda skinęła głową.

- Chodź, malutka - zwróciła się do Amy, ale dziewczynka wyrwała się z jej objęć i podbiegła do skulonego na podłodze wielebnego Reeda.

- Ha! - wrzasnęła triumfalnie, wymierzając mu silnego kopniaka w krocze.

Zdumiona Miranda czym prędzej odciągnęła ją i zabrała do kuchni, by zgodnie z rozkazem Damiena wydać odpowiednie polecenia kochanej starej gospodyni, pani Warren.

Dziewczęta siedziały w sypialni zbite w gromadkę, spoglądając jedna na drugą, zbyt wylęknione, by mówić, kiedy pojawił się konstabl i wyprowadził Reeda skutego kajdankami.

Pannie Brocklehurst również polecono pójść z policjantami na przesłuchanie. Miranda nie miała pojęcia, jaki los spotka teraz tych dwoje.

Następne godziny minęły jak w niespokojnym śnie. Pojawiły się dwie damy z

towarzystwa dobroczynnego i zadawały dziewczętom pytania. Potrząsały głowami z niedowierzaniem, gdy te opisywały im, jakie piekło tu przeżywały. Jedna z dam była żoną sędziego pokoju, druga jego siostrą. Miranda początkowo mówiła mało, obawiając się przykrości na wypadek, gdyby panie jej nie uwierzyły, ale obserwując ich reakcję, nabrała nowego szacunku dla pozycji swego opiekuna. Pułkownik lord Winterley był hrabią i bohaterem wojennym, znanym zwłaszcza, jak się zorientowała, z kryształowej uczciwości. Teraz nie tylko dziewczęta były przeciw wielebnemu Reedowi: miały po swojej stronie wielkiego lorda Winterleya, który widział na własne oczy, co dyrektor robi z dziewczynkami. Na dole urzędnicy konfiskowali szkolne księgi rachunkowe, gdyż Damien podejrzewał, że dyrektor musiał sprzeniewierzać fundusze, sądząc po strasznym stanie ubrań i obuwia dziewczynek, po ich niedostatecznie ogrzanych pokojach i po potwierdzonej przez panią Warren fatalnej jakości jedzenia, jakie kazano jej przygotowywać - podczas gdy opłaty wnoszone przez rodziców były bardziej niż wystarczające, by stworzyć o wiele lepsze warunki.

W końcu lord wszedł po schodach i ostrożnie zastukał do drzwi sypialni. Miranda wpuściła go. Niczym oswojony lew, Damien zasiadł pośród grona panienek, serdecznie wypytyując każdą po kolei, czy dobrze się czuje. Amy objęła go rączkami za szyję i nawet trochę popłakała na jego ramieniu.

Miranda w milczeniu obserwowała każdy jego ruch, starając się pogodzić obraz tego pełnego siły i czułości rycerza z dzikim wojownikiem rozdzierającym na strzępy czterech zbójów w Bordesley Green. Był najbardziej przerażającym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkała, a równocześnie najszlachetniejszym.

Następnie obie damy z dobroczynności wzięły sprawy w swoje ręce.

Zgodziły się ze zdaniem Damiena, że dla dobra dziewcząt, które już dość się

nacierpiał, wszystko trzeba przeprowadzić jak najdyskretniej. Starsza dama, bezdzietna wdowa, nalegała, by Amy, Sally i Jane zamieszkały w jej przemiłej miejskiej rezydencji aż do końca przerwy świątecznej. Żona sędziego pokoju podjęła się zadania zaangażowania nowych nauczycieli i wysłania listów do rodzin pozostałych uczennic z wyjaśnieniem przyczyn odejścia wielebnego Reeda i panny Brocklehurst. W końcu Miranda uznała, że zostawia swoje przyjaciółki w dobrych rękach; to zaś oznaczało, ku jej wielkiej radości, że teraz ma prawo przekroczyć próg nowego życia, które dzięki Damienowi miało się przed nią otworzyć - życia, jakiego matka tak niegdyś dla niej pragnęła.

Uściskała Sally Jane i Amy, obiecała napisać do nich z Londynu, po czym udała się wraz z Damienem do powozu. Była druga nad ranem. Dylizans do Londynu miał odjechać z Coventry za pięć godzin.

Noc była pogodna, ale mroźna. Miranda przystanęła na chwilę, wpatrzona w czarne jak onyks niebo gęsto usiane gwiazdami. Zastanawiała się, czy tam w górze, za tymi dalekimi, migoczącymi światełkami stryj Jason i rodzice patrzą teraz na nią.

- Może już pójdziemy?

Odwróciła się na pytanie, zadane tak łagodnie. Damien stał, czekając, by pomóc jej wejść do powozu, a światło gwiazd opromieniało rzeźbione rysy jego twarzy.

Wpatrzona w srebrne głębie jego oczu, odczuła ogromną wdzięczność za to, co dla niej dzisiaj zrobił. To uczucie wstrząsnęło nią. Znał jej najbardziej wstydlive tajemnice i cierpienia, a to było groźną bronią w rękach ludzkich. Nieufnie zastanawiała się, czego może zażądać w zamian za to, co dla niej uczynił. Jednak wobec nowo odkrytej wiary w niego porzuciła takie myśli. Stryj Jason dobrze wybrał jej opiekuna. Wydawało się, że Damien Knight nie chce od niej niczego poza tym, by choć trochę pomogła mu w wypełnieniu zobowiązań, jakie miał wobec jej stryja.

- Może teraz nareszcie zaczniesz mi ufać - powiedział; jego mocny głos brzmiał

spokojnie w atramentowej ciszy zimowej nocy.

Miranda nie była w stanie się odezwać, wpatrywała się tylko w niego z mieszanymi uczuciami lęku i pragnienia. Ocalił jej życie; ocalił jej przyjaciółki; potwierdził, że naprawdę zasługuje na miano bohatera. Ale słowa wdzięczności nadal więzły jej w gardle, hamowane zuchwałością, która przez tyle lat była jej jedyną bronią.

Czuła w sobie łagodną, kobiecą potulność i pragnienie porzucenia dawnych dziecinnych zachowań, tandetnie błyskotliwych młodzieńczych marzeń o sławie aktorki, wiecznego gniewu i uporu. Była gotowa przyjąć zasady, którymi kierował się ten silny, sprawiedliwy mężczyzna, jakby jego szlachetność złagodziła dzikie cechy jej charakteru. Zarazem jednak buntowała się wewnątrz - przecież nie tak wyobrażała sobie swoje przeznaczenie. Gdy Damien wyciągnął rękę, by pomóc jej wsiąść do powozu, nie mogła oprzeć się temu, co dyktowało jej serce.

Uniosła dumnie głowę, wyprostowała się i podeszła do niego.

Algernon, lord Hubert, nie mógł zasnąć. Nie przeszkadzały mu w tym wyrzuty sumienia ani rozważania, co zrobi z pieniędzmi, kiedy już wyciągnie je dyskretnie z konta Mirandy, tylko zwykły przyziemny kłopot. Podejrzane typy wynajęte przez niego do zlikwidowania tego bękarta, osobnicy nie cieszący się dobrą sławą, ale przydatni, gnieźdzący się w jednej z należących do Algernona londyńskich ruder, powinni byli już dawno zgłosić się po zapłatę. Dotychczas się nie pojawili.

Siedział w wyłożonym dębową boazerią gabinecie; drzwi zostawił otwarte, tak by mieć oko na frontowy hol. Stary szafkowy zegar wydzwonił już drugą, a Crispina ciągle nie było; nie wrócił jeszcze ze swojej wędrówki po jaskiniach gry.

Myśl o synu wywołała w nim, jak zwykle, mieszane uczucia: rozczarowania i

behradnej czułości. Kochał Crispina bardziej niż kogokolwiek na świecie. Bardziej niż swoje bezbarwne córki Daisy i Parthenię, które już dawno spisał na straty, uznawszy za głupie gęsi; bardziej nawet, niż kochał kiedyś swoją żonę o pozbawionych wyrazu oczach. Gdyby tylko mógł zwierzyć się Crispinowi, że wszystko co zrobił, robił dla niego! Lord wpatrywał się w płomień świecy służący z psami kulił się w kącie, czekając dalszych rozkazów.

Algernon sączył gorące mleko z odrobiną whisky, które powinno było sprowadzić sen, ale z zaśnięciem było coraz trudniej, zwłaszcza od momentu, gdy dowiedział się od adwokata Jasona, że człowiekiem, którego jego brat wyznaczył na opiekuna, jest budzący ogólny lęk i respekt pułkownik lord Winterley.

Wysłał do Birmingham czterech zbirów, by dopadli Mirandę, zanim Winterley do niej dotrze, teraz jednak dochodził do wniosku, że im się nie udało. Może wystraszyli się i zrezygnowali z obiecanego złota, świadomi ryzyka związanego ze spotkaniem z hrabią o stalowym wzroku? Algernon zdawał sobie sprawę, że jeśli Winterley odebrał już Mirandę ze szkoły, będzie musiał znaleźć jakieś inne rozwiązanie.

- Egann - odezwał się, spoglądając w kąt pokoju.

- Tak, jaśnie panie? Jestem tutaj. - Łysiejący sługa wychynął cienia, ciągnąc za sobą zdeformowaną nogę. Będziesz obserwował dom Knightów. Jeżeli nasi ludzie w Birmingham nawalili, lord Winterley z pewnością przywiezie moją bratanicę do rezydencji swojej rodziny. Chcę wiedzieć, kiedy przyjadą. Bądź dyskretny. Nie pozwól, by cię zauważono.

- Rozumiem, jaśnie panie. - Egann uklonił się i pokuśtykał, by wykonać rozkaz.

Po odejściu zaufanego służącego Algernon nabrał wiary w pomyślne zakończenie swoich kłopotów. Już niebawem, powtarzał sobie, będę miał wszystko pod kontrolą!

Przynajmniej nie musiał obawiać się żadnych przykrości ze strony oficerów policji kryminalnej z Bow Street, którzy przybyli, by zadać mu kilka rutynowych pytań w związku ze

śledztwem w sprawie brata. Zagadnęli go, czy on i brat pozostawali w bliskich stosunkach.

Nie, nie byli ze sobą blisko, wyjaśnił im Algernon, ale zawsze bardzo się lubili. Cóż, to oczywiste: więzy krwi.

Odpowiadał na pytania w poczuciu bezkarności; przekonany, że żywa dusza nie widziała go, kiedy wykradał się tylnym wyjściem z mieszkania Jasona w podejrzanej podmiejskiej dzielnicy, po której ongiś, w czasach rozpustnej młodości, wałęsał się od jednej obskurnej knajpy do drugiej. Tym razem udał się tam wynajętą dorożką, bo powóz z herbem na drzwiczkach mógłby go zdradzić. Niech tam sobie policja szuka, ile wlezie; sprawy zabójstwa jego młodszego brata nigdy nie uda się rozwiązać. Wszak prawdy o śmierci Richarda i Fanny władze też nigdy nie zdołały odkryć! Był w tym naprawdę dobry, coraz lepszy, myślał, pociągając solidny łyk mleka z whisky. Major Jason Sherbrooke stał się po prostu przypadkową ofiarą okropnej dzielnicy, w której zamieszkał, zresztą z własnej woli.

Algernon usłyszał skrzypienie otwieranych drzwi. Do mieszkania wszedł, zataczając się, Crispin - nareszcie w domu po całonocnych hulankach. Psy rzuciły się witać przystojnego dwudziestopięciolatka, merdając ogonami, skrobiąc pazurami marmurową posadzkę holu.

- Witajcie, pieski! Dobrze pieski... - mamrotał chłopak, kompletnie pijany.

Bogu dzięki, pomyślał Algernon. Dobry humor Crispina oznaczał, że miał dziś szczęście przy stole, a w każdym razie nie przegrał zbyt dużo.

- Crispinie! - odezwał się surowo. - Ach ojcie! Doskonale mi poszło! - Młodzieniec wkroczył do pokoju; światło świec złociło jego jasne kędziory. Z łobuzerskim uśmiechem wysypał na biurko ojca garść złotych suwerenów. Algernon walczył ze sobą, starając się pohamować uśmiech.

- M ó w i ł e m ci, żebyś trzymał się z dala od tych jaskiń gry, prawda?

Cuchnący dymem i piwem Crispin mrugnął do ojca, rozpoznając, co się kryje za tą

naganą.

- Mówiłeś mi, żebym nie przegrywał. No to nie przegrywam. Dobranoc, ojcze.

Algernon potrząsnął głową z westchnieniem.

- Dobranoc, synu.

Rzecz, która najbardziej go niepokoiła, było podobieństwo Crispina do jego starszego brata Richarda. Ten sam błysk w oczach, ten sam nonszalancki, beztroski uśmiech... Crispin nie martwił się o siebie, więc Algernon tym bardziej martwił się o niego. Martwił się o wszystko. O Mirandę i lorda Winterleya. O swoje głupie córki i tępą żonę. O swój dom, tytuł, o ostatni projekt ustawy w parlamencie, o prawa zbożowe, o notowania na giełdzie, o Napoleona, wreszcie o pogodę; a już drażniło go nie do zniesienia, że Richard, który w końcu był głową rodziny, nie martwił się absolutnie niczym.

Zdmuchnął świecę i siedział w ciemnościach, słuchając, jak psy układają się do snu w kącie pokoju.

Następnego dnia już od świtu na podwórzu zajazdu panowało podniecenie. Słysząc było ożywione głosy podróżnych chcących jak najprędzej dotrzeć do swoich krewnych na Boże Narodzenie. Lśniący czarny dyliżans stał na podwórzu; na jego dachu piętrzyły się kosze i kufry, paczki i toboły. Żłoto - czerwone litery głosiły, że pojazd należy do firmy Star Line, a czwórka koni stukała niecierpliwie kopytami i puszczała z nozdrzy kłęby pary.

Woźnica witał wsiadających pasażerów, a pocztylion z trąbką w ręku wspinał się na swoje stanowisko na szczycie, z którego miał uważać na bagaże.

Może na skutek zbyt krótkiego snu Miranda czuła zawroty głowy, kiedy rozstawała się z Damienem na progu zajazdu i szła w kierunku dyliżansu, podczas gdy on udał się do stajni, by wyprowadzić Zeusa. Wsiadłszy do dyliżansu wraz z pozostałymi pięcioma pasażerami, odważyła się poprosić o miejsce przy oknie: chciała wyglądać na świat. Patrzyła, jak Damien wyprowadza białego ogiera ze stajni, i podziwiała łatwość, z jaką wsunął stopę w strzemień, po czym lekko opadł na siodło. Stajenni po raz ostatni sprawdzili uprząż; woźnica dyliżansu dał znak do odjazdu i ruszyli w drogę.

Przez chwilę Miranda wymieniała uprzejmości z pozostałymi pasażerami, którzy chętnie dzielili się z nią swoimi planami na święta. W ciągu godziny zrobiło się zupełnie jasno, poranne słońce rozzłociło zaśnieżone pola. Rytmiczne kołysanie powozu uspiło Mirandę. Drzemała z głową opartą o szybę okna, aż obudził ją dźwięk trąbki pocztyliona, oznajmiający pierwszy przystanek: Rugby.

- Bardzo tu przytulnie - zauważyła, starając się wprawić swego towarzysza w lepszy humor, choć zdawała sobie sprawę, jak bardzo musi być zmęczony.

- Przytulnie? - burknął. - Tak, uwielbiam spać na podłodze! Jeżeli jest coś, czego nie znoszę, to zła organizacja. Przepraszam cię za to. Gdybym wiedział, że będziesz jechała ze

mną, zadbałbym o lepsze warunki.

Zaśmiała się i powiesiła kapelusz na słupku łóżka, a rękawiczki złożyła na małym stoliku przy ścianie.

- Możemy się tu doskonale urządzić - powiedziała. - To tylko jedna noc.

- Mam nadzieję. Ale lepiej, żebyś o tym nikomu nie opowiadała - odparł Damien, padając na łóżko. Leżał na wznak z zamkniętymi oczami, z nogami w długich butach ciągle wspartymi na podłodze.

Miranda przeszła na drugą stronę łóżka i położyła się na brzuchu, opierając głowę na łokciach. Z uśmiechem studiowała jego twarz, odważyła się nawet na przelotną pieszczotę, gładząc jego jedwabistą czuprynę.

- Tej nocy ty będziesz spał w łóżku. Ja prześpię się w fotelu. Udało mi się zdrzemnąć w dyliżansie...

- Nie. - Oczy miał wciąż zamknięte, ale wydawał się zadowolony, że głaszcze go po głowie. - Zawsze mogę przespać się w stajni, jeśli trzeba.

- Nie mów głupstw. Ty, nasz narodowy bohater? Otworzył oczy i spojrzał na nią.

Pociągnęła go lekko za włosy, uśmiechając się przekornie.

- Już dostatecznie poświęcałeś się dla mnie, milordzie. Nie zamierzam wyrzucać cię na mróz i narażać na spanie ze zwierzętami.

Westchnął i znów przymknął powieki.

- Nie poświęcałem się wcale, Mirando - zapewnił.

Jej uśmiech złagodniał, kiedy patrzyła, jak napięcie znika z jego twarzy pod dotknięciem jej ręki.

- Odpocznij - wyszeptała. - Poszukam pokojówki i zamówię kolację. Co byś zjadł?

- Cokolwiek, byle prędko.

- Rozumiem. - Wstała z łóżka, podeszła do drzwi i zerknąwszy na niego przez ramię, udała się na poszukiwanie służącej.

Kiedy Miranda wyszła z pokoju, Damien czym prędzej zrzucił surdut i kamizelkę, chcąc wykorzystać tych kilka minut samotności na oczyszczenie rany na ramieniu i zmianę bandażu. Był zmęczony i głodny, ale przede wszystkim szczęśliwy, że znowu jest komuś potrzebny. Nalał wody z dzbanka do miednicy i ściągnąwszy koszulę przez głowę, wydobył z chlebaka bandaż, który dał mu chirurg z garnizonu Morrisa.

Aż jęknął z bólu, zrywając stary opatrunek, który przywarł do formującego się dopiero strupa. Tak się spieszył, by zdążyć z oczyszczeniem rany i zmianą bandaża, że zapomniał o podgrzaniu wody i ledwie starczyło mu czasu na użycie mydła. Właśnie opatrywał ramię, trzymając drugi koniec bandaża w zębach, kiedy usłyszał ciche pukanie.

Chwilę później Miranda otworzyła drzwi i weszła do pokoju.

- Kolacja w drodze... O rety! - Jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia, gdy zobaczyła Damiena bez koszuli.

Wypuścił koniec bandaża spomiędzy zębów i powiedział:

- Daj mi jeszcze chwilę. Muszę opatrzeć ranę.

Pochyliła głowę z przekornym uśmiechem, wpatrując się w jego nagi tors.

- Nie możesz zaczekać? - fuknął. W chwili, kiedy to mówił, bandaż znowu się rozwinął. - Do cholery! - zaklął.

Roześmiała się i podeszła do niego.

- Pozwól, że ci pomogę.

- Nie potrzebuję pomocy - burknął, zerkając na jej kołyszące się biodra. Zmusił się do wbicia wzroku w podłogę, ale cały czas miał piekielną świadomość jej bliskości. - Powinnaś stąd wyjść, aż się przyzwyczaję.

- Powinnam, powinnam, powinnam... Nie mam zamiaru pozwolić ci stać tutaj i

krwawić, skoro to była głównie moja wina. - Popchnęła go, aż oparł się pośladkami o stojący za nim stół. - Zostań tak - rozkazała. - Bardzo cię boli?

- Znam gorsze cierpienia.

Uniosła dłoń i przyłożyła do jego policzka.

- Nie przyznałbyś się, nawet gdyby bolało, prawda?

- Nie - wyznał ze skruszoną miną. Zresztą w tej chwili nie czuł bólu, tylko przyjemność pod jej dotknięciem.

- Cóż, wino powinno choć trochę uśmierzyć pieczenie. Kolacja będzie za chwilę.

Zamówiłam kaczkę, wieprzowe paszteciki i rostbef z kartoflami, bo chyba jesteś głodny?

Potwornie głodny, pomyślał. Jego wzrok powędrował ku jej wargom. Kiedy podeszła bliżej, by obejrzeć ranę, zerknął na jej dekolt i raczej wyczuł, niż dostrzegł kuszące okrągłości dojrzałych, kobiecych piersi. Z wysiłkiem przełknął ślinę i odwrócił wzrok, starając się opanować pożądanie. Serce waliło mu jak młotem.

Miranda starała się ukryć swoją reakcję na widok jego nagiego torsu i potężnych mięśni. Miała ochotę pieścić tę gładką jak aksamit skórę, opanowała się jednak i sięgnawszy po bandaż, owinęła nim ranę na ramieniu Damiena.

- Przytrzymaj tu, dobrze?

Usłuchał, nie odrywając spojrzenia od jej twarzy.

Zawiązując czysty bandaż wokół jego potężnego lewego bicepsu, miała nadzieję, że Damien nie domyśla się, jak bardzo pragnęłaby poznać każdy skrawek jego wspaniałego ciała. Powiodła oczami wzdłuż pięknego łuku szyi do twardych płaszczyzn ramion i piersi, a potem opuściła wzrok na wąską bruzdę biegnącą przez środek brzucha i kończącą się przy niewymownie uroczym pępku.

Marzyła, by pokryć ten przepiękny tors i rzeźbiony brzuch pocałunkami, by dawać mu rozkosz na wszystkie sposoby, jakich przed trzema laty potajemnie uczył ją Trick. Od tamtego czasu nie była z nikim w tak intymnej sytuacji; właściwie wstydziła się tego, co wie o mężczyznach i pragnieniach. Wtedy, jako naiwnie ufna szesnastolatka, starała się po prostu sprawić przyjemność swemu przystojnemu kawalerzyscie, pragnąc, by ją pokochał; z Damienem było jednak zupełnie inaczej. Trick domagał się pieśczoł, a ilekroć się wahała, zarzucał, że nie dba o niego, więc w końcu z oporami zgadzała się go dotykać; tymczasem Damien po prostu stał, ona zaś z trudem hamowała się, by go nie objąć. Jak nikt inny przedtem, zbudził w niej szczere, głębokie pragnienie. Wpatrywała się w grę światła i cienia na jego torsie... wreszcie całą siłą woli wyrwała się z transu.

- Możesz puścić swój koniec bandaża - szepnęła, unikając jego wzroku.

Puścił.

- Zdajesz sobie oczywiście sprawę, że ta sytuacja jest w najwyższym stopniu niewłaściwa.

Rzuciła mu ostrożne spojrzenie.

- Nikt nie musi o tym wiedzieć. Uniósł brwi w niemym pytaniu.

- Ci ludzie na dole i tak już uważają mnie za twoją kochankę wyjaśniła, wzruszając ramionami.

- Wiem. I dlatego nie podałem im twojego nazwiska.

- Nie za mocno? - spytała, chcąc zawiązać już bandaż. Spojrzał w dół i zgiął rękę, sprawdzając naciągnięcie bandaża. Aż zabrakło jej tchu, kiedy ujrzała napięty biceps.

Odwróciła wzrok, czerwieniąc się ze wstydu.

Zaśmiał się cicho, ale butnie; wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie.

- Doskonale - ocenił.

- W porządku. - Odchrząknęła, unikając jego wzroku. Ręce drżały jej lekko, gdy zawiązywała końce bandaża na supełek.

Wymamrotał półgłosem coś w rodzaju podziękowania; skinęła głową, ogarniając gorączkowym spojrzeniem jego wysoką sylwetkę, kiedy odszedł i wkładał koszulę. Zostawił ją rozpiętą, jakby specjalnie po to, by jej sprawić przyjemność.

Miranda myła ręce, gdy z zadumy wyrwało ją pukanie do drzwi. Pobiegnęła otworzyć i wpuściła pokojówkę, która przywiozła na stoliku na kółkach ich kolację. Jako że w pokoju było tylko jedno krzesło, Damien przysunął stolik do łóżka. Miranda zzuła buty i siadła na materacu po turecku. Smakowite potrawy i wyborne wino pomogły rozproszyć uporczywe napięcie.

Jedli bez pośpiechu, a kiedy Damien otworzył drugą butelkę wina, Miranda stała się bardzo ożywiona. Wyjęła grzebyk z kości słoniowej przytrzymujący jej włosy, rozpuściła je, po czym rozciągnęła się na łóżku. Oparła skrzyżowane stopy na udzie Damiena.

- A zatem, drogi lordzie - rzekła zuchwale, podejmując rozmowę dokładnie w momencie, w którym została przerwana. - Czy masz kochankę?

- Ależ Mirando... - Spojrzał na nią karcąco i jednym haustem opróżnił kieliszek.

- Pytam tylko dlatego, że każdy w tym hotelu myśli, że to ja nią jestem.

- Nie powinnaś zadawać mi takich pytań. - Odstawił kieliszek.

- Czemu? Jesteś może żonaty?! - wykrzyknęła.

- Nie, nie jestem - burknął.

- Więc odpowiedz na moje pytanie. Ja opowiedziałam ci o moim kawalerzyście, prawda?

- Nie mam kochanki.

- Ani żony, ani kochanki? Więc kogo masz, Damienie?

- Wyłącznie nieznośną smarkulę pod moją opieką, którą muszę oddać za żonę temu,

co zaoferuje najwięcej. - Sięgnął po butelkę z winem i napełnił swój kieliszek. Kieliszek

Mirandy postawił, dnem do góry, po czym ujął jej nogę w kostce i zaczął głaskać końcami palców poprzez białe pończochy.

- A zatem chcesz mnie sprzedać - oznajmiła przemądrzale. - Ile jestem warta na targowisku małżeńskim, jak sądzisz?

- Całe złoto króla Midasa nie dorówna twojej cenie, panno FitzHubert. - Uniósł kieliszek w toaście, wypił wino i zabrał się na nowo do jedzenia.

- No to o wiele więcej niż trzy szylingi za wieczór, które zarabiałam w teatrze - odparła z zadowoleniem.

Pogroził jej widelcem.

- Nie wolno ci pisać o tym nawet słówka, kiedy już przyjedziemy do Londynu, rozumiesz? Nikomu!

- Nawet mojemu przyszłemu mężowi? - Jemu przede wszystkim.

- Ale przecież małżeństwo opiera się na zaufaniu...

- Brednie! Opiera się na pieniądzu i na umocnieniu pozycji rodziny.

- Ja nie mara ani majątku, ani rodziny, nie przypuszczam więc, by ktoś mnie zechciał.

- Zechcą cię, zechcą. Masz coś... innego. - Co?

- Urodę. - Przypatrywał się chwilę. - Jesteś piękna.

- Mam nadzieję, że to wystarczy.

- Ponadto będziesz wspierana przez moją rodzinę, a to znaczy bardzo wiele. Mój najstarszy brat to książę Hawkscliffe. Najmłodszy, Alec, jest obecnie ulubieńcem najwyższych sfer. Zna wszystkich odpowiednich kawalerów do wzięcia w Londynie.

Nawiasem mówiąc, nie wspominaj mojej rodzinie o swej karierze scenicznej! leżeli uznam,

że trzeba, by o tym wiedzieli, sam im powiem w odpowiedniej chwili.

- Doskonale. To będzie nasz sekret. Jak również fakt, że składałeś mi nieprzystojne propozycje - dodała, trącając go w brzuch dużym palcem u nogi.

Przewrócił oczami.

- Musisz mi ciągle o tym przypominać? Zaśmiała się szelmowsko.

- Przecież tak było! A co, gdybym powiedziała „tak”? Właściwie już prawie to zrobiłam. Byłeś bardzo przekonujący... Wybacz, to żart! - zawołała, widząc, że zbladł na samą myśl o tym. Nie mogła się powstrzymać od śmiechu. - Jesteś taki zabawny, Winterley.

Nie musisz się tak czerwienić.

- Nie czerwienię się.

- Ależ tak, tyle że zupełnie niepotrzebnie. Nie jesteś pierwszym mężczyzną, który składał mi nieprzyzwoite propozycje, i mam nadzieję, że nie ostatnim.

- Mirando!

- Co? - Trzepnęła go poduszką.

- Ty szelmo! Upiłaś się?

- Chyba nie. Nie jestem pewna. W Yardley nigdy nie dawali nam wina. Czuję się... szczęśliwa.

- Szczęśliwa? - Złapał za róg poduszki, którą ponownie zamierzała się na niego. -

Przestań!

- Jesteś okropnie poważny, Winterley! - Sięgnęła po drugą poduszkę. - Będę w ciebie walić, dopóki się nie roześmiejesz!

Odchylił się w krześle z zawadiackim uśmiechem, kiedy zamierzyła się na niego, po czym przycisnęła ją sobą tak, że padła na wznak na miękkie łóżko.

- Jesteś... niemożliwa - skarcił ją z lekkim westchnieniem, opierając łokcie po obu

stronach jej głowy. Opuszkami kciuków gładził jej kości policzkowe.

- Trudna tak, ale nie niemożliwa. - Zarzuciła mu ręce na szyję, rozkoszując się jego ciężarem na swoim ciele; gładką pierś opierał się o jej gorset. - Wszystko zależy od tego, kto próbuje.

- To zabrzmiało jak zaproszenie - mruknął.

- Może i tak - wyszeptała, burząc mu czuprynę. - Czy masz zamiar je przyjąć?

Spojrzał na nią niepewnie.

- Nie wiem.

- Zastanów się - szepnęła, ale nie zaprotestował, kiedy powoli przyciągnęła jego głowę do swojej, aż ich wargi się spotkały. Objęła dłonią jego policzek, jakby prosząc w ten sposób, by jej nie odtrącił. Nie zrobił tego.

Zamknęła oczy, rozkoszując się gorącym jego ust na swoich wargach, potężnymi uderzeniami jego serca tuż przy jej piersi. Czowała, jak całe jego ciało drży, słyszała, jak jego oddech przechodzi w zdławiony jęk, kiedy rozchyliła wargi i wsunęła język do jego ust.

Porzuciwszy bolesną wstrzeźliwość, odpowiedział pełnym namiętności pocałunkiem, pożerał ją po prostu, opętany dzikim głodem. Poddała mu się z rozkoszą, wczepiając palce w jego jedwabiste czarne włosy. Czowała cudowną swobodę ducha, prężąc się w jego uścisku. Damien jęknął, podniecony do granic wytrzymałości. Jej spódnica zaszeleściła, kiedy rozrzuciła szeroko nogi, pozwalając mu ułożyć się wygodniej. Czowała pulsowanie czegoś twardego jak stal tuż przy tym miejscu swego ciała, które stanowiło ośrodek rozkoszy.

Gorączkowo wczepił się w jej pierś, przesuwał kciukiem tam i z powrotem po sutku, co doprowadzało ją do ekstazy. Wsunęła dłoń w wycięcie jego koszuli, pieściła kark, rozkoszując się grą mięśni. Przesunęła dłoń niżej, chwytając przez bryczesy jego twarde

pośladki.

- O Boże, musimy przestać - jęknął, odrywając wargi od jej ust; oddech mu się rwał. -

To się nie może wydarzyć.

- To już się dzieje, Damienie - wyszeptala, próbując go zatrzymać, ale uniósł się i odwrócił od niej. Usiadł na brzegu łóżka, przeczesując palcami włosy.

- Sama nie wiesz, co mówisz, Mirando. Jesteś teraz taka bezbronna. Tyle przeszłaś w ciągu ostatnich kilku...

Urwał, zauważywszy, że ma rozpiętą koszulę. Zaczął ją pospiesznie zapinać, przeklinając samego siebie.

- Oboje wypiliśmy trochę za dużo. To się więcej nie powtórzy.

Usiadła z uczuciem żalu i rozczarowania. Wiedziała, że choć był zupełnie trzeźwy, miał powody, by przerwać tę scenę. Mimo to nie mogła się pozbyć bolesnego uczucia, że została odrzucona.

Zerknął na nią ostrożnie przez ramię. Przesunęła się i usiadła obok niego. Wargi nadal miał rozkosznie wilgotne i rozgrzane jej pocałunkami; w jego oczach dostrzegła pragnienie.

Nabrały teraz błękitnoszarej barwy chmur burzowych. Spuściwszy wzrok, sięgnął po jej rękę i trzymał łagodnie w dłoniach, uważnie wpatrując się w kostki palców i dotykając ich koniuszkami swoich.

- Dlaczego przerwałeś?

- Jesteś pod moją opieką, Mirando. - I co z tego? - spytała po krótkim milczeniu.

Spojrzał jej w oczy.

- Jesteś piękną dziewczyną. Ale chcę, żebyś mogła wybierać. Gdybyśmy zaszli dalej, pozostałbym twoją jedyną możliwością.

- Bywają gorsze nieszczęścia - powiedziała spokojnie.

- Nie znasz mnie dobrze - wyjaśniał ze wzrokiem wbitym w podłogę. - A poza tym twój stryj Jason zabiłby mnie chyba.

Uśmiechnęła się niewesoło.

On także się uśmiechnął, ale również ponuro.

- Myślę, że powinienem już pójść.

- Dokąd?

- Znajdę jakieś miejsce do spania w stajni...

- Damien! Wstał.

- To żaden kłopot. Na pewno mają jakiś stryżek na siano, gdzie mógłbym...

- Nie! - Chwyciła jego dłoń obiema rękami. - Zostań! Będę grzeczna. Daję ci słowo.

Pochylił głowę z niepewnym uśmiechem.

- Boja wiem...

- Jesteś wyczerpany. Nie wyśpisz się porządnie, jeżeli pójdziesz spać do stajni. Co z ciebie za hrabia? Zostań tu, gdzie jest ciepło. Ty będziesz spał w łóżku, a ja się prześpię w fotelu.

- Mowy nie ma. Jestem dżentelmenem - rzucił gwałtownie.

- No to... poczekaj! Mam znakomity plan. - Zerwała się z łóżka i podbiegłszy do sterty bagaży, wyciągnęła jeszcze nieużywany zwój bandaża. Rozwinęła go na środku łóżka. - O, tak. Ty zajmiesz tę połowę, a ja drugą. Ktokolwiek przekroczy granicę, zrobi to na własne ryzyko.

Popatrzył na przedzielone równo łóżko, a potem na nią.

- Naprawdę uważasz to za dobry pomysł?

- Oczywiście. Czemu nie? Przecież ci ufam. Proszę, nie chodź spać do stajni,

Damienie! I tak czuję się wystarczająco winna z powodu rany, jaką ci zadano z mojego

powodu. Ja zostanę po mojej stronie, a ty po swojej. Dobranoc. - Ściągnęła kapę z łóżka, wśliznęła się pod kołdrę, położyła głowę na poduszce i zamknęła: oczy.

Przez kilka następnych minut słyszała, jak Damien krąży po pokoju, jakby nie mógł się zdecydować. Cóż z niego za kochane, nedorzeczne stworzenie, pomyślała z czułością.

Właśnie kiedy starała się zerknąć, by sprawdzić, co się z nim dzieje, zgasił świecę i ostrożnie ulokował się na swojej połowie łóżka. Położył się na kołdrze, zapewne bojąc się, że ich ciała mogłyby się niechcący zetknąć.

Długą chwilę leżeli tak w ciemnościach, rozdzieleni kołdrą i paskiem bawełnianego bandaża. Czuli wzajemną bliskość, byli jak struny napięte do ostatnich granic; leżeli jednak w zupełnym milczeniu. Przez okno wpadało srebrne światło księżyca.

- Przestań się wiercić - mruknął wreszcie Damien, odwracając się do ściany.

- Przepraszam. - Spojrzała na jego szerokie plecy, po czym westchnęła z irytacją, bo trząsał się z zimna. - Możesz spokojnie wejść pod kołdrę, bylebyś pozostał na swojej połówce.

- Nie - odparł z samozaparciem.

- Czemu nie? Widzę, że drżysz z zimna. - Nic mi nie jest.

- Trzęsiesz się tak, że całe łóżko aż lata. O co ci chodzi? Boisz się, że mogłabym przekroczyć granicę? - spytała porywczo, wysuwając palce za pas z bandaża w jego stronę i łaskocząc go lekko.

- Zachowuj się przyzwoicie! - skarcił ją, ale ledwie powstrzymywał się od śmiechu. -

Dobranoc, Mirando.

Cofnęła rękę i wsunęła ją pod poduszkę.

- Dobranoc, Damienie. Śpij dobrze.

Uśmiechnął się w ciemności i... niemal natychmiast zasnął. Jego oddech stał się

wolniejszy i głębszy. Ramiona wznosiły mu się i opadały w łagodnym rytmie. Jakaś cząstka

jej natury pragnęła przytulić się do niego w poszukiwaniu ciepła. Mogliby przespać tę chłodną zimową noc, grzejąc się wzajemnie...

Zapadła w sen i nie zdawała sobie sprawy, ile czasu minęło, kiedy obudziły ją pomruki Damiena.

Zaspana spojrzała na niego: rzucał się po łóżku, jakby dręczony jakimś koszmarem.

Ostrożnie, by nie urazić zranionego ramienia, wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła jego barku.

- Damien - szepnęła.

W następnej chwili coś - nie wiadomo co - spadło na nią jak burza. To Damien rzucił się na nią i wgniatał w materac, groźnie powarkując. Unieruchomił jej ręce nad głową, chwycił za gardło i zaczął dusić.

- Damien! - krzyknęła ostatkiem tchu.

Nigdy nie widziała niczego równie przerażającego jak jego twarz - przez ułamek sekundy, zanim oprzytomniał.

Natychmiast rozluźnił uścisk dławiący jej gardło.

- Jezu Chryste!

Zerwał się z łóżka i przebiegł pędem oświetlony księżycem pokój.

Miranda usiadła, trzymając się ręką za gardło.

Podbiegł do niej; po twarzy spływał mu zimny pot, a oczy miały dziki wyraz.

- Czy ci zrobiłem krzywdę? - pytał przerażonym szeptem. - Błagam, powiedz, że nic ci nie jest!

- Nic... mi nie jest. Po prostu mnie... przestraszyłeś. Spuścił głowę; pierś mu falowała.

- Coś ty, do cholery, zrobiła? Czemu mnie dotykałaś? Mogłem cię zabić!

Zdeprymowana jego ostrym tonem rozpłakała się żałośnie.

- Próbowałam tylko pomóc... Miałeś koszmarne sen...

Przez chwilę patrzył na nią zimnym wzrokiem, niczego nie wyjaśniając, a potem wykręcił się na pięcie, porwał z krzesła płaszcz i ruszył do drzwi.

- Idę spać do stajni.

- Damien! - Zaczęła gramolić się z łóżka, próbując go powstrzymać. - Nie odchodź.

Powiedz, co złego zrobiłam? Chcę ci pomóc!

- Nie możesz. Nikt nie może. Trzymaj się ode mnie z daleka, do diabła!

Wyszedł z pokoju, trzaskając za sobą drzwiami.

Na zamglonym błękitnym horyzoncie widać było panoramę Londynu, ale gdy Miranda wyjrzała przez okno powozu, cała jej radość zniknęła wobec niezwykłego zachowania Damiena.

Siedziała blada i zamyślona, podczas gdy inni pasażerowie wyciągali szyje, by zerknąć na stolicę przez okna. Długie rzędy budynków otaczały lśniąca kopułę katedry Świętego Pawła. Wieże kościołów i maszty statków rysowały się niczym szpikulce na tle szarobiałego nieba. Pełno było wspaniałych pałaców i ulic, których nazw nie sposób zapamiętać. Ale Miranda niemal ich nie dostrzegała.

Wiedziała już, że jej opiekun - jej opoka pośród całego tego chaosu - walczy z demonami o strasznej sile. Widziała, jak mierzyły ją wzrokiem, wyzierając z jego oczu, kiedy ostatniej nocy niemal wydusił z niej życie; widziała też ich mroczną potęgę tam, w Bordesley Green. I teraz drżała ze strachu zarówno o niego, jak i przed nim.

W czasie podróży próbowała rozmawiać z Damienem na każdym postoju, ale był dziwnie nieobecny, jakby cały swój gniew skierował do wewnątrz, na siebie samego. Unikał patrzenia jej w oczy, i rozmowę ograniczał do powierzchownych uprzejmości i kilku praktycznych uwag na temat Londynu. Jej próby nawiązania do wydarzeń minionej nocy spotykały się z lodowatym milczeniem. Ilekroć usiłowała nalegać, ranił ją słowami, próbując odstraszyć od siebie. Mimo wszelkich starań nie była w stanie dotrzeć do niego.

Nigdy nie czuła się równie samotna.

Ciche pola ustąpiły miejsca gęściej zaludnionym miasteczkom, kiedy dyliżans wiózł ich na południe ku starożytnej stolicy Anglii. Niebawem znaleźli się w samym sercu brudnego, pełnego zgiełku miasta. Rzeki pojazdów i strumienie pieszych płynęły ulicami we wszystkich kierunkach; szyldy sklepowe chwiały się na wietrze, a chmary gołębi krążyły nad

dachami domów.

Wszędzie rozlegał się turkot powozów i wołania ulicznych sprzedawców, handlujących, czym tylko się dało. Pokryty sadzą śnieg zalegał w małych stertach wzdłuż chodnika. Miranda czuła zapach rzeki i dymu unoszącego się z tysięcy kominów. Dyliżans przejechał ulicą High Holborn do hałaśliwego skrzyżowania z Fleci Market, mijając szereg szarych hal, w których sprzedawano mięso i jarzyny. Zerknęła na surową fasadę słynnego więzienia Fleet Prison, kiedy przejeżdżali obok.

- Rzeka! - wykrzyknął po chwili jeden z pasażerów. Miranda zdążyła jeszcze dostrzec lśnienie szarej Tamizy, zanim skręcili w prawo na Ludgate Hill, a potem znów w prawo w wąski pasaż między dwoma sklepami. Odetchnęła z ulgą, że nie muszą przejeżdżać przez któryś z mostów rozpiętych nad bezmiarem głębokiej, zdradliwej toni. Z ciemnego pasażu szybko wydostali się na hałaśliwe podwórze zajazdu Pod Piękną Dzikuską, końcową stację tej podróży.

Dyliżans się zatrzymał. Miranda wysiadła i rozejrzała się dookoła, kompletnie oszołomiona.

- Panno FitzHubert! - zabrzmiał ostro głos jej opiekuna. - Proszę tutaj!

Damien zsiadł już z konia i czekał na nią, trzymając w ręku wodze Zeusa. Pobieгла w jego stronę przez zimne podwórze. Zobaczyła, że już wynajął dla niej dorożkę. Wziął od niej torbę, ale nadal unikał wzroku.

Pomógł jej wsiąść do dorożki, postawił torbę przy nogach, po czym zamknął drzwi i zwrócił się do woźnicy, który mrużył oczy od blasku zachodzącego słońca.

- Knight House przy Green Park - zarządził.

- Już się robi, wasza lordowska mość - odparł woźnica. Strzelił z bata i dorożka ruszyła.

Damien wskoczył na siodło i jechał na Zeusie przodem, wskazując drogę. Ogier nerwowo trzepał ogonem i wyginał białą szyję w królewskiej irytacji, równie zniesmaczony zgiełkiem miasta jak jego pan o kamiennej twarzy.

Miranda zauważyła, że ulice stopniowo stawały się spokojniejsze, mniej tłoczne, bardziej eleganckie, aż w końcu powóz wjechał w legendarną St. James's Street, o której nawet ona wiedziała, że mieszczą się tu najbardziej wystawne rezydencje arystokracji.

Maynie było może modniejsze, ale St. James's oznaczało stare majątki i jeszcze starsze tytuły.

Boże mój, pomyślała z budzącym się niepokojem, do kogo on mnie zabiera?

Z listów wuja wiedziała, że słynni bracia bliźniacy Knight są młodszymi synami księcia, ale konsekwencje tego faktu jeszcze do niej nie dotarły. Jak mogła się spodziewać, że tak dostojne osobiści przyjmą ją do swego grona? Aż zaniemówiła, kiedy powóz stanął przed ogromną rezydencją widoczną zza czarnych żelaznych krat ogrodzenia.

Służący w ciemnoniebieskiej liberii wybiegł pośpiesznie na wolinie Damiena i otworzył ciężkie metalowe wrota, kłaniając się wjeżdżającemu na koniu lordowi Winterleyowi. Skromny powozik wtoczył się przez imponującą bramę i pokonawszy niedługą aleję biegnącą przez wspaniały park, zatrzymał się przed masywnym budynkiem - barokowym pałacem wznoszącym się przed Mirandą w całej swej palladiańskiej okazałości. Do rezydencji wchodziło się przez okrągły, otoczony kolumnadą portyk z ciężkim żelaznym żyrandolem. Miranda była oszołomiona.

Ledwie powóz stanął, drzwi otworzyły się i lokaj w białej peruce wprawnie spuścił schodki, kłaniając się głęboko.

- Czy mogę pani pomóc, ma'am? - Wyciągnął rękę w białej rękawiczce.

Miranda wpatrywała się w lokaja; wydawało jej się, że śni. Z pewnym wahaniem przyjmując pomoc, wysiadła z dorożki, podczas gdy Damien płacił woźnicy.

- Czy mogę wziąć pani rzeczy, ma'am? - spytał znów lokaj, pochylając głowę.

- Nie... dziękuję. - Przycisnęła swoją zniszczoną torbę do piersi, cały czas pożerając wzrokiem Knight House. W wielkich, zwieńczonych łukami oknach parteru odbijało się niebo i park w zimowej szacie. Klasyczne posągi naturalnej wielkości, ustawione w równych odstępach, wdzięcznie zdobiły krawędź dachu.

Damien powierzył Zeusa opiece jednego ze stajennych i przeszedł obok Mirandy niedbałym krokiem, jakby przechadzka po królewskiej rezydencji była najnaturalniejszą rzeczą na świecie. Zatrzymał się na schodach wiodących do portyku i odwrócił do niej.

- Wejdiesz?

Miranda zorientowała się, że musi wyglądać w tej chwili jak dziewczka z głębokiej prowincji. Otrząsnęła się z oszołomienia i pobiegła za nim.

Nawet lokaj, który otworzył i powitał ich w drzwiach, wydawał się o niebo wyżej postawiony od niej. Był wysoki, chudy, z kanciastymi jak ostrze noża kośćmi policzkowymi i dystygowanymi szpakowatymi bokobrodami. Przypatrywała mu się wylęknięta, ale zaraz po wejściu do frontowego holu usłyszała dochodzącą z wnętrza domu przepiękną melodię. Jej muzykalna natura sprawiła, że napięcie natychmiast ustąpiło. Ktoś po mistrzowsku grał na fortepianie czarującą sonatę Haydna. Nieświadomie zbliżyła się do swego opiekuna i zachwycona rozglądała się po wysokim, wyłożonym białym marmurem holu. Żyrandol - najwspanialszy, jaki kiedykolwiek widziała - lśnił pod sufitem, ciężki od otaczających go chmurą kryształów. Kręta klatka schodowa wydawała się piąć bez wysiłku w górę na piętro. Na prawo od drzwi stała starożytna lśniąca zbroja inkrustowana klejnotami, które błyszczały jak cukierki.

- Dzień dobry, Walsh - zwrócił się Damien do majordoma. - Słyszę, że mój brat jest w domu.

□ Palladiański - w stylu Andrei Palladia (1508 - 1580), włoskiego architekta i znawcy architektury starożytnej.

- Istotnie, milordzie. Jego książęca mość gra na fortepianie.

- A księżna? - spytał, oddając mu płaszcz.

- W żółtym saloniku; pije herbatę z lady Lucien. Mam pana zaanonsować?

- Niekoniecznie.

- Doskonale, sir. Pański pokój jest przygotowany. Mam nadzieję, że znajdzie pan w nim wszystko, jak należy.

- Dziękuję. Sprawdź, czy przygotowano też pokój dla panny FitzHubert, dobrze? To moja podopieczna, dopiero co skończyła szkołę. Mirando...

Nie usłyszała, pochłonięta muzyką. Damien wyrwał ją z oszołomienia, wyjmując torbę z rąk. Podał bagaż kamerdynerowi, a na nią spojrzał spode łba, co znaczyło, że ma być pokorna i posłuszna.

- Pozwól, Mirando, to jest pan Walsh. To do niego powinnaś się zwracać, gdybyś czegoś potrzebowała, dopóki będziesz pod tym dachem.

Kamerdyner się skłonił.

- Witamy w Knight House, panienko. Czy mogę wziąć pani okrycie?

- Tak, dziękuję. - Potulnie oddała mu zniszczony wełniany płaszcz i aż skuliła się z przerażenia na widok swego odbicia w ogromnym lustrze na ścianie. W źle skrojonym beżowym niedzielnym mundurku, wygniecionym po dwudniowej podróży, wyglądała żałośnie i nie na miejscu pośród tego bogactwa. Jej zwykła pogodna wiara w siebie gdzieś zniknęła, a zastąpił ją wstyd. Wytworne istoty mieszkające w tym rajku na ziemi będą z pewnością przerażone jej wyglądem; umierała ze strachu na myśl o spotkaniu z nimi.

- Chodź, moja kochana - rzekł Damien. - Czas, żebyś poznała swoje dobre wróżki. -

Chwycił ją za nadgarstek i pociągnął za sobą kręconymi schodami na piętro.

Z trudem za nim nadążała, kiedy prowadził ją korytarzem obok wysokich białych podwójnych drzwi i marmurowych popiersi na postumentach. Cudowna kaskada fortepianowych dźwięków rosła crescendo, by znów przycichnąć, gdy minęli zamknięte drzwi pokoju muzycznego.

- Kto to gra? - spytała.

- Mój najstarszy brat Robert, ksiązę Hawkscliffe - odpowiedział Damien, nie zwalniając kroku. Cały czas ciągnął ją za rękę. - Torysi musieli go znowu rozgniewać. Zawsze tak gra, kiedy ma dosyć polityki.

- To jego dom?

- Tak. A za chwilę poznasz jego żonę. - Z tymi słowy skręcił nagle w prawo, otworzył drzwi i ostrożnie wsunął głowę do środka. - Bel?

- Winterley!

- Nareszcie! Chodź, chodź, mój drogi, tak długo niewidziany szwagrze! No, teraz święta mogą się już zacząć.

Stojąc za nim w holu, Miranda słyszała tylko, że Damien wita się z dwiema paniami.

- Alice, tak się cieszę, że cię widzę - powiedział serdecznie i otworzył drzwi szerzej. -

Przywiozłem kogoś, kogo chcę, żebyście poznały. Chodź, Mirando.

Sztywnym krokiem weszła do pokoju. Na sofie pośrodku salonu siedziały dwie damy niewiele starsze od niej, a przed nimi stał niski stolik zastawiony serwisem do herbaty i paterą z ciastkami. Damy przyglądały się jej zaciekawione i zaskoczone.

- Podejdź bliżej - ponaglił ją Damien. Zrobiła jeszcze kilka kroków naprzód.

- Bel, Alice! Pozwólcie, że wam przedstawię moją podopieczną, bratanicę majora Sherbrooke'a, pannę Mirandę FitzHubert. Mirando, to jest księżna Hawkscliffe i lady Lucien

Knight.

Miranda dygnęła, witając krewniaczki Damiena, i spuściła wzrok onieśmielona. Były takie urocze i eleganckie. Tak bardzo chciała, by ją polubiły... ale, prawdę mówiąc, nie miała na to wielkich nadziei.

- A więc to jest twoja podopieczna? - wykrzyknęła księżna. Miała nie więcej niż dwadzieścia pięć lat i była w początkach ciąży; fałdy jej szarobłękitnej muślinowej sukni z wysokim stanem ukazywały lekko wypukły brzusek. Była szczupła i zgrabna, o mlecznej cerze i włosach barwy dojrzałej pszenicy, upiętych w luźny kok.

Miranda rzuciła rozpaczliwe spojrzenie na swego opiekuna.

- Proszę nam wybaczyć, panno FitzHubert - usprawiedliwiała się beztróska księżna. - Zdawało nam się, że podopieczna Damiena jest jeszcze dzieckiem.

- Jak widzicie, myliliśmy się. Ale teraz potrzebuję waszej pomocy - powiedział

Damien stanowczo. - Nie mam zielonego pojęcia, jak opiekować się młodą panną. Od czego zacząć? Przyzwoitka, garderoba, prezentacje... Bel, Alice... - Rzucił im błagalne spojrzenie.

Wybuchnęły śmiechem.

Nie róbże takiej żalostnej miny, Winterley! Siadajcie oboje i napijcie się herbaty - zarządziła księżna z uśmiechem. - Zobaczymy, co się da zrobić.

Miranda zerknęła niepewnie na Damiena. Wskazał jej fotelik naprzeciw sofy pań.

Usiadła.

- Tak nam było przykro z powodu pani stryja, panno FitzHubert powiedziała łagodnie lady Lucien, biorąc czystą filiżankę i nalewając herbatę dla Mirandy. - Znałam majora Sherbrooke, choć nie bardzo blisko. Był przyjacielem mojego brata.

- Dziękuję pani - odparła Miranda. Tytuł drugiej damy wskazywał, że jest żoną brata bliźniaka Damiena, Luciena. Księżna była porywająco piękna - jak chłodna, blada bogini.

Uroda żony Lucina wydawała się delikatniejsza: była filigranowym, eterycznym stworzeniem o włosach barwy zachodzącego słońca i oczach o najżywszym błękicie, jaki Miranda kiedykolwiek widziała.

Damien wymówił się od herbaty, którą podsunęła mu lady Lucien, i przedstawił damom krótką, ocenioną relację ze swojej wizyty w Yardley School. Kiedy okazało się, że Miranda jest dorosła, mówił, nie widział powodu, by zostawiać ją w szkole, nie miał jednak czasu poczynić stosownych przygotowań. Ani słowa na temat krwawych wydarzeń w Bordesley Green czy aresztowania dyrektora szkoły; nie wspomniał też, że przez pewien czas on i Miranda dzielili jedno łóżko w obojętnej. I tak lady Lucien wydawała się zbulwersowana faktem, że Miranda musiała cierpieć niewygodę podróży publicznym dyliżansem.

- Jak widzicie, Miranda jest już w wieku odpowiednim do zamążpójścia - ciągnął

Damien. - Moim obowiązkiem jest zapewnić jej należną pozycję w świecie, ale, uczciwie mówiąc, nie mam pojęcia, jak się do tego zabrać. To domena kobiet. Dlatego proszę o waszą pomoc. Trzeba Mirandę właściwie ubrać, obuć, dopilnować i wydać za mąż - zakończył. -

Najlepiej byłoby urządzić zaręczyny przed Trzema Królami.

- Czemu taki pośpiech?

- Bo Miranda po prostu nie ma gdzie się podziać - wyjaśnił bez ogródek.

Jego słowa, chociaż ostre, były aż nadto prawdziwe. Miranda spuściła oczy; poczuła ukłucie w sercu. Współczucie, jakie emanowało z tych kobiet, było czymś, czego jej duma nie mogła znieść. Znowu poczuła się tylko dzieckiem z przytułku, nikomu niepotrzebną, niechcianą sierotą, przedmiotem niechętniej litości obcych ludzi. Było to okropne uczucie, ale nie mogła odnaleźć w sobie zwykłej zuchwałości. Ze spuszczoną głową modliła się w duchu, by nią nie wzgardzono. Nie zniosłaby poniżającego odtrącenia w obecności Damiena.

- Taak... Po pierwsze, guwernantka dziewcząt ma teraz wolne: pojechała do rodziny na

święta. - Księżna oparła łokieć na oparciu sofy i zmierzyła Mirandę przenikliwym spojrzeniem. - Po drugie, chciałabym poznać zdanie panny FitzHubert na ten temat.

Miranda z wahaniem podniosła wzrok.

- Nie chciałabym być ciężarem, Wasza Księżęca Mość. Zrobię to, co lord Winterley będzie uważał za najlepsze.

Dwie młode mężatki spojrzały po sobie figlarnie.

- Co ty na to, siostrzyczko? - spytała księżna. - Podejmiemy się tego wyzwania?

- Oczywiście! - Alice uniosła zgrabną bródkę i z zapalem zwróciła się do Mirandy. -

Zrobimy z ciebie gwiazdę sezonu, moja droga! Winterley będzie musiał odganiać od ciebie kijem tłumy wielbicieli!

Na twarzy Mirandy zagościł nieśmiały uśmiech. Zerkając z drzeniem radości na

Damiana, spostrzegła, że i on patrzy na nią. Natychmiast przybrał obojętny wyraz twarzy i odwrócił wzrok, ale kiedy wykręcił się do niej profilem, udając obojętność, jego policzek załśnił wiele mówiącym rumieńcem, wyraźnie widocznym nad czystą białą linią halsztuka.

Wieczorem, po naprędce zorganizowanym obiedzie powitalnym, który Bel urządziła,

by przedstawić Mirandę reszcie rodziny, Damien siedział w saloniku i patrzył, jak pozostali grają w szarady.

poza nim tylko Robert nie brał udziału w zabawie, od czasu do czasu podśmiewając

się z grającymi, przeglądając „Timesa” i sącząc porto z patriarchalnym spokojem. Lucien i

Alice przybyli ze swej eleganckiej rezydencji na Upper Brooke Street, przywieźli też ze sobą

trzyletniego bratanka, Harry'ego, którego wychowywali. Harry, ulubieniec klanu Knight ów,

wędrował z kolan jednej zakochanej w nim cioci na kolana innej, obcałowywany przez

wszystkich. Nawet złotowłosego rozpustnego Aleca, najmłodszy z braci, zaszczycił ich swoją

obecnością z tej okazji: przyjechał ze swojej wytwornej garsoniery na Curzon Street, by zjeść

z nimi, a nie, jak zwykle, w klubie. Radosne piski siedemnastoletniej Jacindy, najmłodszej z Knightów, usiłowania jej towarzyszki Lizzie Carlisle, by gra toczyła się we względnym porządku, wreszcie obrazoburcze, dowcipne uwagi Aleca - wszystko to sprawiło, że wieczór przypominał raczej ożywione spotkanie towarzyskie.

Damien siedział w milczeniu przy kominku, a oczy błyszczały mu dumą, gdy spoglądał na pochłoniętą grą Mirandę, na jej szczerą, piękną twarz promieniejącą wdzięcznością z powodu serdecznego przyjęcia w Knight House. Na Boga, była najlepszym lekarstwem dla jego duszy. Z prawdziwą satysfakcją patrzył, w jak naturalny sposób dopasowała się do całej rodziny. Nie trzeba było długiego czasu, by jej nieśmiałość znikła, a wówczas bez trudu oczarowała wszystkich.

Jutro Bel i Alice pójde z nią na zakupy na Bond Street; cóż, będzie się musiał zapożyczyć. Na szczęście większość kupców i właścicieli sklepów bez wątpienia udzieli mu niemal nieograniczonego kredytu - wyłącznie dzięki tytułowi hrabiowskiemu. Istniała, oczywiście, możliwość zaciągnięcia pożyczki u Roberta, ale Damien nigdy nikogo nie prosił o pomoc w rozwiązywaniu swoich problemów finansowych, i tym razem także nie zamierzał tego robić.

Powiedział szwagierkom, że nie będzie nalegał, by Miranda ubierała się na czarno przez następne trzy miesiące, jeśli sama tego nie zechce. Chociaż był to zwyczajowy okres noszenia żałoby po śmierci stryja, jego zdaniem tenże stryj swego czasu zaniedbał ją haniebnie, skutkiem czego dziewczyna wiele wycierpiała. Zresztą, co podkreśliła Bel, kiedy rozmawiali wcześniej na ten temat.

Miranda musi wyglądać jak najlepiej, skoro mają jej znaleźć męża. Damienowi wydało się po prostu okrucieństwem ubranie w czerń tej barwnej istoty, która, o czym dobrze wiedział, nigdy jeszcze nie miała okazji nosić pięknych strojów. Bardzo chciał, żeby była

szczęśliwa.

Nawet teraz podziwiał, jak pięknie wygląda w jednej z wieczorowych sukien księżnej.

Mimo że rękawy i dół były trochę za krótkie, ciemnoniebieski atłas podkreślał cały splendor szmaragdowych oczu Mirandy i nadawał jej skórze połysk świeżej śmietanki. Ze swymi lśniącymi ciemnymi kędziorami wyglądała egzotycznie wśród jasnowłosych żon jego braci, złotej blondynki Jacindy i Lizzie z jasnobrązowymi lokami.

Słyszał jej śmiech i myślał... myślał intensywnie. Od ostatniej nocy trzymał się od niej na dystans i, niezależnie od tego, jak bardzo jej pragnął, zamierzał nadal tak postępować.

Rano, jeszcze w czasie podróży, kilka razy próbowała zbliżyć się do niego, on jednak konsekwentnie ignorował te próby, by dać jej wyraźnie do zrozumienia, jaki błąd popełniła. Jak mogła nawet pytać, czemu od niej stronił? Przecież mogłem ją zabić, pomyślał setny już chyba raz od chwili, kiedy to się wydarzyło. Zimny dreszcz przebiegi całe jego ciało na myśl, że mógł zgasić to młode życie, nie wiedząc nawet, co robi.

Nie powinien był spać z nią w jednym łóżku, wyrzucał sobie gorzko, wpatrując się w zamyśleniu w ogień. Nie powinien był dopuścić do takiej poufałości między nimi. Wprost niewiarygodne, że całował się z nią po raz drugi, wiedząc już, że jest jej opiekunem. Ten pierwszy raz, za teatrem, mógł jakoś wytłumaczyć. Wziął ją przez pomyłkę za zwyczajną .

□

filie de joie , a ona niewiele zrobiła, by go wyprowadzić z błędu. Nie miał wtedy pojęcia, kim naprawdę była. Ale ostatniej nocy już przecież wiedział! Był zupełnie trzeźwy - w przeciwieństwie do tego, co mówił - a mimo to ponownie zakosztował smakuj ej pocałunków.

Na chwilę zamknął oczy, dręczony wspomnieniem żarliwej reakcji jej ciała, tak cudownie wyginającego się pod jego ciężarem, jej miękkich ramion ciasno opasujących mu szyję. Ciągle czuł na języku jej smak, przeciwstawił się jednak prowokującym podszeptom

□ *Filie de joie* (franc.) - nierządnicza, ulicznica.

instynktu, wmawiającym mu, że Miranda należy do niego, że ma do niej prawo, bo przecież uratował jej życie.

Obiecał Jasonowi, że znajdzie dla niej dobrego męża, i tak właśnie zrobi. I to nie on będzie tym mężem. To, co do niej czuje, nie powinno mieć znaczenia. Zobowiązał się przecież strzec jej - nawet przed bestią tkwiącą w nim samym. Emocje, które jak delikatne, wiotkie pędy zaczynały wyrastać z zamarzniętego gruntu jego serca, były skazane na zwiędnięcie, zanim dojrzeją. Nie miał prawa kochać. W ogóle nie nadawał się do

□

towarzystwa. Jego *raison d'etre* było staczanie bitew i odnoszenie zwycięstw, a teraz stał się więźniem pancerza, który wykuł sam dla siebie.

Po klęsce, jaką poniósł ostatniej nocy, marzył o zostawieniu Mirandy pod opieką swojej rodziny i poproszeniu ich, aby dopilnowali zaaranżowania jej małżeństwa, tak by on sam mógł wrócić do swojej pustelni w Bayley House. Jednakże, choć obecność Mirandy była dla niego nieustającą torturą, postanowił jej nie opuszczać. Gdyby nawet piękność nie czyniła jej celem zakusów żadnych przygód mężczyzn, to jako córka sławnej Fanny Blair z pewnością wzbudzi zainteresowanie hulaków o najhaniańszych intencjach, mężczyzn goniących jedynie za uciechami życia. Bez wątpienia chętnie by sprawdzili, czy odziedziczyła lekkie obyczaje matki; ale widząc budzącego strach pułkownika lorda Winterleya u jej boku, czuwającego nad jej bezpieczeństwem, nie odważą się na to.

W pewnej chwili do salonu wszedł kamerdyner i dyskretnie szepnął coś na ucho

Lucienowi. Ten skinął głową i delikatnie złożył Larry'ego w ramiona Alice. Hałaśliwa gra toczyła się dalej, a Dainien patrzył, jak jego brat bliźniak wymyka się z pokoju.

Po kilku minutach Lucien wrócił i od drzwi skinął na Damiena. ' Ten wstał i

marszcząc brwi, podszedł do brata.

W holu zastał asystenta Luciena z ministerstwa spraw zagranicznych, tajnego agenta Marca Skiptona.

Kiwnął mu głową, podczas gdy Lucien cicho zamknął drzwi salonu.

- O co chodzi? - spytał Damien.

- Aresztowano kogoś w sprawie Sherbrooke'a - wyjaśnił młody człowiek. - Podejrzany jest znanym złodziejem i włamywaczem. Trzymają go w areszcie w sądzie magistrackim, ale musimy się pospieszyć. Twierdzi, że ma alibi, i nie wiem, czy zdołają zatrzymać go pod kluczem.

□ *Raison d'etre* (franc.) - racja bytu, sens istnienia.

Oczy Damiena zapłonęły żądzą zemsty. Wiedział, że Lucien bardzo naciskał na policję z Bow Street, by odnalazła mordercę Jasona. Wyglądało na to, że jego starania się opłaciły.

- Wezmę tylko płaszcz.

Chwilę później trzech mężczyzn szybkim krokiem zmierzali do siedziby policji na Bow Street. Lucien chwycił Damiena za rękę i trzymał go nieco w tyle, kiedy konstable prowadzili ich obok niewielkiej sali sądowej, pełnej ludzi nawet o tak późnej porze, a następnie ciemnym korytarzem do aresztu.

- Postaraj się nie rzucić na niego od razu - mruknął. - Ten mężczyzna jest tylko zatrzymany; niczego mu nie udowodnili.

- Niech dowiedzie swojej niewinności. - Damien zbył wzruszeniem ramion uwagę brata i poszedł za strażnikiem.

- Nazywa się John Michael Boynton, wasze lordowskie mości. - Konstabl zawiesił latarnię na haku przy wejściu.

W jej świetle Damien dojrzał przez metalowe kraty chudego mężczyznę o zaniedbanym wyglądzie, w wieku mniej więcej dwudziestu ośmiu lat. Twarz miał bladą, ale hardą.

- Znany jako „Kogut” - ciągnął strażnik. - Mieszka na Seven Dials, niedaleko domu majora Sherbrooke'a. Od lat zatrzymujemy tego szubrawca za kradzieże i włamania. Teraz wygląda na to, że awansował na mordercę.

- Nikogo nie zabiłem - warknął chudzielec. - Nie macie prawa mnie zamykać.

- Gdzie pan był, panie Boynton, w środę wieczorem dwunastego grudnia? - spytał chłodno Lucien.

- A kim pan, do cholery, jesteś, moim adwokatem? Konstabl walnął pałką w kraty.

- Nie wyrażaj się!

- Odpowiedz na pytanie - rozkazał Damien przez zęby. Boynton niepewnie przypatrywał się to jednemu, to drugiemu z bliźniaków.

- Byłem w domu mojego brata na kolacji z nim, jego żoną i dziećmi. On zaraz tu przyjdzie i zaręczy za mnie!

- Zaręczy za ciebie... - powtórzył Lucien sceptycznie.

- A niby dlaczego mielibyśmy mu wierzyć? - spytał Damien. Żądza zemsty sprawiła, że oczy zasły mu krwawą mgłą. Oparłszy dłonie na kracie, wbił drapieżny wzrok w aresztowanego. - Proszę mnie do niego wpuścić - zwrócił się do oficera. - Wystarczy mi minuta, najwyżej dwie.

- Trzymajcie tego obłąkańca z daleka ode mnie! - wrzasnął więzień, chowając się pod przeciwległą ścianą celi.

Damien parsknął cichym, przerażającym śmiechem. - Już jesteś martwy, Boynton. Z przyjemnością zobaczę, jak cię będą wieszać.

- Dosyć tego - mruknął Lucien, odciągając Damiena od krat. - Właśnie przyszedł jego brat. Popatrz.

Damien odwrócił się i serce mu zamarło na widok młodego, wyraźnie zaniepokojonego księdza w białej koloratce, który biegł mrocznym korytarzem w ich kierunku.

- John Michael? John Michael? - wołał.

- Tu jestem, Andrew!

Ten cholerny ksiądz to jego alibi? - pomyślał Damien zdumiony. Ksiądz wpadł między nich i minawszy braci, podszedł do krat. - John Michael, co z tobą?

- Zabierz mnie stąd, Andrew. Oskarżają mnie, że zamordowałem kogoś tej nocy, kiedy byłem u ciebie w domu! Powiedz im, Andrew! Powiedz im!

Ksiądz zwrócił się do strażnika.

- To prawda. Mój brat nie mógł tego zrobić. Był wtedy ze mną, z moją żoną i dziećmi. Muszę natychmiast porozmawiać z sędzią...

To jakaś okropna omyłka! Zakłopotany strażnik spojrzał na Luciena.

złagodzi jego wzburzenie. Nie mógł nic zrobić w sprawie śmierci Jasona i był z tego powodu wściekły.

Usłyszał wesołe głosy i wyczuł zapach kawy, gdy przechodził obok zatłoczonej kawiarni po przeciwnej stronie ulicy. Kiedy dotarł do skrzyżowania, nocny wiatr rozwiał mu włosy. W świetle samotnej latarni na rogu dostrzegł parę z własnego oddechu. Spojrzał w lewo na budynek teatru Drury Lane. Przedstawienie chyba jeszcze trwało, bo na ulicy stał długi rząd powozów. Powinienem tam kiedyś zaprowadzić Mirandę, pomyślał, po czym ruszył w przeciwnym kierunku.

Minął Russell Street i dotarł na Covent Garden. Zapuszczone budynki sklepików w

centrum placu były ciemne i ciche, ale ukryte w czcigodnym cieniu katedry Świętego Pawła jaskinie gry nadal i obły świetne interesy. Podpici młodzi utracjusze wrzeszczeli do siebie nawzajem, wchodząc i wychodząc z tych przybytków, lecz Damien nie zwracał na nich uwagi. Wszędzie, gdzie się zwrócił, widział tylko prostytutki. Większość z nich miała pokoiki w wysokich domach z balkonami otaczających plac.

Wybór był oszałamiający: od młodych neofitek po wytrawne weteranki rzemiosła.

Blondynki i brunetki; niskie i wysokie; chude i tłuste; a wszystkie umalowane i bezwstydne jak jaskrawe kwiaty w ogrodzie pełnym trujących roślin. Mijał je, zaglądając każdej w oczy, uznał bowiem, że musi wreszcie skończyć z tą przeklętą abstynencją. W końcu był tylko mężczyzną. To najlepsze, co mógł teraz zrobić; niezawodne lekarstwo, którym zawsze potrafił ukoić cierpienie.

Zatrzymał się przy ponętej rudowłosej dziewczynie i czekał, by przejęła inicjatywę.

Może dzięki niej choć przez chwilę będzie mniej samotny.

- Wyglądasz na takiego, co szuka towarzystwa - mruknęła, odsuwając się od muru, o który była oparta. - Chcesz pójść ze mną?

Prawie niedostrzegalnie skinął głową.

- Tędy. - Wzięła go za rękę.

Pozwolił się zaprowadzić do drzwi pod sklepionymi arkadami we włoskim stylu. Na progu zawahał się, sam nie wiedząc, dlaczego. Odwróciła się i spojrzała mu w twarz.

- Hm... chwileczkę, wielobny. Zobaczą, czy sędzia może teraz pana przyjąć i wysłuchać pańskiej wersji, zanim przewieziemy pańskiego brata do Old Bailey.

Damien czuł, że złość wzbiera w nim jak wulkan.

- Nie możecie tak po prostu wypuścić tego śmiecia!

- Jeżeli aresztowano go niesłusznie, z pewnością mogą - zachnął się młody ksiądz. -

Nie pozwolę, żeby mój brat trafił na szafot tylko po to, by jakiś funkcjonariusz otrzymał nagrodę. A czemu pa nowie się tym interesują, jeśli mogę spytać? - Spoglądał zaczepnie to na Damiena, to na Luciena.

- Mój brat był bliskim przyjacielem ofiary - wyjaśnił spokojnie Lucien.

Ksiądz zwrócił się do Damiena.

- Jest mi bardzo przykro, sir, ale zapewniam, że mój brat nic mógł tego zrobić. John Michael nie jest może najbielszą owieczką w bożym stadzie, ale tamtej nocy był pod moim dachem, przy moim stole, i gotów jestem dać na to słowo.

- A niech to szlag! - wybuchnął Damien.

- Sir! - krzyknął ksiądz.

- Wpuśćcie mnie do niego! Już ja mu wymierzę sprawiedliwość!

- Cofnij się pan!

- Damien! - Lucien oderwał brata od kraty. - Uspokój się! On tego nie zrobił! -

Odciągnął Damiena spod celi. - Uspokój się. Schwytaliśmy niewłaściwego człowieka. Wiesz równie dobrze jak ja, że obaj mówią prawdę.

Damien wyrwał rękę z uścisku brata, odwrócił się i z gniewnym wyrazem twarzy skierował do wyjścia.

- Dokąd idziesz? - zawołał Lucien, biegnąc za nim.

- Do domu - odparł Damien, nawet się nie odwracając. Lucien stanął. Damien czuł, jak bardzo brat jest na niego zły.

- Nie pojedziesz powozem?

- Pójdę pieszo - burknął. Otworzył drzwi na oścież i wyszedł w ciemności nocy.

Noc była zimna i czarna jak śmiech diabła. Na ulicy panował spokój, tylko od czasu do czasu przetaczał się jakiś powóz. Damien podniósł kołnierz płaszcza i ruszył naprzód w

nadziei, że spacer.

- Przystojniak z ciebie! Ale dlaczego taki smutny? - Dotknęła jego policzka, a w nim wszystko aż się przewróciło z odrazy na myśl o kochaniu się z nią. Sięgnął do kieszeni i podał jej kilka gwinei.

- Wybacz. Ja... zmieniłem zamiar.

- Nie podobam ci się? - spytała, biorąc monety. - Ależ nie jesteś bardzo ładna.

- Więc chodź na górę, kochanie. Czemu nie chcesz dać mi szansy? Sprawię ci taką przyjemność...

Damien już był daleko. Szedł przed siebie oszołomiony nagłą świadomością, że jedyną kobietą, której pragnął, jest Miranda. Wałęsał się po mieście jeszcze dobrą godzinę, próbując zapanować nad swoją tęsknotą za nią. W końcu wydało mu się, że osiągnął spokój ducha, ale gdy dotarł do Knight House, serce skakało mu z radości na myśl, że może jeszcze zastanie ją w salonie.

Otworzył mu nocny portier; Walsh poszedł już spać. W całym domu było ciemno i cicho. Damien zdjął płaszcz, wziął od służącego świecę i ruszył po schodach, udając sam przed sobą, że nie jest zawiedziony tym, że nie powiedział Mirandzie dobranoc. Dotarłszy na piętro, skierował się do swojego dawnego pokoju, ale nagle przystanął i zaczął się odwracać, patrząc przez ramię.

Już przedtem zauważył, który pokój przeznaczono dla Mirandy. Teraz dostrzegł słabe światło sączące się spod drzwi.

Już sięgał do klamki, ale ręka znieruchomiła mu, zanim jej dotknął. Nie wolno mu przestraszyć Mirandy. Cichutko zapukał w jej drzwi.

Żadnej odpowiedzi.

Tak jak wtedy w zajeździe, pomyślał, gdy chciała uciec. Chyba nie próbowała tej

sztuczki ponownie? Bez zastanowienia nacisnął klamkę i otworzył drzwi.

- Mirando? - Ściszył głos do szeptu już w połowie jej imienia. Spała; świeca na nocnym stoliku wypaliła się do maleńkiego ogarka, a na piersi Mirandy leżała otwarta książka o zasadach dobrego wychowania. Damien wszedł do pokoju i cicho zamknął za sobą drzwi. Obudź się...

Serce tłukło mu się jak szalone, kiedy się do niej zbliżał. Stał przy łóżku i wpatrywał się w nią olśniony. Leżała w nocnym stroju z białego muślinu, z koronką wokół szyi i dłoni. Od pasa w dół ukrywała ją szkarłatna, haftowana złotem kołdra, ale wyżej, przez przejrzysty muślin widać było zarys piersi. Bujne kruczoczarne w fosy rozsypane po poduszce połyskiwały w świetle świecy. Długie ciemne rzęsy niczym maleńkie wachlarze odcinały się od kremowych policzków. Rubinowe wargi były lekko rozchylone, pierś podnosiła się i opadała miarowo i spokojnie. Tak bardzo chciałby złożyć na niej głowę. Pochylił się i ukląkł obok łóżka, marząc, by się zbudziła.

Jestem dzisiaj taki słaby, Mirando. Proszę cię...

Wiedział, że gdyby się obudziła i zobaczyła go, wzięłaby go w ramiona. Leżeliby razem i całowali się, aż rozgorzałby w nich ogień i połączyłaby ich miłość.

Miranda nadal spała.

Nie dotknął jej, ale już sama jej bliskość działała na niego kojąco. Tkwiące w nim demony uśpił łagodny rytm jej oddechu i po chwili Damien poczuł, że znów jest sobą. Patrzył na nią jeszcze chwilę, po czym zdmuchnął świecę i wyszedł.

- Przyjechali, wasza lordowska mość, tak jak pan powiedział. - Digann składał raport

Algernonowi, gdy tylko wszedł do ciemnego, wyłożonego dębową boazerią gabinetu. - Co jaśnie pan mi teraz rozkaże?

Algernon właśnie wrócił do domu, odwiózłszy żonę i nudne córki na zabawną sztukę

w teatrze Drury Lane. Egann czekał na niego niecierpliwie z nowymi wiadomościami.

Wicehrabia usiadł przy biurku i w zamyśleniu tarł podbródek.

Cóż to był za wspaniały wieczór... Wszystko układało się dokładnie tak, jak się spodziewał. Żaden z klubowych kompanów - ani nawet żona - nie podejrzewali, że jego majątek jest zagrożony bankructwem. Algernon potrafił skutecznie oszukiwać ich wszystkich, lecz napięcie, w jakim żył, było straszne.

Teraz nareszcie fortuna bratanicy znalazła się w zasięgu jego ręki. Wiedział, że Knight House - ze swoimi kratami, bramami i psami pilnującymi bezpieczeństwa mieszkańców - jest miejscem niezwykle dobrze strzeżonym, ale przecież dziewczyna nie będzie tam tkwić wiecznie. Podobnie zresztą jej opiekun: może sobie był człowiekiem z żelaza, ale nie będzie przecież spędzał całego czasu w jej towarzystwie. To by nawet nie wypadło.

- Wracaj do Knight House - rozkazał spokojnie. - Musimy nadal wszystko obserwować i czekać na odpowiedni moment. Ci czterej, których posłałem do Birmingham, zawiedli, a ty... Jeżeli masz jakieś wątpliwości, znajdę kogoś innego.

- Jaśnie pan może na mnie liczyć.

- To będzie wymagało bezwzględności.

- Potrafię być bezwzględny... jak wasza lordowska mość dobrze wie.

Algernon się uśmiechnął. Co za lojalność - i to za tak niską cenę.

- Więc do roboty. - Usiadł, splatając dłonie i opierając łokcie na biurku. - Chcę wiedzieć o każdym kroku tej dziewczyny: dokąd chodzi, kiedy i z kim. Trzeba złapać ją bez opiekuna. Wtedy uderzymy... Ale to musi wyglądać na wypadek. Rozumiesz?

Egann skinął głową.

Algernon dojrzał determinację w pełnym zapału spojrzeniu sługi i odprawił go skinieniem ręki.

- Możesz odejść.

Egann uklonił się i wymknął z gabinetu. Algernon patrzył za nim, mrużąc oczy z satysfakcją.

Już wkrótce będzie miał pięćdziesiąt tysięcy funtów, które rozdysponuje, jak będzie chciał, i jego życie znów potoczy się normalnie. Uderzyła go paradoksalna myśl, że taka słaba i niskiego urodzenia kreatura jak Egann może pokrzyżować plany komuś tak potężnemu jak lord Winterley. Wykrzywił usta w złowieszczym uśmiechu.

Już wkrótce.

Następnego ranka do Knight House przybył fryzjer księżnej mały Francuzik, który zachowywał się jak odbywający oficjalną wizytę dygnitarz. Skrócił o pięć centymetrów długie włosy Mirandy i przystrzygł pasemka wokół jej twarzy, potem zaś zgarnął bujne pukle do góry i upiął w kok na czubku głowy, a delikatne kosmyki okalające twarz ułożył w fantastyczne loczki. Równocześnie pokojówka księżnej polerowała paznokcie Mirandy, nadając im piękny owalny kształt, i z pomocą całej kolekcji ślicznie pachnących kremów wygładziła odciski na jej dłoniach - skutki szorowania podłóg i garnków w Yardley. Kiedy dzieło zostało ukończone, księżna i lady Lucien zabrały Mirandę na Bond Street. Towarzyszyły im młoda lady Jacinda i sympatyczna panna Carlisle. Panie odwiedziły po kolei: modystkę, gorseciarkę, pończoszniczkę, rękawicznikę, bieliźniarkę i szewca. Mirandzie nie przeszkodziło, że szturchano ją i kłuto szpilkami w czasie przymiarek. Pławiła się wręcz w blasku powszechnego zainteresowania, bo kiedy księżna Hawkscliffe niczym okręt zawijałby do portu wpływała do sklepu ze swoją świtą, cały personel był na jej usługi. Inni klienci przestawali istnieć.

Z chłodną znajomością rzeczy damy zamówiły dla Mirandy tuzin sukien: poranne, spacerowe, popołudniowe i wizytowe; elegancką amazonkę barwy gorzkiej czekolady, kilka bardziej oficjalnych kosi i umów na przejażdżki, stroje obiadowe i wreszcie wytworne suknie do opery z bogatych tkanin, harmonizujących kolorystycznie z biżuterią.

Potem zajęły się dodatkami. Zamówiły różnego rodzaju i koloru rękawiczki z koźlęcej skóry oraz buciki: zgrabne jedwabne pantofelki, delikatne pantofle do tańca, wysokie botki, a także chodaki na zimową pogodę. Przepiękna, lamowana gronostajami pelisa zastąpiła jej zniszczony wełniany płaszcz. Kupiono też kapelusze i czepeczki wszelkich możliwych kształtów i rozmiarów oraz potężny zapas delikatnej bielizny i białych jedwabnych pończoch.

Największą przyjemnością tego pełnego wrażeń dnia było dla Mirandy zamówienie strojów balowych: dwie suknie balowe z atlasu i aksamitu kosztowały tyle, ile wszystkie pozostałe zakupy razem wzięte.

Chcąc zachować resztki dumy, Miranda rozpaczliwie uczepliła się złudnej nadziei, że stryj Jason zostawił jej sumę, która zdoła pokryć koszty nowej garderoby, nie odważyła się jednak zapytać. Powoli wdrażała się w reguły postępowania w nowym dla niej świecie, w którym pieniądze były jednym z tematów, jakiego prawdziwej damie nie wypadało nawet poruszać. Zarówno księżna, jak i lady Lucien zachowywały się, jakby cała jej nowa wyprawa nie kosztowała ani grosza.

Lady Jacinda zdołała ubłagać księżną, by i dla niej zamówić nowy strój, a Miranda - korzystając z wolnej chwili podczas przymiarki dziewczyny - poszła do sklepu z parasolami, który zauważyła, gdy wcześniej koło niej przechodziły. Dostrzegła na wystawie śliczną różową parasolkę, którą chciała kupić i wysłać w prezencie gwiazdkowym dla Amy. Damien wyznaczył jej przecież tygodniówkę w wysokości trzech gwinei: te pieniądze mogła wydać, na co chciała. Panna Carlisle, która nalegała, by Miranda nazywała ją Lizzie, zaproponowała, że będzie jej towarzyszyć. Lokaj w ciemnoniebieskiej liberii domu Hawkscliffe szedł za nimi - dla ich wygody i bezpieczeństwa. Dziewczęta wymknęły się z magazynu, pozostawiając w salonie rozszczebiotane, trajkoczące szwaczki i obie wytworne młode małżonki uwijające się wokół złotowłosej lady Jacindy.

Mirandzie bardzo odpowiadało towarzystwo odcytanej, skromnej i zawsze pogodnej Lizzie Carlisle. Chociaż miały zupełnie różne temperamenty, kilka spraw je łączyło: obie nie dorównywały urodzeniem członkom klanu Knightów, były w tym samym wieku i wreszcie obie pozostawały pod opieką rodziny Knight.

Ojciec Lizzie był zarządcą w majątku ziemskim księcia. Objął to stanowisko po

swoim ojcu, podobnie jak tamten po swoim - i tak od wielu pokoleń. Kiedy przed piętnastu laty ojciec Lizzie zmarł, rodzina księcia wzięła dziewczynkę pod opiekę. Jako dzieci Lizzie i Jacinda bawiły się razem, po czym Lizzie została oficjalną towarzyszką lady Jacindy.

Lizzie bardzo szybko stała się jej przyjaciółką, sojuszniczką, a czasem także przewodniczką po nieznanym Mirandzie świecie londyńskiej arystokracji. W jej towarzystwie Miranda czuła się swobodnie i nie musiała cały czas pamiętać o nienaganych manierach. Teraz gawędziły leniwie, rozglądając się po Bond Street; lokaj trzymał się w przyzwoitej odległości, parę kroków za nimi. Miranda świetnie się bawiła, ale od czasu do czasu ogarniało ją niemiłe uczucie, że ktoś ją śledzi.

Obejrzała się, niby przypadkowo. Nie dostrzegła nic niezwykłego. Zimowe przedpołudniowe słońce odbijało się w przezrystych szybach wystaw sklepowych, a w górę i w dół wąskiej ulicy pędziły i ketony, kariolki i inne modne ekwipaże. Grupki złotych młodzieńców, których Lizzie nazwała „Wałkoniami z Bond Street”, wałęsały się tu i tam, śmiejąc się, paląc papierosy i bezczelnie gapiąc się przez monokle na przechodzące dziewczęta. Komentowali uwagi lokaja pańienek i uśmiechali się kpiąco na widok chłodnych, gniewnych spojrzeń Lizzie.

Miranda zerkała na nich z zaciekawiona. Czy te głupkowate, natrętne typy to owi oczekiwani przez Damiena jej konkurenci? - zastanawiała się. Westchnęła na wspomnienie swego srogięgo opiekuna.

Od dnia przyjazdu do Londynu nie widywała go zbyt często. Opanował do perfekcji sztukę unikania kontaktu z nią. Czasami udawało jej się pochwycić jego przelotne spojrzenie przy posiłkach, zawsze jednak w obecności innych osób - o to bez wątpienia dbał. Wyraźnie nie zamierzał dopuścić do rozmowy o tym, co między nimi zaszło. Minęło już prawie czterdzieści osiem godzin od chwili, kiedy rzucił się na nią we śnie, a nadal zachowywał się

tak, jakby jej nie było.

No, może nie dosłownie, przyznała, ale prawie na nią nie patrzył. Nie zbliżał się do niej na odległość mniejszą niż półtora metra; zwracał się do niej bezpośrednio tylko wtedy, gdy w żaden sposób nie mógł tego uniknąć, w dodatku tak chłodno i wyniośle, że doprowadzało ją to do pasji. Czuła się taka bezbronna, a w dodatku strasznie za nim tęskniła. Martwiła się o Damiena, było bowiem oczywiste, że dzieje się z nim coś bardzo złego. Ocalił jej życie, ocalił jej przyjaciółki, zapewnił jej też nowy start życiowy. Chciała mu jakoś pomóc - tak jak on pomógł jej - ale przede wszystkim musiała znaleźć sposób obalenia tej niewidocznej bariery, którą Damien wznosił wokół własnej osoby, wyraźnie w celu oddalenia się od niej. Starła się chodzić wokół niego na paluszkach z obawy, że zrobi coś nie tak i znów wyprowadzi go z równowagi.

Weszły z Lizzie do uroczego sklepiku z parasolami i Miranda kupiła dla Amy wytworną parasolkę.

- Będzie zachwycona! Wiele bym dała, żeby zobaczyć jej minę, kiedy otworzy paczkę
- zawołała radośnie do Lizzie, kiedy wychodziły ze sklepu.
- Nie przeszkodzi ci, że wpadnę na chwilę do księgarni? - spytała ta ostatnia, patrząc w stronę wąskiego, ciemnego sklepiku wypełnionego półkami z niezliczoną liczbą tomów.
- Ależ skąd!

Na chodniku przed księgarnią ustawiono stojak z książkami i barwnymi reprodukcjami, by zachęcić klientów do wejścia do środka. Miranda podeszła do stojaka.

- Przejrzę te reprodukcje. Zobaczę, może znajdę coś odpowiedniego na gwiazdkowy prezent dla lorda Winterleya. Był dla mnie taki dobry.

- Doskonale. Nie zabawię długo. - Lizzie skinęła Mirandzie głową i weszła do księgarni.

Lokaj zajął miejsce w pobliżu drzwi wejściowych, starając się obserwować obie powierzone jego opiece panny. Miranda przeglądała reprodukcje, szukając takiej, która mogłaby się spodobać Damienowi - najlepiej, żeby przedstawiała konia. Stała tuż przy krawędzi chodnika, oglądając malowidła i akwatinty. Była tak pogrążona w myślach o Damienie i ukołysana monotonnym dźwiękiem ruchu ulicznego, że nie zauważyła wielkiego czarnego powozu pędzącego środkiem jezdni prosto na nią.

- Panno FitzHubert, proszę wybaczyć, ale czy mogłaby pani zejść z jezdni - zaczął lokaj.

Podniosła głowę i spojrzała na niego nieobecny wzrokiem. Lokaj z twarzą zbielejącą z przerażenia zrobił krok w jej kierunku, ale pojazd skręcił gwałtownie prosto na nią, tak że była kompletnie zdezorientowana.

- Uwaga! - wrzasnął jakiś przechodzień.

Przez ułamek sekundy widziała szpetnego woźnicę, który popędzał konie, jakby naumyślnie starał się ją przejechać. Kilka męskich ciosów krzychało coś do niej z drugiej strony ulicy. Miranda odskoczyła w bok i zderzyła się z lokajem w momencie, gdy powóz wyrzwał kołami o trotuar, przewracając stojak, aż książki i akwatinty rozsypały się na wszystkie strony.

Bok powozu minął ją dosłownie o włos. Czowała podmuch obracających się szprych ciężkich kół, miażdżących wszystko, na co natrafiły. Powóz zatrząsł się na resorach, opadł z powrotem na jezdnię wszystkimi czterema kołami i potoczył się dalej, aż zniknął za zakrętem.

Miranda trzęsła się jak osika; jej twarz była szara jak popiół. Kilku młodych dżentelmenów rzuciło się ku niej.

- Mademoiselle, czy jest pani ranna?

- Potrzebna pani pomoc?

Ku wielkiej uldze Mirandy w tym momencie Lizzie wybiegła ze sklepu.

- Mirando?! Co się stało?! - wołała, biorąc ją w objęcia.

- Jakiś przeklęty powóz omal nie przejechał tej biednej, uroczej osóbk! - z

oburzeniem wyjaśnił jeden z młodych ludzi.

- Nic ci nie jest? - dopytywała się Lizzie z niepokojem.

- Chyba nie - odparła Miranda, choć z trudem łapała oddech, gdy zdała sobie sprawę, jak niewiele brakowało, by zdeptały ją końskie kopyta lub zgmiotły ciężkie koła powozu.

- Czy ktoś z państwa widział gębę tego szalonego woźnicy? - dopytywał się tęgi młodzian, podczas gdy inny zabrał się do wymyślania nieszczęsnemu lokajowi, jakby to była jego wina.

- Nie było czasu nawet go dojrzeć - odpowiedział patykowaty blondyn. - Ten dureń stracił kontrolę nad końmi. Chyba że ktoś, panienko, umyślnie chciał panią zabić - zażartował, próbując skłonić ją do uśmiechu.

Miranda jednak zbladła na te słowa: przypomniała sobie gehennę, jaką przeżyła w Bordesley Green.

- Nie... nie sędzę - odrzekła słabym głosem.

- Och, na miłość boską! Proszę jej jeszcze bardziej nie straszyć!

- ofuknęła chudzielca Lizzie z powagą urodzonej guwernantki.

- Wszyscy panowie mogą teraz odejść, dziękujemy bardzo. Mojej przyjaciółce nic nie będzie.

„Wałkonie z Bond Street”, acz z oporami, wycofywali się, życząc paniom wszystkiego dobrego. Miranda dziękowała, czując się, jak zahukana wiejska prostaczka, która znalazła się w centrum zainteresowania z powodu tego niemądrego wypadku. Niemniej...

Odwróciła się niepewnie do Lizzie.

- Myślisz, że ten człowiek rzeczywiście próbować mnie przejechać? - spytała szeptem.

- Oj, nie słuchaj tych bzdur, jakie plotą ci chłopcy, kochanie odparła Lizzie, klepiąc ją serdecznie po ramieniu. - W Londynie każdy powozi, jak wariat. Po prostu jeszcze do tego nie przywykłaś. Może zajrzemy do modystki i zobaczymy, czy ich książęce moście są już gotowe wracać do domu? Chyba obu nam dobrze by zrobiła filiżanka herbaty.

Miranda skinęła głową.

- Tylko nie mówmy lordowi Winterleyowi o tym, co się tu stało, dobrze? - poprosiła, zerkając niepewnie to na Lizzie, to na ciągle jeszcze szarego jak popiół lokaja. Chciała oszczędzić Damienowi zmartwienia i wybuchów gniewu, zwłaszcza teraz, gdy jego stan psychiczny był taki niestabilny.

- Moim zdaniem należałoby mu o tym powiedzieć, no ale skoro prosisz, żeby tego nie robić, zgoda, nic nie powiem - odparła Lizzie.

- Ja też nie, panienko - dodał służący z wyraźną ulgą.

Miranda zdawała sobie sprawę, że Damien prawdopodobnie obwiniałby za to wydarzenie nieszczęsnego lokaja, była więc zadowolona, że może uchronić tego człowieka przed strasznym gniewem swego opiekuna.

Lizzie podała Mirandzie parasolkę, która w zamieszaniu wypadła jej z rąk.

Opakowanie było rozdarte, ale parasolka na szczęście nie ucierpiała. Zanim ruszyły z powrotem, Lizzie pomogła księgarzowi pozbierać rozrzucone tomy. Lamentował nad porozdzieranymi kartkami i tuszem, który rozpuścił się w zetknięciu z mokrym śniegiem, jakby zupełnie nie zdawał sobie sprawy, że tu i przed jego sklepem powóz mógł przejechać kobietę.

Miranda, nadal roztrzęsiona, ruszyła za Lizzie do salonu krawieckiego, gdzie księżna i lady Lucien wydawały właśnie głównej krawcowej ostatnie polecenia. Miranda usadowiła się

jak najdalej od gwarnej przymierzalni i czekała, aż lokaj sprowadzi powóz. Cały czas dręczyło ją wspomnienie koszmarnego żartu młodzieńca.

Chciałabym, żeby Damien tu był, pomyślała.

Następnego wieczoru Miranda wypłynęła po raz pierwszy na burzliwe wody życia towarzyskiego, zabrano ją bowiem do teatru na Drury Lane. Znając tajemnicę aktorskiej kariery swojej podopiecznej, Damien z rozbawieniem obserwował jej zachowanie. Siedziała oczarowana pomiędzy Alice i Bel, jej sumiennymi opiekunkami. Robert i Lucien zjawili się także, by obejrzeć widowisko bożonarodzeniowe. Robert stał w głębi łoża, gawędząc cicho z kolejnymi przyjaciółmi, którzy zatrzymywali się przy nim; Lucien zaś lornetował raczej widownię niż tancerki na scenie.

Damien nie miał mu tego za złe. Spektakl bożonarodzeniowy - ze wszystkimi scenkami, piosenkami i pantomimami - był w istocie bardzo głupiutką imprezą. Dla niego też o wiele ciekawsze od przedstawienia było obserwowanie reakcji Mirandy. Postanowił niczym się dzisiaj nie martwić, nawet tym, że policja nadal nie odnalazła zabójcy Jasona. „Koguta” wypuszczono i oddano pod nadzór brata - księdza. Zatrzymano niewłaściwego człowieka, ale w końcu złapią prawdziwego mordercę, pomyślał i skupił uwagę na Mirandzie.

Była bez reszty pochłonięta widowiskiem, a na jej twarzy malował się niemal dziecinny zachwyty. Ten widok bawił Damiena, a równocześnie budził w nim miłe ciepło.

Może to po prostu objaw złego trawienia, pomyślał cynicznie. Tak czy inaczej, drenaż zapasów jego gotówki opłacił się stokrotnie. Od początku uważał Mirandę za diament, a teraz wspólny wysiłek Bel i Alice oszlifował ją i uczynił brylantem o precudnych ogniach.

Miała na sobie nową suknię, dopiero co dostarczoną z salonu krawieckiego. Bel musiała chyba dodatkowo opłacić modystkę, pomyślał, bo po prostu nie mógł sobie wyobrazić, ilu szwaczek trzeba, by wykończyć suknię w takim tempie. W każdym razie

Miranda wyglądała olśniewająco. Ciemnozielony jedwab dodawał blasku szmaragdom jej oczu, a głęboki dekolt w kształt serca przyciągał wzrok. Bel pożyczyła Mirandzie śliczny naszyjnik z krzyżykiem na złotym łańcuszku. Migotał na jej kremowej skórze w ostrym świetle lamp i wtulał się w zagłębienie między jędrnymi piersiami.

Damien zmusił się do odwrócenia od niej wzroku. Wiercił się niespokojnie na krześle, założył ręce na piersi, oberwał nitkę zwisającą ze szkarłatnego rękawa kurtki munduru.

Usłyszał za sobą wybuch śmiechu. Obejrzał się i na widok wigów w towarzystwie Roberta skrzywił z niesmakiem. To wszak wigowie zaprotestowali przeciw przedłużaniu wojny - tak jakby Anglia mogła sobie pozwolić na ignorowanie tego, co działo się po drugiej stronie kanału, gdzie Napoleon dosłownie pochłaniał cały kontynent!

Na szczęście Robert po opuszczeniu kilka miesięcy temu partii torysów przeszedł do niezależnych. Jego zainteresowanie ideami wigów dotyczyło wyłącznie ich prób przeprowadzenia reform społecznych, co do których Damien nie miał żadnych zastrzeżeń.

Podczas antraktu musiał stawić czoło natarciu kawalerów do wzięcia. Dosłownie zalewali lożę pod pretekstem złożenia uszanowania księciu i księżnej, wyraźnie jednak dobijali się o przedstawienie ich tej urzekającej młodej damie w zieleni. Bel i Alice dokonywały kolejnych prezentacji, często ku irytacji Damiena.

Wkrótce Mirandę otoczył tłum wielbicieli. Przyjmowała ich hołdy z wrodzoną kokieterią, podczas gdy stał obok z założonymi rękami, fukając i kipiąc z... obawiał się, że ze zwyczajnej zazdrości.

Złoci młodzieńcy z nabożeństwem słuchali każdego jej słowa; zdumiewali się, że dotychczas nie mieli okazji jej poznać. Mieszkała gdzieś daleko czy może... Damien wyjaśniał lakonicznie, że była w szkole, że jest jego podopieczną i bratanicą Sherbrooke'a, nie wnikał jednak w szczegóły jej paranteli. Socjeta i tak wkrótce wywęszy, kim Miranda jest

naprawdę; dopiero wtedy można będzie ocenić j ego pozycję w towarzystwie.

Coraz więcej młodych ludzi tłoczyło się do łoży, przedstawiając Mirandzie swoich przyjaciół, skoro tylko pierwsza grupa dopchała się do niej poprzez przyzwoitki.

- Jak się pani ma, panno FitzHubert? - zawołał jakiś nowo przybyły, pochylając się w ukłonie nad jej dłonią w eleganckiej rękawiczce. - Mam nadzieję, że już dobrze. Cóż to, nie poznaje mnie pani?

- Nie sędzę, żeby pani nas zapamiętała, Ollie - stwierdził jego towarzysz z pełnym zachwytem uśmiechem. Miał jasne włosy i był w równym stopniu chuderlawy i anemiczny, w jakim jego ciemnowłosy towarzysz korpulentny i rumiany. - Wszak była wtedy w szoku. Miranda już otwierała usta, by coś powiedzieć, ale Ollie okazał się szybszy.

- Byliśmy wczoraj na Bond Street, kiedy ten powóz omal pani nie strącił - wyjaśnił.

- Na Jowisza, nieszczęście było tak blisko! Mam nadzieję, że czuje się pani już lepiej.

- Zupełnie... dobrze... dziękuję panu - wyjąkała, obrzucając Damiena spojrzeniem pełnym winy. Zerknął na nią z ukosa.

- O czym on mówi, kochanie? - spytał cicho, ale stanowczo. Na jej policzkach wykwitły rumieńce.

- Miałam coś w rodzaju... hm... wypadku... wczoraj, kiedy byłam w mieście.

- Opowiedz o tym.

- To była moja wina - próbowała wyjaśnić, ale panowie nawet nie chcieli o tym słyszeć.

- W żadnym wypadku, łaskawa pani! - zaprotestował Ollie. - To była wina tego niezdary woźnicy. - Spojrzał na Damiena i sam zaczął wyjaśniać, co się wydarzyło. - Mam nadzieję, milordzie, że zwolnił pan tego waśniaka w liberii, który nie potrafił lepiej upilnować młodej damy. Ja wyrzuciłbym go w mgnieniu oka!

Damien uciszył go jednym spojrzeniem.

- Wybaczy pan. Z kim właściwie mam przyjemność?

- Oliver Quinn, do usług waszej lordowskiej mości. A to pan Nigel Stanhope - przedstawił przyjaciela, ten zaś skłonił się Damienowi z niewyraźnym uśmiechem.

Najwyraźniej rozumiał, że wymawianie sławnemu pułkownikowi lordowi Winterleyowi nie-dopatrzeń w ochronie podopiecznej graniczy z obelgą.

- Rozumiem... - mruknął Damien.

- Powiadam panu, gdybym miał wtedy konia! - odgrażał się Ollie. - Popędziłbym za powozem i dopadłbym tego woźnicę.

- Nie wątpię w pańskie szlachetne intencje, panie Quinn - rzekła Miranda z zakłopotanym uśmiechem.

Na szczęście w tej chwili zabrzmiał dzwonek obwieszczający koniec antraktu i obaj młodzieńcy wyszli.

- Co się stało? - zażądał wyjaśnień Damien, gdy tylko tłum fircyków wyniósł się z łoży.

- Nic takiego, naprawdę - odszepnęła. - Wczoraj, kiedy robiłam zakupy na Bond Street, jakiś rozpędzony powóz przejechał obok mnie, trochę za blisko. Nie wiedziałam, że w śródmieściu tak wariacko powożą.

- Mirando!

- Naprawdę nie groziło mi żadne niebezpieczeństwo, milordzie.

- Sądząc z tego, co mówili ci panowie, mogłaś zostać poważnie ranna.

- Nie, nie, właściwie byłam dość daleko od tego powozu. Właśnie dlatego nic nie mówiłam. Nie było powodu do paniki.

- Musisz bardzo uważać na siebie w mieście, Mirando. Londyn to nie Yardley.

- Teraz już wiem. Wiem, że jestem prowincjonalną gąską, ale niedługo się przyzwyczaję. Proszę, nie gniewaj się na mnie.

Zacisnął szczęki, wyrzucając sobie, że tak uporczywie trzymał się od niej z daleka.

Okazało się, że jego postępowanie mogło na nią ściągnąć niebezpieczeństwo. Nie, to nie do zniesienia, myślał. Jestem przeklęty, jeśli to robię, i równie przeklęty, jeżeli nie.

- Powinienem być tam z tobą - wycodził przez zęby. Zatrzepotała pożyczonym wachlarzem.

- Nie, nie powinieneś.

- A niby czemu nie?

- Bo chciałam kupić ci prezent gwiazdkowy. Gdybyś tam był, nie mogłabym ci sprawić niespodzianki.

Ta odpowiedź zaskoczyła go zupełnie. Kiedy Miranda uśmiechnęła się, patrząc mu w oczy, spuścił wzrok i pokręcił głową, czując, że policzki mu płoną. Może trzymanie jej na odległość było nie tyle właściwe, ile po prostu najłatwiejsze? Jego, mężczyznę z doświadczeniem, przyzwyczajonego do stawania wobec niebezpiecznych sytuacji, ta dziewczyna potrafiła sprowadzić do pozycji głupiego pyszałka.

- Wszystko, co robisz, zaskakuje mnie - wyznał.

- Czyżby? A tak niewiele jeszcze widziałeś - odparła szeptem, rzucając mu szelmowskie spojrzenie. Poprawiła się w fotelu i już po chwili była całkowicie pochłonięta widowiskiem.

Następnego popołudnia śnieg na nowo pobielił ulice Londynu, ;i w całym domu rozchodził się z kuchni rozkoszny aromat cynamonu i goździków. Miranda pomagała księżnej, Lizzie i lady Jacindzie w dekorowaniu półek i kominków na rodzinną wieczerzę wigilijną w sobotni wieczór. Panie ozdobiły obramowania wszystkich kominków zielonymi

gałązkami, szyszkami i związanymi złotymi wstążeczkami bukietami z ostrokrzewu z gronkami czerwonych owoców. Na drzwiach powiesiły wieńce, a w oknach oświetlone girlandy.

Miranda upinała wstążki i pęki jemioli nad mosiężną kopią francuskiego orła, którą Damien zabrał ze sobą na wojnę, a która teraz była wystawiona w największym salonie.

Księżna kazała lokajowi zawiesić gałązkę jemioli nad fortepianem jej męża, żartobliwie zastawiając na niego pułapkę. Jacinda natomiast rzuciła pomysł towarzyskiej zabawy w teatr zaraz po wieczery wigilijnej. Miranda pomogła jej zaplanować wieczorny program komicznych scenek.

Położyła kilka dodatkowych bukietów na rzeźbionej białej obudowie kominka w salonie, honorując w ten sposób damę na portrecie nad kominkiem. Wiedziała już, że to matka Damiana, Georgiana, ostatnia księżna Hawkscliffe. Przez chwilę przypatrywała się portretowi. W wysokiej białej peruce i spłaszczonej z przodu krynolinie z głębokim dekoltem nieboszczka księżna wyglądała na osobę, z którą należy się liczyć. Linia podbródka znamionowała dumę, błękitne oczy błyszczały inteligencją, a jedwabna muszka w kształcie gwiazdki umieszczona w kąciu zmysłowych ust podkreślała cięte poczucie humoru.

Do salonu wszedł majordomus i ku wielkiej radości Mirandy oznajmił, że nadeszła kolejna partia jej strojów zamówionych na Bond Street. Służący zanieśli białe pudła do jej sypialni, a Lizzie i Jacinda wbiegły razem z nią po schodach na górę obejrzyć te cuda. W pierwszych trzech pudłach były suknie przedpołudniowe.

- A co jest w tym? - wykrzyknęła Lizzie, podniecona. Miranda otworzyła czwarte pudełko i aż dech jej zapało.

- Suknia spacerowa. Czuję się, jakby już była gwiazdka!

- Otwórz to - poprosiła Jacinda, przysuwając ostatnie nie otwarte jeszcze pudło.

Miranda podniosła wieko i ostrożnie wyjęła suknię.

- Ooo! Moja amazonka!

- Wobec tego chyba już najwyższy czas na pierwszą lekcję jazdy konnej - odezwał się od drzwi głęboki głos.

Aż jej serce podskoczyło. Przyciskając do piersi elegancki brązowy zakieciak, odwróciła się do Damiena, który stał w drzwiach z kciukiem zahaczonym o kieszonkę kamizelki. Czy to sen, czy Damien naprawdę przyszedł na nią popatrzeć?

- Tak pan uważa, milordzie? Skinął poważnie głową.

- Twoje wykształcenie będzie żałośnie niekompletne, dopóki nie nauczysz się jeździć konno.

Uśmiechnęła się promiennie.

- Zaraz się do tego zabiorę. Chce pan obejrzyć moje nowe stroje?

Wzruszył ramionami, ale wszedł do pokoju. Kiwał głową z - pewnie udawanym - zainteresowaniem, gdy pokazywała mu nowe suknie. Potem wyszedł, żeby mogła się przebrać.

Niebawem zabrał ją do Green Park na pierwszą lekcję konnej jazdy. Raz po raz obrzucała go radosnymi spojrzeniami. Wprost nie mogła uwierzyć, że szukał jej towarzystwa!

Trochę się denerwowała, jak pójdzie jej jazda, ale w tej chwili z przyjemnością skrzyłaby nawet kark. Byłoby warto: nareszcie, nareszcie Damien chciał być razem z nią!

Pułkownik lord Winterley najpierw objaśnił, jak obchodzić się ze zdradziecko wyglądającym damskim siodłem, a potem podsadził ją na grzbiet najłagodniejszego zwierzęcia z książęcej stajni: spokojnego gniadego kucyka imieniem Apple - Jack. Była wysoka, więc nogi zwisały jej komicznie po obu stronach pękatego brzuszka konika, gdy ten brnął z trudem po puszystym śniegu.

- Czy wyglądam śmiesznie? - spytała, zauważywszy lekkie drgnięcie kącika jego

pięknie wykrojonych ust.

- Ależ skąd, moja droga - zapewnił.

Usłyszała jednak lekki chichot, kiedy znowu wyprostowana patrzyła przed siebie. Nie przejmowała się tym specjalnie. Było jej lekko na sercu. Jeśli śmieszny wygląd miał jej pomóc w przebywaniu z Damienem, zniesie to z przyjemnością.

Prowadził Apple - Jacka na lonży, ona zaś, odważywszy się kłusować, kolebała się komicznie na wszystkie strony, próbując opanować wodze i równocześnie utrzymać się w siodle. Po każdym okrążeniu zerkąta na Damiena. Gdy wreszcie się odezwał, chwalał jej wysiłki, nie posiadała się z dumy i radości. Ona i Damien znowu rozmawiają ze sobą i wszystko jest w porządku na tym pięknym świecie!

Po lekcji Miranda starała się nie zmęczyć Damiena swoją serdecznością (według rady udzielanej aktorom przez pana Chippinga: „Pozwólcie im, by chcieli jeszcze”). Stajenny otworzył im bramę, gdy wracali do domu. Miranda podziękowała opiekunowi i przyjąwszy łaskawie propozycję następnej lekcji nazajutrz, rozstała się z nim na wysypanym żwirem podwórzu. Damien wydawał się zaskoczony jej powściągliwością. Ostatni raz poszukał wzrokiem jej twarzy, a ona wdzięcznie skinęła głową i poszła w stronę domu. Oglądając się za nią zdziwiony, prowadził Apple - - Jacka do stajni.

Usczęśliwiona własnym sukcesem i rześkim, mroźnym powietrzem, zdjęła z głowy ozdobiony welonem cylinderek, po czym uniosła ze zdziwieniem brwi na widok lorda Luciena opartego o kamienną balustradę tarasu na tyłach domu. Jego oczy lśniły, kiedy patrzył na Mirandę. Poszedł do niej i obdarzył makiawelicznym uśmiechem, który sprawił, że poczuła się nieswojo. Zorientowała się, że musiał stać tam dłuższy czas, obserwując ją i Damiena, w parku, który graniczył z posiadłością.

- Dobry wieczór, milordzie - powitała go.

- Witam, panno FitzHubert - odparł przeciągle.

- Czy czeka pan na Damiena, to znaczy lorda Winterleya - dodała pośpiesznie, ale już było za późno.

Uniósł brwi na tę jej gafę.

- Ach, na Damiena?

Odwróciła się gwałtownie i z trudem przełknęła ślinę.

- Proszę mi wybaczyć. To była zwykła pomyłka. Przepraszam, ale muszę przebrać się do kolacji...

- O nie, moja droga. Bardzo proszę, by poświęciła mi pani minutę. Wszystko to wydaje mi się bardzo intrygujące. - Obszedł ją, stanął za jej plecami i zniżył głos do szeptu. - Naprawdę zaczyna mnie to ciekawić. Co tak naprawdę jest między panią i moim bratem?

- Nie mam pojęcia, o co panu chodzi. - Serce biło jej jak oszalałe.

- Mirando - skarcił ją. - Czy myśli pani, że jestem tak ślepy jak wszyscy w tym domu?

- To była zwykła pomyłka - powtórzyła słabym głosem.

- Chyba nie taka zwykła. - Przerwał na chwilę. - Nie będzie pani kłamać, dobrze? Nie przede mną. To byłoby bardzo nieładnie z pani strony. Zresztą chyba wie pani, że jestem dyplomatą, panno FitzHubert, wyszkolonym w rozpoznawaniu prawdy i wydobywaniu jej na światło dzienne? Nie zdoła pani przede mną niczego ukryć, zapewniam.

Zesztywniała. Nagle zdała sobie sprawę, że Lucien ją przejrzał. Jak widać, nawet zdolności aktorskie nie wystarczyły, by go zwieść. Nie wiedząc, co powiedzieć, odwróciła się powoli i zmusiła do wytrzymania jego badawczego spojrzenia. Długą chwilę patrzył na nią z mieszanią sympatii i rozbawienia.

- Czy on wie, że pani jest w nim zakochana? - spytał. Spojrzała na Luciena, zbita z

tropu, po czym z desperacją pokręciła głową.

- Och, nie mam pojęcia. Nie wiem... Nic nie wiem. Nawet tego, czy na pewno jestem w nim zakochana. Proszę się na mnie nie gniewać. Nic na to nie poradzę. Nie powie mu pan? Proszę przyrzec, że pan nie powie!

- Nie przyrzeknę, zanim nie dowiem się wszystkiego. Czemu pani mówi, że nie jest pewna? Dla mnie to zupełnie oczywiste.

- O co właściwie panu chodzi? - wykrzyknęła, załamując ręce. Doskonale wiem, że on stoi o wiele wyżej ode mnie. Nie mam żadnych zamiarów wobec pańskiego brata, milordzie, jeśli tego się pan obawia. Być może łączy nas pewne... pokrewieństwo dusz, ale dobrze pamiętam o swojej pozycji tutaj. On jest hrabią i bohaterem narodowym. Ja... nawet nie jestem ślubnym dzieckiem.

- Mówi pani jak gaska, panno FitzHubert. Proszę, chodźmy. Podał jej ramię. -

Przejdźmy się po galerii i spróbuj my jakoś to wszystko uporządkować.

Westchnęła ciężko, ale usłuchała go. Lord Lucien nie wydawał się zły, ale zdecydowany ujawnić jej tajemnice, jakby chcąc ją sprawdzić. Weszli do domu i przechadzali się po długiej galerii portretów przodków rodziny Knight.

Lucien zadawał pytania, a Miranda, mimo że początkowo się wahała, w końcu opowiedziała mu wszystko. Nie mogła postąpić inaczej. Tak bystrego, znającego świat i życie człowieka nic nie mogło zaszokować, a przy tym nie sposób było go zmylić. Formułował pytania tak trafnie, jakby czytał w jej myślach. Jakim cudem Alice sobie z nim radzi?

Miranda doprawdy nie miała pojęcia. Dostrzegła jednak silną więź między bliźniakami i zrozumiała, że jeśli ktokolwiek wie, jak pomóc Damienowi w pokonaniu drzemiących w nim demonów, to chyba tylko Lucien.

Wyłożyła więc karty na stół w nadziei, że on zdoła wyczytać z nich więcej niż ona.

Niczego nie zataiła. Opowiedziała o tym, jak występowała w teatrze jako panna White; jak Damien wziął ją za ładacznice; jak w Bordesley Green zaatakowali ją bandyci i jak Damien przyszedł jej z pomocą; jak bronił jej i jej przyjaciółek przed wielebnym Reedem w Yardley; w końcu o tym, jak ją zaatakował, kiedy wyrwała go z głębokiego snu tej nocy, gdy dzielili łóżko w hotelu.

- Jest pani pewna, że to było wszystko, co się wydarzyło w tym łóżku? - zapytał spokojnie.

- Wszystko? Omal nie wydusił ze mnie życia, milordzie. To chyba wystarczająco poważne wydarzenie, nie sądzi pan?

Zgodził się z nią skinieniem głowy.

- Mimo to nie wydaje się pani gniewać na niego. - Jakżeby mogła? To nie jego wina.

Wszystko, czego pragnę, to mu pomóc. Z pewnością zgodzi się pan, że jestem mu to winna. -

Westchnęła. - Byłby wściekły, gdyby wiedział, że opowiedziałam panu to wszystko.

- Mirando, jest kilka rzeczy, które powinna pani wiedzieć o Damienie. Chodźmy. -

Posadził ją na ławeczce niedaleko wyjścia z galerii i usiadł obok niej.

Wbiła w niego wzrok, zamieniona w słuch.

- Mój brat walczył w niemal każdej większej potyczce na tej wojnie. Byłem tam i obserwowałem, jak się przez to zmieniał. Na przykład kiedy stał na czele brygad szturmujących Ciudad Rodrigo i Badajoz. Z obu tych bitew wyszła cało zaledwie garstka ludzi. Widziała go pani w akcji, wie zatem, że to widok jedyny w swoim rodzaju. Może słyszała pani o buntach, do jakich doszło w naszej armii, kiedy fort Badajoz został zajęty.

Damien ścigał przestępców i osobiście zabijał tych spośród swoich żołnierzy, którzy gwałcili i rabowali. Był naprawdę brutalny, ale czuł się zdradzony przez nich, a zarazem uważał, że jest osobiście odpowiedzialny za nieutrzymanie ich w ryzach. To była swego rodzaju wojna w

miniaturze, wojna między oficerami a szeregowcami.

- To musiało być straszne.

- Na tyle straszne, żebym stracił ostatnie złudzenia co do tego, jak się prowadzi

wojny... No, ale to już inna historia - rzekł cicho. - Wszystko to zaczęło docierać do Damiena.

Cała ta rzeź, ból, wreszcie bezsilność i gniew, oto, co odczuwa oficer niezdolny obronić ludzi,

którzy powierzyli swoje życie jego dowództwu. Damien zaczął się zmieniać, jest bowiem

dowódcą z prawdziwego zdarzenia. Troszczy się o to, o co nie troszczy się nikt inny. Dlatego

właśnie, gdziekolwiek się pojawi, ludzie go kochają. Może się wydawać surowy, ale to

człowiek, u którego najważniejsze jest serce, a ja widziałem, jak to serce pękało z bólu tam, w

Hiszpanii. Widziałem, jak szukał ucieczki od bólu w apatii, srogi niczym kapitan jakiejś

krwiożerczej bandy heskich najemników. Starąłem się utrzymać go w ludzkim,

cywilizowanym stanie, próbowałem przemówić mu do rozsądku. Miał o to do mnie wielki

żal. - Lucien potrząsnął głową. - Łatwiej mu było wykonywać obowiązki, kiedy sam siebie

czynił głuchym na wszystko. I był w tym dobry. Na Boga, nadal jest dobry. To urodzony

wojownik. Nieustraszony i groźny jak sam diabeł.

- Widziałam - szepnęła.

- Po Badajozja nie mogłem już znieść tej obłądnej sytuacji. Postanowiłem sprzedać

swoją rangę oficerską i zająć się wywiadem. Próbowałem namówić Damiena, żeby zwolnił

się razem ze mną, zanim wojna zniszczy to, co z niego jeszcze zostało, ale nawet nie chciał o

tym słyszeć. Strasznie się wtedy pokłóciliśmy. On nazwał mnie tchórzem, ale to nie

powstrzymało mnie przed odejściem. Było dla mnie kwestią sumienia służyć tam, gdzie mogę

być bardziej użyteczny. Pewne pytanie jednak do dziś nie daje mi spokoju: jak bardzo stan

Damiena pogorszył się przez to, że mnie przy nim nie było?

Lucien przerwał na chwilę. Miranda wpatrywała się w niego zadumana.

- Potem długo nie chciał mieć ze mną nic wspólnego - podjął Lucien. - Wiem więc, jak doskonale potrafi zamykać się przed ludźmi, zwłaszcza tymi, którzy go kochają. Dlatego właśnie daję pani to. - Wyjął z kieszonki kamizelki mały zardzewiały kluczyk, który włożył Mirandzie do ręki, łagodnie zaciskając na nim jej palce. - Proszę go użyć jedynie w razie konieczności.

Zdumiona spojrzała na klucz, a potem na ofiarodawcę.

- Co się nim otwiera?

Zbył pytanie tajemniczym uśmiechem.

- W tej chwili najważniejsze jest, że przyciąga pani uwagę Damiena, a to więcej, niż mógłbym powiedzieć o którejkolwiek z kobiet, z jakimi go widziałem. Żadna z nich nie okazywała takiego hartu ducha jak pani. On pani potrzebuje, Mirando. Może pani być jego ostatnią nadzieją. Ja jestem tylko bratem. Nie mogę zrobić dla niego tego, co pani.

- A cóż ja mogę? - spytała cicho.

- Kochać go, *cherie*. Ma pani moje błogosławieństwo. - Z tymi słowy pochylił się i ucałował ją w czoło.

- Dziękuję, milordzie, ale nie mogę przyjąć pańskiego błogosławieństwa - powiedziała żałośnie, kiedy się wyprostował. - Wiem przecież, jaka jestem. Ani wytworna jak księżna, ani porządna i dobra jak pańska lady Lucien...

Wstał i oddalił się niedbałym krokiem. Patrzyła za nim zdezorientowana.

- Dokąd pan idzie, milordzie?

Nie odpowiedział. Po prostu odszedł. Co za dziwny człowiek!

- Lordzie Lucien? Proszę zaczekać! Jak mam go skłonić do miłości?

Pomachał jej ręką, zmierzając do drzwi.

- To już pani sprawa, Mirando. Nie mam zamiaru siedzieć tu {wysłuchiwać, dlatego

nie da się tego zrobić.

- Ale co będzie, jeżeli zbliżę się do niego, a on znowu stanie się niebezpieczny?

Mówiłam panu, co się stało w hotelu. Już wtedy mógł mnie zabić.

- Musisz stawić mu czoło, dziewczyno - powiedział. - Stawić czoło demonom, które go osaczają, równie dzielnie jak on stawał przeciwko Francuzom. Jest pani z tych, które się nie poddają, Mirando. Wiedziałem o tym od pierwszej chwili, kiedy panią zobaczyłem. Zatem walcz i sprowadź Damiena z powrotem do nas. Zapomnij o cnocie czy wyrafinowaniu; w tej walce to, czy jesteś go warta, można zmierzyć tylko twoją odwagą.

Bezradnie opuściła ramiona. Nie chciał jej pomóc. - Może przynajmniej powie mi pan, które drzwi otwiera ten Hucz?

Przekorny śmiech był jedyną odpowiedzią. Odbił się echem o parkiet i ściany galerii, zanim Lucien zniknął za drzwiami.

- Sama musisz do tego dojść, *cherie*. Jeśli naprawdę tak bardzo zależy ci na Damienie, odkryjesz to w odpowiedniej chwili!

Następnego dnia, w Wigilię Bożego Narodzenia lord Lucien zaproponował, by jeszcze przed wieczerzą urządzić kulig. Chciał pokazać małemu Harry'emu piękne oświetlenie wielkich rezydencji w sąsiedztwie i na St. James's Square. Księżę i księżna zostali w domu, oczekując wizyty starego okularnika - ojca Belindy, doktora Alfreda Hamiltona. Miranda, w nowym płaszczku i rękawiczkach, czym prędzej znalazła się w saniach ciągniętych przez konie z brzęczącymi dzwoneczkami przy uprzęży.

W saniach normalnie mieściło się sześć osób, tym razem jednak wcisnęło się aż osiem; butle z grzany winem krążyły wesoło z rąk do rąk, chroniąc przed przemarzeniem. Zapadł zmrok, czarny aksamit nieba rozświetliły miliony gwiazd. Mały Harry siedział między Lucieniem i Alice; lady Jacinda i Lizzie po obu stronach wytwornego lorda Aleca. Miranda przytuliła się do Damiena.

Kiedy kulig dotarł do Hyde Parku, Lucien uciszył śmiechy i kazał woźnicy zatrzymać się pośrodku opustoszałego teraz parku: doszły ich dźwięki jakby niebiańskiego chóru aniołów, płynące spoza zamarznętej rzeczki Serpentine. Gdzieś tam odbywało się wieczorne nabożeństwo. Wszyscy zasłuchali się w niebiańską melodię starej kolędy; nawet Harry siedział w milczeniu, z szeroko otwartymi oczkami. Mirandzie wydało się, że czas się zatrzymał.

„Cicha noc, święta noc, narodzony Boży Syn...”

Jakże pragnęła zatrzymać tę chwilę - cudowne, nieuchwytnie uczucie przynależności do nich - na zawsze. Spojrzała na Damiena i dostrzegła, że on też na nią patrzy.

„...nad Dzieciątka snem”.

Wyciągnęła do niego rękę, ale on tylko ścisnął na chwilę jej palec, po czym objął ją - ramieniem i przytulił bliżej, jakby chciał ogrzać. Towarzystwo nadal milczało, aż delikatne

dźwięki rozplynęły się w nicość.

Damien kazał stangretowi jechać dalej.

Jacinda popatrzyła na zamarznąłą rzeczkę.

- Musimy koniecznie pójść na łyżwy, dopóki Serpentine jest zamarznąła. Lizzie,

Mirando! Pójdziemy w poniedziałek się poślizgać?

Miranda zadrżała i potrząsnęła przecząco głową. - Ja nie, dziękuję.

- Dlaczego nie? - obruszyła się Jacinda. - To świetna zabawa. - I dobre ćwiczenie -

dodała Lizzie.

- Czemu nie miałabyś spróbować? - spytał Damien poufałym tonem. Nikogo nie

obchodziło, nikt nawet chyba nie zauważył, że cały czas ją obejmuje.

Zadrżała.

- Nie, to nie dla mnie, dziękuję. - Żadne tłumaczenia nie zdałyby się na nic; nie była w

stanie pozbyć się lęku przed wodą.

Wkrótce podziwiali przepięknie oświetlony Apsley House, majestatyczny pałac

Buckingham i Carlton House księcia regenta, skryty za kolumnadą we włoskim stylu.

Kiedy wrócili do Knight House, siedli w saloniku i pili gorący poncz, aż Walsh, z

czerwonym goździkiem w butonierce, co bynajmniej nie zmieniło jego dostojnych manier,

oznajmił, że kolacja podana. Para książęca poszła przodem, za nimi Lucien z Alice. Stary pan

Hamilton podał wątle ramię lady Jacindzie; Alec prowadził do stołu Lizzie, z każdą chwilą

coraz bardziej beznadziejnie zadurzona w tym złotym młodzieńcu. Na końcu szedł Damien z

Mirandą. Wielki kandelabr oświetlał jadalnię; ozdoby z zielonych gałązek rozsiewały

delikatny zapach. Miranda po raz pierwszy w życiu widziała tak wspaniale nakryty stół.

Zastawiony był srebrem i wykwinną porcelaną, przykryty ogromnym obrusem z kremowego

adamaszku i rozświetlony mnóstwem świec, których płomyki odbijały się w wielkich

zwierciadłach wiszących na ścianach.

Wszyscy stanęli wokół stołu i wzięli się za ręce, a młody książę odmówił krótką modlitwą, dziękując Bogu za dar zesłania na ziemię swego Syna tej świętej nocy; za zwycięstwo Anglii i za pokój po dwudziestu latach wojny; w końcu za to, że nareszcie cała ich rodzina może wspólnie obchodzić święta Bożego Narodzenia. Miranda poczuła ogromne wzruszenie, mimo że znała wszystkich łych ludzi od tak niedawna. Wbiła wzrok w swój lśniący talerz z sewrskiej porcelany, po czym zerknęła na Damiena, który delikatnie ścisnął jej dłoń.

Ona dziękowała Bogu przede wszystkim za swego opiekuna - swojego anioła stróża, jak czasem nazywała go w myślach.

- I oby nasz dzidzius był zdrowy - dodała księżna cicho.

- Amen - zakończył mąż, pochylając się, by ucałować jej policzek.

- I niech Bóg błogosławi Jacka, gdziekolwiek teraz jest - dodała Jacinda, obrzucając melancholijnym spojrzeniem stojących wokół stołu braci.

- Niech Bóg błogosławi Jacka - powtórzyli Lucien i Alec, natomiast Robert i Damien milczeli, spoglądając po sobie posepnie.

Księżna dała znak lokajom, by zaczęli podawać potrawy.

- Kim jest Jack? - spytała Miranda.

- To nasz brat - odparł Alec cichym, jakby nieobecny głosem. - Drugi z kolei po Robercie.

- Nie mógł być tu dziś wieczorem?

- Nie mieszka w Anglii - wyjaśniła dyplomatycznie Lizzie, rzucając jej ostrzegawcze spojrzenie.

Temat nieobecnego brata musiał być drażliwy, Miranda więc porzuciła go, kierując

uwagę na posiłek, niezwykle obfity nawet jak na Knight House. Srebrna waza z zupą z zielonego groszku królowała dumnie pośrodku stołu. Z jednej jej strony stał pieczony indyk w selerowym sosie; z drugiej sztokfisz w maśle i wspaniała, niezbyt wysmażona karkówka z jagnięcia. Placek z bakaliami i filet wieprzowy w ostrym sosie ozdabiały koniec stołu; u szczytu natomiast stały smażona sola, na którą Miranda nie miała ochoty, i dwa całe kurczęta z brokułami. A wszystko to stanowiło zaledwie pierwsze danie z trzech.

- Nie wcisnę się po tej uczcie w żadną z moich nowych sukien - oznajmiła ze śmiechem.

- Tym lepiej - burknął Damien, rzucając jej z ukosa prowokujące spojrzenie.

Następnie wkrótce na stole pojawiły się ptysie z jabłkami i zaskakująco podane słonki, ułożone na półmisku jak żywe; marynowane uszka jagnięce; białe mięso w galarecie. Jesiotr rozpływał się po prostu w ustach; był niemal tak pyszny, jak zajac z sosem grzybowym.

Miranda wzięła kawałek smakowicie wyglądającego placka. Był doskonały, ale nie zdołała zjeść go do końca. Pomyślała, że to niepojęte: zaledwie dwa tygodnie temu całą jej kolację - o ile nie została jej pozbawiona za karę na kilka wieczorów - stanowiła kromka czerstwego chleba i filiżanka letniej herbaty.

Czterej lokaje w liberiach stojący w rogach sali podeszli do stołu, zebrali naczynia, zmiotli okruszki i napełnili kielichy winem. Miranda siedziała pogrążona w myślach.

Studiowała twarze wszystkich obecnych, starając się wyryc je sobie w pamięci i - przepęłniona wdzięcznością - rozkoszowała się cudownymi doznaniem, jakich dostarczył jej ten wieczór.

Szczególną przyjemność sprawiało jej patrzeć na Damiena i jego wysokich, przystojnych braci. Choć istniało między nimi pewne rodzinne podobieństwo, bardzo różnili się od siebie. Robert, najstarszy, dobiegający czterdziestki, miał czarne jak smoła włosy

srebrniejące na skroniach i przenikliwe piwne oczy. Gdyby nie jego pełen dobroci uśmiech, Miranda bałaby się księcia śmiertelnie. Nie musiała nawet wiedzieć, ilu posiadłościami ziemskimi włada ani iloma miejscami w parlamencie dysponuje, by czuć emanującą od niego aurę władzy. Kiedy jednak patrzył na żonę, nie sposób było go nie pokochać. Następnie przyjrzała się Alecowi. Co za numer z tego chłopaka! W duchu aż uśmiechnęła się filuternie. Właściwie podziwiała go, bo byli do siebie podobni. Oboje uwielbiali znajdować się w centrum uwagi. Ale był najmłodszym z braci i, jak powiedział Damien, pupilkiem najwyższego towarzystwa. Łatwo się było domyślić, dlaczego. Lord Alec był po prostu cudowny i wiedział o tym.

Wypowiadał swoje opinie otwarcie, ostro i dowcipnie. Ponadto, jak każdy arbiter elegancji, znajdował przyjemność w noszeniu się ekscentrycznie: jego stroje miały raczej jaskrawe barwy, a ciemnozłote, długie do ramion włosy spletał z tyłu w warkocz. Był dokładnie takim mężczyzną, za jakiego omyłkowo wzięła Damiena owej pierwszej nocy: wysoko urodzonym, wiecznie spragnionym rozkoszy poszukiwaczem wrażeń.

Wiedziała, że przypadła do gustu temu hulaszczemu książątka, i wyczuwała, że to z jego strony rzadki przywilej. Kiedy Alec zaproponował, że przedstawi jej wszystkich swoich przyjaciół jako ewentualnych kandydatów na mężów, Damien natychmiast odpowiedział: „O nie, dziękuję”. Alec tylko się roześmiał. Była pewna, że gdy ten złocisty czaruś nie pozostaje pod surowym okiem Roberta, potrafi zachowywać się zupełnie niesamowicie.

W końcu zwróciła spojrzenie na Luciena. Nigdy nie nużyło jej przypatrywanie się obu bliźniakom: zafascynowana ich identycznym wyglądem przenosiła wzrok z jednego na drugiego. Już jeden mężczyzna o tak uderzającej urodzie mógłby pozawracać mnóstwo głów, ale we dwóch, z tymi lśniącymi czarnymi włosami i szarymi oczami, stanowili widok nie do odparcia. Wyglądają jak para archaniołów, pomyślała Miranda, kiedy lokaje podali kolejne

danie: zapiekaną w kształcie półksiężyca i duszone skowronki.

Zjadła trochę ozorków wołowych w porzeczkowym sosie i potrawki z langusty.

Damien upił łyk wina i patrzył na nią z ukosa, gdy eleganckim widelczykiem do ryb próbowała smażonych ostryg. Z zakłopotaniem wytarła usta serwetką.

- Co to jest? - wyszeptała.

Spojrzał na ostrygi z iskierką rozbawienia w oczach.

- Nic takiego, moja droga. Zjedz do końca.

Posłuchała, choć obawiała się, że po tym całym obżarstwie nie zdoła się ruszyć.

Skubnęła odrobinę owoców na koniec wieczery: były to gruszki odmiany Jargonel i chińskie pomarańcze; do tego podano orzeźwiający podniebienie cytrynowe biszkopciki.

- Obawiam się, że wszyscy będziemy się smażyć w piekle za obżarstwo - oznajmiła Jacinda, z lekkim westchnieniem odsuwając się od stołu.

- Ja nie boję się ani trochę - zachichotał w odpowiedzi doktor Hamilton.

W końcu damy przeszły do saloniku, panowie zaś zostali przy stole, by wypalić cygaro i wypić kieliszek porto.

- Nie siedźcie długo - przykazała mężowi, ojcu i trzem szwagrom księżna. - Pora otwierać prezenty.

- Wedle rozkazu, ma'am - odparł posłusznie Robert, posyłając żonie porozumiewawczy uśmiech.

Idąc do saloniku, Miranda zerknęła przez ramię na Damiena. I znowu okazało się, że właśnie patrzył na nią; po chwili jednak lokaj rozdzielił ich, zamykając drzwi.

To była chwila, na którą Damien czekał, dla której warto było się zapożyczyć; dzisiaj wreszcie mógł pokazać Mirandzie, że są ludzie, którym naprawdę na niej zależy.

Miranda starała się nie wysuwać na pierwszy plan, kiedy wszyscy dzielili się

prezentami. Pochylone plecy, nerwowe wyłamywanie palców rąk trzymany na kolanach, każdy jej ruch zdradzał, jak niepewnie się czuje wśród świętującej rodziny. Damien podszedł do niej, ujął jej dłonie w swoje i wprowadził między swoich bliskich.

- Chodź, mam coś dla ciebie. Spłonęła rumieńcem.

- Och, Damien - to znaczy, lordzie Winterley - nie powinien pan...

- Damien - poprawił ją cicho, ale tak, by wszyscy to słyszeli. Powiniennem. Usiądź.

Usiadła posłusznie na sofie koło fotela Bel.

- Najpierw to - powiedział, wręczając jej małe aksamitne pudełeczko. Spojrzała na niego niepewnie. - Otwórz - mruknął.

Podniosła wieczko i wpatrywała się z podziwem w medal pułkowy przyznany majorowi Jasonowi Sherbrooke za odwagę w bitwie pod Busaco.

Łzy zalśniły w jej szmaragdowych oczach. - Dziękuję...

- Jason chciał, żebyś to dostała.

Skinęła głową, strząsając z oczu łzy trzepotem długich czarnych rzęs.

- Wydaje się, że jest tu trochę prezentów, które jeszcze nie trafiły do prawowitej właścicielki - rzekł Damien.

Spojrzała na niego podejrzliwie, a on obdarzył ją łobuzerskim uśmiechem, jakby zapominając o obecności innych w tym jasno oświetlonym salonie.

Lucien i Alice podarowali jej elegancki skórzany komplet na biurko, z zestawem biletów wizytowych, papierem listowym, kałamarzem i wybornej jakości przyborami do pisania. Od Bel dostała sznur białych pereł z pasującymi do nich kolczykami. Lizzie wyhaftowała monogram Mirandy na trzech cieniutkich chusteczkach do nosa. Jacinda ofiarowała jej wachlarz z piór specjalnie do używania w operze, z przymocowaną do rączki miniaturową lornetką. Prezentem od Aleca była futrzana mufka z soboli, bardzo modna. Alec

podarował też mufkę Jacindzie - z białą - czarnych gronostajów, i Lizzie - z białych królików.

Nawet pan Hamilton miał prezent dla Mirandy: był to tom wierszy Waltera Scotta z autografem autora, który swego czasu często bywał na przyjęciach u Roberta.

W końcu Damien wręczył jej złożony we troje arkusz papieru, opieczetowany kroplą czerwonego wosku z odcisniętym na niej herbowym sygnetem.

Ręce jej drżały, kiedy łamała pieczęć i czytała pismo. Spojrzała na mego zdumiona.

- Nie! To niemożliwe! Uśmiechnął się.

- Co tam jest?! - dopytywała się Jacinda.

- Damien dał mi w prezencie konia pełnej krwi - odparła Miranda, zrywając się na nogi.

- Z doskonałym rodowodem. - Uśmiechnął się promiennie. To gniada klacz, wysoka na szesnaście piędzi, po Eclipse. Bardzo łagodna, a chodzi jak marzenie. Będzie tu nazajutrz po Bożym Narodzeniu. Zakładam, że do tego czasu zdasz egzamin z jazdy na Apple - Jacku?

- Och, Damien, nie mogę w to uwierzyć! - Miranda zarzuciła mu ręce na szyję. - Po prostu nie wiem, co powiedzieć... - Spojrzała na pozostałych. - Nie jestem pewna, czy mogę przyjąć te wszystkie piękne prezenty... ale chyba nie byłabym w stanie ich oddać. Jeszcze nigdy nie miałam takich świąt... Nie wiem, jak wam dziękować. Przyjęliście mnie u siebie... i wszyscy byliście dla mnie hojni i tacy dobrzy... a ja nie mam nic w zamian - wykrztusiła łamiącym się głosem.

Damien roześmiał się cicho i przytulił jej głowę.

- Cicho, cicho, kochanie... Nie mieliśmy zamiaru doprowadzić cię do płaczu!

- No tak... bardzo przepraszam - chlipnęła. Otarła łzy, ciągle przytulona do Damiena, i spojrzała na Roberta. - Wasza Książęca Mość, czy mogę prosić pana o wielką łaskę?

- O co takiego, panno FitzHubert?

Uwolniła się z ramion Damiana, podbiegła do jego najstarsze: brata i szepnęła mu coś do ucha. Uśmiechnął się do niej.

- Znakomity pomysł, moja droga. Jaka tonacja?

- „C” proszę.

- Świetnie. Szanowna rodzinko, z przyjemnością oznajmiam, że panna FitzHubert zaśpiewa dla nas - powiedział wesoło, wstając.

Propozycję przyjęto okrzykami radości. Robert podprowadził Mirandę do lśniącego wielkiego fortepianu.

- Mam nadzieję, że się państwu spodoba. To niewiele, ale tylko tyle mogę ofiarować - powiedziała, a jej policzki przybrały barwę pąsowych róż stojących w wazonie na fortepianie.

Kiedy Robert zagrał kilka wstępnych taktów, Damien skupił całą uwagę na pełnej słodyczy twarzy i błyszczących oczach Mirandy. Nigdy nie spotkał piękniejszej i bardziej uroczej dziewczyny. Praktyka w roli panny White bardzo się jej przydała, bo okazała się równie dobra aktorsko, co muzycznie. Wybrała starą kolędę *Cóż to za Dzieciątko*.

Damien napawał się jej bogatym, ciepłym altem, zupełnie jak wtedy w teatrze PAVILION.

Kiedy występ dobiegł końca, wszyscy siedzieli jeszcze chwilę w milczeniu oczarowani, jakby śpiewaczka rzuciła na nich zaklęcie. Nagłe Damien, stojący z tyłu, przypomniał sobie kokietyjne słowa Mirandy owej pierwszej nocy: „Hm... nawet nie biłeś mi brawa”.

Ze swego miejsca w głębi salonu zaczął głośno klaskać.

Podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy, po czym rozejrzała się wokoło, zarumieniona z wdzięczności, kiedy pozostali przyłączyli się do oklasków. Tak jak przewidywał, aplauz wywarł na jego róży łatwy do przewidzenia efekt. Wydawało się, że rośnie w oczach.

- To było cudowne! - zawołała Alice.

- Masz przepiękny głos - przyznała Bel.

- *Brava!* - krzyknął Alec ze szczerym podziwem dla talentu dziewczyny.

- Jesteście dla mnie zbyt łaskawi... - Miranda złożyła lekki, ale efektowny ukłon i przemknęła na dawne miejsce tylko po to, by po chwili wstać znowu i zaśpiewać na bis.

Była północ, kiedy Miranda szykowała się do snu. Rozmarzona wyjmowała grzebyki i szpilki z długich loków. Zgarnęła włosy do góry, gdy pokojówka rozpięła jej wieczorową suknię; następnie włożyła nocną koszulę, ziewając potężnie. Przeżyła dziś najwspanialsze Boże Narodzenie w swoim życiu - i nie miało to nic wspólnego z prezentami, jakimi obsypali ją Knightowie. Najwspanialszym darem była ich troska, by ją jak najserdeczniej przyjąć i włączyć do grona rodziny. Jeszcze nigdy nie doświadczyła takiego uczucia przynależności, a już zwłaszcza w Yardley. Pragnęła, by ten wieczór nigdy się nie skończył.

Pokojówka dygnęła w drzwiach, wychodząc. Miranda życzyła jej wesołych świąt i dobrej nocy. Oszołomiona szczęściem siadła na łóżku i przymknęła powieki z błogim uśmiechem.

Nie mogę uwierzyć, że kupił mi konia.

Otworzyła oczy i spojrzała na zwiniętą w rulon rycinę, którą kupiła dla niego i przewiązała zieloną wstążką z kokardą. Był to tak skromny prezent, że krępowała się wręczyć mu go przy wszystkich. Przygryzając w zamyśleniu dolną wargę, zerknęła na drzwi sypialni i podjęła decyzję: zanieś rycinę do jego pokoju, zanim Damien wejdzie na górę. W końcu obiecała mu niespodziankę!

Podeszła do toaletki, wzięła rulon i się zawahała. Chwyciwszy kluczyk, który dał jej lord Lucien, wymknęła się z sypialni i ruszyła korytarzem, licząc drzwi. Pamiętała, który pokój należy do jej opiekuna: tuż za rogiem, ósme drzwi z kolei.

Z rulonem w jednej ręce i kluczykiem w drugiej podkraǳła się do drzwi pokoju

Damiena i cichutko weszła do środka.

Pokój wydał jej się bardzo skromny w porównaniu z przepychem całego domu.

Mój wojak, pomyślała czule.

Położyła przewiązany wstążką rulon na poduszce i przez chwilę wpatrywała się w łóżko Damiena. Boże, jak tęskniła za jego pocałunkami. Zerknęła na kluczyk w dłoni, podeszła ostrożnie do drzwi i spróbowała je nim zamknąć.

Kluczyk nie pasował. Był za mały.

Zmarszczyła brwi. Co, do diabła, otwierał? Obrzuciła badawczym spojrzeniem cały pokój i dostrzegła mahoniowe pudełko na komodzie.

Przymierzyła kluczyk, ale tym razem okazał się za duży.

Nagle spod okna sypialni Damiena dobiegł ją wybuch męskiego śmiechu. Po nim rozległ się zgiełk wielu głosów, wesołe okrzyki i szczekanie psów.

Co to takiego, u licha? Miranda, całkiem zbita z tropu, zmarszczyła brwi. Zupełnie jakby dom zaatakowała horda dzikusów.

Wiedziała, że powinna się wymknąć, zanim ktokolwiek ją tu odkryje, ale radosne okrzyki nieodparcie ciągnęły ją ku oknu. Uchyliła dyskretnie zasłonę i otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Zatkąła usta dłonią, by nie krzyknąć.

Dobry Boże, czy oni zwariowali? Nie mogła uwierzyć własnym oczom.

Czterej bracia Knight toczyli na podwórzu bitwę na śnieżki. Ślizgali się po tarasie, ścigając lorda Aleca, który niewątpliwie był inicjatorem tej zabawy, wrzeszcząc przy tym jak barbarzyńskie plemię. Chowali się, skacząc od jednego nagiego drzewa do drugiego, przeskakiwali przez niskie żywopłoty z wiecznie zielonych krzewów i mocowali się jak banda przerośniętych uczniów. Zrzucili okrycia; kule śniegowe fruwały w powietrzu.

Początkowo myślała, że to walka bliźniaków przeciw Robertowi i Alecowi, ale po chwili zorientowała się, że wszyscy walczą ze wszystkimi. Przez cały czas podwórzowe psy księcia szczekały, skacząc wokół walczących i próbując łapać w pyski śnieżne kule.

Nagle Alec wydał dziki okrzyk i zaatakował Luciena, zbijając go z nóg. Obaj runęli na zaśnieżoną ziemię. Robert próbował udaremnić zwycięstwo Aleca, wpychając mu śnieg za koszulę. Damien pospieszył z pomocą najmłodszemu bratu i powalił Roberta, podcinając mu kopniakiem kolana. Książę upadł z krzykiem, a pozostali bezładnie walczyli, każdy z każdym. Wkrótce działania wojenne przeniosły się za węgiew domu, więc Miranda nie mogła oglądać dalszego ciągu.

Gdy zniknęli, przetarła oczy ze zdumienia. Czy wzrok ją mylił? Albo święta obudziły w nich ducha niegrzecznych dzieciaków, albo wszyscy dostali kompletnego bzika. Podniosła wzrok na rozgwieżdżone niebo i pomyślała życzenie: oby udało jej się zdobyć miłość Damiena i na zawsze stać się częścią tej rodziny.

Wycofała się z pokoju, wróciła do siebie i zwinęła się w kłębek na łóżku. Czuła się bardziej bezpieczna i kochana niż kiedykolwiek od czasów, gdy jeszcze żyli rodzice. Holland House w Kensington był wielką rezydencją z czasów Jakuba Pierwszego. Na Boże Narodzenie dom z ciemnobrązowej cegły przystrojono świecami, wstążkami i kokardami. Miranda pomyślała, że wyglądał jak pałac z piernika. Ałłasową czerwoną suknię dostarczono jej ledwie godzinę przed tym, kiedy musiała wsiąść do karety Hawkscliffe'owi jechać na swój pierwszy w życiu bal.

Gdy powóz zajeżdżał przed oświetlony latarniami podjazd, Damien z księciem dyskutowali na temat przekonań politycznych gospodarzy, lord i lady Holland zaliczali się bowiem do filarów partii wigów, podczas gdy Damien był zagorzałym torysem. Na szczęście członkowie przeciwnych partii chętnie spotykali się na gruncie towarzyskim, gdyż łączyła ich

wysoka pozycja w świecie.

Lśniąca czarna karetka zatrzymała się przed zatłoczonym wejściem do Holland House.

Miranda spojrzała na Damiena i pomyślała w duchu, że wygląda bardzo przystojnie w galowym mundurze. Serce biło jej jak szalone - i z radości, i z lęku, by nie popełniła jakiegoś głupstwa - kiedy pomagał jej wysiąść z powozu, a potem prowadził do głównego wejścia.

Podążali o krok za księciem i księżną Hawkscliffe.

To było wręcz nie do uwierzenia: ona, do niedawna zbuntowany kopciuszek z Yardley School, szła na bal najwyższych sfer towarzyskich Londynu. Oparła się mocniej na ramieniu Damiena, starając się ukryć lekki zawrót głowy z przejęcia. Wreszcie dołączyli do tłumu w holu wejściowym, gdzie zbierali się goście. Witając się wzajemnie, oddawali lokajom kapelusze i okrycia. Niektóre damy siadały na ławeczkach pod ścianą i zmieniały ciepłe buty na delikatne pantofelki do tańca, a służący w liberiach podawali nowo przybyłym filiżanki ze smakowicie pachnącą zupą lub gorącym ponczem dla uchronienia ich przed wejściem do sali balowej z zaczerwienionymi od mrozu nosami.

Miranda podała jednemu z lokajów swoją lamowaną futrem pelisę i wykwinną mufkę, podarowaną jej na gwiazdkę przez lorda Aleca, po czym w ślad za księżną przyjęła od innego służącego filiżankę zupy. Upiła zaledwie kilka łyków i obie wspięły się na piętro.

Kiedy wchodziły do sali, oznajmiono ich przybycie, przekrzykując muzykę kameralnej orkiestry i gwar trwającego już przyjęcia. Miranda aż puchła z dumy, wkraczając do ogromnej sali balowej wsparta na ramieniu swego dystyngowanego opiekuna.

Girlandy zielonych gałęzi ozdabiały krużganki, pęki jemioly zwisały nad każdymi drzwiami i z kandelabrow. Za oknami śnieg pokrywał białą ziemię i lśnił jak lukrowa polewa na wspaniałym śliwkowym torcie, który królował na kryształowym półmisku na środku stołu uginającego się pod smakołykami.

Księżna poprowadziła Mirandę do gospodyni, tęgiej damy o ciemnych kręconych włosach i pięknych bystrych oczach zdradzających cięty dowcip. Gdy podeszli, Miranda ze zdumieniem usłyszała, że lady Holland opowiada któremuś z gości, jak to ona i jej mąż posłali gary marmolady i paki książek w prezencie gwiazdkowym Napoleonowi na Elbę. Nie wierząc własnym uszom, zerknęła pytająco na Damiena. Nie zauważył jej spojrzenia, wiedziała jednak, że słyszał przechwałki tej damy, bo spochmurniał.

Kiedy lady Holland odwróciła się od swego gościa, by się z nimi przywitać, księżna przedstawiła jej Mirandę, która dygnęła grzecznie i podziękowała baronowej za zaproszenie. Lady Holland lekko skinęła głową i zajęła się rozmową z księstwem. Po chwili zauważyła lorda i lady Lucien, którzy, trzymając się za ręce, przeciskali się przez tłum.

Nowożeńcy przywitali się z gospodynią, po czym cała czwórka oderwała się od niewielkiego grona osób wokół lady Holland. Bliźniaków otoczył tłum znajomych. Alice również знаła tu chyba wszystkich. Miranda stała obok Damiena, starając się nie okazywać, jak niezręcznie się czuje. Mogłaby nawiązać rozmowę z którymś z gości, jakim co chwila ją przedstawiano, ale bała się, że złamie jakąś zasadę niewymierną w jej podręczniku dobrych manier. Bardzo jej zależało, by nie sprawić najmniejszego kłopotu rodzinie Knightów.

- Griff! - wykrzyknął Lucien, sięgając przez otaczający ich tłum i wciągając do środka wysokiego, przystojnego mężczyznę w uroczystej czerni i bieli. - Demon, popatrz tylko! - Objął ramieniem nowo przybyłego. Mężczyzna miał falujące brązowe włosy z lokiem zwisającym nad brwiami, pięknie cyzelowane rysy twarzy i piwne oczy ze złotymi punkcikami. - Własnym oczom nie wierzę!

- Dobry Boże, lanie, to naprawdę ty? - Równie miło zaskoczony Damien podszedł i potrząsnął ręką mężczyzny.

- Dużo czasu minęło... - rzekł łan. - Gratulacje z powodu tytułu, Damienie... a może

powiniennem mówić: lordzie Winterley?

Damien skromnie zachichotał.

Elegancki pan zerknął z uśmiechem na Luciena.

- Wybacz, że nie mogłem być na twoim ślubie, stary. Dopiero co wróciłem z Wiednia.

- Przejeżdżałeś przez Alpy o tej porze roku? Podróż lądem to chyba teraz piekło.

- W dodatku zamrożnięte piekło. - Ian wzruszył ramionami - Nie miałem wyboru. Mój syn zachorował.

- A Catherine nie dała bez ciebie rady zaopiekować się nim? - zapytał Damien.

Twarz Luciena drgnęła.

- Wybacz mojemu bratu, Ianie. Chyba nikt mu nie powiedział Damienie, lady Griffith zmarła dwa lata temu.

Miranda i Alice ze zdumienia szeroko otworzyły oczy na tę wymianę zdań, ale wyraz bólu w złotobrzazowych oczach Iana trwał tylko chwilę.

- O mój Boże. - Damien był przerażony, że palnął takie głupstwo. - Griff, tak strasznie mi przykro. Nie miałem pojęcia...

- W porządku - mruknął Iana. - Byłeś wtedy daleko, na wojnie.

- A co... było przyczyną...? - spytał Damien, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. - Czy była chora?

- Umarła przy porodzie - odparł Iana, po czym upił łyk wina, rozglądając się po sali.

Prześlizgnął się wzrokiem po Alice i zatrzymał spojrzenie na Mirandzie.

Patrzyła na niego poważnie.

- Mam nadzieję, że chłopiec czuje się już lepiej? - taktownie spytał Lucien.

Usta mężczyzny wygięły się w sardonicznym uśmiechu.

- Odra. Tak, czuje się już lepiej, dziękuję. Ale dość już tych smętnych rozmów, wy

nicponie! Macie mi natychmiast powiedzieć, która z tych przepięknych istot należy do którego.

- To moja żona Alice - Lucien z dumą wskazał drobną blondynkę. - Kochanie, pozwól, że ci przedstawię naszego przyjaciela z dzieciństwa: pan Ian Prescott, lord Griffith. Jego rodzina od stuleci posiada włości sąsiadujące z Hawkscliffe Hall.

Lord Griffith się skłonił. Madame! Z pewnością nie muszę pani mówić, jak wspaniałego człowieka pani poślubiła.

Alice uśmiechnęła się do niego, po czym spojrzała z ukosa na męża.

Istotnie, milordzie. Ma swoje zalety. - A co z panem, panie hrabio? - spytał Griffith Damiena. - To twoja narzeczona? Bo nie otrzymałem dotychczas zaproszenia na ślub...

- Nie! To jest... moja podopieczna, panna FitzHubert. Jest bratanicą jednego z moich oficerów, niedawno zmarłego. Panno FitzHubert, pozwoli pani, że jej przedstawię lorda Griffitha. Jak już mówił Lucien, spędziliśmy wiele beztrioskich letnich dni na wzgórzach północy z tym łobuzem, kiedy byliśmy chłopcami.

Lord Griffith uklonił się, patrząc Mirandzie w oczy z zainteresowaniem.

- Panno FitzHubert! Przykro mi z powodu pani straty.

- I nawzajem. Bardzo mi miło poznać pana, milordzie. - Złożyła przed nim grzeczny dyg.

Wtedy dołączyli do nich książę i księżna. Hawkscliffe powitał lorda Griffitha z równym entuzjazmem, jak przedtem bliźniacy. Przedstawił go żonie i dwie młode mężatki wzięły sprawy w swoje ręce.

- Panowie możecie sobie snuć wspomnienia z czasów waszej marnotrawnej młodości, ale my zamierzamy zająć się przedstawianiem młodzieży pannie FitzHubert - oznajmiła Alice stanowczo, obejmując Mirandę.

- Bawcie się dobrze - powiedział łagodnie Lucien.

- I zachowujcie przyzwoicie - rozkazał Damien.

Przez całą następną godzinę Alice i Belinda pokazywały Mirandzie, jak się poruszać w tłumie gości, tak że wkrótce zaczęła zupełnie nieźle czuć się w nowej roli. Musiała użyć całego swego talentu aktorskiego, by ukryć zdenerwowanie, ale osłaniana z obu stron przez wierne protektorki, zdołała się opanować. Niepokoiła się o przyjęcie, jakie ją spotka ze strony tych ludzi z racji jej statusu nieślubnego dziecka, o pochodzeniu arystokratycznym jedynie ze strony ojca; ale wiele osób witało ją przyjaźnie przez pamięć dawnego lorda Hubert, jej papy. Zachowywała się tak skromnie, że nawet Brocklehurst byłaby zaskoczona.

W pewnej chwili, ku jej radości, zapowiedziano tańce. Odwróciła się i serce jej zamarło na widok Damiena torującego sobie drogę przez tłum w jej stronę.

- Chodź - rozkazał, zbliżywszy się. Wsunął jej dłoń pod muskularne ramię.

- Pan chce ze mną tańczyć? - wykrzyknęła bez tchu.

- To po prostu formalność - odparł wyniośle. - Nikt inny nie ośmieli się zatańczyć z

tobą, zanim ja nie zrobię tego pierwszy Zresztą lady Holland dopiero co dopadła mnie i

Luciena i znów zawracała nam głowę gadaniem o swoim wielkim przyjacielu Bonaparte. Nie do wytrzymania - mruknął pod nosem.

Zajęli miejsce wśród tańczących. Damien właściwie nie odpowiedział na jej pytanie.

Ustawili się w dwóch szeregach naprzeciw siebie, damy na 'wprost dżentelmenów.

Można by myśleć, że odbywa manewry wojskowe, kiedy wykonał przed nią

prawidłowy ukłon i zwrot. Miranda uśmiechnęła się do Damiena, gdy znów znaleźli się obok

siebie. Podała mu rękę, wykonując obrót; puścił ją i oboje 'wrócili na miejsca, zgodnie z

rytmem tańca. Przypatrywali się, czekając na kolejną figurę, jak druga grupa par promieniuje

majestatycznie w stronę ich grupy, następnie rozłącza się i zygzakami okrąża stojące

nieruchomo pary, które z kolei powtarzają tę samą figurę. Taniec trwał dalej w rytmie divertimenta. Szli ręka w rękę z tańczącymi obok nich Lucieniem i Alice, przez chwilę kręcili się we czwórce wkoło, by zaraz znowu połączyć się w pary w romantycznym wirowaniu. Miranda nie widziała nic poza Damienem, kiedy obracali się w tańcu, wpatrując się sobie w oczy. Przez sekundę zdawało jej się, że muzyka oddaliła się o tysiące kilometrów. Był tylko jego dotyk, jej dłoń w jego dłoni... i wspomnienie obejmujących ją ramion, rąk, które ją pieściły, ust biorących we władanie jej usta w pocałunku, jakiego nigdy nie zaznała, ba, nawet nie wyobrażała sobie. Ta chwila minęła równie szybko, jak nadeszła. Wrócili na wyznaczone miejsca i taniec potoczył się dalej.

Tej nocy tańczyła dwukrotnie z lordem Griffithem, a potem z lordem Alekiem, który, zgodnie z modą, zjawił się na balu bardzo późno. Rozmawiała z kilkoma młodymi oficerami z pułku, znajomymi jej stryja. Zdobyła się na uśmiech, gdy natknęła się na młodzieńców, którzy popędzili jej na pomoc wtedy na Bond Street, a potem przedstawili się w teatrze jako Ollie Quinn i Nigel Stanhope.

Kiedy obaj poprosili ją do tańca, nie wypadało odmówić, mimo że nieokrzesany pan Quinn nie przestawał pożerać lubieżnym wzrokiem jej biustu. Ale nawet to nie irytowało Mirandy tak, jak widok Damiena tańczącego z innymi damami. Choć wiedziała, że nie mógł postępować inaczej, nie okazując się niewybaczalnie grubiańskim, czuła w sercu ukłucie zazdrości. W końcu zdołała umknąć panom Quinnowi i Stanhope'owi, przyjmując zaproszenie Aleca do stołu z przekąskami, dokąd udała się z nim i lordem Griffithem.

Ciężarna księżna była tam już, smakując pyszny poczęstunek; Lucien i Alice ciągle tańczyli.

Miranda przyłączyła się do księżnej i za jej namową pierwszy raz w życiu skosztowała ananasa. Koleczasty owoc był szczytem ekstrawagancji, trwałym symbolem gościnności, sprowadzonym z jakiegoś egzotycznego, pełnego słońca kraju. Zachwycała się soczystym,

orzeźwiająjącym smakiem owocu tak głośno, że lord Griffith, widząc jej entuzjazm, nie mógł powstrzymać śmiechu.

- Gdzież ten Damien panią wynalazł? - spytał, a w jego niezwykłych, brązowo - złotych oczach widniało coraz większe zainteresowanie.

- Tego nigdy nie zdradzę - odparła z cierpkim uśmiechem, po czym zabrała się do przeglądu bardziej tradycyjnych dań, którymi zastawiony był stół. - Czemu pan nic nie je, milordzie? Jak pan może się temu oprzeć? Wszystko to wygląda i pachnie tak rozkosznie...

- Istotnie - odparł, wpatrzony w nią.

Stojący nieco z boku Alec wodził wzrokiem od lorda Griffitha do Mirandy, potem zaś uniósł brew i lekko skinął jej z aprobatą. Zarumieniła się, rzuciła mu karcące spojrzenie i skierowała uwagę na jedzenie. Cały dzień przed balem ze zdenerwowania nie mogła nic jeść, ale teraz, kiedy przyzwyczała się do nowego otoczenia, tyle rzeczy ją pociągało! Krem z winem w rozmaitych odmianach sycący świąteczny pudding, nieskończona liczba ciasteczek i tac z delikatnymi biszkoptami, czerwonymi jabłkami i cząstkami pomarańczy poza tym niezliczone zapiekanki i marynaty dla osób preferujących lekką kolację. Lord Griffith odwrócił się, by porozmawiać z kilkoma pozdrawiającymi go serdecznie gośćmi, a tym czasem Miranda próbowała koktajlu migdałowego. Właśnie pod nosiła do ust kolejną łyżeczkę słodyczy, gdy ktoś trącił ją w ramię. Odwróciła się; natychmiast oczy jej rozwarły się szeroko, a twarz, pobladła. Stał przed nią w pełnym rynsztunku jedenastego pułku dragonów gwardii młody oficer kawalerii o prostych rudoblond włosach. Wysokie kości policzkowe przechodziły w wąski podbródek z lekkim wgłębieniem pośrodku. Chłopięcy uśmiezek, który tak dobrze pamiętała, jak zawsze igrał na zmysłowych wargach, ale ciemnozielone oczy patrzyły twardo.

- Trick! - szepnęła.

- Witaj, kotku. - Uniósł wygięte w łuk brwi gestem, który dawniej powodował u niej łomot serca, ale teraz uderzyło ją, że chyba ćwiczył go przed lustrem, a następnie stosował z rozmysłem.

Patrzyła na niego zdumiona. Zmienił się. Nie mogła wprosi uwierzyć, ile jej dawny amant stracił na uroku. Włosy miał lekko przetłuszczone i źle zaczesane. Cuchnął alkoholem i niezbyt pewnie trzymał się na nogach.

- Boże, patrzcie no tylko. Od kiedy to stałaś się taką boginią? Gdzie się nauczyłaś tak pięknie tańczyć? Niech mnie licho, ale jesteś zachwycająca - pomrukiwał, trochę bełkocząc.

- A tobie przydałaby się brzytwa - odparła, splatając ręce na piersiach.

Ze śmiechem dotknął szorstkiej szczeciny porastającej mu brodę.

- Nie byłem w domu od przedwczoraj. Chodziłem z jednego przyjęcia na drugie. A ty co tutaj robisz? Tak daleko od Birmingham... i od tej szopy, w której się spotykaliśmy. - Rzucił jej uśmiech, który sprawił, że zeszywniała z niepokoju. - Nie zapomniałaś, mam nadzieję.

Zaczerwieniona odwróciła wzrok.

- Proszę, nie mówmy o tym.

- Nie wstydz się, skarbie. Przecież dobrze strzegłaś swojej cnoty. Bóg świadkiem, że próbowałem wszystkiego... może z wyjątkiem brania cię przemocą.

Fala bolesnych wspomnień sprawiła, że opanował ją gniew.

- Rzeczywiście próbowałeś wszystkiego. Nawet obiecywałeś mi małżeństwo.

- Obiecałbym wszystko, co możliwe, byleby zdrzeć ci spódnice. Co mam powiedzieć? Byłem młody i głupi.

- Tak jak ja - szepnęła.

Uniósł brwi z niesmakiem, kołysząc się z nogi na nogę z pijacką niedbałością o formy.

- Po co ta gorycz, Mirando? Wiedziałaś, że wybierałem się na wojnę. Wydawało mi się, że nie najgorzej się bawiłaś.

Opanowała się już.

- Do widzenia, Trick. Nasza znajomość dawno się skończyła.

- Do licha, ależ z ciebie dama! - Chwycił ją za ramię i zatrzymał. - Uważasz, że teraz jesteś dla mnie za dobra?

- Zawsze byłam! Proszę cię, odejdz.

- Mowy nie ma. Nie pozbędziesz się mnie. Możesz sobie być teraz wytwornisią, ale ja pamiętam cię z czasów, kiedy byłaś niewiele lepsza niż wiejska dziewczyna. Musisz przyznać, że dobrze się razem bawiliśmy, Mirando. Co byś powiedziała na kolejne rendez-vous dla odświeżenia wspomnień?

- Na święty nigdy. - Obrzuciła pogardliwym spojrzeniem jego rękę w białej rękawiczce spoczywającą na jej ramieniu. - Proszę, zostaw mnie, Trick. Grasz w tej chwili o własne życie.

- O ile sobie przypominam - rzucił szyderczo - to ten twój stryj nie stanowił specjalnego zagrożenia, kiedy ostatni raz cię dotykałem, więc niby czemu miałbym... - Bezcelne słowa zamarły mu na ustach, a twarz zbladła. Ręka pomału zsunęła się z ramienia Mirandy i Trick cofnął się o krok, wpatrzony w kogoś za nią.

- Mirando, kochanie, musisz mnie przedstawić swojemu przyjacielowi.

Odetchnęła z ulgą na dźwięk głosu Damiena. Obejrzała się i zobaczyła, że stoi tuż za nią. Ciało miał sprężone do walki, zanim jednak miała czas przerazić się perspektywą awantury na środku sali balowej, Damien zmienił taktykę.

Zbliżywszy się do niej tak bardzo, że ich ciała się stykały, pochylił się nad nią opiekuńczym gestem. Zaznaczył swój stosunek do niej, obejmując ją jedną ręką w talii, a

drugą ujmując dłoń i splatając palce z jej palcami. Tuląc się do jej skroni jak oddany kochanek, przypatrywał się Trickowi zmrużonymi oczami.

Miranda tkwiła w delikatnym objęciu opiekuna zdezorientowana, ale pełna emocji z powodu tak skandalicznej demonstracji zaborczego uczucia.

- M... milordzie, to kapitan Patrick Slidell z jedenastego pułku dragonów. Jestem pewna, że pan pamięta... opowiadałam o nim.

- Tak, naturalnie. A więc to jest Trick - powiedział w zadumie jedwabistym głosem.

Przyglądał się młodzieńcowi, jakby to był owad, którego obserwuje się przed rozdeptaniem.

- Trick, to mój nowy opiekun, pułkownik lord Winterley. Z pewnością słyszałeś o nim.

Trick wyjąkał coś na kształt powitania, po czym pod byle pretekstem się ulotnił.

Damien roześmiał się cicho i puścił talię Mirandy, ale nadal trzymał ją za rękę. Zwróciła się do niego z westchnieniem ulgi.

- Wystraszyłeś mnie. Myślałam, że chcesz go zabić.

- Chciałem - odparł sucho, wsuwając jej dłoń pod ramię. - A teraz, jeżeli pozwolisz, chcę zaprosić cię po raz drugi do tańca.

- Będę zaszczycona.

Kiedy prowadził ją na parkiet, wpatrywała się w niego z nabożnym podziwem. W odpowiedzi obdarzył ją dyskretnym uśmiechem, a ona nagle poczuła się bardzo zadowolona, że Trick nie dotrzymał obietnicy małżeństwa.

Włączyli się w szereg ustawiających się właśnie par, ponownie zajmując miejsca naprzeciw siebie. Miranda delectowała się każdą, chwilą tego drugiego tańca, wiedząc, że następnego już nie będzie. Młodej damie nie wypadało tańczyć trzy razy jednej nocy z tym samym dżentelmenem. Nurzała się w rozkoszy tańca, podziwiała piękne stroje pań, kiedy wystąpiły naprzód wszystkie razem i otoczyły kołem wytwornie ubranych partnerów, a ich

pastelowe jedwabie i szeleszczące atłasy wirowały wokoło. Lekko oparła dłoń na rękę

Damiana, który obserwował każdy jej ruch, czule uśmiechnięty. Nagle niedaleko od nich ktoś otworzył butelkę szampana.

Korek wyskoczył z hukiem przypominającym strzał z muszkietu. Damien zamarł na moment, a potem obrócił się dookoła, badając otaczający go tłum i sięgając do boku jakby po szpadę, której, dzięki Bogu, nie miał.

- Lordzie Winterley? - zawołała z niepokojem, przekrzykując muzykę.

Kiedy odwrócił się z powrotem do niej, twarz miał bladą i surową, a spojrzenie błędziło gdzieś daleko, tysiące kilometrów stąd. Było to takie samo dzikie spojrzenie, jakie widziała w Bordesley Green, a potem owej nocy w hotelu, gdy omal jej nie udusił.

Taniec trwał, teraz jednak nieco chaotyczny, gdyż Damien po prostu stał nieruchomo, jakby nagle zagubiony. Miranda patrzyła bezradnie, ogłuszona gwałtownym pulsowaniem krwi w uszach. Jeżeli teraz czegoś nie zrobi, Damien dozna upokorzenia. Ludzie zaczęli się już na nich gapić.

Szybko, wymyśl coś! - mówiła do siebie.

- Au! - krzyknęła nagle, łapiąc się za kostkę u nogi. - Au, Au!

- Jej żalodne zawodzenia sprawiły, że uwaga tancerzy skupiła się teraz na niej. - Och, skręciłam nogę w kostce! Cóż ze mnie za niezdara! - ciągnęła, przyzywając na pomoc „wszystkie swoje zdolności aktorskie, mimo iż wiedziała, że robi z siebie kompletną idiotkę.

- Milordzie, czy mógłby pan...

- Naturalnie - rzucił szorstko, wyrwany jej krzykami z mrocznych myśli. Z głębin jego oczu powoli zniknęła bestia. Wytworny w pełni wojskowego przepychu, nie dał po sobie poznać bólu i wstydu, które, o czym wiedziała, klębiły się w jego duszy.

Opierając się na jego ramieniu i zapewniając zaniepokojone otoczenie, że to z

pewnością nic poważnego, kuśtykała, idąc z Damienem z sali balowej do kularów. Nie wypadła z roli, kiedy kulejąc, przeszła z jego pomocą przez korytarz. Było jej trochę przykro z powodu przedstawienia, jakie urządziła na swoim pierwszym balu, skoro jednak pomogła w ten sposób opiekunowi zachować twarz, niewątpliwie było warto.

W końcu doczłapała do niszy, w której królowała marmurowa bogini w klasycznym stylu. Jakiś dowcipniś przyczepił do wytwornie ułożonych palców posągu gałązkę jemioli. Kiedy znaleźli się sami w alkwie, Miranda zwróciła się do Damiena.

- Dobrze się czujesz?

- Ależ to ty się zraniłaś. Usiądź - rozkazał, unikając jej badawczego wzroku. - Musisz odciążać stopę. Przynieść ci może lodu?

- Och, Damienie, ja przecież udawałam - rzekła niecierpliwie, odsuwając jego rękę, kiedy próbował jej pomóc usiąść na wyściełanej ławeczce.

Przypatrywał jej się chwilę; z twarzy znikła mu powoli maska obojętności. Jego szerokie plecy się przygarbiły. Zwiesił głowę.

- Dzięki - wymamrotał. Patrzyła na niego zmartwiona.

- Damienie, jestem tu przecież dla ciebie. Wszystko będzie dobrze.

- Nie, nie będzie - burknął, przeciągając ręką po włosach. - Tracę rozum, co chyba zdołałaś zauważyć.

Z cichym współczującym westchnieniem zaczęła go gładzić po dłoni.

- Nie pozwolę, abys stracił rozum.

- Jak zdołasz to powstrzymać? - zawołał, odpychając jej rękę. - Nie dotykaj mnie!

Odsunęła się o krok zdziwiona. Spojrzał na nią.

- Doceniam to, co dla mnie zrobiłaś, ale, na miłość boską, zachowaj swoje dotknięcia dla kogoś innego, kogoś, kto nie będzie zagrażał twojemu cholernemu bezpieczeństwu. Dla

swojego przyszłego męża, na przykład.

Zaskoczył ją ten wybuch gniewu. - Damienie...

Chwycił ją za ramiona i wpatrzył się w jej oczy z gorączkową rozpaczą.

- Czy nie widzisz, że to, co robisz, jeszcze pogarsza sprawę? Czemu mnie kusisz? -

szeptał. - Mam dość chaosu w głowie i bez tych twoich wabików. Jeżeli w ogóle ci na mnie zależy, wracaj do sali i wybierz sobie wreszcie tego przeklętego męża, tak żebym mógł wrócić do domu i skończyć z tą całą torturą.

- Aleja pragnę tylko ciebie... - wymknęło się jej, kiedy tak patrzyła na niego, zaledwie ośmielając się odetchnąć.

Jej słowa uderzyły go jak nożem w serce. Ból załśnił w stalowych głębiach oczu; po chwili twarz mu stężała w niezłomnym postanowieniu.

- To nie wchodzi w grę.

- Wesołych świąt, Damienie - wyszeptała przez łyzy gdy odchodził, zostawiając ją samą pod jemiolą.

Następnego dnia Damien przyjmował w salonie młodego Olivera Quinna, syna zamożnego kupca. Krople potu spływały z tłustej, czerwonej twarzy młodzieńca na halsztuk pod badawczym wzrokiem Damiena.

- Więc jak już powiedziałem, milordzie, uważam pannę FitzHubert za mn... najwspanialszą, p...piękną młodą damę. Nie przeszkadza mi wcale, że jest bękartem... mojemu ojcu też nie - wyrzucił z siebie Ollie, nerwowo oblizując wargi. - Postaram się zapewnić jej wszystko, co najlepsze, wszelkie wygody, jakich tylko zapragnie.

Damien w zamyśleniu skubał podbródek.

- Hm... - burknął, zwracając spojrzenie za okno, gdzie elegancka młoda dama ćwiczyła właśnie jazdę konną w Green Park. Nad Mirandą czuwało dwóch stajennych, Damien czułby się jednak lepiej, gdyby mógł jej pilnować osobiście. Ciągle była bardzo niedoświadczoną amazonką, w dodatku nie znała jeszcze dobrze swego nowego konia.

Piękną rasową klacz o imieniu Milady's Fancy (Kaprys Milady) dostarczyli dziś rano treserzy z Tattersallu. Damienowi wydało się, że do końca życia nie zapomni wyrazu zachwyty na twarzy swojej podopiecznej, kiedy po raz pierwszy ujrzała tego wysokiego, długonogiego konia - prezent od niego. Razem patrzyli, jak masztalerz prezentował, z jaką gracją porusza się lśniąca, gniada klacz.

Chociaż stosunki między nimi po przykrej rozmowie zeszłej nocy ciągle były napięte, obecność stajennych wykluczała jakiegokolwiek intymne pytania, które Miranda z pewnością chciała mu zadać. Stał obok niej, udzielając niezliczonych wskazówek, jak kierować zwierzęciem, jak zwracać uwagę na najmniejsze oznaki niezwykłych zachowań, po których można rozpoznać kolejną reakcję klaczy; wyjaśniał, że każdy koń ma własny charakter, a klacze potrafią być szczególnie drażliwe. Następnie pomógł Mirandzie wsiąść i przez pewien

czas patrzył, jak jeździ, stwierdzając z przyjemnością, że klacz i amazonka pasują do siebie idealnie, tak jak przewidywał. Fancy była dostatecznie energiczna, by Miranda musiała uważać, ale równocześnie wystarczająco potulna. Radosną dumę, z jaką obserwował postępy Mirandy wjeździe konnej, zatruwała mu jednak świadomość, że zeszłej nocy boleśnie zranił jej uczucia.

Niewątpliwie mógł zachować się bardziej taktownie, ale ta wariacka reakcja na dźwięk korka, wyskakującego z butelki szampana uświadomiła mu ponownie, że nie nadaje się do roli amanta; że w duszy był i zawsze pozostanie demonem urodzonym na polach bitewnych, łaknącym krwi, stworzonym do masakrowania i niszczenia.

Nie powinien był ignorować ostrzegawczych sygnałów zeszłej nocy, pomyślał, przypominając sobie ogarniającą go burzę wściekłości, kiedy zobaczył, jak Trick Slidell szarpie Mirandę za rękę. W tym momencie łaknął krwi: wiedział, że ten szubrawiec złamał jej młodziutkie serce, składając obietnice, których nigdy nie miał zamiaru spełnić; że to drań, który ją pieścił i wykorzystywał dla własnej przyjemności.

Damien całą siłą woli starał się powściągnąć gniew, przede wszystkim, by jej nie przestraszyć. Pohamował się i był dla niej łagodny ale po tym nieszczęsnym wypadku z korkiem od szampana znowu okazało się, że nie zawsze potrafi opanować demony. Musiał spojrzeć w oczy smutnej prawdzie: jeżeli zależy mu na Mirandzie, ma tylko jedną możliwość - musi wydać ją za mąż za kogoś, kto będzie jej wart.

Tym kimś nie był jednak Oliver Quinn.

- A więc, hm... mój ojciec zgodził się, żebym zaoferował kwotę tysiąca gwinei jako cenę za narzeczoną - dodał korpulentny młody dandys i odchrząknął. - Przyzna pan, że to niebagatelna suma za pannę bez rodziny ani posagu.

Damien milczał chwilę, walcząc z przemożną chęcią wyrzucenia tego beznadziejnego

fircyka za drzwi kopniakiem w tłusty tyłek.

- Panie Quinn, obawiam się, że pańska oferta wydaje się nieco przedwczesna.

- Sir?

- Śmiem wątpić, czy rozmawiał pan z moją podopieczną w sumie dłużej niż dziesięć minut.

- Tańczyliśmy ze sobą.

- To jeszcze za mało, by wiedzieć, czy pan odpowiada...

Jego słowa przerwał krzyk zza okna. Damien podbiegł, wysunął głowę i zdrętwiał z przerażenia na widok gniadej klaczy pędzącej przez park z Mirandą kurczowo uczeponą jej grzbietu.

- Milordzie? Milordzie? - wołał za nim konkurent, ale Damiena już nie było w pokoju: pędził na dół po schodach, zanim Ollie był w stanie zareagować.

Damien wybiegł na podwórze, serce biło mu jak szalone.

- Co się stało, milordzie? - zawołał, podbiegając, inny stajenny.

- Koń Mirandy poniósł! - Trzasnął furtką z kutego żelaza i wpadł do parku. Wiedział, że jeśli Miranda spadnie z niepewnego damskiego siodła, może złamać kark.

Boże, ratuj ją!

Mówił jej, co trzeba robić, gdyby koń się spłoszył. Teraz, gdy biegł za nią, spostrzegł, że zapamiętała jego wskazówki.

Działała niezdarnie, ale skutecznie. Z całych sił ciągnęła za lewe wodze. Klacz broniła się, wyginając szyję i ciągle prac naprzód, ale po kilku krokach wreszcie zawróciła. Miranda trzymała się mocno, cudem chyba utrzymując równowagę. W końcu zmusiła konia do okrążeń, coraz bardziej zacieśniając krąg, aż klacz się uspokoiła.

Stała na drżących nogach; na jej sierści ciemniały plamy potu. Damien podszedł

bliżej, wolno, by ponownie nie wystraszyć klaczy, Miranda spojrzała na niego; twarz miała białą jak papier. Wbiegli zgubiła kapelusz, a popręg rozluźnił się i siodło zwisało teraz krzywo z grzbietu konia.

- Spokojnie, spokojnie, malutka - szeptał Damien, co mogło odnosić się w równej mierze do kobiety i do klaczy; błyskawicznie chwycił luźne wodze i przytrzymał uzdę.

Masztalerz był już o krok i wziął od niego uzdę, tak by Damien mógł zająć się Mirandą. Ześliznęła się z siodła prosto w jego ramiona; dygotała na całym ciele. Postawił ją na pewnym gruncie i mocno objął. Czuł, że ich serca biją tym samym rytmem.

Nagle odsunął się i ujął jej twarz w drżące dłonie.

- Dobrze się czujesz?

Ciągle blada jak ściana skinęła głową.

- Co to było? - spytał surowo, jakby domagał się wyjaśnień. - Nie mam pojęcia. Coś ją spłoszyło.

Damien z ponurą miną zwrócił się do masztalerza.

- Zabrać mi to zwierzę sprzed oczu. Zaprowadzić je z powrotem do stadniny, skąd przyszło, albo zabić.

Miranda patrzyła na niego przerażona. Otoczył ją ramieniem i zaprowadził do domu.

Tam kazał Ollie Quinnowi odejść.

Tego dnia wieczorem Miranda, otulona w pelisę, wymknęła się tylnym wyjściem z Knight House w poszukiwaniu Damiena. Ciągle jeszcze czuła boleśnie to, jak odtrącił ją ostatniej nocy, ale dzisiejsze zachowanie, kiedy uratował ją po nieszczęśliwym wypadku z koniem, spowodowało, że znowu ożyła w niej nadzieja na zdobycie tego mężczyzny. W każdym razie nie mogła trzymać się od niego z daleka, mimo że zeszłej nocy prosił o to, wręcz rozkazywał. Jej oddech unosił się parą w mroźnym powietrzu, kiedy przemykała przez

wysypane żwirem podwórze, spiesząc obok powozni do .tajni, z której przez szparę w drzwiach sączyło się na zaśnieżone podwórze światło latarni.

Gdy weszła z bijącym w oczekiwaniu sercem, jedynym dźwiękiem, jaki usłyszała, było rytmiczne chrupanie koni żujących ziarna. Cierpki zapach owsa mieszał się z przyjemną wonią koni, skór i siana. Pręgowany kot stajenny wybiegł z cienia i zwinnym ciałakiem otarł się o nogi Mirandy. Było pusto: wszyscy stajenni jedli kolację w czeladnej. Pochyliła się, by podrapać kotka po łebku, i pomału skierowała się do wymiecionego do czysta boksu Fancy. Jak się spodziewała, Damien był tam. Odwrócił się i spokojnie spojrzał jej w oczy; szczupłą twarz oświetlała wisząca mu nad głową latarnia. Szare oczy wyrażały troskę. Lekko kiwnął głową na przywitanie, nie mówiąc ani słowa. Rękami w skórzanych rękawach obmacywał przednią nogę klaczy.

Cichym szeptem nakazał Fancy podnieść kopyto, które oparł mocno o udo. Dokładnie je obejrzawszy, puścił nogę konia i wyprostował się. Klacz parsknęła i odeszła w głąb boksu z pyskiem pełnym siana.

- Nic jej nie jest?

Damien skinął głową, poklepał konia po karku i ściągnął rękawice.

- A tobie?

- Już w porządku. Wzięłam wspaniałą gorącą kąpiel: pomogło na bóle szyi i ramion, jakie miałam po wstrząsie. Właściwie jestem z siebie dumna - dodała, próbując sprowokować go do uśmiechu. - Nie spadłam i udało mi się ją zatrzymać, prawda?

Uśmiechnął się smutno; światło latarni rzuciło cień długich rzęs na jego wysokie kości policzkowe.

- W dalszym ciągu masz zamiar odesłać Fancy tam, skąd przyszła? - pytała

zmartwiona. - Nie chciała mi zrobić krzywdy. To na pewno był mój błąd. - Miranda nie miała

pojęcia, co takiego zrobiła, że klacz aż tak się złąła. Dotychczas świetnie się rozumiały, kłusując spokojnie po okręgu, kiedy ni stąd, ni zowąd spokojna, przemiła klacz pognała naprzód jak obłąkana.

Spojrzał na konia.

- Przypuszczam, że jeden przypadek złego zachowania moglibyśmy jej wybaczyć, oczywiście, jeżeli nadal uważasz ją za odpowiednią dla siebie.

- Jak najbardziej. Kocham ją. Chodź tu, dziewczynko - zawołała cichutko. Klacz zwróciła się do niej i wargami sięgnęła przez kratę do ręki Mirandy w poszukiwaniu kostek cukru. - Mówi, że przeprasza. Obiecuje nigdy więcej tego nie zrobić. Po prostu nie przyzwyczała się jeszcze do nowych warunków.

- Nie będziesz się bała jej dosięść? - spytał.

- Oczywiście, że nie. Dałam sobie radę, nieprawdaż? No, przyznaj, że byłam wspaniała. - Roześmiała się, on w odpowiedzi uśmiechnął się blado. - Wiem, że winisz siebie, bo to ty mi ją kupiłeś, ale przecież nie było tu twojej winy, Damienie - powiedziała czułym głosem, unikając jego wzroku, i pogłaskała konia po czole. - Nikomu nic się nie stało.

Skierował się do drzwi boksu, ale zamiast je otworzyć, chwycił rękami za metalową kratę i przycisnął do niej czoło. Patrzył na Mirandę przez kraty jak więzień w celi. Czekala, szukając wzrokiem jego spojrzenia. Było takie ostrożne, a przy tym tak stęsknione!

- O co chodzi? Westchnął.

- Oliver Quinn chce się z tobą ożenić. Jesteś tym zainteresowana?

Spojrzała na niego w popłochu.

- Nie.

Wykrzywił usta w cynicznym uśmiechu.

- Nie panikuj. Dokładnie to mu powiedziałem. Ale będzie więcej takich.

Podejrzewam, że o wiele więcej.

Zesztywniała, odwracając spojrzenie od jego pięknej twarzy. - Wiesz, gdzie ulokowałam moje uczucia, milordzie.

- Mirando... - zaczął głosem pełnym udręki.

- Nie rozumiem. - Zwróciła się do niego. - Wiem przecież, że nie jestem ci obojętna.

Dlaczego mnie uparcie odpychasz?

Spojrzał jej w oczy.

- A jak myślisz? - spytał i czekał na odpowiedź.

Sądzę, że to ma związek z tym twoim problemem... twoje zamieszanie zeszłej nocy na balu, twoje koszmarne sny. To samo, co spowodowało, że zaatakowałeś mnie wtedy w hotelu.

- Przerwała na chwilę, niepewna, jak dużo powinna powiedzieć. - No i... to, co dostrzegłam w twoich oczach tamtej nocy w Bordesley Green...

Ściszyła głos na samo wspomnienie.

- Co dostrzegłaś? - szepnął.

- Coś okropnego. Jakąś... część ciebie, która jest po prostu piekłem na ziemi. -

Spojrzała na niego posępnie. - To ma związek wojną, prawda? Wolno skinął głową.

- Zabiłem bardzo wielu ludzi. Pozwoliłem, by z mojej szpady spłynęła rzeka krwi, a teraz za to płacę.

- Robiłeś to dla kraju.

- O, sprawiało mi to przyjemność. - Oczy lśniły mu jak stal, gdy tak patrzył na nią przez kraty. Twarz ginęła w cieniu ciemnego boksu. - Nie znasz mnie, Mirando. A nawet jeżeli znasz, wolisz nie wierzyć.

- Wierzę w twoją dobroć, Damienie.

Długo patrzyli na siebie. Krew dudniła jej w skroniach.

- Chcę ci pomóc, tak jak ty pomogłeś mnie - powiedziała w końcu.

- Jeżeli chcesz mi pomóc, zapomnij o mnie. Najlepszym kandydatem dla ciebie jest lord Griffith, ale myślę, że już o tym wiesz. To dobry człowiek.

Spojrzała na niego jak na zdrajcę.

- Nie chcę lorda Griffitha. Nie rozumiesz, co ci próbuję powiedzieć? To ciebie kocham, Damienie.

Oparł czoło o kratę z lekkim grymasem bólu.

- Dlaczego mi to mówisz? Niech mnie Bóg broni, nie mogę ryzykować zniszczenia ci życia.

Chwyciwszy za pręty z drugiej strony, wbiła w niego wzrok bez zmrużenia powiek.

- Dlaczego zakładasz coś takiego? Czemu się boisz? Powiedz. Wiesz o najgorszych rzeczach, jakie mi się w życiu przydarzyły. Od tego, co robił Reed, nie może być już nic gorszego. Powiedz! Cze mu nie możemy być razem?

Przymknął powieki z bolesnym wyrazem twarzy i zaczął z wahaniem:

- Coś... wydarzyło mi się w rocznicę spisku prochowego, Mirando. Były strzały z armat na wiwat, fajerwerki... nie, nie potrafił, tego wytłumaczyć. - Otworzył oczy i spojrzał na nią z rozpaczą. - Zapomniałem, gdzie jestem. Byłem w Knight House, siedziałem z Alicją i małym Harrym... Lucien wyszedł coś załatwić i poprosił mnie o opiekę nad nimi, kiedy nagle coś we mnie pękło.

- Pękło?

- Wydało mi się, że jestem z powrotem na wojnie. Nie pytaj, co się stało, bo nie pamiętam. Wiem tylko, że gdy wróciła mi przytomność, miałem w jednej ręce nóż, a w drugiej naładowany pistolet. Nie pamiętałem, kiedy je wziąłem do ręki. Widzisz? Mógłbym kogoś skrzywdzić, Mirando. Mógłbym nawet zabić. Nie mówiąc już o Alice, bezbronnej

kobiecie... ale mogłem też zrobić krzywdę Harry'emu. Krzywdę... dziecku - wyszeptał załamującym się głosem.

Tak bardzo pragnęła wziąć go w ramiona i utulić... Sięgnęła do zasuwki zamykającej drzwi boksu i chciała otworzyć, ale powstrzymał ją, chwytając za przegub przez kraty.

Patrzył na nią uporczywie.

- Wracaj do domu. Znasz już powody. Teraz idź.

- Nie - odparła cicho. - Chcę ci pomóc.

- Nie chcę twojej pomocy. | - Ja początkowo też nie chciałam twojej, ale musisz mi zaufać. Pozwól mi się objąć.

- Nie zbliżaj się do mnie - wyszeptał.

- Przestań mnie odpychać! - krzyknęła z płonąca twarzą.

- A cóż ty sobie myślisz? Może chcesz mnie niańczyć i leczyć, jak z kataru? -

Uśmiechnął się szyderczo. - Najwyżej poszłabyś razem ze mną na dno. Nie ma na to lekarstwa. Wiem dobrze. Próbowałem wszystkiego.

- Ale zawsze sam! Nigdy nie pozwoliłeś nikomu kochać cię opiekować się tobą.

- Nie potrzebuję tego. Nigdy nie potrzebowałem.

- Jaki butny! - wyszeptała z oburzeniem. - Uchowaj Boże, żeby wielki Winterley

kiedykolwiek kogoś potrzebował. Ty głupcze! Jesteś jak lew z kolcem w łapie, kłusujący tego, kto przychodzi mu z pomocą.

- Mógłbym zrobić jeszcze więcej, nie tylko kłusować, moja kochana. Mógłbym sięgnąć przez kratę i ukręcić ci tę uroczą szyjkę. Zdajesz sobie z tego sprawę?

- Nie przestraszysz mnie - odparła. - Wolę podjąć takie ryzyko, niż uciec i zostawić cię własnemu losowi. Nie ty jeden zaglądałeś śmierci w oczy, Damienie Knight. Ja widziałam śmierć rodziców i nie mogłam im pomóc, ale, na Boga, nie mam zamiaru stracić także ciebie.

Musisz spróbować. Musisz z tym walczyć, i to nie samotnie. Jako żołnierz wiesz, że armie nie zdołałyby zwyciężyć, gdyby nie mężczyźni koordynujący ich wysiłki.

- Mężczyźni. Właśnie. Nie mamy zwyczaju wystawiać kobiet na takie niebezpieczeństwa.

- Przestań się upierać. Niemożliwe, żebyś był aż tak szalony, bo wtedy stryj Jason nie ustanowiłby cię moim opiekunem.

- Nie miał o tym pojęcia. Ukrywałem... Ukrywałem przed nimi wszystkimi. Tylko jeden Lucien wie. Alice coś podejrzewa, bo przecież była tam wtedy, ale tylko ty widziałas całą ohydną, nagą prawdę.

- Więc niewątpliwie jestem tą jedyną, która może ci pomóc.

- Na Boga, czemu mnie nie słuchasz?! - ryknął, cofając się w głąb boksu tak gwałtownie, że wystraszył klacz. - Co ci chodzi po głowie, dziewczyno? Powiedziałem ci prawdę. Nie można jaśniej.

- Tak, powiedziałaś - odparła z przejęciem - a ja ci mówię, że musiałbyś mieć lepszy powód, żeby się mnie pozbyć.

- Lepszy powód?! - wykrzyknął.

- Tak, bo ciągle twierdzę, że moglibyśmy wspólnie pokonać twoją chorobę. Wiem, że moglibyśmy.

- Bardzo dobrze! Może więc podam ci ten „lepszy powód”. Otóż stoisz o wiele niżej ode mnie, Mirando. Czemu? Bo nie masz grosza przy duszy i jesteś nieślubnym dzieckiem, a ja, hrabią.

Każdy ma słowa, których w stosunku do niego nie wolno użyć. Damien wiedział, jakimi słowami zranić Mirandę, która, zanim trafiła do Knight House, była przez wszystkich odrzucana z racji swego „mieszanego” pochodzenia. Te słowa, wybrane z mordercza

dokładnością, były dla niego ostatnią deską ratunku. Patrzył, jak jej odwaga słabnie, a światło wiary w niego gaśnie w oczach, ale nie mógł już niczego odwołać, jak rozbójnik nie może wstrzymać w locie dobrze wycelowanej kuli. Mógł tylko stać tam, czując ból, który sam zadał, ale trzymał się twardo ze względu na nią, mimo zalewających go wyrzutów sumienia.

Miranda powoli przetrawiała jego okrutne słowa. Długą chwilę milczała, wpatrzona w jego skrytą w cieniu twarz. Wreszcie odwróciła wzrok i z trudem przełknęła ślinę.

- Masz rację - powiedziała zdławionym, ale spokojnym głosem. Sztywno skinęła głową. - To fakty, którym nie mogę zaprzeczyć. Proszę wybaczyć. Nie będę więcej pana niepokoić.

Po chwili już jej nie było: obróciła się i pobiegła do wyjścia ze stajni.

Zdławił w sobie gwałtowne pragnienie, by pobiec za nią, chwycić w ramiona i nigdy więcej nie pozwolić jej odejść. Wypadła ze stajni i zniknęła mu z oczu, słyszał tylko jej lekkie kroki, kiedy biegła do domu. Zamknął oczy i opuścił głowę, zalany falą cierpienia.

Tymczasem Fancy szturchała aksamitnym pyskiem kieszeń jego płaszcza.

- Ty nieudolny partaczu! - ryczał Algernon, trzasnąwszy sługę pięścią w ucho.

Egann zaskowyczał z bólu i przeleciał przez całą szerokość gabinetu, potykając się o swoją kulawą stopę, aż rozciągnął się na podłodze jak kupka nieszczęścia.

- Wybaczcie, wasza lordowska mość! Zrobiłem, co mi jaśnie pan kazał...

- Nie kazałem ci psuć wszystkiego, a jednak to zrobiłeś. I to dwa razy! Jesteś do

niczego. Wstawaj i przestań się mazać. Muszę pomyśleć. - Algernon chodził tam i z

powrotem po pokoju, sfrustrowany, z rękami opartymi na biodrach. Jego potajemne dążenia zostały narażone na szwank, ale gorsze było to, że wbrew samemu sobie poczuł ulgę, kiedy

Egannowi po raz drugi nie udało się zamach na życie jego bratanicy Algernon w końcu

zobaczył Mirandę na bożonarodzeniowym przyjęciu u lady Holland, starał się jednak trzymać

na dystans i opuścił pałac, zanim któryś ze wspaniałych braci Knightów go zauważył.

Zadrzał, przejęty dziwnym uczuciem na widok tej młodej, olśniewającej piękności, tak pełnej życia, świeżości i werwy. Nigdy dotąd nie spotkał wspanialszej i bardziej uroczej istoty. Była jak bogini Botticellego, z tymi śmiejącymi się zielonymi oczami, krągłymi różowymi policzkami i sobolowymi lokami spływającymi w kunsztownych zwojach na ramiona.

Tryskała zdrowiem; do licha, pomyślał, stworzona do rodzenia pięknych, dorodnych synów. Odziedziczyła radość życia Fanny i zapał Richarda.

Fanny.

Kiedyś, dawno, Algernon Sherbrooke kochał Fanny Blair. Mając dwadzieścia pięć lat, robił wszystko, by zdobyć słynną aktorkę i uczynić z niej swoją kochankę. Był taki troskliwy, taki sumienny! Kiedy jednak zaczęła już sfruwać w jego ramiona jak egzotyczny motyl, pojawił się jego starszy brat Richard, z całym swoim urokiem i popularnością, majątkiem, urodą i tytułem. Richard bez skrępowania wydarł ją mu po prostu z uścisku. A ta suka poszła za nim bardzo ochoczo!

Oboje próbowali później, ona i Richard, wytłumaczyć mu swoje wzajemne uczucie w taki sposób, by go nie zranić. Algernon wtedy przełknął upokorzenie, uznając ich nielegalny związek... na pozór. Miał już za sobą lekcję na temat miłości. Uznał ją za złą inwestycję.

Teraz pojawiła się młoda, ponętna Miranda. Lepiej byłoby, gdyby jej nie zobaczył, bo od chwili, kiedy ją ujrzał, walczył ze sobą w nadziei, że może istnieje jakaś inna droga.

Uczucia, jakie wzbudziła w nim, swoim stryju, były z oczywistych powodów okropne: rozżarzyły w nim iskrę namiętności, która, jak sądził, już dawno wygasła. Zdał sobie sprawę, jakim stał się samotnym, starym człowiekiem, choć miał zaledwie czterdzieści pięć lat...

zestarzał się przedwcześnie. Co za strata, co za strata, medytował, krążąc po gabinecie. -

Jaśnie panie... - zaczął pokornie Egann.

- Zamknij się.

W tej chwili psy w holu podniosły zgiełk. Algernon podszedł do drzwi gabinetu i otworzył je gwałtownie, mając na końcu języka rozkaz dla lokaja, by uspokoił te cholerne zwierzęta.

Ku swemu zdumieniu ujrzał, że powodem szczekania psów było pojawienie się ich ulubieńca, Crispina. Algernon zmrużył oczy, patrząc, jak syn usiłuje przemknąć obok niego na schody, nie będąc widzianym.

- Crispin! Od kiedy to jesteś tak źle wychowany, chłopcze? Młodzieniec zatrzymał się z cylindrem w ręku i odwrócił, trąc czoło.

- Hm... witaj, ojcze.

Od bardzo dawna Algernon nie oglądał syna w domu o tak wczesnej porze.

- Czyżbyś miał zamiar jeść dziś kolację w domu? - spytał podejrzliwie; nagle krew odpłynęła mu z twarzy. Popatrzył na blade oblicze syna i poczuł ból w żołądku. - Grałeś, prawda? - spytał drżącym głosem. - Ile?

- Ojcze...

- Ile przegrałeś? - ryknął tak głośno, że przekłete żabojady z pewnością słyszały jego krzyk po drugiej stronie kanału.

Oczekiwał zwykłych wykrętów, usprawiedliwień, chłopięcych prób czarowania ojca, kiedy jednak Crispin rzucił swój piękny cylinder na podłogę, siadł na pierwszym stopniu schodów i ukrył twarz w dłoniach, Algernon zdał sobie w pełni sprawę z grozy sytuacji wobec ostatnich przegranych syna.

- Ty parszywy kundlu! - wyszeptał.

- Przykro mi, ojcze - wykrztusił Crispin. - Tysiąc funtów. Przegrałem wszystko.

Algernon rozwścieczony wciągnął syna za ramię do gabinetu, zatraskując za sobą

drzwi.

Sekundę później doszło go nieśmiałe pukanie żony.

- Milordzie, czy nasz syn jest tam z tobą?

- Zostaw nas! - wrzasnął przez drzwi. Drżącymi rękami pchnął swego czarującego, zepsutego synalka na fotel.

Egann podczołgał się do Crispina i przycupnął jak pies przy jego lśniących butach - najlepszych, jakie można kupić za pieniądze.

Crispin oparł łokieć na poręczy fotela i przejechał palcami po złocistych lokach.

- Jestem do niczego, całkiem do niczego - szeptał, ciągle szlochając. - Wiem o tym, ojcze. Nie potrafię niczego robić, jak trzeba.

- Tak - warknął mu Algernon w twarz. - Jesteś do niczego. Doprowadziłeś naszą rodzinę na skraj ruiny. Mam nadzieję, że nie [wszedłeś do któregoś z tych lichwiarzy po pożyczkę, bo nie byłbym w stanie jej spłacić. Rozumiesz, Crispinie? Zrujnowałeś mnie. Zrujnowałeś własnego ojca.

Błękitne oczy Crispina napęłniły się łzami.

- Naprawię to, ojcze. Coś wymyślę. Znajdę jakąś pracę...

- Pracę? - Algernon uderzył go w twarz. - A kimże to my jesteśmy, klasą średnią?

Crispin patrzył na ojca zaskoczony; jego twarz cherubina była mokra od łez i czerwona od uderzenia.

Algernonowi, natchnionemu nagle nową myślą, aż serce zabiło, wycelował ostrzegawczo palec w twarz syna.

- Powiem ci, co masz zrobić, mój chłopcze; ale jeżeli piśniesz choć słowo skargi, zostawię cię na pastwę tych rekinów lichwiarzy, a oni już wyrwą z ciebie swoją porcję mięsa, tak jak na to zasługujesz.

- Zrobię wszystko, co każesz, ojciec - wyszeptał Crispin.

- Otóż jest pewna dziewczyna. Spadkobierczyni. Ma majątek, majątek, o którym nie wie nikt, prócz mnie... i Eganna, a teraz także ciebie.

Crispin oblizał wargi.

- Po... poważny majątek?

Wreszcie jakieś rozsądne pytanie w ustach tego głupka. Wargi Algernona rozciągnęły się w złowieszczym uśmiechu.

- Czy pięćdziesiąt tysięcy funtów to dla ciebie poważne? Crispin był szczerze zdumiony.

- A teraz słuchaj, mój chłopcze. Bóg odmówił ci rozumu, które go masz tyle co kura, za to obdarzył cię urodą. Będziesz się zalecał do tej dziewczyny i zdobędziesz ją, bo inaczej jesteśmy skończeni, Crispinie. Rozumiesz? Ja, ty, twoja matka, siostry... rozumiesz? Mam na myśli więzienie za długi.

Na twarzy Crispina odmalowało się przerażenie, a potem stanowcza decyzja.

- Zdobędę ją, ojciec. Nawet jeśli to będzie ostatnia rzecz, jaką zrobię.

- Jest dobrze strzeżona. Ma wielu konkurentów.

- Nic mnie to nie obchodzi! Nawet gdyby była dziewicą i siostrą sułtana, ba, nawet trzymaną w wieży z kości słoniowej i strzeżoną przez hordę janczarów! Przysięgam, że ją zdobędę. Wiem, dotychczas zawodziłem cię, ojciec, ale to potrafię zrobić. Powiedz tylko, kto to, a już jest moja.

Orzechowe oczy ojca patrzyły twardo, z satysfakcją.

- To ten bękart, twoja kuzyneczka, Crispinie. Panna Miranda FitzHubert. I nie chcę słyszeć od ciebie ani słowa o tym, że małżeństwa pomiędzy bliskimi kuzynami zaczynają wychodzić z mody. Gdybyś powiedział coś takiego, to, Bóg mi świadkiem, wyrzucę cię za

okno. To arystokratyczna tradycja i całkiem legalna.

Crispin poszukał jego wzroku.

- Słyszałem o tej dziewczynie. Mówią, że jest piękna. Algernon pozostawił to bez komentarza.

- Czy to nie podopieczna pułkownika lorda Winterleya? Jego brat, lord Alec Knight, to mój dobry kolega. Mógłby mnie jej przedstawić...

- Nie. Zrobisz dokładnie tak, jak mówię. Przede wszystkim nie powinniśmy okazywać zbytnej gorliwości. Widzę, że będę musiał przeprowadzić całą tę sprawę za ciebie od początku do końca.

- Ojczy?

Algernon chwilę się zastanawiał, wpatrzony nieobecny wzrokiem w ścianę; potem skinął głową i zaczął mówić szybko, jakby do siebie.

- Najpierw wyślemy twoją matkę i siostry z wizytą do niej, tak, najpierw kobiety. Zaczęliby coś podejrzewać, gdyby to wyszło ode mnie. Ty pójdziesz z paniami, jako eskorta. Potem zaprosimy pannę do nas na kolację. Oficjalne przyjęcie. Jesteśmy w końcu jej krewnymi, nieprawdaż? Będzie zupełnie właściwe, że ją u siebie przyjmujemy, nawet jeżeli jest z nieprawego łoża.

- Skoro rodzina Knightów dała jej swoje błogosławieństwo, my powinniśmy zrobić to samo...

- Właśnie. Nareszcie zaczynasz widzieć rzeczy na mój sposób. Crispinie, kiedy przyjdzie do nas na kolację...

- Tak, ojczy?

- Musisz ją olśnić, jeżeli wiesz, co dla ciebie dobre. - Z twardym, ostrzegawczym spojrzeniem wstał, odwrócił się plecami do syna i wyszedł, by wydać swojej nudnej, głupiej

żonie odpowiednie rozkazy.

Chwilę po tym, kiedy Miranda wybiegła ze stajni, Damien osiodłał jednego z lepszych do prowadzenia wałachów Roberta; nie czuł się dziś na siłach walczyć ze swoim pełnym temperamentu ogierem. Kierując konia po ciemniejących już ulicach miasta do domu Luciena na Upper Brooke Street, starał się nie rozpamiętywać bolesnej wymiany zdań między nim a podopieczną, wracając zamiast tego do podejrzeń kielkujących mu w umyśle, zanim Miranda weszła do stajni.

Ta klacz mogła ponieść. Damien zadał sobie wiele trudu, by upewnić się co do jej stateczności, zanim ją kupił, dziś jednak zwierzę rzuciło się jak ukąszone przez pszczołę albo uderzone niewielkim pociskiem, na przykład kamieniem wystrzelonym z procy. Obejrzał klacz dokładnie od głowy do kopyt, nie znalazł jednak żadnego śladu skaleczenia, które sugerowałoby taki atak. Oczywiście tylko naprawdę potężny cios mógłby przebić grubą zimową derkę ochronną.

Wypytał stajennych, którzy pilnowali Mirandy, nie zauważyli jednak nic niezwykłego; poza tym przysięgali, że Miranda nie zrobiła nic, co mogłoby spłoszyć konia. Ostatnio zbyt często cudem unikała nieszczęśliwych wypadków, by traktować tę sprawi,' jak zwykły zbieg okoliczności. Chociaż brzmiało to absurdalnie, zaczął się zastanawiać, czy ktoś nie ma zamiaru zgładzić Mirandy. Najpierw w Bordesley Green zaatakowali ją ludzie, którzy, jak zakładał, byli banitami z Mud City; potem omal nie przejechał jej powóz na Bond Street, co także wyglądało na wypadek; teraz jej spokojna klaczka poniosła. To nie miało sensu i właśnie dlatego musiał pogadać z Lucieniem.

Tego rodzaju intryga leżała w zakresie szpiegowskiej wiedzy fachowej jego brata, a Damien pierwszy przyznawał, że jego własny sposób myślenia był do niedawna niezbyt klarowny. Zamierzał więc porozmawiać o tym z bliźniakiem; jeżeli już nic innego, to

przynajmniej Lucien uspokoi go, że cierpi po prostu na paranoję nadopiekuńczości.

Były tylko dwie osoby, które, jego zdaniem, mogły mieć powód, by nienawidzić

Mirandy: wilebny Reed i panna Brocklehursl z Yardley School, dziewczyna bowiem ujawniła, że oboje maltretują uczennice. Ich udział wydawał się jednak mało prawdopodobny, a w dodatku daty nie pasowały. Atak w Bordesley Green wydarzył się, zanim dyrektor szkoły został wydany w ręce sprawiedliwości. W gruncie rzeczy zagrożenia zaczęły się niemal zaraz po śmierci Jasona...

Ten ostatni wniosek sprawił, że przeszedł go dreszcz. Czy morderca Jasona mógł teraz zagrażać Mirandzie? Ale dlaczego? Z pewnością półobłąkany umysł płata mu figle, pomyślał, ale przynajmniej udało mu się ukryć swe obawy przed Mirandą. Nie miało sensu jeszcze do tego wszystkiego niepokoić dziewczyny. Trochę się bał, że teraz zostawił ją samą, o ile istotnie ktoś próbuje ją skrzywdzić, ale czuł, że za potężnymi bramami Knight House, strzeżonego przez pół tuzina psów podwórzowych i ponad trzy tuziny służby, Miranda jest bezpieczna. Poza tym Robert był w domu, a jeśli chodzi o niego, Damien był pewien, że nie oddali się na dłużej niż parę godzin.

Podjechał na Upper Brooke Street pod elegancki, o prostej fasadzie dom Luciena i Alice, z bogato rzeźbionymi drzwiami frontowymi, mosiężnymi latarniami przed frontem i balkonami z kutego żelaza na wyższych piętrach. Zeskoczył z konia i zawołał jednego ze stajennych brata. Zostawił zwierzę pod opieką służącego i skierował się do wejścia, gdzie podjął go wspaniały majordomus Alice, pan Hattersley.

Niski, łysy człowieczek zdjął z niego płaszcz i zaprosił na górę, by tam zaczekał na lorda Luciena. Damien wszedł do saloniku i się rozgościł. Kiedy jednak minął kwadrans, a brat się nie pojawił, zniecierpliwiony wezwał lokaja.

Pan Hattersley, czerwony jak burak, wyjąkał, że lord Lucien wolał zza drzwi

zamkniętej sypialni pani, że zaraz przyjdzie.

Cholerni nowożeńcy, pomyślał Damien. Hattersley zaproponował mu kieliszek koniaku, który gość przyjął wraz z dzisiejszym egzemplarzem „Timesa”. Przeglądał pobieżnie gazetę, próbując odwrócić myśli od pełnych rozpaczy pięknych zielonych oczu Mirandy po tym, kiedy rozbił wszelkie szanse na ich wspólną przyszłość o skałę swojej twardej natury.

W końcu do salonu wpadł Lucien, bosy, ubrany tylko w czarne spodnie i obszerny szlafrok z ciemnopomarańczowego jedwabiu. Odślaniał on nagą pierś i płynął za Lucieniem jak płomień, gdy ten wchodził do pokoju. Lucien miał zarumienioną twarz, rozwichrzone włosy, a oczy lśniły mu jak stal. Niedbały uśmiech wyrażał zadowolenie i odprężenie.

Damien spojrzał na brata i znów przypomniał sobie, jak bardzo on sam jest upośledzony.

- Zajęło ci to sporo czasu - mruknął.

Lucien zachichotał, westchnął i nalał sobie koniaku.

- Niech mnie diabli, jeżeli nie począłem syna tej nocy. - Jednym haustem wypił koniak i odwrócił się do brata. - Co cię sprowadza do tego gniazdka małżeńskich rozkoszy, braciszku?

- Potrzebuję twoich umiejętności.

- A co się dzieje?

Damien złożył gazetę, odłożył ją na kanapę i wstał.

- Myślę, że ktoś próbuje zrobić coś złego Mirandzie - zaczął. Opowiedział bratu, jak klacz poniosła, następnie odtworzył pełny obraz wydarzeń, poczynając od ataku w Bordesley Green.

Opowiedział także o zbrodniczym zachowaniu dyrektora wobec uczennic w Yardley,

na wypadek gdyby to wydało się Lucienowi ewentualnym źródłem podejrzeń; wspomniał też o tajemniczym rozpędzonym powozie na Bond Street, który omal nie przejechał Mirandy.

- Miranda mówiła mi o tych ludziach w Bordesley Green - rzekł Lucien.

- Kiedy? - przerwał mu Damien, zaskoczony.

- Kilka dni temu. Poprosiłem ją o rozmowę na osobności. - W jakim celu?

Lucien uśmiechnął się anielsko.

- Zęby sprawdzić, czy jest ciębie warta; to oczywiste. Damien ostrzegawczo zmarszczył czoło.

- To było bardzo gruntowne przesłuchanie. Chcesz się dowiedzieć, jaki były moje wnioski?

- Nie.

Lucien nie przejął się odmową.

- Powiedziała, że zaatakowali ją jacyś zbiegowie. Masz powody, by sądzić inaczej?

- Cóż, to wszystko wygląda na przypadkowe, nie uważasz? Zwłaszcza jeżeli weźmie się pod uwagę, że te nieszczęśliwe wypadki zaczęły się zaraz po zamordowaniu Jasona, którego mordercy dotychczas nie znaleziono.

Lucien w zamyśleniu tarł podbródek.

- Czy Jason był przed śmiercią wmieszany w jakąś nielegalną albo podejrzaną działalność? Obaj wiemy, że wtedy ostro pił. Czasami mężczyźni schodzą na złą drogę...

- Nie Jason. Z pewnością nie ma mowy o jakiegokolwiek działalności kryminalnej. Miał kilka ulubionych dziwek, które regularnie go odwiedzały, to wszystko.

- Wiesz coś więcej o tych kobietach?

- Już je przesłuchiwała policja z Bow Street. Na pewno nie miały z tym nic wspólnego.

- Przypominam sobie, że po spotkaniu z adwokatem, zaraz po pogrzebie, wyraziłeś zaniepokojenie na wiadomość, że Jason wydał całe pięć tysięcy funtów, które ojciec zostawił Mirandzie.

- Tak.

- Na co wydał te pieniądze?

Damien, skupiony, wpatrywał się w podłogę.

- Nie wiem... mieszkał przecież w okropnej norze. Nie grał, w każdym razie nie wysoko. Nie kochał się w przepychu. Może na te kobiety? Nie, to nie wydaje się prawdopodobne. To były najzwyklejsze uliczne prostytutki, nie żadne kurtyzany.

Lucien potrząsnął głową i zaczął spacerować po pokoju.

- Masz rację. Coś się tu nie zgadza. Wszystko zaczyna wyglądać cholernie dziwnie.

Zacznijmy jeszcze raz od początku. Chcę poznać każdy szczegół, jaki sobie tylko przypomnisz, nieważne, jak bardzo drobny i bez znaczenia.

Damien starał się jak najdokładniej odtworzyć wszystkie wydarzenia, odpowiadając na szybko rzucane przez brata pytania. Tarł czoło, wyężdżając mózg, gdy Lucien wypytywał go o teatr Pavilion, o rodzaj publiczności, o to, czy wielbny Reed ma jakąś rodzinę, która ewentualnie mogłaby się mścić; wreszcie o stosunki Mirandy z „Trickiem” Slidellem. Czy wspominała o jakichś innych ukochanych? Nie, odpowiedział bratu.

- Co z tymi ludźmi, których zabiłeś w Birmingham?

- Musimy stale do tego wracać?

- Zrób mi tę łaskę. Mówisz, że było ich czterech?

- Tak. Byli uzbrojeni w pistolety i noże - odparł Damien ze znużeniem w głosie. -

Jeden miał szpadę. Każdy z nich miał konia, dlatego moją pierwszą myślą było, że to rozbójnicy napadający na drogach.

- To mi wygląda logicznie. Czy pułkownik Morris zdołał ustalić ich tożsamość?

- Nie.

- Jak wyglądali?

Damien wzruszył ramionami, obrzucając brata ponurym spojrzeniem.

- Aha, zmasakrowałeś ich tak, że byli nie do rozpoznania. A może - ciągnął Lucien,

któremu oczy lśniły z przejęcia przy układaniu tej łamigłówki - może słyszałeś ich głosy na tyle, żeby rozpoznać akcent?

- Chyba cockney, gwara londyńska, ale nie potrafię powiedzieć, z jakiej części miasta.

- Czy było coś, co w jakiś sposób wyróżniało tych nieszczęsnych gnojków?

- Niech się zastanowię... - Był tak pochłonięty walką, że trud no mu było zapamiętać szczegóły. - Chyba jeden miał złoty ząb. A inny miał wytatuowanego orła czy coś w tym rodzaju.

- Orła?

- Orła albo jastrzębia. Trzymał coś w szponach. Co to, u diabła, było? - Strzelił palcami, kiedy sobie wreszcie przypomniał. - Sztylet! Tak, na pewno. To był jakiś drapieżny ptak trzymający w szponach sztylet.

Lucien zamilkł na długą chwilę. - Jesteś pewien? Wyraźnie widziałeś? Damien skinął głową.

- Obejrzałem to dokładnie, zanim pochowali tego skurczybyka. A czemu pytasz?

Lucien, milcząc, odstawił kieliszek, po czym spojrzał na brata po ważnie.

- To znak gangu zbrodniarzy z East Endu. Niedaleko miejsca, w którym zabito Jasona.

Włosy zjeżyły się Damienowi na karku, ale głos miał zdecydowany. - Jak się nazywają? - Drapieżniki.

- Złożmy im wizytę.

Lucien obrzucił brata posepnym spojrzeniem; wiedział, że jeśli odmówi, Damien pójdzie tam sam. Stanowczo skinął głową i poszedł się ubierać.

- Skąd, u diabła, wiesz tyle o londyńskich gangach? - spytał Damien, kiedy Lucien wrócił i wręczył mu szpadę, podając ją rękojeścią naprzód. Wywinął szpadę w powietrzu; przyjął też od brata pistolet.

- Używamy czasem ludzi tego pokroju jako informatorów - odparł Lucien, zajęty przypinaniem swojej szpady.

Kiedy odwołano go z dyplomatycznego stanowiska na kontynencie po upadku Napoleona, został przydzielony do kontrwywiadu. Dzięki temu poznał mnóstwo podejrzanych typków. Dla dobra kraju nie obawiał się ryzykownych działań, które większość dżentelmenów z obsesją na punkcie honoru uznałaby za hańbiące. Tylko szlachetny wpływ Alice uchronił Luciena od skażenia złem, z którym igrał.

- Są grupy ludzi, na których działalność, oczywiście w granicach rozsądku, przymykamy oko - wyjaśnił. - Na przykład pewien młody nożownik bardzo chętnie udziela mi potrzebnych informacji. Był skazany na szubienicę, ale udało mi się go spod niej wyciągnąć. Żywy jest dla nas bardziej pożyteczny. Znany jako Billy Brzytewka.

- Billy Brzytewka? - powtórzył Damien z powątpiewaniem, wtykając pistolet za pasek spodni.

Lucien rzucił mu chytry uśmiech.

- Gdybym ci powiedział, jak się naprawdę nazywa, czego mi nie wolno, byłbyś

wstrząśnięty.

- Kto to taki?

- Wybacz, nie mogę ci powiedzieć, stary. Wystarczy, że Billy Brzytewka kieruje teraz konkurencyjnym gangiem, znanym jako „Tomahawki”.

- Dzikusy?

- Właśnie. On będzie wiedział, co się dzieje z Drapieżnikami. Te gangi szpiegują się nawzajem, prawie tak jak państwa, i rządzą swoimi małymi terytoriami jak średniowieczni tyrani. Mają swoje armie, swoje czarnorynkowe przedsiębiorstwa, własne kodeksy honorowe. Tak, przyjacielu, znajdziesz się w Anglii, za którą wprawdzie walczyłeś, ale której nie znasz. Damien wzruszył ramionami, idąc do powozu.

- Pod warunkiem że dają się przekupić.

- To ich najbardziej ujmująca cecha. - Lucien brzęknął małą skórzaną sakiewką z monetami, którą zabrał w tym właśnie celu.

- Poza tym są ograniczeni, zdradliwi jak szczury i bardzo niebezpieczni, tak że staraj się trzymać nerwy na wodzy. Pozwól, że ja będę z nimi rozmawiał.

Lucien wyczarował swoich dwóch młodych tajnych agentów, którzy pojawili się jak spod ziemi. Marc Skipton i Kyle Stewart mieli zawieźć braci do serca kamiennie - ceglanej dżungli East Endu i pilnować powozu podczas spotkania bliźniaków z tajemniczym szefem gangu. Bez dalszych ceregieli wdrapali się do nieoznakowanego czarnego powozu Luciena i cały czas byli pod ręką.

Sierp księżyca wisiał nad ciemnymi dachami domów, a niżej wśród labiryntu uliczek bez nazwy w najbiedniejszych dzielnicach Londynu pełzało zepsucie i wieczna groźba przemocy. W rozwalających się czynszowych kamienicach i mrocznych, brudnych zaułkach czaiło się niebezpieczeństwo. Przez ten cuchnący, nie nadający się do mieszkania labirynt

nędzy, zarazy i poniżenia bracia dobrnęli do hałaśliwego szynku, gdzie pijany motłoch zbierał się i robił zakłady o walki psów.

Lucien dał Damienowi znak, by wysiadł z powozu, a sam skinął na Marca, by jechał dalej; już wcześniej umówili miejsce spotkania za pół godziny. Z wyostrzonym na wojnie zmysłem czujności Damien ruszył za bratem. Wyszli na tył budynku, gdzie odbywała się kolejna ożywiona akcja: kilku krzepkich mężczyzn ładowało na wóz opieczętowane drewniane pudła.

- Kradziony towar - wyjaśnił Lucien szeptem. - Kradną w centrum Londynu i upychają wszystko, co można, na północy i w południowo - zachodniej części kraju. Tam trudniej ich znaleźć.

- Urocze - mruknął Damien.

- Co wy za jedni? Czego chcecie? - zawołał zaczepnie jeden z osiłków, kiedy podeszli bliżej.

- Szukam Brzytwy. Jest tutaj?

- Może i jest. - Facet podparł się pięściami pod boki, zagradzając im drogę. - Kto pyta?

- Powiedz mu, że przyszedł Lucyfer.

Damien zerknął na brata z mrocznym rozbawieniem. Bliźniacy Knight ów, jako rozbuchane wyrostki centrum Londynu, jeszcze zanim poszli do wojska, zostali ochrzczeni przez kolegów Lucyferem i Demonem. Te pseudonimy ciągnęły się za nimi także w wojsku, zyskały jednak nowe znaczenie, kiedy odkryto w nich niezwykle talenty bitewne. Lucien dowodził wtedy pułkiem szybkiej, atakującej zniemacka lekkiej piechoty, doświadczonych strzelców wyborowych i zwiadowców, którzy potrafili poruszać się jak duchy nawet w pustym terenie; Damien był kapitanem oddanych, dzielnych grenadierów, jednostek szturmowych pułku, pierwszych do walki w każdej bitwie.

- Lucyfer, powiadasz? A ten to kto? - Mężczyzna wskazał brodą Damiena.

- To Demon - odparł spokojnie brat. - Idź i powiedz Brzytewce, że tu jesteśmy.

Damien stał obok w gotowości, ale Lucien spojrzeniem pokonał brutala.

- Czekaście tu - burknął olbrzym po chwili napięcia, wyszedł i zniknął za drzwiami,

Wrócił po kilku minutach i skinął na nich.

Brzytewka mówi, że spotka się z wami.

- Cóż za zaszczyt - mruknął pod nosem Damien. Lucien ruszył przodem.

Rozglądając się po otoczeniu w drodze do tylnego wejścia, Damien w myśli szybko porachował, ilu mężczyzn - niewątpliwie łamiących prawo - ładowało towary na wóz lub po prostu kręciło się w pobliżu. Piętnastu. Naliczył kolejny tuzin, kiedy olbrzym wprowadził ich do zapuszczonego kantorka na tyłach szynku, a potem po wąziutkich schodach na piętro.

Poszli ciasnym korytarzem z obłazącymi z farby ścianami do pokoju na tyłach, gdzie zaprowadzono ich przed oblicze znakomitego szefa gangu.

- Billy! - powitał go Lucien najczarowniejszym z uśmiechów. Damien ukrył zdumienie. Brzytewka był bardzo młody, mógł mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat.

Wystrojony z jaskrawym przepychem, przystojny, o bystrym spojrzeniu i zblazowanym, złośliwym uśmiechu. Miał spodnie z czarnej skóry i nie nosił halsztuka, tylko luźno skrojoną marynarkę z czarnego aksamitu z czerwonym goździkiem tkwiącym w butonierce. Pod tym okryciem krzykliwa czerwono-fioletowa kamizelka i brudna lniana koszula wisiały luźno na jego szczupłym, żyłastym ciele. Masywne złote pierścienie niektóre z drogimi kamieniami, migotały na zręcznych palcach bawiących się sztyletem; ostrzegawcze spojrzenie odbierało wszelki wątpliwość: ten człowiek był przekonany o własnej nadzwyczajności. Gruby złoty łańcuch od zegarka lśnił na barwnej kamizelce i nikał w kieszonce, jakby prowokując wszystkich kolegów nożowników, by spróbowali mu go odebrać.

Nie pofatygował się wstać na ich powitanie, ale kopnął krzesło w kierunku Luciena, zapraszając go w ten bezczelny sposób, by usiadł.

- Niech mnie licho - rzekł przeciągle ten potomek piekła, przenosząc wzrok z jednego brata na drugiego. - Jest was dwóch, Luce Bliźniaki?

Lucien przytaknął.

- Moja mama była z bliźniąt. Ale nie identycznych. Który urodził się pierwszy?

- Demon - odparł Lucien, wskazując brata. - Ale nie czas teraz na towarzyskie rozmowy, Brzytewka. Możemy pogadać na osobności?

Brzytewka uśmiechnął się drwiąco, lecz zrobił im tę grzeczność, książęcym gestem dłoni wyprasząc kręcących się wokół niego kompanów; zatrzymał tylko dwóch, bardzo groźnie wyglądających: stanęli po jego obu stronach.

Kiedy drzwi się zamknęły, skierował przenikliwy wzrok na Luciena.

Ten położył na stole między nimi sakiewkę ze złotem.

Brzytewka podniósł ją i zważył w dłoni.

- Jeżeli przysłicie w sprawie tego umarlaka z wojska, to mówiłem ci już przecież, że nikt z naszych nic o tym nie wie. Aresztowali Koguta, ale, zdaje się, już go wypuścili.

Lucien przytaknął.

- Wiemy o tym. Nie, przyszedłem spytać o twoich starych znajomych, o Drapieżniki.

Brzytewka mruknął coś i zmrużył oczy.

- Ze niby co?

- Czterech z nich zabito w Birmingham. To twoi ich tak urządzili?

Damien pojął, że brat najpierw sprawdza młodego nożownika. Brzytewka przyglądał się Lucienowi dłuższą chwilę, po czym pokręcił głową i zerknął na swoich kompanów, którzy zaśmiali się gburowato na samą myśl o tym.

- Pieprzone skurwysyny. Chciałbym, żeby tak było.

- Wiesz, czego oni mogli tam szukać?

- Nie - odparł ze złowieszczym błyskiem w oku. Pociągnął potężny łyk z butelki i otarł usta wierzchem dłoni. - Ale dajcie mi parę dni, a na pewno się dowiem.

Następnego ranka Miranda udała ból głowy; czuła się zbyt ponizona tym, że Damien ją odtrącił, by móc chociażby wyjść z pokoju. Jako mała dziewczynka szczyciła się, że nigdy nie płacze; teraz nie chciała pokazać się mu z zaczerwienionymi oczami i spuchniętym nosem: od razu by poznał, że z jego powodu całą noc lały się z niej Izy jak z dziurawego garnka. Jej szacunek dla siebie samej i tak już dość ucierpiał bez tego dodatkowego wstydu. Wiedziała jednak, że jest sama sobie winna. To właśnie było najgorsze. Niczym jakiś zuchwały złodziejasek w sadzie, sięgnęła po zakazany owoc wiszący zbyt wysoko nad jej głową i runęła na ziemię; to była kara za jej szaleństwo.

On był hrabią i bohaterem narodowym. Ona - dzieckiem z nieprawego łoża, w dodatku bez grosza. Piękne stroje, które dostała, i elegancka rezydencja, w której teraz mieszkała, sprawiły, że zapomniała, kim jest; Damien ustawił ją z powrotem na właściwym miejscu. Jego słowa uderzyły ją jak obuchem w głowę, przypomniały, że w gruncie rzeczy nie należy do Knightów, w każdym razie nie więcej, niż niegdyś należała do szkoły w Yardley. Krążąc nerwowo po pokoju, zastanawiała się nad ucieczką i pójściem do któregoś z wielkich londyńskich teatrów, ale teraz, kiedy wszyscy kojarzyli ją z rodziną Knightów, taki krok mógłby zaszkodzić ich reputacji, co byłoby nie najlepszym sposobem odwdzięczenia się za ich dobroć.

Gdyby tylko Damien od razu powiedział jej prawdę, zamiast sięgać po rozmaite głupie wykręty w rodzaju, że „grozi mu obłąd”! Widziała na własne oczy, jak owładnęły nim demony, wiedziała więc, że problem jest poważny, ale mylił się, twierdząc, że to się nic da

uleczyć. Poza tym wolałaby, aby powiedział jej wszystko, zanim zrobiła z siebie chorą z miłości wiejską gąskę.

Dyskretne pukanie do drzwi wyrwało ją z zamyślenia.

- Kto tam?

- To ja, Walsh, panienko.

Otworzyła drzwi i spojrzała pytająco na pełnego godności majordoma.

- Dzień dobry panu. Pochylił głowę w ukłonie.

- Proszę wybaczyć, że zakłócam spokój, panno FitzHubert. Przyszli goście do pani.

Wiem, że nie czuje się pani dobrze, ale wydało mi się, że może chciałaby pani zobaczyć się z nimi. - Z powagą| podał jej bilet wizytowy na małej srebrnej tacy. - Odprawię ich niezwłocznie, jeżeli pani tak zdecyduje.

Miranda wzięła wizytówkę z tacy i spojrzała na nazwisko: „Anne Sherbrooke, wicehrabina Hubert”.

- Moja stryjenka - wyszeptała zdziwiona. Żona stryja Algernona! Stryj Jason wspominał czasem o średnim z braci, Algernonie, który otrzymał tytuł lorda Hubert po śmierci papy i który nie chciał mieć z nią nic wspólnego z powodu jej nieprawego pochodzenia. Stryj Jason zawsze mówił, że Algy to zimna ryba.

- Jej lordowska mość przyprowadziła też ze sobą dzieci - uzupełnił Walsh.

- Mam jakichś kuzynów? - wykrzyknęła zdumiona.

- Tak, panienko, troje, dwie młode damy i jeden dżentelmen.

- Trójka kuzynów! Myślę, że powinnam się z nimi zobaczyć - mruknęła. Serce zaczęło jej bić nerwowo, nie mogła jednak nic poradzić na dość cyniczne myśli. Tak, można się było tego spodziewać. Teraz, kiedy udowodniła, że potrafi zachować się w towarzystwie, krewni uznali, że mogą się do niej przyznać. Przez chwilę miała ochotę zagrać im na nosie, ale w

głębi jej serca zatliła się nadzieja, że może pośród własnej rodziny nareszcie odnajdzie swoje miejsce na ziemi.

- Czy mam powiadomić księżną, że potrzebowałaby pani jej wsparcia? - zasugerował majordomus uprzejmie.

Spojrzała na niego z radością.

- Dziękuję, panie Walsh. Będę nieskończenie wdzięczna, jeżeli księżna zgodzi się mi towarzyszyć.

Uśmiechnął się i skinął głową.

- Och, panie Walsh - zawołała, gdy już zamykał za sobą drzwi. Chwyciła kluczyk, który dał jej lord Lucien, i pokazała mu. - Nie wie pan przypadkiem, co ten klucz otwiera?

- Hm... można?

Podala mu kluczyk. Wziął go i obejrzał uważnie, po czym potrząsnął głową.

- Niestety, nie rozpoznaję go. - Zwrócił kluczyk Mirandzie.

- Dziękuję bardzo.

Walsh poszedł sprowadzić księżną. Miranda podbiegła do lustra i przyglądała włosy.

Oczy były jeszcze trochę zaczerwienione, ale opuchlizna już zeszła. Przyszło jej do głowy, żeby przebrać się w elegantszy strój, lecz porzuciła ten pomysł. Nie zamierzała zadawać sobie trudu, by wyrzeć wrażenie na ludziach, którzy pozwolili jej gnić w Yardley, kiedy stryj Jason był na wojnie.

Parę minut później wchodziła do salonu z księżną Hawkscliffe u boku. Szła sztywno, dłonie miała spocone ze zdenerwowania, ale jej protektorka wyglądała równie pogodnie jak zawsze, kiedy goście podnieśli się z krzeseł, by je przywitać. Pierwszym wrażeniem Mirandy było wielkie zaskoczenie: oto zarówno matka, jak obie córki były w czarnych sukniach, jak się domyśliła, w żałobie po stryju Jasonie. Młodzieniec także miał czarną opaskę na ramieniu.

Miranda natychmiast zawstydziała się, że, dobierając garderobę w pięknych jasnych kolorach, zrezygnowała z trzymiesięcznej żałoby. Z drugiej strony, pomyślała z bijącym sercem, pewnie uznali, że jako osoba pochodząca z nieślubnego związku może sobie pozwolić na to, by nie nosić żałoby po stryju. Oni zaś, jego legalna rodzina, mogli uważać to za swój obowiązek. Miranda początkowo trochę obawiała się stryjenki, która przecież wyrzekła się jej kiedyś razem ze Stryjem Zimną Rybą, lady Hubert wyglądała jednak na bardziej zdenerwowaną niż ona. Dobiegająca pięćdziesiątki wice hrabina była drobną kobietką o anemicznym wyglądzie. Uśmiechnęła się blado do Mirandy, ale nawet uśmiech nie pozbawił jej twarzy wyrazu ciągłego przestachu. Mirandzie, kiedy dygała przed stryjenką, zrobiło się żal tej kobiety.

Lady Hubert przedstawiła swoje córki, panny Daisy i Parthenie Sherbrooke, obie blade i nadęte, przewracające oczami do nieszczęsnej, strwożonej matki. Miranda czuła się niezręcznie pod ich analizującym ją dokładnie, ostrym jak skalpel wzrokiem.

W końcu przedstawiono ją wyglądającemu na hulakę starszemu bratu, panu Crispinowi Sherbrooke, urodziwemu młodemu dandysowi w porannym surducie w kolorze butelkowej zieleni i lśniących czarnych butach do konnej jazdy. Miał złociste włosy i łobuzerskie ogniki w błękitnych oczach, a perfekcyjny węzeł śnieżnobiałego halsztuka nasuwał podejrzenie, że lokaj musiał pracować nad nim co najmniej półtorej godziny.

Raczej rozbawiona dygnęła przed nim, Crispin zaś ujął jej dłoń i pochylił się, wytwornie całując czubki palców.

- Witaj, kuzyneczko - szepnął, uśmiechając się szeroko, jakby znał ją od urodzenia.

Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością, czując, że chyba właśnie znalazła tak bardzo upragnionego przyjaciela.

Następnego dnia wieczorem Damien towarzyszył Mirandzie na prywatnym koncercie

muzyki kameralnej w domu starych znajomych, lorda i lady Carteret. Z rękami założonymi na piersi siedział wygodnie w fotelu i starał się odnaleźć ukojenie w bogatych, dźwięcznych tonach serenady Mozarta, rozlewających się w jasnym od świateł salonie. Mimo wysiłków nie był jednak w stanie się odprężyć. Ciągłe oczekiwał, że ten kundel Billy Brzytewka przekaże jakąś informację o ludziach, których zabił pod Birmingham.

Po wizycie bliźniaków na East Endzie w poniedziałek wieczorem Damien wstąpił do Klubu Gwardii Królewskiej, w którym bywali dżentelmeni z wojska. Tam spotkał się z kilkoma najbardziej zaufanymi oficerami ze swego pułku. Potrzebna mu była ich pomoc, by zapewnić Mirandzie bezpieczeństwo za każdym razem, kiedy zabierał ją poza teren Knight House. Przyrzekli mu ją z radością: była przecież bratanicą Sherbrooke'a, a on był jednym z nich. Teraz siedzieli rozlokowani w strategicznych punktach salonu, elegancy w swoich szkarłatnych mundurach, gotowi rzucić się do akcji, gdyby Mirandzie miał się przytrafić kolejny tajemniczy „wypadek”.

Nie miała pojęcia o trudach, jakie podjęto dla jej ochrony, ani też że Damien podejrzewa, iż grozi jej niebezpieczeństwo. Tego właśnie chciał, przynajmniej do czasu, aż coś będzie wiadomo na pewno. I tak było mu wystarczająco przykro, że ją zranił. Nie chciał straszyć jej niepotrzebnie, że być może jest kolejnym celem mordercy.

Poprzedniej nocy wymyślił jakąś wymówkę, by zatrzymać Mirandę w domu i nie zabierać jej na wielki bal dobroczynny w Argyle Rooms, na który cieszyła się od dawna. Budynek był ogromny, dostępny dla wszystkich i trudny do upilnowania, nawet przy pomocy jego ludzi. Każdy mógł wykupić subskrypcję i w ten sposób dostać się na bal.

Prywatny koncert w domu dobrego znajomego był imprezą znacznie bezpieczniejszą: zgromadził zaledwie grupkę starannie dobranych gości, Damien więc wyraził zgodę na wyjście Mirandy.

W końcu, myślał z goryczą, sam kazał jej znaleźć sobie męża. Nie mogłaby tego zrobić zamknięta za bramą Knight House. Raz po raz zerkał na nią i w pewnym momencie spochmurniał.

Griff wydawał się robić duże postępy. Siedząc obok Mirandy z drugiej strony, pochylił się i znowu coś jej szeptał. Skinęła głową, jakby potwierdzając jego komentarze na temat koncertu.

Damien powstrzymał grymas niezadowolenia i skierował wzrok na muzyków. Gdzie, u diabła, podziewa się Alice, pomyślał ze złością. Nie jest najlepszą przyzwoitką, inaczej zauważyłaby, że ich stary kompan posuwa się odrobinę za daleko. Zerknął przez ramię; i dostrzegł Luciena i jego żonę siedzących w rzędzie za nimi. Może zareagował zbyt gwałtownie? Alice była przecież kobietą o zdecydowanych standardach moralnych, a najwyraźniej nie widziała nieszczęśliwego w zainteresowaniu lorda Griffitha osobą Mirandy. Westchnął ciężko i, z założonymi rękami, zaczął stukać palcami po muskularnych bicepsach. Cóż, w każdym razie lepszy Griff niż taki Ollie Quinn. Wszystko to jednak zaczynało mu działać na nerwy, ta męska adoracja, którą zawsze otoczona była jego podopieczna, gdziekolwiek się pokazała.

Nie mógł się powstrzymać od ukradkowego spojrzenia na nią. Poczul dziwny ucisk w piersiach na jej widok: zarazem cierpienie i tęsknotę. Wyglądała dziś nad wyraz pięknie. Nigdy by nie przypuścił, że w tym delikatnym perłowym różu będzie jej tak do twarzy. Jedwab mienił się w świetle świec, a blady odcień sukni czynił zieleń oczu Mirandy jeszcze głębszą. Miękka, delikatna linia ramion była tak kusząca, że nie mógł po prostu wytrzymać; pragnął muskać wargami niewielki skrawek jej nagiego ciała widoczny między krótkimi bufiastymi rękawkami a krawędzią długich, białych rękawiczek. Ten niewinny teren wydawał mu się o wiele bardziej dostępny niż bujna pierś nad delikatnym wycięciem sukni. Odwrócił

wzrok. Wiedział, że sam sprowadził na siebie nieszczęście, ale nie przewidział, jak straszny i zimny może stać się świat, kiedy ktoś tak słoneczny i gorący jak Miranda FitzHubert zachowuje się z chłodną rezerwą.

Po koncercie wstał i poszedł porozmawiać ze swymi kolegami oficerami. Każdy z nich dyskretnie raportował, że nie dostrzegł niczego niezwykłego. Damien, zadowolony, wziął kieliszek wina z tacy przechodzącego kelnera właśnie w momencie, gdy podszedł do niego Griffi stuknął kieliszkiem o jego kieliszek.

- Na zdrowie!

Damien zmusił się do uśmiechu i odwrócił wzrok, starając się otrząsnąć z przykrego uczucia. Pozbierał się jakoś i spojrzał pytająco na Griffa.

- A więc...?

- A więc co?

Damien znacząco uniósł brwi.

- Ach. Być może - mruknął markiz z filuternym półuśmiechem. - Bardzo być może, naprawdę. Jest rozkoszna.

- Więc co cię powstrzymuje? - spytał Damien z żołnierską otwartością.

- Tak ci zależy, żeby się jej pozbyć?

Damien zacisnął na chwilę szczęki, po czym uniósł brodę.

- Chcę mieć pewność, że będzie dobrze zabezpieczona na całe życie. To wszystko.

- Rozumiem... Cóż, chyba jest jeszcze za wcześnie, dla mnie, a sądzę, że i dla niej.

- Nie zwlekaj zbyt długo. Spójrz tylko - szepnął Damien, wskazując Mirandę i

Crispina, którzy stali obok siebie i podziwiali pełen dramatyzmu pejzaż Turnera na ścianie. -

Kuzynostwo znowu tuli do siebie główki.

Griff zachichotał.

- Jason zawsze mówił, że ten chłopak to dureń - mruknął Damien. - O czym

interesującym może jej mówić, jak myślisz?

Markiz niedbale wzruszył ramionami, kołysząc kieliszkiem.

- Kto to może wiedzieć?

- Nie masz zamiaru nic robić? On może się starać ją zdobyć.

- A niech się stara. Już ona sobie z tym poradzi. Podejrzewam, że lepiej niż większość młodych dam w tej sali. Jest oryginalna, inna niż wszystkie - podsumował Griffith. - Jest jak ożywczy powiew.

- Skoro jest taka diabelnie ożywcza, to może podszedłbyś tam i przerwał im?

Griff zerknął na przyjaciela podejrzliwie.

- Co? - spytał Damien, zbity z tropu przenikliwym spojrzeniem przyjaciela.

- Crispin Sherbrooke może jest w niej zakochany, ale to nie on mnie niepokoi. - Griff rzucił Damienowi ostre spojrzenie, po czym odszedł i zmieszał się z tłumem gości.

- Chcesz powiedzieć, że nic o tym nie wiesz? - pytał Crispin z błyskiem podniecenia w błękitnych oczach. - Boże mój, dziecinko, to przecież wyborna historia!

- Opowiedz! - zawołała Miranda z radosnym chichotem.

- Chyba powinienem kazać ci czekać do jutra wieczór i opowiedzieć wszystko dopiero po kolacji u nas w domu.

- Byłbyś strasznym łajdakiem, gdybyś tak postąpił. Masz mi zaraz opowiedzieć tę plotkę!

- Ale... będziesz zgorszona - ostrzegał żartobliwie.

- Nieprawda, nie będę.

- Twój opiekun urwie mi głowę, jeśli się dowie, że ci to opowiedziałem.

- Nie pisnę ani słówka. Crispinie, nie męcz mnie dłużej. Mów!

- No dobrze, ale tylko dlatego, że jesteś taka śliczna. Tylko najstarszy brat, Hawkscliffe, i ten smaczny kąsek lady Jacinda są naprawdę Knightami. Cała reszta, ten diabelski lord Jack, bliźniaki i mój własny *bon ami* Alec, to kukułcze jaja; efekty grzeszków ich matki. Przecież to tajemnica poliszynela!

- Nie! - wykrzyknęła, uderzając go wachlarzem.

- Przysięgam na wszystko, że to prawda. - Z wesołym spojrzeniem pociągnął łyk wina.

- Ich matka, Georgiana, miała tylu kochanków, że w końcu nazwano ją „nierządnicą Hawkscliffe'a”.

Mirandzie aż dech zapało; czuła się rozdarta pomiędzy zafascynowaniem a poczuciem winy, że słucha plotek o ludziach, którzy byli dla niej tacy dobrzy.

- A kto jest prawdziwym ojcem bliźniąt? - wyszeptała. - *Mapetite*, ależ z ciebie niewiniątko! Rzeczywiście nie macz pojęcia o niczym, mały głuptasie! Ich ojciec to długoletni wielbiciel Georgiany markiz Carnarthen.

- Jest może tutaj?

- Już nie żyje. Był Walijszym, wysokiej rangi oficerem marynarki. Był tak oddany Georgianie, żonie innego mężczyzny, że nigdy się nie ożenił i zmarł bez prawowitego potomstwa.

- Ach, to bardzo smutne.

- Właśnie dlatego parlament mianował twego opiekuna lordem Winterley - ciągnął konspiracyjnym szeptem Crispin. - Lord Carnarthen był człowiekiem o wielkich wpływach i bardzo lubianym. Damien, jako starszy z bliźniąt, jest w rzeczywistości jego pierwotnym synem. Ponieważ po śmierci Carnarthena jego tytuł przestał istnieć, kilku przyjaciół zmarłego w parlamencie wspólnie postanowiło stworzyć nowy tytuł i obdarzyć nim Damiena, tak by ród markiza w ten sposób przetrwał.

- Myślałam, że zrobiono go hrabią z powodu zwycięstw na wojnie!

- Na Boga, nie zostałby wtedy aż hrabią. Nawet najlepsi oficerowie Wellingtona otrzymali najwyżej tytuły wicehrabiów.

- Najwyżej wicehrabiów - zakpiła wesoło. - Łatwo ci mówić. Pewnego dnia sam nim zostaniesz.

Roześmieli się oboje, ale w żyłach Mirandy zaczynał kipieć gniew z powodu doznanego wstrząsu.

Co za tupet!

Ten szubrawiec rozdarł jej serce, odrzucił z powodu nieprawego pochodzenia, a sam także jest bękartem! Płonącym wzrokiem przebiegła salon, aż dostrzegła jego wytworny szkarłatny mundur.

Stał samotnie i patrzył na nią.

Poczuła dobrze znany głęboki wstrząs, jakby uderzenie, kiedy ich oczy się spotkały.

Spiorunowała go wzrokiem, odwróciła się i jeszcze raz użyła swoich aktorskich zdolności, wybuchając radosnym śmiechem. Ujęła kuzyna pod ramię i poszła obejrzyć kolejny piękny obraz.

Następnego wieczoru Algernon oglądał długi stół w jadalni i uśmiechał się do siebie z zadowoleniem. Nie tylko mógł się dziś pochwalić kilkoma osobami z najwyższego towarzystwa, takimi jak lord Winterley i jego starszy brat, potężny książę Hawkscliffe ze swoją przepiękną księżną - niemałe osiągnięcie towarzyskie dla tak niepopularnej osoby jak on - ale, co ważniejsze, syn doskonale wykonywał swoje zadanie. Nareszcie mógł być dumny z tego chłopca. Dzięki pokrewieństwu Crispin zdołał prześliznąć się przez mur obronny wzniesiony przez Winterley wokół podopiecznej, by trzymać pozostałych konkurentów na odległość.

Siedzący naprzeciw Mirandy Crispin był czarujący. Nawet księżnę skłonił do śmiechu. Tylko Winterley nie wydawał się zachwycony dowcipami chłopca. Surowy, bez uśmiechu, siedział sztywno obok Mirandy: ponura, groźna postać za stołem. Pamiętając fatalny stan, w jakim był Jason, zanim opuścił ten świat, Algernon wcale nie był tym zaskoczony.

Żołnierka to żaden interes, pomyślał i nie zwracając już uwagi na posępny wygląd pułkownika, ukradkiem zerknął na Mirandę.

Wyczuła chyba jego wzrok, bo zwróciła oczy w tę stronę - nieśmiało i dziewczęco, aż napotkała jego spojrzenie. Zachwyciła go. Te różane policzki i zielone oczy! Cerę miała aksamitną jak płatki lilii. Aż serce biło mu szybciej i radośniej. Patrzył jej w oczy o sekundę dłużej, niżby wypadało, po czym oblizał suche wargi i spokojnie napił się wina.

Nazajutrz rano Damien stał na podjeździe i rozmawiał z głównym masztalerzem, drobniutkim byłym dżokejem, który właśnie wrócił na grzbiecie Zeusa z Hyde Parku, gdzie ogier codziennie galopował. Był śliczny grudniowy dzień, zimowe słońce lśniło na śniegu, a niebo jaśniało lazurem.

- Tak, on dosłownie fruwa w powietrzu - opowiadał mały człowieczek, klepiąc szyję ogiera.

- Miło mi to słyszeć - odparł Damien, zadowolony z doskonałej formy konia.

Chętnie przejeździłby Zeusa osobiście, ale wolał nie zostawiać Mirandy samej nawet na chwilę. Od momentu, kiedy Fancy poniosła, czyli od czterech dni, nie zdarzył się żaden nieszczęśliwy wypadek. Może opłaciła się czujność i pilne strzeżenie podopiecznej, a może Damien po prostu uroił sobie niebezpieczeństwo?

Wczoraj pozwolił Mirandzie pójść na kolację, bo uznał, że powinna poznać swoich krewnych, choćby nie byli zbyt przyjemni; wiedział, że jest za mądra, by dać się zwieść

Hubertom. Gdyby nie miała oparcia w jego rodzinie i nie zrobiła tak dobrego wrażenia w towarzystwie, stryj i stryjenka z pewnością nadal udawaliby, że nie wiedzą o jej istnieniu. Byli zwykłymi, ordynarnymi snobami. Co do kuzynek, te dwie nadęte dziewczyny przez cały wieczór obserwowały Mirandę z zazdrością. Crispin był jedynym, który chyba naprawdę darzył ją sympatią...

Jego myśli przerwał jakiś zamęt i harmider przy wysokiej kutej żelaznej bramie Knight House.

Damien spojrzał w tamtą stronę. Przez zasłaniających mu widok służących nie mógł dostrzec stojącego przy bramie gościa. Dał znak masztalerzowi, by się usunął. Ogorzały dżokej zawrócił Zeusa i poprowadził dookoła domu w kierunku stajni. Nagle powietrze przeszło ogłuszający gwizd.

- Ej! Lordzie! - wrzeszczał ktoś spod bramy. - Wpuści mnie pan czy nie?

Damien podszedł do bramy, pogardliwie krzywiąc usta. To ten piekielnik Billy Brzytewka. Wisiał na kutej żelaznej kracie, z rękami nad głową i ustami rozciągniętymi w kpiącym uśmiechu. Damien nigdy nie widział kogoś bardziej bezczelnego.

Temu młodzieńcowi bardzo by się przydało parę tygodni rygoru wojskowego, pomyślał, marszcząc brwi.

- Wpuścić go - rozkazał odźwiernym.

- Sir? - spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

- Róbcie, co mówię - rzucił krótko.

- No, jednak masz trochę rozumu. - Brzytewka zeskoczył z bramy, podciągnął czarne skórzane bryczesy i dumnie przekroczył bramę. Uchylił kapelusza z kokardą przed odźwiernymi, którzy obserwowali go nieufnie.

- Musisz mieć cholernie dużo tupetu, żeby przyjść tutaj - zauważył burkliwie Damien.

- A co, miałem stukać do wejścia dla służby? - odparował gość gniewnie.

- Powinieneś być pójść do Luciena. Przecież jego znasz. Nie mnie.

- Próbowałem. Nie było go w domu. A to przecież ty przyszedłeś po pomoc. Jestem tu właśnie w tej sprawie, ale jeżeli nie będziesz grzeczny, podam informację komu innemu.

- Tędy, ty obrzydliwa kreaturo - warknął Damien. Brzytewka, rozbawiony, parsknął śmiechem i poszedł za Damienem do frontowych drzwi. Miał przynajmniej tyle taktu, że zdjął kapelusz.

- Nieźle, całkiem nieźle - zauważył, rozglądając się po lśniących marmurach holu w Knight House, ale nie wyglądał na zbyt zafascynowanego. - To twój dom?

Ten fanfaron prawdopodobnie ogląda dom pod kątem przyszłego włamania, pomyślał Damien.

- Nie, mojego brata. Tędy, panie Brzytewka.

Zaprowadził go do małego służbowego pomieszczenia na tyłach parteru, gdzie majordomus i gospodyni zwykli omawiać sprawy gospodarskie. Podsunął Brzytewce drewniane krzesło, uważając, by stało dostatecznie daleko od szafki ze srebrem stołowym. Zamiast usiąść, chłopak postawił na krzesle nogę, efektownie opierając łokieć na kolanie. Twarz mu spoważniała.

- Chyba masz kłopoty, szefie.

- Czego się dowiedziałeś?

- Może najpierw ja spytam. Zabiłeś pan tych facetów w Brum□ własnymi rękami?

Damien nie raczył odpowiedzieć. Brzytewka wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- To nie zabrzmiało jak „nie”. Jakiś pan to zrobił? Zdarzyło mi się zabić dwóch naraz, ale czterech, nigdy.

- Damien nie mógł pohamować uśmiechu.

- To kwestia rytmu.

□ Brum - popularne określenie Birmingham (przyp. tłum.).

- Rytmu. W porządku. Ja... Dobrze, a więc... - Oczy chłopaka spoważniały. - Tu jest to, co mam. Tych czterech wieprzków, których pan zaszlachtowałeś, wynajął gdzieś trzy tygodnie temu w Londynie jakiś dziany facet. Nikt nie zna nazwiska tego gościa, ile chodzą słuchy, że to właściciel kilku czynszowych kamienic w Seven Dials.

- Po co ich wynajął? Do jakiej roboty? Billy potrząsnął głową.

- Reszta gangu nie wie nic. Ten gość mówił tylko, że wynajmuje ich do „wykonania zadania” dla niego gdzieś na północy. Miał zapłacić każdemu po sto gwinei.

- Niezła sumka - mruknął Damien. Dreszcz przebiegł mu po krzyżu na myśl, że ci czterej zostali posłani specjalnie, by porwać Mirandę; porwać albo zabić, niewiadomo. Zadrżał, uzmysłowiwszy sobie, jak niewiele brakowało. Gdyby instynkt nie ostrzegł go, gdyby się nie odwrócił, by ostatni raz na nią spojrzeć, nie uratowałby jej. Musieli obserwować szkołę i czekać na okazję. Na pewno trudno im było ją dopaść, panna Brocklehurst trzymała dziewczynki w Yardley żelazną ręką! Miranda całkiem zbiła ich z tropu, wymykając się tamtej nocy do teatru.

Niewątpliwie wróg teraz też ma swoich sługusów, którzy obserwują Knight House, zastanawiał się posepnie. Jego pierwszą myślą było wywieźć Mirandę do któregoś z najbardziej oddalonych rodzinnych majątków, porzucił jednak ten pomysł. Najbezpieczniejsza będzie tutaj, w Knight House, w sercu Londynu, gdzie mogło jej strzec wiele życzliwych oczu i uszu. Tu pod ręką byli ludzie, którzy w razie potrzeby mogli jej bronić: jego bracia, a także koledzy oficerowie z pułku.

Potarł brodę w zamyśleniu.

- Jak mam się dowiedzieć, kim jest ten człowiek? - zastanawiał się głośno.

- Lucien powinien mieć więcej szczęścia niż ja - odparł Billy. - Te obskurne domy to przeważnie własność facetów z wielkimi nazwiskami i tytułami, ale ukrywają się za swoimi rządcami, którym nie wolno nikomu zdradzić nazwiska właściciela. W mojej części miasta dyskrecja jest wielką cnotą.

- Nie słyszałeś czegoś o człowieku, który wynająłby więcej ludzi z gangu, by skończyli zadanie?

Billy potrząsnął głową.

- Nie. Za dużo by ryzykował, no nie? W końcu jeżeli ci pierwsi nawalili, po co miałby wracać? Na jego miejscu zmieniłbym taktykę.

- No i zmienił. To jakiś cholerny tchórz! Zęby próbować przejechać dziewczynę powozem! - nadal głośno myślał Damien.

Brzytewka gwizdnął cicho.

- To paskudne! Nie zazdroszczę panu, pułkowniku. Nie ma nic gorszego niż wróg, który nie chce się ujawnić. Proszę mnie ponownie wezwać, gdybym mógł być w czymś pomocny.

Słyszając te słowa, Damien spojrzał na Billy'ego; od pewnego momentu silny cockneyowski akcent chłopaka jakby zniknął, ustępując miejsca o wiele kulturalniejszemu sposobowi mówienia. Oczywiście młodzieniec nie zdawał sobie sprawy, że w ten sposób się zdradził. Zastanawiając się nad tym, Damien zauważył pewne oznaki wysokiego urodzenia w ostro zarysowanych kościach policzkowych i nadąsanych ustach chłopca.

- Zawsze mieszkał pan w Seven Dials, panie Brzytewka? Skryty uśmieszek w mgnieniu oka powrócił na usta Billy'ego.

Zdjął nogę z krzesła właśnie w chwili, gdy z korytarza dotarło do nich trio wysokich kobiecych głosów.

Damien usłyszał jasny głosik młodszej siostry.

- Walsh, proszę powiedzieć Jej Wysokości, że wrócimy za godzinę. Idziemy na przechadzkę po parku.

Damien zerwał się z krzesła i wyskoczył z kantorka, by je powstrzymać.

- Mirando! - krzyknął ostro. Odwróciła się, już otulona w obszytą futrem pelisę. -

Może lepiej nie wychodź z domu.

- Milordzie? - spytała chłodno, hardo unosząc bródkę.

- Nie pozwoliłem ci opuszczać domu.

- Damien, ty brutalu! Daj jej spokój! - zaśmiała się Jacinda, obejmując Mirandę. -

Patrz, jakie dziś piękne słońce! Dość już tych twoich despotycznych rozkazów. Nie będziemy przez ciebie traciły dnia. Mirando, Lizzie, chodźmy...

- Nie - warknął, chwytając podopieczną za przegub dłoni.

- Zostaw ją w spokoju! - Jacinda pociągnęła Mirandę ku sobie.

- Na pani miejscu, milady, zrobiłbym to, co on mówi.

Wszyscy spojrzeli na Billy'ego, wkraczającego do holu z szelmowskim uśmiechem na ustach.

Jacinda aż zamrugła oczami ze zdumienia. Jej subtelna twarzyczka przybrała pogardliwy wyraz.

- Słucham...? - wycedziła, prostując się. Wyglądała teraz w każdym calu na córkę księcia.

- Brzytewko... - zaczął ostrzegawczo Damien. On jednak spojrział bezczelnie na Jacindę.

- Idę... - rzekł przeciągle, kierując się do frontowych drzwi. Walsh otworzył mu je automatycznie, wpatrzony w tę obdartą kreaturę z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

- Kto... to był? - spytała Jacinda, zwracając się do brata, gdy tylko drzwi się zamknęły.

- Nie twoja sprawa – burknął.

Jacinda chwyciła Mirandę i Lizzie za ręce i pobiegła po schodach na górę, ciągnąc dziewczęta za sobą.

- Hej, panienki... - Damien nagle znalazł się sam u stóp schodów. Podrapał się w głowę. Zachował się jak gbur, ale udało mu się zatrzymać Mirandę w domu!

- Jacindo? Co ty wyprawiasz? - protestowały Miranda i Lizzie ze śmiechem, bo dziewczyna pędziła korytarzem, ciągnąc je za ręce.

Wpadła do pokoju muzycznego, którego okna wychodziły na podjazd, i podbiegłszy do okna, oparła dłonie o szybę.

- Och, spójrzcie na niego, jaaaaki okrooopny - szeptała, obserwując z pełną fascynacji odrazą, jak odźwierni otwierają bramę przed tym dziwacznym młodzieńcem. - Jak Damien go nazwał? Brzytewka?

- Chyba tak. Co to może być za nazwisko? - zastanawiała się Lizzie, gdy stłoczone stanęły przy oknie.

- Istny bandyta, a jaki bezczelny! Widziałyście, jak na mnie patrzył? - Jacinda aż sapnęła z wrażenia. - Kim on może być?

- Nieprzyjemnym człowiekiem, oto, kim - ucięła Lizzie. - Jestem pewna, że Jej Książęca Mość nie pochwaliłaby tego. Damien też nie. Na miłość boską, Jacindo, przestań się na niego gapić, zanim cię zobaczy!

Dokładnie w chwili, gdy wypowiadała te słowa, palce Jacindy uniosły się do warg,

Billy bowiem odwrócił się, by spojrzeć na dom, i dostrzegł ją w oknie. Obdarzył dziewczynę olśniewającym uśmiechem i zerwawszy z głowy kapelusz, złożył zamaszysty ukłon, jak francuski dworzanin w Wersalu. Następnie ponownie nasadził kapelusz na głowę, obrócił się

zwinnie i wyszedł długimi krokami, jakby nigdy w życiu nie miał żadnych zmartwień.

- Cóż to za śmieszny głuptas! - mknęła Jacinda.

Lizzie i Miranda wymieniły zdumione spojrzenia, bo dziewczynka mówiła to z zapartym tchem. Jacinda oparła czoło o szybę, zapatrzona w Billy'ego, aż zniknął za zakrętem.

Następnej nocy zbudził Mirandę dźwięk odległej eksplozji. Podniosła głowę z poduszki i zrzuciła leżącą na piersi książkę, którą czytała przed zaśnięciem. Wyrwana ze snu rozglądała się zdezorientowana. W pokoju było ciemno, ze świecy pozostał tylko maleńki ogarek. Siadła na łóżku, przecierając oczy; grzmoty powtarzały się jak daleka burza.

Spojrzała na zegar i pojęła przyczynę całego tego hałasu.

Dwadzieścia minut temu narodził się nowy rok, 1815.

Z ziewnięciem odrzuciła kołdrę, podniosła się z łóżka i bosą po zimnej podłodze podbiegła do okna. Gdy rozsunęła ciężkie adamaszkowe story i wyjrzała na zewnątrz, westchnęła tak, że aż szyba spotniała. Samotne święta są gorsze niż te spędzane w Yardley, pomyślała, patrząc na rozpryskujące się na ciemnym niebie kolorowe fajerwerki, które oświetlały zaśnieżone dachy Londynu.

A więc tak wygląda życie w stolicy regenta. W Birmingham rzadko widywała fajerwerki, toteż przez chwilę wpatrywała się w nie, zaspana, półprzymkniętymi oczami.

Damien i Lucien powiedzieli jej poprzedniego dnia o niebezpieczeństwie, jakie prawdopodobnie jej zagraża. Uważali, że wypadki, które ostatnio przeżyła, mogły wcale nie być przypadkowe. Nie przstraszyło jej to zbytnio: wiedziała, że będą ją chronić. Mówili zresztą, iż nie ma powodu do obaw, że jest tu bezpieczna - i wierzyła, że tak jest w istocie.

Było jej tylko trochę smutno, że nie mogła pójść ze wszystkimi na przyjęcie noworoczne...

Nagle przypomniała sobie, że jednak nie jest tej nocy zupełnie sama. Gdzieś w głębi domu był jej opiekun; może czuł się równie samotny jak ona? Damien także nie poszedł na przyjęcie. Zerknęła przez ramię na drzwi sypialni. Zastanawiała się, co by było, gdyby tak poszła teraz do niego z życzeniami szczęśliwego Nowego Roku. Nie rozmawiali ze sobą od tamtego wieczoru w stajni; wymienili najwyżej parę zdań przy codziennych okazjach, a i

wówczas ich rozmowy były sztywne i napięte.

Nie, w ten sposób nie powinno się rozpoczynać nowego roku! Stała chwilę przed drzwiami, zagryzając wargi. Wątpliwe, by Damien spał. Kto by zasnął w takim hałasie?

Tok jej myśli urwał się nagle. Senność natychmiast ustąpiła. Przypomniała sobie.

Fajerwerki!!!

Podbiegła do okna z sercem w gardle, już całkowicie rozbudzona, bo przypomniała sobie jego pełne bólu wyznanie w stajni. Chwyliła z wieszaka szlafrok i narzuciła na siebie.

Biorąc ze stolika lichterz, modliła się w duchu, żeby Damienowi nic się nie stało. Ze świecą w rękę wyszła na korytarz. Damien powiedział jej wtedy, że w rocznicę spisku prochowego hałas rozpryskujących się sztucznych ogni i huk armat strzelających na wiwat - tak jak właśnie w tej chwili - wywołały w nim wspomnienie okropnych przeżyć.

Chyba nic mu nie jest, przekonywała samą siebie. Musiała to jednak sprawdzić; musiała mieć pewność.

Szła ciemnym korytarzem, licząc drzwi za zakrętem, aż dotarła do jego sypialni. Cała jej odwaga gdzieś się ulotniła, kiedy uniosła piąstkę, by zastukać. Mówił, że wtedy nie zdawał sobie sprawy z tego, co robił, że ocknął się z nożem w jednej ręce i pistoletem w drugiej. A co, jeśli naprawdę mógł być niebezpieczny? Zaszło jej w gardle, kiedy przypomniała sobie Damiena z tamtej nocy w Birmingham, okrwawionego i dzikiego, ze szpadą w dłoni. O tak, dobrze wiedziała, do czego jest zdolny.

Ale wiedziała też, że ten człowiek nigdy nie uczyniłby jej najmniejszej krzywdy. Bez względu na to, z jakim uporem twierdził, że może być dla niej zagrożeniem. Była do głębi serca przekonana, że nie mógłby utracić świadomości do tego stopnia, by skrzywdzić kobietę.

Nie Damien Knight. Zebrała się w sobie, uniosła głowę i zastukała do drzwi.

Żadnej odpowiedzi.

- Damienie? - zawołała cicho i zapukała ponownie. Odczekała minutę czy dwie, po czym podbiegła do schodów poszukać go na dole. Wychyliła się przez balustradę, nie dojrzała jednak ani śladu nocnego kamerdynera czy portiera, nikogo, kogo mogłaby spytać, gdzie jest Damien. W domu panowała upiorna cisza. Zaczęła go szukać, przechodząc bezszelestnie z jednego wielkiego pustego salonu do następnego.

Światło księżycy sączyło się przez wysokie okna, skrząc się jak żywe srebro w ciemnych, bogatych korytarzach i oświetlając złocone ramy wiszących tam luster. Serce Mirandy biło trwożnie. Kiedy świeca zaczęła dogasać, w każdym skrawku cienia Miranda widziała zjawy; chochliki zrodzone w jej wyobraźni śmigały po oparciach kanap i błyszczącym w ciemności fortepianie księcia.

Damiena nigdzie nie było.

Pomyślała, że może wyszedł, kiedy nagle natknęła się na pokój, w którym ktoś był.

Dwaj oficerowie, przyjaciele Damiena, grali w karty w bibliotece. Stała w drzwiach z cynowym lichtarzem w ręku i spojrzała na nich niepewnie.

- Bardzo przepraszam...

Na jej ciche słowa odłożyli karty, zerwali się i ukłonili.

- Panno FitzHubert - powitali ją.

Wyglądali na skrępowanych, widząc ją w szlafroku, ale uśmiechnęła się do nich przyjaźnie. Wiedziała, że są tu na prośbę Damiena po to, by jej strzec.

- Dobry wieczór panom - powiedziała. - Przepraszam, że przeze mnie macie panowie zepsuty wieczór noworoczny.

- Absolutnie nie, panno FitzHubert - odparł podpułkownik MacHugh, wysoki, rudy Szkot o przenikliwych oczach i z nadającą mu groźny wygląd szramą na twarzy. - To dla nas przyjemność. Winterley zrobiłby to samo dla nas.

- To bardzo miłe z waszej strony. Widzieliście go może panowie?

- Poszedł do swojego pokoju mniej więcej godzinę temu. Zmarszczyła brwi.

- Jest u siebie? Na pewno?

- Mówił, że nie najlepiej się czuje - rzekł kapitan Sutherland, pełen fantazji blondyn z wypielęgnowanymi wąsami.

Miranda skinęła im głową, złożyła życzenia zdrowia i szczęścia w nowym roku i wróciła na górę. Ten drań z pewnością cały czas był u siebie. Czemu nie odezwał się na jej pukanie? Chowa się przed nią?

Po kilku minutach była z powrotem pod jego drzwiami.

- Damienie! - zawołała, pukając natarczywie. - Wiem, że tam jesteś. Sutherland i MacHugh mi powiedzieli. - Odczekała chwilę.

- Damien, odpowiedz mi!

- Odejdź.

- Nie bądź dzieckiem. Jesteś chory? - Tak.

- Mam posłać po lekarza? - Nie.

Wysłuchiwała się w jego głos, starając się odgadnąć, w jakim jest stanie.

- Przynieść ci coś?

- Odejdź stąd!

- Nie odejdę. Co ci dolega? Nie odpowiedział.

- To nie żadna choroba, prawda? - pytała uporczywie. - Piłeś? Nadal nic nie mówił.

- Damienie, czy masz przy sobie broń?

Gorzki, posępny śmiech, który doszedł zza drzwi, przejął Mirandę dreszczem.

- Wpuść mnie! - wołała, waląc w drzwi pięściami. Serce tłukło jej się z przerażenia na myśl, że Damien może sobie zrobić coś złego.

- Uciekaj stąd, Czerwony Kapturku - szepnął ze złością - zanim pożre cię duży zły

wilk.

Odskoczyła od drzwi i patrzyła na nie - na tę potężną barierę między nimi dwojgiem.

Nagle zdała sobie sprawę, że właśnie nadeszła chwila próby, chwila o wielkim znaczeniu.

Ten ważny moment, o którym myślał lord Lucien, dając jej kluczyk.

Na Boga, to jednak choroba była prawdziwą przyczyną, dla której Damien odmawiał sobie prawa do miłości. Nadszedł czas, by Miranda stoczyła walkę o niego, tak jak on - walczył o nią w Bordesley Green.

Pobiegła do swojej sypialni po kluczyk.

Udało się. Wystraszył ją. Damien słyszał za drzwiami jej lekkie kroki, kiedy oddalała się korytarzem. Był bez koszuli, ciało miał pokryte potem; dręczyło go przemożne pragnienie walki, mimo że ze wszystkich sił starał się je pohamować. Zacisnął zęby, by nie wykrzyknąć głośno imienia Mirandy, i z zamkniętymi oczami wsparł głowę o drzwi; rzeczywistość nadal zawrotnie szybko stawała się to przeszłością, to teraźniejszością. Zupełnie jak szarpane wichrem okiennice, które bez przerwy zamykają się i otwierają. Serce rwało mu się do niej, a równocześnie usta powtarzały uparcie „odejź stąd”. Demony rozszarpały go tej nocy na strzępy; w mózgu kłębiły się udręka, ból, wściekłość i poczucie winy. Próbował stłamsić w sobie ten huragan, zapanować nad nim wyłącznie siłą woli, ale nie mógł.

Każda blizna na ciele piekła jak ogniste piętno. Lodowa skorupa nieczułości roztapiała się: był tu, w tym pokoju, tonąc we łzach, których nie chciał wylewać. Odległy huk brzmiał jak działa artyleryjskie... mógłby przysiąc, że były coraz bliżej. Kto to taki? Generał Massena? Generał Soult? Soulta mógłby pokonać z łatwością, ale Massena był - wrogiem, z którym trzeba się liczyć...

- Nie - mruzczał, biegnąc tam i z powrotem po pokoju jak zwierzę w klatce. To

przecież tylko fajerwerki. Niech mnie diabli, jeśli nie zatłukę regenta następnym razem, kiedy spotkam tego spasionego wieprza w koronie. Nigdy nie poszedłbym na wojnę za to książątko. Monarchą ciągle jeszcze był król Jerzy, obłąkany jak marcowy zając. Jak on sam. Złapał piękny fotel Hepplewhite'a, uniósł go w górę i roztrzaskał o ścianę.

Cóż to za satysfakcja - usłyszeć trzask pękającego drewna. Gdyby miał tu swoją siekierę! Ale nie, nie mógł sobie pozwolić na używanie ostrych przedmiotów. Chował je przed sobą samym na wypadek, gdyby w jakiś sposób wyrwał się z klatki. Zniszczenie krzesła pomogło tylko na chwilę. Zaraz potem wróciły ohydne przywidzenia: widział, jak trzy kruki rozdziobują wnętrzności jego najzdolniejszego młodego chorążego. Sztandar tego dnia aż pięć razy przechodził z rąk do rąk: wróg obalał na ziemię jednego dzierżącego go w dłoniach żołnierza po drugim.

Myśli Damiena zaczęły krążyć coraz szybciej, kiedy dalekie wybuchy fajerwerków co chwila innym kolorem barwiły jego ciemny pokój. Istnieje pewien kąt ustawienia ognia artylerii, przy którym jedna solidna kula, prawidłowo wycelowana, może pourywać głowy całemu szeregowi żołnierzy piechoty; pojawia się z gwizdem i pruje wzdłuż całej kolumny. Była to jedna z niewielu rzeczy na wojnie, która wywoływała w nim mdłości.

Na drżących nogach podszedł do okna i rozsunął story, które sam przedtem zaciągnął. Wpatrywał się z nienawiścią w odległe światła i wybuchy, próbując je sobie wytłumaczyć. Bez skutku. Dotknął oszronionej szyby i szukał ukojenia w jej chłodzie; spoconą ręką ocierał rozpalone czoło. Przeniósł spojrzenie z dalekich światełek na szybę, tknięty nagłym, strasznym pomysłem.

Wkrótce może być po wszystkim, myślał. Ból wreszcie się skończy. Wystarczy tylko zbić pięścią szybę, wybrać dostatecznie długi i ostry odłamek i poderżnąć sobie gardło. Zafascynowany wpatrywał się w pierzaste desenie, jakie mróz wymalował na szybie.

Czuł, jak krew pulsuje mu w skroniach. Narobiłby okropnego bałaganu... Ale w końcu od czego jest służba?

Zrób to! - syczał wąż w jego mózgu, a był to potężny wąż, który dusił go zwojami bólu. Pozostawał tylko jeden problem. Kto zaopiekuje się Mirandą?

Miranda chwyciła kluczyk z toaletki drżącymi rękami. Była teraz pewna, że Lucien powierzył go jej, by mogła otworzyć sekretne wejście do pokoju Damiena. Tym razem postanowiła nie ustawać, aż je znajdzie. Jakim cudem Lucien wiedział o drzwiach, których istnienia nawet Walsh nie podejrzewał?

Nagle ją olśniło. Pokój Luciena...

Pobiegła z powrotem korytarzem, mijając drzwi Damiena. Nic powinien wiedzieć, że szuka innego wejścia, bo wtedy nie będzie jej chciał wpuścić także tamtędy. Weszła na palcach do pokoju obok, z kluczykiem w jednej ręce, a świecą w drugiej. Badała mroczne ściany pokoju, który, jak się zorientowała, był dziecięcym pokojem Luciena.

Łóżko wyglądało, jakby od lat nikt w nim nie spał. Pokój nosił wyraźne znamiona zamiłowania Luciena do nauki: książki na półkach były ułożone według języków: francuskie, niemieckie, łacińskie i greckie. Mikroskop, globus i para cyrkli ciągle leżały na dziecięcym biurczku w prawym rogu. Z lewej były drzwi do szafy. Ponieważ sypialnia Damiena znajdowała się po drugiej stronie lewej ściany, zaczęła badać właśnie tę część pokoju; wyobraźnia podsuwała jej, jak ci dwaj mali chłopcy mogli się tu bawić. Każdy widział, jak silne więzi ich łączyły. Niedawno podczas rodzinnej rozmowy w salonie po kolacji książę powiedział jej, że gdy bliźniacy w dzieciństwie coś spsobili, najcięższą karą, jaką mogli im wyznaczyć rodzice czy guwernantka, było rozdzielenie. Żaden nie wiedział, co robić, kiedy nie było przy nim tego drugiego. Ta parka, mówił Robert, potrafiła porozumiewać się jakimś własnym językiem; jeden zawsze wiedział, o czym myśli drugi. Lord Alec zgodził się z tą

teorią. Lucien i Damien byli jak jedna osoba w dwóch ciałach.

Otworzyła szafę i nacisnęła jej plecy, nie znalazła tam jednak żadnych drzwi. Poszła dalej, do garderoby Luciena.

Alec mówił kiedyś, że jako chłopcy bliźniacy zachorowali na gripę dokładnie tego samego dnia - chociaż Damien znajdował się wtedy wiele kilometrów od brata, w odwiedzinach u przyjaciół. Lucien był leworęczny, Damien praworęczny. Kiedy Lucien się uśmiechał, robił mu się dołek w lewym policzku, Damienowi - w prawym. Jacinda powiedziała, że to zjawisko nazywa się „lustrzanymi bliźniętami”.

Mysząc o tym, Miranda otworzyła drzwi do garderoby i jej wzrok padł na lustro na przeciwległej ścianie.

Podeszła bliżej, nie zwracając uwagi na swoje własne blade odbicie. Oprawne w grubą mahoniową ramę zwierciadło było duże i prostokątne, zakończone u góry łukiem. Włożyła kluczyk do kieszeni, wolną ręką zbadła krawędzie lustra i po chwili wstrzymała oddech: rama zaskrzypiała i odsunęła się od ściany, obracając się na niewidocznych zawiasach. Za lustrem były małe, wąskie drzwi.

Te małe czorty musiały wybić dziurę w ścianie bez wiedzy rodziców, psując szyki karzącym ich dorosłym. Miranda zacisnęła usta i sięgnęła do kieszeni. Ręce jej drżały, gdy przymierzała kluczyk do zamka.

Pasował idealnie.

Zanim jednak przekręciła klucz, wahała się chwilę. W pokoju obok był nieposotny chłopiec, ale okrzepły w bojach dziki wojownik. Wchodząc tam, ryzykowała życie. Ale czy Damien wahał się choć przez sekundę, kiedy zobaczył zbójów rzucających się na nią w Bordesley Green?

Wzięła głęboki oddech i przekręciła klucz. Spróbowała pchnąć drzwi, poczuła jednak,

że coś je blokuje. Zorientowała się, że to pewnie takie samo lustro po stronie Damiena.

Pociągnęła więc drzwi ku sobie, sięgnęła przez nie ręką i ostrożnie pchnęła tył lustra Damiena.

Jak podejrzewała, powoli odsunęło się od ściany. Musiała schylić głowę, kiedy przechodziła na drugą stronę do jego garderoby.

- Damienie?

Krzyknęła, kiedy coś złapało ją za ramię. Świeca wyleciała z cynowego lichtarza i zgasła, spadając na podłogę w momencie, gdy Damien szarpnął Mirandą i pchnął ją pod przeciwległą ścianę.

Wpatrywała się po omacku w ciemność. Nie widziała nic, słyszała tylko jego chrapliwy oddech.

- To ja, Damienie, Miranda - wykrztusiła. - Już wszystko w porządku, kochanie.

Jestem tutaj. Przyszłam ci pomóc.

Wydał ogłuszający, nieartykułowany ryk prosto w jej twarz. Przerazona zacisnęła mocno oczy i cofnęła się przed nim, ale nie ustąpiła.

Zapadła cisza. Miranda otworzyła powieki. Jej wzrok powoli przyzwyczajał się do ciemności.

Pierwszym, co zdołała dostrzec, były jego błyszczące oczy, blade i zimne jak światło księżycy. Reszta wspaniałego ciała: szczupła, surowa twarz, rzeźbione kształty nagiej piersi i ramion, powoli wyłaniały się z cienia.

- Lucien dał ci klucz - powiedział. - Tak.

- Bardzo nierozsądne z twojej strony, żeś go użyła. Ostrzegałem, żebyś trzymała się ode mnie z daleka. - Mięśnie pleców naprężyły mu się, gdy wyciągnął przed siebie ręce i oparł dłonie na ścianie po obu stronach jej głowy, pochylając się nad nią ze złowieszczym

uśmiechem. Ich twarze znalazły się tuż obok siebie. - A teraz, kiedy już tu jesteś, co mam z tobą zrobić?

Miranda z trudem przełknęła ślinę. Jego skóra lśniła od potu, płatanina uczuć sprawiła, że twarz mu stwardniała, ale przynajmniej nie pogorszył swojego stanu picciem. Czowała od niego tylko lekki zapach wina.

Cofnął się na dźwięk dalekiego łomotu fajerwerków i spojrzał w tamtym kierunku.

Emanowało z niego napięcie. Mogła to dojrzeć w sztywnej linii ramion i mocno zaciśniętych szczękach.

Tutaj, w pozbawionej okien garderobie, hałas wystrzałów był tylko stłumionym dudnieniem. Dla niej brzmiał zupełnie jak odgłosy bitwy, chociaż nigdy żadnej nie przeżyła. Wcale nie wydawało jej się wariactwem, że mężczyzna, który spędził sześć lat na pierwszej linii frontu, może na dźwięk takich odgłosów szaleć na wspomnienie tamtych przeżyć. Stryj Jason mawiał, że w zamęcie bitewnym nie ma czasu na zastanawianie się nad własnymi emocjami, ale chociaż żołnierze nie myślą o strachu w chwili wykonywania obowiązków, odbija się to na nich później.

- Przyszłam ci pomóc - rzekła cicho.

- Pomóc? A kimże ty jesteś, że mi chcesz pomóc? - spytał ze wzgardą.

- Ciii... - szepnęła, dotykając jego twarzy i patrząc w oczy. Zamilkł pod tym dotknięciem. Zamknął oczy i zadrżał.

- Wyjdź stąd, Mirando.

- Nie opuszczę cię.

- Już zapomniałaś Bordesley Green? - Otworzył oczy i oto Miranda znalazła się twarzą w twarz z tym samym aniołem śmierci, przed którym uciekła tamtej nocy.

Teraz jednak nie było dokąd uciec. Nie miała zresztą takiego zamiaru.

Jego oczy lśniły jak ostrze szpady, ale Miranda uniosła zadziornie bródkę i wytrzymała jego wzrok.

- Nie boję się ciebie. Tym razem nie dam się odtrącić. Nawet gdybyś spróbował równie podłej sztuczki jak ta, którą odegrałeś w stajni, mój kolego bękarcie.

Zmrużył oczy.

- Więc odkryłaś moją tajemnicę.

- Tak, teraz wiem... Ale nie przyszedłam tu po to, żeby się z tobą kłócić. Oddaj mi całą broń, jaką masz tu w pokoju.

- Bo co? - drażnił się z nią.

- Bo zawołam MacHugha i Sutherlanda i poproszę, żeby wybili ci z głowy te mrzonki, aż dojdiesz do rozumu, Damienie. Ale wtedy cały twój pułk dowie się o wszystkim, a tego chyba byś nie chciał. Gdzie je masz? Strzelby? Noże? Oddawaj!

Rozśmieszyla go.

- Zabrałem je, nim się zamknąłem.

- Mówisz prawdę?

- Tak - zapewnił.

- Czemu więc nie odpowiadałeś, kiedy pytałam, czy jesteś uzbrojony?

- Miałem jeszcze to. - Wyciągnął przed siebie ręce z gorzkim uśmiechem.

Aż serce jej zamarło, takie cierpienie miał w oczach.

- Och, Damienie - szepnęła, ujmując jego dłonie w swoje. Jego twarz złagodniała, kiedy całowała je jedną po drugiej. - Widziałam przecież twoją dobroć, najdroższy. Jesteś czuły dla dzieci, dobry dla zwierząt, rycerski wobec kobiet, cierpliwy dla prostaczków. Nie mów mi, że jesteś zabójcą. Jesteś zasłużonym oficerem piechoty Jego Królewskiej Mości, a ja jestem z ciebie dumna.

- Czego ode mnie chcesz? - wyszeptał drżącym głosem. - Wszystko, czego pragnę - rzekła, kładąc rękę na jego nagiej piersi i pieszcząc ją łagodnie - to odegnąć twój ból. Stał nieruchomo, milcząc, z lekko przechyloną głową. Przesunęła rękę na jego ramię i objęła za szyję.

- Gdzie jesteś teraz, Damienie? W Portugalii? W Hiszpanii? Skinął głową.

- Co czujesz?

- Gniew - warknął.

- Powiedz mi, dlaczego.

Długą chwilę nie odpowiadał, walcząc z własną dumą i jeszcze bardziej pograżając się w cierpieniu.

- W końcu udaje ci się poznać porządnego człowieka, a tu nagle pocisk urywa mu głowę - powiedział ni stąd, ni zowąd. Zniżył głos do szeptu. - Nie, to nie jest w porządku...

Nie wiem, czemu jeszcze tu jestem, wszystko to takie ohydne i okrutne!

- Ohyda i okrucieństwo... czy to właśnie budzi w tobie gniew? - I smutek. Jestem tak smutny, że mógłbym umrzeć. - Pokręcił lekko głową. - Ale nie ma czasu na żale. Nie dla mnie.

- Czemu?

- Szczegóły, Mirando. Zawsze drobiazgi. Umarli, których trzeba pochować. Rozkazy z dowództwa, że mam znowu iść z wojskiem na bój. Sprzęt i żywność, które musi się zdobyć i strzec. Ranni do odtransportowania do szpitala. Awanse do zaproponowania na miejsce oficerów, których właśnie straciłem na polu walki, dezertery do ukarania, bezdomni cywile do opieki. To się nigdy nie kończy. Nigdy.

- I co wtedy czujesz?

Znów milczał dłuższą chwilę, jakby się zastanawiając.

- Ulgę. Wolę pracować, niż odczuwać ten ból - przerwał, ciężko dysząc.

Czuła, że Damien stara się nie zagłębiać we wspomnienia, ale instynkt podpowiadał jej, że jednak chce to z siebie wyrzucić.

- Jedyna droga ucieczki od tego bólu jest tutaj, kochanie - wyszeptała. - Jestem tu.

- Nie chcę, by dotknęła cię którakolwiek z obrzydliwości, jakie są we mnie - szepnął ledwo dosłyszalnie.

- Jestem silna. Wytrzymam - odparła. - Chcę, żebyś opowiedział mi o najgorszej rzeczy, jaka ci się przydarzyła.

- Nie zechcesz tego słuchać.

- Chcę. Wypróbuj mnie. Zaufaj.

Oparł się ciężko o ścianę i przymknął oczy.

- Pewnego wieczoru toczyliśmy bitwę z francuską strażą przednią w jakiejś górzystej, pustynnej krainie. Byłem wtedy młodszym oficerem, jeszcze zupełnie zielonym. Zabrałem ze sobą na wojnę tego konia... miałem go przed Zeusem... prawdziwa końska piękność, powiadam ci - mówił tęsknie, ze wzrokiem wpatrzonym w dal. - Miał na imię Presto. Dobry, wysoki kasztan z czterema białymi skarpetkami. Łagodny i szybki. Jeździłem na nim od lat.

- Przerwał i broda zaczęła mu drżeć. Ciągnął jednak dalej: - Potyczka rozpoczęła się normalnie, ale potem zaczęła do nas strzelać ich artyleria. Trafili mojego konia. Ja spadłem i uderzyłem o kamień, tak że straciłem przytomność. Kiedy się ocknąłem, było już ciemno; głowa mi krwawiła i zostałem w tyle za swoimi, którzy rozbiegli się, myśląc, że nie żyję.

W milczeniu potrząsnęła głową ze współczuciem. - Wtedy usłyszałem ten okropny dźwięk i się rozejrzałem. To był Presto. Tylne nogi miał zmiążdżone, ale ciągle próbował wstać.

- Po policzku Damiena spłynęła łza. - Ten przeklęty koń patrzył na mnie, jakby prosił

o pomoc. Siedziałem na ziemi i pół godziny wpatrywałem się w niego, zanim zmusiłem się, by podejść, żeby go zastrzelić. Miałem już na koncie co najmniej tuzin mężczyzn, których zabiłem w walce, ale tym razem po prostu... nie mogłem się na to zdobyć. W końcu podszedłem i powiedziałem mu, jak strasznie mi przykro, że go zabrałem na tę wojnę, skoro równie dobrze jakiś elegancik mógłby sobie jeździć na nim po Hyde Parku A potem... skróciłem jego cierpienia. Umarł, a razem z nim umarła część mnie. Ale cała reszta, ta zewnętrzna część, nadal funkcjonowała: podnosiłem się, szedłem naprzód... czasem myślałem że najlepiej byłoby, gdybym wtedy skrócił także swoje cierpienia. Mam dość tego wiecznego bólu. O Boże, Mirando, to taki straszny ból. Zrób coś, żeby ustąpił.

- Wróć stamtąd, kochany. Zostań przy mnie - szepnęła, wyciągając do niego ręce.

Przycisnął ją do piersi i sięgnął jej ust w rozpaczliwym, niemi brutalnym pocałunku.

Pieściła jego policzek i włosy, starając się mu ulżyć, ale każde dotknięcie mówiło jej wyraźnie, że Damien potrzebuje czegoś więcej. Lekko przycisnęła go do ściany, chcąc przede wszystkim pocieszyć. Odrzucił głowę do tyłu z palcami wplątanymi w jej włosy, ona zaś obsypywała pocałunkami jego szyję, a potem powiodła ustami wzdłuż pięknie sklepionego barku i dalej, na pierś i brzuch. Stał z rękami opuszczonymi wzdłuż tułowia, ale pierś wznosiła mu się i opadała gwałtownie. Miranda odrzuciła głowę do tyłu i napotkała jego zamglone spojrzenie. Po woli rozchyliła szlafrok.

Oczy błyszczały mu w ciemnościach. Odstąpiła o krok. Zrzuciła szlafrok na podłogę i zaczęła rozpinąć białą muślinową nocną koszulę, widząc, jak jego skrzący się wzrok prześlizguje się w dół, na jej biust. Oswobodziła ramiona z rękawów i opuszczyła koszulę na biodra, odsłaniając tors. Damien nie odrywał oczu od jej piersi. Oblizwał wargi.

Oplotła rękami jego szyję, tuląc się do niego z uwielbieniem. Wpatrzony w jej oczy, powiódł czubkami palców po jej plecach, od pasa aż do nasady włosów. Tak trwał przez

chwile; jego twarz płonęła namiętnością.

Potem schylił głowę, przymknął oczy i wziął w posiadanie jej usta. Poddała mu się, rozchylając wargi, by mógł smakować ją aż do głębi. Jej język wyczuwał smak słodkiego wina, które musiał niedawno pić. Hipnotyzował ją tymi słodkimi pocałunkami, tak że drżała na całym ciele. Doskonale zdawała sobie sprawę z siły jego potężnych ramion, ze stalowej twardości mięśni pod gładką, aksamitną skórą. Modliła się w duchu, by jej nie odtrącił. W tym momencie przesunął ręką po jej boku i objął dłonią pierś.

Przerwał pocałunek z oczami zamglonymi namiętnością. Jego głos brzmiał ochryple, kiedy szeptał jej imię.

- Miranda...

Opadł na kolana i przymknął ocienione długimi rzęsami oczy; był piękny jak archanioł, kiedy tak całował jej pierś, obejmując ją gorącymi, wilgotnymi wargami. Jęknęła z pożądania, pieszcząc czarną jak smoła czuprynę, gdy ssał jej sutek. Z trudem powstrzymała się od wyznania, jak bardzo go pragnęła od owej nocy w hotelu. Masował teraz jej plecy swoimi wielkimi, zabójczo silnymi dłońmi. Myśl o tej groźnej sile, zamiast przestraszyć Mirandę, jeszcze bardziej ją pobudziła. Jej podniecenie rosło.

Zsunął jej koszulę nocną jeszcze niżej, odsłaniając linię bioder, i sunął ustami po jej ciele, próbując smaku drugiej piersi. Nie sięgał rękami pod koszulę, tylko dotykał wzgórka Wenusy przez cienką tkaninę, pieszcząc delikatnie - zupełnie inaczej niż Trick, który zawsze tak się spieszył! Z trudem mogąc uwierzyć, że to wszystko w końcu dzieje się naprawdę, lekko wsparła dłonie na jego masywnych ramionach, ale nie pozwoliła porwać się rozkoszy. Jeszcze nie.

Objęła jego podbródek i przyciągnęła ponownie do swoich ust, spragniona pocałunku.

- Zostań ze mną, Damienie. Wiem, czego ci trzeba - wyszeptała. - Po prostu zdejść się

na moje dłonie, moje wargi. Na moje dotknięcia.

Oddychał coraz głębiej, drżąc z podniecenia, kiedy całowała jego maleńkie sutki.

Delikatnie odgarnął jej włosy, odsłaniając twarz, by móc ją widzieć, gdy pokrywała pocałunkami jego brzuch, coraz niżej, wsuwając język do pępka. Bezwładnie oparł się o ścianę, kiedy uklękła i zaczęła rozpinać jego spodnie.

- O Boże, Mirando - jęknął.

- Nadal jesteś tu ze mną, Damienie? - szeptała, uwalniając jego ogromną męskość.

- Tak - wychrypiał. Był twardy jak skała, kiedy objęła palcami tę okazałą włócznię i zaczęła pieścić.

- Myślisz teraz tylko o mnie? - spytała, oblizując wargi w oczekiwaniu i spoglądając w górę na Damiena.

- Ja... - Bezradnie odrzucił głowę w tył, kiedy zaczęła go pieścić.

- Potrzebowałeś tego, prawda? - szeptała.

- Błagam... - jęknął.

Opuściła znów głowę, spełniając jego prośbę. By utrzymać równowagę, chwycił za sterczące nad głową kołki do wieszania ubrań. Miranda drugą ręką obejmowała jego szczupłe, umięśnione pośladki. Gwałtownie wstrzymał oddech, gdy wbiła mu paznokcie w płaski brzuch. Jęki przeszły w głuche pomruki, jeszcze szybsze.

- Mirando... o Boże! Kochanie moje, musisz przestać - dyszał, ale ona ścisnęła tylko mocniej jego plecy. Szalona z pożądania i nienasycona doprowadziła go do szczytu. Była jak w ogniu. Spazmy rozkoszy przebiegały jej ciało.

Upojona oparła czoło na płaskim brzuchu Damiena. Pochylił się nad nią, cały drżący, ucałował w czubek głowy i ciasno objął ramionami. Wtuliła twarz w jego gładkie ciało.

- Och, Damien! Tak bardzo cię kocham! - wydyszała, dygocząc z pożądania. - Nic na

to nie mogę poradzić. Kocham cię i zawsze będę kochała.

Spojrzała mu w twarz, starając się wyczytać z niej odpowiedź. Usta Damiena były nieruchome, ale oczy straciły wreszcie dziki wyraz, w którego miejsce pojawiła się czułość.

Uniósł jej podbródek i powoli całował powieki, potem podniósł ją i wziął w ramiona.

Potańczał czubkiem nosa jej policzek, jakby się łąsił, i przeniósł ją do sypialni. Delikatnie ułożywszy ją na wysokim łożu, odwrócił się i odszedł. Patrzyła za nim z niepokojem.

- Dokąd idziesz?

- Napijesz się? - zaproponował, oglądając się przez ramię i idąc w drugi koniec pokoju, by nalać dwa kieliszki słodkiej madery. Jeden podał Mirandzie, a drugim stuknął o jej kielich z serdecznym uśmiechem. Wzięła łyk wina. Trunek o miodowym aromacie spłynął jej do gardła, spłukując z niego piżmowy smak Damiena.

Siadł na brzegu łóżka i zaczął pieścić jej włosy. Serce Mirandy trzepotało nerwowo, kiedy piła wino, czekając, aż Damien coś powie w odpowiedzi na jej rozpaczliwe wyznanie.

- Winien ci jestem przeprosiny - szepnął.

Podniosła jego rękę ze swoich kolan i ucałowała.

- Za co? - spytała zaskoczona.

- Byłem dla ciebie okrutny wtedy w stajni. Wzdrygnęła się na to wspomnienie.

- Po prostu powiedziałeś mi prawdę. Potrząsnął przecząco głową.

- Nie, tylko część prawdy.

- Myślisz o tym, że ukryłeś przede mną, że ty też jesteś dzieckiem z nieprawego łoża?

Prawie mnie to nie obeszło. Byłam zła, kiedy się o tym dowiedziałam, ale potem już nie. Nie potrafię gniewać się na ciebie - szepnęła czule.

Objął ją i pocałował w czoło.

- Nie o tym mówiłem - wyznał. - Ach, Mirando! Zniechęcić cię do siebie było ostatnią

rzeczą, jaką chciałem zrobić.

Wargi jej drżały, kiedy spojrzała mu w oczy.

- A co chciałeś zrobić?

- To. - Dotknął jej twarzy, po czym pochylił się nad nią i pocałował. Powolne zetknięcie jego warg z jej ustami sprawiło, że zakręciło jej się w głowie. Serce biło jej nieprzytomnie, gdy językiem rozchylił jej wargi i wdarł się do wewnątrz, badając, pieszcząc. Objęła go za szyję, kiedy kładł ją na łóżku i sam ułożył się na niej.

Kilka minut później odsunął się trochę i spojrzał na nią. W jego oczach lśniło coś, czego nigdy dotąd tam nie dostrzegła, a na ustach miał zakłopotany uśmiech.

- Kiedy cię trzymam w ramionach, czuję się nawet lepiej niż wtedy... niż zapamiętałem. Jesteś taka miękka, taka ciepła...

- Och, Damienie - szepnęła zmysłowo. Po chwili jednak spoważniała. - Nie mogę ci pozwolić kochać się dziś ze mną. Jeszcze nie jesteś na to gotowy, a skoro ty nie jesteś gotów, ja również nie. Chcę dać ci możliwość wyboru; sam mi tak kiedyś, powiedziałeś.

- Jakie z ciebie słodkie, kochane stworzenie - mruknął, wpatrując się w nią zakochanymi oczami. - Dobrze, najdroższa. - Powiódł dłonią po jej ciele. - Sprawię ci po prostu rozkosz, ale nie pozbawię dziewictwa.

- M m m ... - zamruczała jak kotka, przeciągając się pod jego dotknięciem.

- Ufasz mi?

- Całkowicie.

- To rozsuń nogi - szepnął, a jego oczy nabrały pięknej, tajemniczej barwy szarej mgły.

Pomógł w spełnieniu polecenia, delikatnie prostując jej ugięli kolana. Wstrzymała oddech ze wzrastającym podnieceniem, kiedy uniósł brzeg jej nocnej koszuli wysoko nad

biodra. Przesuwał ręką po wewnętrznej stronie jej ud, w górę i w dół; ten dotyk był niezwykle ciepły i kojący. Oblizwała wargi, czując u zbiegu ud coraz większą wilgoć. Pieszcząc jej nogi, wpatrywał się w jej różowej, lśniącej, wilgotną kobiecość. Wsunął silne palce w mokrą szparkę i zatrzymał kciuk na wznórku Wenery.

- Nigdy nie oddam cię innemu mężczyźnie, Mirando - wyszeptał. - Zabiję każdego, kto spróbuje mi ciebie odebrać.

- Damienie - jęknęła, dygocząc z żądz; cofnął na chwilę rękę i uniósł ją ku wargom.

Wpatrywała się w niego spragniona, z oczami zasnutymi mgłą. To zupełnie nie przypominało sposobu działania Tricka, pomyślała; po chwili jednak obraz jej byłego wielbiciela rozplynął się w niepamięci, bo Damien położył się obok niej i całował raz po raz, doprowadzając jej zmysły do szaleństwa; jego czułość była wzruszająca. Zsunął się niżej, ale trzymała go ciągle za szyję, by być jak najbliżej. Pojękując cicho, oparta o jego policzek, wyginała się, gdy sprawiał jej rozkosz powolną pieśczętą.

- Spójrz na mnie - szepnął, kiedy dochodziła do szczytu. Ciężko dysząc, wyczerpana potęgującą się rozkoszą, wytrzymała jego wzrok. Pozwalała mu patrzeć na siebie, patrzeć na dno jej duszy, poddając się jego dotknięciu. Przysunął usta do jej ust, tamując jej jęki.

- Taka piękna... moja dzika, czerwona różyczka... - szeptał, biorąc ją znów w ramiona.

Siadł oparty o wezłowie łóżka, trzymając ją w ramionach.

Leżąc wyczerpana na jego nagiej piersi, Miranda uświadomiła sobie, że podobne do bitewnych dźwięki za oknem już ucichły.

- Tak mi przykro, że tyle wycierpiałeś - rzekła w zamyśleniu. - Ale teraz nie będziesz już musiał samotnie stawiać czoło temu bólowi. Będziesz miał przy sobie kogoś, kto cię kocha i troszczy się o ciebie.

Przytulił ją mocniej i ucałował w czoło.

- Jesteś dla mnie bardzo dobra - szepnął. - Wiesz o tym?

- Pewnie, że wiem! - zgodziła się z szelmowskim uśmiechem.

- Ty diablico - skarcił ją ze śmiechem.

- Ty też jesteś dla mnie dobry, Damienie - westchnęła, tuląc się do niego. - Stryj Jason przewidział, że będziemy dobrzy dla siebie nawzajem.

- Chyba tak, Mirando - rzekł cicho. - Chyba tak.

Następnego dnia Damien wydobył pudło z dokumentami, które pozostawił Jason Sherbrooke, i całe popołudnie spędził na skrupulatnym przeglądaniu i porządkowaniu listów i pokwitowań z banku, rachunków od wierzycieli i rewersów z gier hazardowych. Chciał sprawdzić, na co Jason wydał pieniądze odziedziczone przez Mirandę, Lucien bowiem twierdził, że to bardzo ważna informacja.

Tymczasem sam Lucien powoli, ale skutecznie zdobywał dane na temat kamieniczników w Seven Dials. Przypominało to, jak twierdził, grę w ciuciubabkę, którą rozgrywał jak najostrożniej, by zainteresowani nie połapali się, że ktoś zbiera informacje na ich temat.

Sprawdzając sumy na rachunku od szewca, który robił Jasonowi buty, Damien znów złapał się na tym, że marzy na jawie. Z westchnieniem odłożył rachunek, zdając sobie sprawę, że będzie musiał jeszcze raz go przejrzeć. Podniósł do ust filiżankę z kawą i się skrzywił.

Wystygła. Jego myśli wędrowały tak daleko, kiedy tu siedział. Tyle się wydarzyło od noworocznego wieczoru...

Ale przecież nigdy dotychczas nie był zakochany. Myśl o rozkosznej podopiecznej sprawiła, że przejął go dziwny dreszcz, tak że tchu mu brakło, a serce zabiło szaleńczą radością. Nadał był trochę zaszokowany tym, co się stało poprzedniej nocy; powinien był jednak zdawać sobie sprawę, że przełamanie barier pomiędzy nim a Mirandą to tylko kwestia

czasu. Gdy w końcu wtargnęła do jego świata ciemności, jak anioł światła, by ocalić go od demonów, nie potrafił się oprzeć. W zakrawający na czary sposób sprawiła, że wszystko wróciło do normy.

Zaspokajała go wtedy jeszcze wielokrotnie, aż do kompletnego wyczerpania, a potem ukołysała do snu. Odesłała go do świata ma rzeń sennych cichą kołysanką i gładzeniem po włosach. Jej piękna twarz to było ostatnie, co zobaczył, zanim odpłynął w sen, nasycony i spokojny. Teraz pragnął już tylko wszystko jej oddać. Ożenił się z nią, rzecz jasna. Chciał tego, a poza tym powinien to zrobić; jego zdaniem takie było jedyne uczciwe wyjście z sytuacji.

Zaczynał się nowy rok, w nowym świecie wolnym od wojny, a dla Damiena czas nowego życia. Musiał mieć jednak pewność, że uleczył się z przerażających manii, dręczących go, zanim Miranda weszła do jego pokoju. Musiał być pewny, że po prostu nadaje się do żeniaczki.

Jego rozmyślania przerwał Walsh, z ukłonem wchodząc do biblioteki.

- Pardon, sir. Lord Hubert z synem, panem Crispinem Sherbrooke, chcą się widzieć z panem. Czy jest pan w domu?

Algernon i Crispin? - pomyślał ze zdziwieniem, ale skinął potakująco.

- Zobaczę się z nimi. Zaprowadź ich, proszę, do saloniku. Zaraz tam przyjdę.

- Oczywiście, sir.

Damien odłożył na bok dokumenty Jasona i odstawił zimną kawę. Po chwili wchodził energicznym krokiem do saloniku. Crispin z zapalem potrzęsnał jego ręką, ale sztywny, ponury wicehrabia ograniczył się do chłodnego ukłonu.

- Lordzie Winterley...

- Lordzie Hubert... - odparł Damien, skinąwszy głową. - Siadajcie, panowie -

zapropował, wskazując fotele pośrodku salonu.

Crispin rzucił się na krzesło i siadł okrakiem, jak na koniu. Algernon bardziej ceremonialnie usiadł na kanapie. Damien zajął miejsce w wysokim fotelu z oparciem na głowę, naprzeciw gości. Siedział wygodnie z nogą na nodze i łokciami na poręczach fotela i z wyniosłym spojrzeniem czekał na wyjaśnienie powodu wizyty.

Przyjął ich jedynie przez wzgląd na Mirandę, choć chyba nie zdawali sobie z tego sprawy. Czyżby oczekiwali od niego przyjacielskich uczuć? - zastanawiał się. Z pewnością nie. Gdyby nawet jego podopieczna chciała wybaczyć krewnym ignorowanie jej przez tyle lat, on bynajmniej nie miał tego zamiaru.

- Hm, rozumiem, że wy, wojskowi, nie przepadacie za rozmowami o niczym, przejdę więc od razu do rzeczy - zaczął Algernon, obdarzając Damiena mdłym, sztucznym uśmiechem.

Crispin zachichotał nerwowo, jak smętny cherubinek, Damien zaś uniósł dumnie brwi.

- Mój syn i ja przyszlismy tutaj, ponieważ, widzi pan, Winterley, chcielibyśmy przeprosić pannę FitzHubert za nasze, cóż, nie bójmy się tego słowa, zaniedbanie jej w przeszłości.

- Ach tak, na przykład kiedy pozwoliliście jej gnić w Yardley - Damien odpowiedział na pełen rezerwy uśmiech wicehrabiego podobnym uśmiechem.

Lord Hubert wbił wzrok w podłogę i skinął pokornie głową. Prawdziwy skruszony grzesznik! Jako nieodrodny brat Luciena Knighta, słuchając tej gładkiej przemowy, Damien natychmiast zorientował się, że ktoś tu próbuje go okpić.

- Uhm, tak... Cóż, wie pan, mając w pamięci reputację jej matki, po prostu nie interesowaliśmy się przymiotami tej dziewczyny. Nie chcieliśmy z powodu tej znajomości narazić na szwank reputacji naszych córek. Z pewnością pan to rozumie.

- Hm... - odparł Damien wymijająco. Co za sukinsyny, pomyślał.

- Co zamierzacie państwo uczynić, by naprawić swój błąd?

Z niechęcią przyznał w duchu, że jeśli zechcą urządzić dla Mirandy oficjalne przyjęcie czy bal, będzie musiał się zgodzić.

Algernon zerknął na Crispina, który zarumienił się mocno. Zerwał się na równe nogi i postąpił o krok naprzód.

- Milordzie - zaczął i odchrząknął. Założył ręce w tył, jak uczeń recytujący sonet

Petrarki. - Od chwili, gdy poznałem swoją uroczą kuzynkę, wszystkie inne młode damy zupełnie przestały mnie interesować.

- Rzeczywiście? - rzekł Damien z uprzejmym zdziwieniem.

- Tak, milordzie. Żywię dla panny FitzHubert najwyższy szacunek. Jest równie pełna energii i bystrości, co uroku osobistego. Jesteśmy ze sobą w bardzo dobrych stosunkach.

Wierzę święcie, że mnie lubi. Mówi, że pobudzam ją do śmiechu, i istotnie tak jest. Ona też mnie zresztą zawsze rozbawia... i śmiejemy się razem - wyjąkał, znowu się czerwieniąc. Oczy

Damiena zwęziły się: patrzył na chłopaka miazdzącym wzrokiem. Crispin przerwał i po chwili dodał: - Nie przypomina w niczym żadnej z innych młodych dam.

- Istotnie, nie przypomina.

Chłopak rzucił szybkie spojrzenie na ojca, który skinął zachęcająco. Crispin splatał i rozplatał palce rąk to z przodu, to z tyłu, jakby starając się zebrać odwagę. Damien nie ułatwiał mu sytuacji, nieruchomym wzrokiem wpatrzony w chłopca.

- Mam już błogosławieństwo ojca, by się o nią oświadczyć. Teraz przyszedłem, by uzyskać pańską zgodę, sir, na oświadczenie się o rękę panny FitzHubert.

Damien zacisnął na chwilę wargi, rozwścieczony. Starannie dobierał słowa odpowiedzi, ale w końcu wzruszył ramionami i spojrzął na chłopaka.

- Nie.

Błękitne oczy Crispina rozszerzyły się ze zdumienia.

- Milordzie...?

- Lordzie Winterley? - przyłączył się Algernon z nakazem w głosie.

- Po moim trupie. - Wstał i podszedł powoli do Crispina, łypiąc na niego, jakby to był

krnąbrny rekrut. - Moja podopieczna nigdy nie poślubi słabeusza, który nie jest w stanie podjąć żadnej męskiej decyzji bez pomocy ojca. Jeśli pan nie potrafi nawet się oświadczyć,

nie mając za plecami oparcia w tatusiu, jak mógłbym powierzyć panu los mojej

podopiecznej? Rozśmieszają pan? Zatem jako mąż będzie ją pan rozśmieszał głodem,

rozśmieszał brakiem domu, rozśmieszał tym, że w końcu pójdzie pan do więzienia za długi -

zakończył gwałtownie. Crispina aż zatkało na taki afront.

- Coś podobnego!

Jego ojciec uznał za stosowne wtrącić się z namaszczaniem.

- Lordzie Winterley, jesteśmy szanowaną rodziną. Nie ma powodu nas obrażać.

- To ja czuję się obrażony waszą propozycją - odparował Damien. - Jest po prostu

haniebna po tym, jak potraktowaliście tę dziewczynę.

- Chcemy się poprawić. Czy to niejasne? Miranda jest sierotą, a my jej krewnymi.

Staramy się spełnić wobec niej nasz chrześcijański obowiązek.

- A gdzie się podziewała cała wasza moralność przez ostatnich dziewiętnaście lat? -

spytał Damien ostro, wskazując na Crispina.

- Pański syn to zepsuty fircyk, który chce Mirandy tylko dlatego, że jest w tej chwili ulubienicą...

- To nieprawda! - wykrzyknął chłopiec. - Zależy mi na niej!

- Ależ tak, to prawda. Nie zależy panu, i proszę mi więcej nie przerywać, panie

Sherbrooke! A pan, sir - zwrócił się do ojca - to pan zrobił z niego wiecznego chłopca, spełniając każdą jego zachciankę. Ktoś taki jak on nie popasałby ani dnia w moim pułku. No, może w miesiąc, dwa zrobiłbym z niego człowieka... Ale panu nie uda się kupić swojemu małemu dziedzicowi tej kolejnej błyskotki. Nawet gdyby Miranda pragnęła tego związku, a wiem, że tak nie jest, nigdy nie wyraziłbym swojej zgody po tym, jak niegodnie pańska rodzina ją potraktowała.

Algernon spojrzał mu w oczy, oceniając sytuację.

- Przedstawia pan swój punkt widzenia nader zapalczywie, milordzie. Może wielki Winterley pragnie zachować moją bratanicę dla siebie?

Damien uniósł brodę. - Wyoście się stąd!

- Z przyjemnością - odparł Algernon. - Chodźmy, Crispinie.

Chłopiec posłał Damienowi spojrzenie pełne hamowanego gniewu i wypadł z salonu; ojciec wyszedł za nim statecznym krokiem. Damien był zaskoczony tym, jak silnie drży z gniewu i jak bardzo potrzeba mu teraz kojącego towarzystwa ślicznej podopiecznej.

Przez całą drogę do domu Crispin paplał ze złością o niezdolnej arogancji Winterleya, jego wyniosłości i nieuprzejmych uwagach. Algernon milczał, wściekły; kostki palców zaciśniętych na rączka okazałej laski spacerowej miał zupełnie białe.

- Nie rozumiem! - pieniał się Crispin. - Wykonałem wszystko doskonale. Mówiłem dokładnie tak jak wtedy, kiedy ćwiczyliśmy. Słyszałeś, jak on mnie obraził? Już prawie miałem ochotę go wyzwąć!

- Nie bądź głupi. - Algernon skarcił syna spojrzeniem.

- A co za oburzająca zaborczość w stosunku do Mirandy! Naprawdę sądzisz, ojcze, że może coś być między nimi? To nienaturalne, że tak ją zamyka w domu...

- Od czasu do czasu musi ją jednak wyprowadzać, żeby zabrać na spotkania

towarzyskie - odparł ojciec niewzruszenie, patrząc przez okno powozu na mijane teraz śródmieście.

- Naprawdę myślisz, że on sam stara się o nią?

- Nie musiałby się wcale starać, gdyby chciał ją mieć, głupcze. Jest jej opiekunem.

Może z nią zrobić wszystko, co zechce. Nie, Winterley mógłby i chcieć jej dla siebie, ale on ma przecież obsesję na punkcie honoru. Przez wzgląd na Jasona nigdy jej nie dotknie, bo wie, że się z nią nie ożeni. Małżeństwo z taką kobietą, ubogim bękartem, to byłoby szaleństwo dla mężczyzny z jego sfery.

Crispin westchnął z niesmakiem, kiedy powóz stanął. Obaj wysiedli i weszli po schodach do holu. Crispin ze znużeniem zwrócił się do Algernona.

- I co teraz, ojcze?

- To proste - odparł tamten, wręczając lokajowi laskę i rękawiczki. Dał znak synowi, by milczał, dopóki służący nie wyjdzie, po czym rzekł ściszym głosem: - Poczekaj, aż następny raz zabierze ją na jakieś towarzyskie spotkanie, i po prostu zaaranżuj kompromitującą sytuację z tą dziewczyną. Muszą was zobaczyć! Wówczas Winterley będzie zmuszony zgodzić się na ślub, inaczej Miranda zostanie zhańbiona.

- Chcesz, żebym ją skompromitował... umyślnie? - spytał Crispin, marszcząc arystokratyczny nos.

- Chyba wyraziłem się dość jasno? Crispin milczał długą chwilę, patrząc na ojca.

- Nie mogę tego zrobić, ojcze. Algernon uniósł brodę.

- Co proszę?

- Miranda jest moją przyjaciółką. To słodka, niewinna młoda dama. Byłoby niehonorowo dla nas obu.

Nim skończył zdanie, Algernon odwrócił się i pięścią z całej siły uderzył syna w

twarz. Crispin zatoczył się pod przeciwległą ścianę holu i rozciągnął na podłodze, oszołomiony. Podniósł wypielęgnowane palce do twarzy, dotknął strużki krwi płynącej z ust, po czym spojrzął na ojca w przerażonym zdumieniu.

Algernon zbliżył się i pochylił nad nim.

- Ty niewdzięczny, śmierdzący szczeniaku! Nie waż mi się sprzeciwiać. To przez ciebie znalazłem się w takim położeniu, ale już mam tego powyżej uszu, mój panie! Wiesz doskonale, że Winterley mówił prawdę. Jesteś tylko pasożytem. A teraz zrobisz to, co ci kazałem. Masz ją złapać na osobności, podrzeć suknię, niech sobie krzyczy, jak tam chcesz...

- Ojczy, nie mogę uwierzyć, że każesz mi zrobić coś tak nikczemnego!

- Jeżeli się upierasz, Crispinie, to wybaczone, ale będę zmuszony wyrzucić cię.

- Ależ Winterley mnie zabije, jeśli to zrobię!

- A ja cię zabiję, jeśli tego nie zrobisz. - Gorzkim uśmiechem skwitował przerażony wzrok syna. - Myślisz, że jesteś ode mnie.

Spojrzął na nią nadąsany, ale kieliszek przyjął i stuknął nim o je kielich.

- Co robisz w tym publicznym miejscu? - spytał.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Winterley zamyka cię przecież, jakbyś była jego prywatnym skarbem. Czemu nie dzieli się tobą z resztą świata? - kpił. - Co robicie tam we dwoje, zamknięci w domu, dzień po dniu?

- Chciałbyś wiedzieć? - rzekła przeciągle, rzucając mu filuterny, prowokujący uśmiech.

- A co, czyżbyś była w nim zakochana? - wykrzyknął z oburzeniem.

- W moim opiece? Na Boga, nie... Crispinie, obiecaj, że nie będziesz się dąsał.

- Dąsam się - odparował. - I do licha, wiesz dobrze, dlaczego. Moglibyśmy pomówić o

tym na osobności? To dość kłopotliwe, kiedy każdy może podsłuchać, że moja śliczna kuzynka dała mi kosza.

Trzepnęła go po ramieniu złożonym wachlarzem.

- Nie wygłupiaj się, nie dałam ci żadnego kosza. To nie ja, tylko mój opiekun. Ja uważam, że to było urocze z twojej strony.

- On tak nie uważa.

- Wiem - rzekła, ujmując go pod ramię i przechadzając się po tym samym holu, w którym siedzieli z Damienem podczas poprzedniego balu. - Ale dobrze już, dobrze. Mój drogi, zastanów się tylko! Nie pasowalibyśmy do siebie. - Spróbowała go rozchmurzyć. - Komenderowałam tobą tak długo, aż w końcu wylądowałbyś w ramionach jakiejś kochanki i wszystko skończyłoby się ogólną, bardzo przykrą awanturą. A tak... zawsze możemy pozostać przyjaciółmi.

- Aha, przyjaciółmi! W tym wypadku uważam, że Knight miał rację. Nawet gdyby wolno mi było prosić cię o rękę, odmówiłabyś mi.

- Niekoniecznie - pocieszała go, starając się osłabić cios. Na Boga, naprawdę wyglądał na strapionego. Naturalnie był bardzo zepsuty i rozpieszczony, przyzwyczajony do tego, że wszystko mu wolno. - To zależy...

- Od czego? - spytał, otwierając boczne drzwi i wprowadzając ją do słabo oświetlonego saloniku.

Miranda oparła się o drzwi.

- Od tego, jak ładnie byś mnie o to prosił. Może na przykład... powiedziałbyś parę komplementów o moich oczach? Albo unosił się poetycznie nad pięknem mych różanych policzków?

- Jakże inaczej? A także nad styksowym przepychem twoich włosów, twoim

alabastrowym czołem, pięknym noskiem, królewskim podbródkiem i tak dalej, aż do twoich cudownych kostek nóg...

- Nigdy nie widziałeś moich kostek, kuzynku - przerwała, beztrąsko kolebiąc winem w kieliszku.

- Mogę je sobie wyobrazić - rzeki z półuśmiechem.

- Nie możesz - odparła stanowczo.

- Ach, Mirando, ty głuptasku! - Postawił kieliszek na niskim stoliku obok kanapy i z kciukami w kieszonkach kamizelki patrzył na nią, wstrząsając głową. - Wystarczy, że pomyślę o tobie, a już mi weselej.

Długą chwilę wytrzymywała to spojrzenie, obserwując go uważnie. W głębi jego niebieskich oczu czaiło się coś dziwnego.

- Coś nie tak? Byłeś ze mną szczery? Masz jakieś zmartwienie, prawda?

- Nie, to nie to. - Podszedł i ujął jej rękę w swoje, pociągając w głąb pokoju.

- Więc co takiego, mój drogi chłopcze?

- Nie jestem chłopcem - mruknął. - Crispinie...

Jedną ręką pchnął drzwi, a drugą objął ją w talii. - Pocałuj mnie, Mirando. Tylko jeden raz... daj mi spróbować smaku twoich warg.

- Nie bądź idiotą!

- Od dawna marzę o ich słodyczy.

- Na litość boską, Crispinie! Jeżeli odniosłeś mylne wrażenie, to przepraszam...

- Pragnę cię, Mirando.

- Przestań! Crispinie, zaczynam się ciebie bać.

- To dobrze - szepnął, chwytając rąbek jej sukni, jakby chcąc ją z niej zedrzeć. - Może nareszcie zaczniesz traktować mnie poważnie.

- Crispinie! - Z gwałtownie bijącym sercem ścisnęła kurczowo materiał, by uchronić suknię przed rozdarciem; wiedziała doskonale, że taka kompromitacja byłaby jej klęską życiową. Krucha reputacja Mirandy nigdy nie wytrzymałaby czegoś podobnego. Z powodu niemoralnej przeszłości matki całe wyższe towarzystwo obserwowało dziewczynę, czatując na pierwszy skandalik z jej strony. Starając się za wszelką cenę nie splamić honoru rodziny Knightów, silnie przytrzymała atłasową spódnicę, drugą ręką odpychając rozamorowanego kuzynka.

Tymczasem on rwał się ku niej, próbując pocałować.

- Będiesz moja, słodka dziewczuszko - dyszał.

- Dość już tych nieprzyzwoitości! - Wydarła się i z rozmachem uderzyła go w twarz.

- To nie było rozsądne - syknął przez zęby. Ścisnął ją w pasie, wykręcił jej rękę do tyłu i przytrzymał za nadgarstek. Gwałtownie wpił się ustami w jej usta, raniąc wargi zębami w pośpiesznym pocałunku - właśnie w chwili, kiedy drzwi pokoju rozwarły się na oścież.

W następnej chwili Damien był już między nimi i trzymał Crispina za kołnierz.

Chłopak wywijał się, wściekły. Mirandzie zabrakło tchu, gdy zobaczyła, że Damien trzyma pięść Crispina w żelaznym uścisku ręki w białej rękawiczce, ze wzrokiem nie wróżącym nic dobrego.

- Damien, nie! - krzyknęła, przekonana, że opiekun zabije chłopaka na miejscu.

Spojrzał na nią złowrogo, sprawdził, że jest tylko trochę potargana, ale niezraniona, po czym zwrócił się do kuzynka.

- Ty zepsuty gnojku! - Powalił Crispina na podłogę, podbijając mu kolana wprawnym

kopnięciem. Wyjął pogrzebacz ze stojaka i przytknął Crispinowi ostry koniec do gardła jak

szpadę. - To ostatnie ostrzeżenie, szczeniaku. Podejdz do niej jeszcze raz, a zginiesz. -

Następnie skupił spojrzenie na Mirandzie, chyba pierwszy raz od kilku dni. - Chodźmy stąd -

rzekł z napięciem.

Wstrzymała oddech; serce trzepotało jej jak ptak. Czym prędzej skinęła głową, gotowa pójść za nim na koniec świata.

Algernon zorientował się, że coś poszło nie tak. Czuł to w kościach, jeszcze zanim Crispin pojawił się wreszcie w domu po wielu godzinach, pijany i bezczelny, ze zwisającym z szyi rozwiązanym halsztukiem.

- Gdzie, u diabła, byłeś? - spytał gniewnie.

- W moim klubie.

- Nie udało ci się...

- Nienawidzę cię za to, że kazałeś mi to zrobić - zawołał Crispin. - A siebie

nienawidzę za to, że się zgodziłem. Daj spokój, ojcze. Oni są w sobie zakochani, oboje!

- Co takiego? - spytał Algernon szorstko, z drażniącym bólem zdrady w sercu; ciągle miał świeżo w pamięci chwilę, gdy piękna matka Mirandy wybrała jego brata zamiast niego.

A teraz z kolei jej córka zamiast jego syna wybiera Winterleya... W jego sercu zbudziły się wściekłość i oburzenie, takie, jakie czuł wtedy przed laty.

- Na miłość boską - mówił Crispin - zapomnij że o tych pieniądzach. Zostaw ich oboje w spokoju.

Algernon potrząsnął głową z niesmakiem na ten objaw pijackiego sentymentalizmu syna i oddalił się w drugi koniec gabinetu.

- Za każdym razem, kiedy myślę, że osiągnąłeś dno, ty staczasz się jeszcze niżej.

- Ale przynajmniej nigdy nie zniżyłem się do bratobójstwa - odparł Crispin cicho.

Algernon odwrócił się gwałtownie, jakby chciał wymierzyć do syna z pistoletu, porzucił jednak ten zamiar.

- Co się wydarzyło? Skąd wiesz, że się kochają?

- Po prostu wiem. Znam Mirandę. Byłem z nią sam na sam, kiedy wlaź Winterley i pewnie zbiłby mnie do nieprzytomności, gdyby ona go nie powstrzymała. Słucha jej, jak

tylko mężczyzna może słuchać kobiety, którą uwielbia.

- Ach, tak... - mruknął ojciec, pocierając brodę. - A potem? Co się stało?

- Wyszli z przyjęcia.

- Sami?

- Chyba tak... Trudno mi było to sprawdzić, bo leżałem powalony na podłodze - mruknął syn sarkastycznie, nalewając sobie kieliszek.

W tym momencie przez frontowe drzwi wpadł Egann i pośpieszył do gabinetu. -

Jaśnie panie! Jaśnie panie!

- Co się stało? - Algernon szybko zatrzęsnał drzwi za służącym. Egann skłonił się; pośpiech odbierał mu głos.

- Siedziałem w powozie i patrzyłem, co się dzieje w Knight House, tak jak jaśnie pan kazał... i wtedy zobaczyłem lorda Winterleya i pannę FitzHubert, jak wracają z balu... a potem oni wyszli znowu i od razu wsiedli do sań.

- Pojechałeś za nimi? Przytaknął gorliwie.

- Jechałem do granicy miasta. Pojechali w kierunku Bath Road.

W głowie Algernona panował zamęt. Na Boga, może Crispin miał rację? Czyżby to była ucieczka zakochanych? Wiedział, że wiejska posiadłość Winterleya leży na zachodzie, w Berkshire, bodajże niedaleko zamku Windsor. W listopadzie, kiedy parlament obdarował Knighta hrabiowskim tytułem i majątkiem ziemskim, pisali o tym we wszystkich gazetach. Jeśli się pobiorą, majątek Mirandy przejdzie prawnie na własność Winterleya...

- Muszę ich zatrzymać - rzekł głośno, właściwie do siebie.

- Ojczy... - jęknął błagalnie Crispin.

- Cicho bądź! - ryknął Algernon. Odwrócił się i przemierzał pokój, układając w głowie plan ostatecznego rozwiązania. Jego czterech zbirów zawiodło; Egann zawiódł; Crispin także.

Najwidoczniej nadszedł czas, żeby on wziął sprawy w swoje ręce. Nie miał oczywiście złudzeń, że mógłby walczyć jak mężczyzna z mężczyzną z takim przeciwnikiem jak Winterley, ale domyślał się, że resztki gangu Drapieżników chętnie skorzystają z okazji, by zemścić się na człowieku, który zaszlachtował ich czterech kompanów w Birmingham. Na ustach Algernona zagościł okrutny uśmiech. Wiedział, gdzie szukać tych szumowin. Tak, niech Drapieżniki rozprawią się z Winterleyem, ale swoją ponętą małą bratanicą już on zajmie się osobiście. Nacieszy się wdziękami Mirandy, których jej matka kiedyś tak okrutnie mu odmówiła. A kiedy już będzie po wszystkim, poderżnie jej śliczną szyjkę nożem.

Odsunął z drogi Crispina i wyszedł do holu. Narzucił płaszcz i wypadł na dwór w czarną, mroźną noc.

Tej nocy, rozjaśnionej pełnią księżyca rzucającego biały blask na leżący grubą warstwą śnieg ich ucieczka nabierała jakichś czarodziejskich właściwości. Szybkie, lekkie sanie ciągnięte przez galopujące konie niemal unosiły się w powietrzu, sunąc bezszelestnie po białej drodze, która biegła przed nimi pomiędzy rozległymi, ośnieżonymi wzgórzami i szumiącymi lasami. Miranda siedziała obok Damiena na miejscu woźnicy; ich kolana ogrzewała jedna derka. Milczeli oboje. Nie musieli nic mówić. Wiedzieli.

Damien powoził, na pół stojąc; gruby płaszcz powiewał mu za plecami. Popędzał ostro konie, tak że mieli wkrótce za sobą wiele kilometrów Bath Road. Wiatr szczypał go w policzki. Był w dziwnym nastroju: szalona radość natchniona całą potęgą woli łączyła się z pragnieniem, żeby już na zawsze zostać z nią razem. W momencie, gdy ujrzał, że Crispin Sherbrooke usiłuje całować Mirandę, pojął, że jest niezłomnie przekonany - i nagle całe wahanie poprzednich kilku dni rozsypało się w drobny mak. Miranda nie będzie przecież czekać bez końca na jego pierwszy gest, ba, nawet nie powinna, po wszystkim, co dla niego

zrobiła! Z niewzruszonym uporem wyciągała do niego rękę, wracała, by dać mu kolejną szansę, mimo że za każdym razem odpychał ją od siebie. Swoją cierpliwością obłaskawiła go jak dzikiego konia.

Spoglądał na nią teraz od czasu do czasu, sprawdzał, czy nie marznie, choć była otulona płaszczem i szalem; kilka pasm włosów wysunęło się spod ciepłego aksamitnego czepeczka i powiewało za nią na wietrze. Ręce jej ogrzewała ogromna futrzana mufka, prezent gwiazdkowy od lorda Aleca. Miranda napotkała wzrok Damiena i odpowiedziała słabym uśmiechem. Wie wszystko, pomyślał także z uśmiechem i odwrócił spojrzenie; jej bliskość sprawiała, że całe ciało przenikał mu dreszcz podniecenia.

Nie zapomniał o grożącym jej niebezpieczeństwie: jak zły sen wracało do niego wspomnienie owego „nieszczęśliwego wypadku”, kiedy omal jej nie przejechano. Był dobrze uzbrojony, po prostu dla bezpieczeństwa, nie czuł jednak niepokoju: wymknęli się pod osłoną ciemności i nie mówili nikomu, że wyjeżdżają ani dokąd jadą.

Dzięki Bogu Miranda nie była typem kobiety, która wszędzie, gdzie się znajdzie, potrzebuje tłumu służących, pomyślał Damien. Chciał teraz być z nią zupełnie sam; pragnął wyznać swoje uczucia.

Noc była jasna i niezbyt mroźna. Nie napotykali powozów, które mogłyby opóźnić ich jazdę; księżyc w pełni jasno oświetlał drogę. Dzięki temu wystarczyły im cztery godziny na pokonanie sześćdziesięciu paru kilometrów z Londynu, przez ruchliwe miasto Maidenhead, aż do wsi Littlewick Green. Tam Damien skręcił na północ; przejechali jeszcze cztery kilometry, nim w końcu dotarli do zasypanego śniegiem podjazdu przed Bayley House. Damien ściągnął wodze, tak że konie szły truchtem, gdy dojeżdżali do wielkiego, walącego się domu. Westchnął, zatrzymując sanie. Gmach rysujący się w ciemnościach wyglądał ciągle jak mauzoleum.

Okręcił lejce wokół uchwytu i odwrócił się do Mirandy. Wpatrywała się w jego dom.

Wskazał go ręką.

- Stąd może tego nie widać, ale dom jest dość zapuszczony, a wnętrza w żalonym stanie. Czy teraz, kiedy cię o tym uprzedziłem, masz jeszcze ochotę wejść do środka?

Spojrzała na niego wielkimi, przepelnionymi uczuciem oczyma.

- Damienie, nie wytrzymam ani sekundy dłużej w takiej niepewności. Nie ruszę się z kozła, zanim nie powiesz, czemu mnie tu przywiozłeś.

Zaśmiał się cicho, zaskoczony jej błagalnym tonem.

- Może zdejmiesz czepeczek? Chciałbym zobaczyć twoją twarz w świetle księżyca.

Wydobyła z mufki dłonie w rękawiczkach, ale palce drżały jej ze zdenerwowania. Nie mogła dać sobie rady ze wstążkami. Uśmiechnął się i pomógł jej. Zdjęła kapelusz, którego rondo dotąd przesłaniało jej twarz. On także zdjął cylinder i rzucił go na siedzenie w tyle sań, wypełnione koszami zjedzeniem, które w pośpiechu zabrał ze spiżarni w Knight House.

Chytrze sięgnął ręką do najbliższego kosza i wydobyl szkarłatną różę, którą zwędził z wazonu z kwiatami w głównym holu.

Przesunął płatkami kwiatu po jej policzku, po czym wręczył różę Mirandzie, wpatrzony w jej płonące jak gwiazdy oczy. Jej cera w świetle księżyca była alabastrowo biała, a sobolowe włosy ginęły w cieniu. Grzebyki z masy perłowej migotały pośród gęstej, ciemnej masy loków, odbijając promienie księżyca. Miranda przełknęła ślinę; patrzyła na niego poważnie. Pozwolił sobie na słaby uśmiech i zastanowił się, czy ta dziewczyna ma w ogóle pojęcie, jak uroczo wygląda nawet wtedy, gdy o tym nie myśli.

- A więc? - ponagliła go.

- Jaka niecierpliwa! - zażartował, przesuwając czubkami palców po jej ramieniu.

- Byłam wyjątkowo cierpliwa! W każdym razie jak na mnie.

- To prawda. - Dłonią w skórzanej rękawicy objął jej policzek. - Dziękuję ci za to.

- Proszę... - pisnęła z oczami zamglonymi łzami. - Po prostu powiedz to... tak, czy inaczej, Damienie. Proszę, powiedz mi po prostu...

- Kocham cię - wyszeptał. - Kocham cię, Mirando.

Załkała i rzuciła się ku niemu, ale położył palec na jej wargach, prosząc, by dała mu dokończyć.

- Dlatego właśnie zdecydowałem się oddalić wszystkich twoich konkurentów, takich jak Ollie, Nigel, Crispin czy nawet Griff.

Postanowiłem zatrzymać cię dla siebie. Przepraszam, jeśli to nie po twojej myśli, ale wiedz, że nie mogę żyć bez ciebie. Głuptasku, czemu płaczesz?

Nie mogła wymówić słowa. Łzy lały się strumieniami po policzkach, jak płynne diamenty w księżycowym blasku; patrzyła na niego, jakby miała umrzeć z miłości; w jej twarzy było tyle żarliwości, tyle piękna, że i w jego oczach ukazały się łzy. Czuł, jakby cały lód z serca nagle rozpuścił się i wypłynął mu przez oczy.

- Pokochałem cię od chwili, kiedy weszłaś do gabinetu pana Reeda w swoich białych rękawiczkach i z warkoczykami uczennicy, z podbródkiem wysoko uniesionym, gotowa na podbój świata - szeptał. - Kochałem cię już, kiedy oszukałaś tych bezmyślnych chłopaków i próbowałaś uciec ode mnie, właśnie ode mnie!

- Przepraszam cię za to - wykrztusiła z drżącym, skruszonym uśmiechem przez łzy.

- Nie trzeba, moja ty szkarłatna różyczko. Nie mogłabyś nigdy zrobić czegoś, za co musiałabyś przeproszać, a nawet jeżeli, wybaczyłbym ci, zanim byś zdążyła.

- Zrobiłbyś to? - szepnęła.

- Tak. Kochałem cię, patrząc, jak jeździsz na tym tłustym, śmiesznym kucyku, jak starasz się robić wszystko jak najlepiej, byle tylko sprawić mi przyjemność. Kochałem, kiedy

udawałaś, że zwicznęłaś kostkę, by ocalić moją dumę... a teraz pragnę cię kochać do końca życia, jeśli tylko mnie zechcesz. Mirando, czy zostaniesz moją żoną?

Zeskoczyła z kozła, rzucając mu się w ramiona z płaczem i wyszłochała:

- Tak! Tak!

Pokryła jego twarz żarliwymi pocałunkami i łzami radości, aż zamknął jej usta pocałunkiem.

Czuł, jak drży w jego ramionach, kiedy uległa mu, przyjmując jego język w swe słodkie usta. Czubkami palców musnęła jego policzek i odchyliła się do tyłu; w jej oczach wyczytał pożądanie.

- Damienie, kochaj się ze mną. Dreszcz namiętności przebiegł mu ciało.

- Wejźmy do środka.

Skinęła głową.

Zamknął oczy i objął ją za szyję, całując jeszcze raz, powoli, jakby coś obiecując, po czym puścił ją i lekko zeskoczył z sań. Pomógł jej zejść, odczepił jedną z latarni i wręczył Mirandzie.

Czym prędzej zaprowadził konie do stajni, ciągnąc za sobą sanie. Tam wyprzągnął całą czwórkę, dał im wody i siana i zostawił w stajni na noc. Następnie wyjął z tylnego siedzenia sań kosze zjedzeniem i worki z zapasowymi ubraniami dla nich obojga. Przyszła hrabina bez słowa skargi pomagała nosić bagaże przez podwórko do zaśnieżonego głównego wejścia i dalej, do wnętrza pustego Bayley House.

Ogromne pomieszczenia były ciemne jak noc, wyziębione i ciche jak grób. Damien wziął latarnię i poprowadził Mirandę do salonu, gdzie przy kominku miał rozłożony swój „obóz”. Wszystko leżało tak, jak to pozostawił w dniu, gdy przybył Lucien z wiadomością o śmierci Jasona. Nawet stara siekiera do rąbania drewna stała oparta o ścianę. Złożyli

wszystkie przywiezione rzeczy. Damien otrzepał ręce z kurzu.

- Potrafisz świetnie urządzić wnętrze - zauważyła Miranda, oglądając pajęczyny i gniazda jaskółcze na ścianach.

Roześmiał się.

- Chodź, potrzywasz mi lampę, a ja przyniosę dREW na ogień. Usłuchała i wyszła za nim z powrotem na dwór.

- Czy twoi dzierżawcy płacą wiązkami drewna? - spytała, widząc, jak Damien ściąga nieprzemakalną plandekę z gigantycznej góry narąbanych dREW i wybiera kilka polan.

- Porąbałem to sam.

- Ach, oczywiście - odpowiedziała żartobliwie, ale wyglądała na zdziwioną.

Parsknął śmiechem.

Wkrótce na palenisku w salonie huczał ogień, rzucając czerwony krąg krzepiącego światła na obóz. Damien odsunął kilka luźnych desek z podłogi i odsłonił dobrze ukrytą piwniczkę, gdzie przechowywał kosztowny koniak na specjalne okazje i trochę innych prowiantów. Miranda zajrzała tam, zaciekawiona, po czym wydobyla naczynia wojskowe i nalala trochę koniaku do manierki dla nich obojga. Klęcząc przed ogniem, Damien układał polana na palenisku i poprawa! je pogrzebaczem. Podeszła i stanęła nad nim z manierką.

Wypił trochę, po czym uniósł głowę, kiedy miłośnie przeczesywała mu włosy palcami: to dotknięcie było wezwaniem. Ucałował przegub jej dłoni. Płonęło w nim pożądanie.

Uważnym spojrzeniem ogarnął jej twarz.

- Czy jesteś pewna, kochanie? - wyszeptał ochryple. - Mogę zaczekać do nocy

poślubnej, jeśli ty... - Głos mu zamarł, Miranda bowiem cofnęła się i leniwie wyciągnęła na jego śpiworze, zrzucając bladozłotą suknię balową, której nie zdjęła od czasu przyjęcia u lady

Holland.

Twierdził, że może poczekać? Kogo chciał oszukać?

Patrzył na nią z pełną szacunku czcią; miał sucho w ustach. Płonący ogień rzucał refleksy, podkreślające jej delikatne rysy, ale poważny wyraz twarzy Mirandy, inteligencja i napięcie w oczach, pełnych zaufania i lojalności - wyraźnie dowodziły miłości do niego.

Wiedział, że ona nigdy nie pozwoli mu znaleźć się na dnie. Ta uparta młoda kobieta stała się dla niego namiastką rodzinnego domu. Rozumiała go bez słów i była mu bliższa, niż tego oczekiwałby nawet od towarzyszk życia.

Rozpuściła długie, bogate sploty ciemnoczekoladowych włosów i rozebrała się dla niego przy świetle ogniska, cała złożona z miękkości i okrągłości, jaśniejąca białym ciałem bogini z rozkosznymi różowymi sutkami i zachwytem w szmaragdowych oczach. Pozwoliła mu napatrzeć się na siebie do syta, po czym wsunęła się między koce i wyciągnęła długie nogi, czekając na niego. Wpatrywał się w nią oniemiały, nieruchomy i milczący. Wyciągnęła ku niemu rękę w oczekiwaniu.

Wstał i podszedł do niej powoli, jak we śnie.

Odrzuciła głowę do tyłu z pełnym oddaniem.

- Czy zawsze będziesz mnie kochał, Damienie? - wyszeptała zmysłowo.

- Tak - obiecał. - Zawsze. - Nigdy nie odejdziesz do innej?

- Jestem twój... całkowicie. - Trzymając jej rękę, ukląkł obok pościania i przygarnął ją do siebie, całując rozkoszną głębię ust, a ona wprawnymi palcami sięgnęła do guzików jego kamizelki i koszuli, rozpinając je i rozbierając go. Potem gładziła rękami jego skórę, pieściła ramiona i barki. Ciągle ją całował, pozwalając, by długie, gęste 'włosy przesypywały mu się przez palce. W końcu legł razem z nią na pościaniu.

Wziął różę, którą jej wcześniej podarował, i płatkami delikatnie laskotał jej skórę, tak że drżała z pożądania. Pochylił się nad nią, ssąc pierś, a potem pieszcząc jej kobiecość, aż

była gotowa. Dłoni muskała jego napięty członek, tak że cicho jęknął. Jej dotknięcie stało się bardziej natarczywe, a pocałunki jeszcze bardziej zgłodniałe. Skóra jej płonęła od gorąca namiętności, kiedy położył się na niej, czując, jak nogami oplata jego biodra. Był bez tchu, serce waliło mu w piersi.

- Ukochana - wyszeptał, drżąc z nieprzytomnej radości, kiedy odnalazł drogę do jedwabistej granicy. Nigdy przedtem nie zdarzyło mu się pozbawiać kobiety dziewictwa i bardzo starał się być delikatny.

Oplotła go ramionami i odrzuciła głowę, wyginając szyję w łuk.

Czarne aksamitne rzęsy na wpół przesłaniały szklane oczy, kiedy ją całował. Czuł, jak jej piersi ocierają się o jego nagi tors. Tulił ją czulej niż którąkolwiek kobietę w swoim życiu. Przebiegł po jej policzku najpierw palcami, a potem ustami.

- Och, Damienie - jęknęła. - O, mój jedyny, spraw, żebym była twoja... na zawsze.

Posłusznie przymknął oczy i wziął ją, pocałunkiem zamykając jej usta, kiedy krzyknęła z bólu.

- Ciii... - szeptał. - Ciii... - Kciukiem otarł kilka łez spływających jej z kącików oczu.

Pieścił ją, szepcząc słowa miłości, których nigdy przedtem nie odważał się użyć, czekając, aż jej pyszne ciało go przyjmie.

- Och, to boli - wyznała po chwili, z obawą otwierając oczy i szukając jego wzroku.

Wyglądała teraz bardzo młodziutko... i tak przecież było.

Ucałował jej nosek i uśmiechnął się krzepiąco.

- To prawda, moja piękna... ale teraz postaram się, żeby było już lepiej.

Jej oczy ponownie zabłysły pożądaniem, kiedy sunął ręką w dół po jej boku i pomiędzy ich ciałami. Jęk zmienił się teraz w pomruk rozkoszy, a faliste ruchy ciała były wyraźnym zaproszeniem. Uniósł się nad nią i poruszał w niej powoli i czule; wyginała się pod

nim, drżąc z pożądania, pieszcząc napinające się mięśnie jego torsu i brzucha, wpatrując mu się gorącym spojrzeniem w oczy.

Tańczące płomienie ogniska rzucały cień ich splecionych w miłosnym uścisku ciał na gołe ściany i sufit tego niegdyś wytwornego salonu. Gdy Damien poczuł, że zaczyna tracić kontrolę nad sobą, ujrzał nagle wyobrażenie przyszłości. Ten dom ponownie ożyje, myślał; jego ognista żona, Miranda, wniesie tu nowe życie, śmiech, muzykę i ciepło; wszystkie bogactwa, które mu ofiarowała. W tym momencie myśli rozplynęły się w nicość, a gwałtowny prąd uczucia unosił się z głębi serca jak wezbrana rzeka. Przycisnął Mirandę do siebie, całując bez opamiętania, chłonąc jej słodkie okrzyki rozkoszy, kiedy jego nasienie spłynęło do wnętrza jej ciała, nieodwołalnie czyniąc ją częścią jego samego. Potem osunął się na nią i tak pozostał, pieszcząc jej policzek i włosy, ona zaś tuliła go do siebie. W tajemnym milczeniu wpatrywali się w siebie, przytłoczeni ciężarem wzajemnego uczucia. Wreszcie zasnęli, ciągle spleceni w uścisku.

Algernon wraz z piętnastoma członkami klanu Drapieżników podjechał pod Bayley House, kiedy na horyzoncie pojawiła się wschodząca czerwona tarcza słońca.

- Otoczyć dom i znaleźć ich. Pamiętajcie - ostrzegł - niech żaden nie śmie tknąć dziewczyny. Jest moja.

Smagły herszt bandy kiwnął głową i zeskoczył z konia, dając znak pozostałym, by zrobili to samo.

Jeden z nich został z tyłu, podczas gdy reszta pognała, przekradając się chyłkiem pod ścianami domu. Algernon zsiadł z konia i stanowczym gestem kazał pozostałemu z tyłu mężczyźnie ruszyć za kompanami. Powoli skradając się po schodach do wejścia, wyciągnął pistolet, po czym odsunął się w bok i spróbował otworzyć drzwi.

Zamknięte.

Skinął na stojącego obok zawodowego włamywacza. Członek gangu wyjął z fantazyjnego kapelusza cienką metalową szpilkę, uklął i sforsował zamek ze zręcznością i precyzją szwajcarskiego zegarmistrza. Niespełna minutę później bezszelestnie przekręcił gałkę drzwi; wydobyl nóż i wkradł się do domu.

Postępując za nim w głąb pogrążonego w ciszy ogromnego domostwa, Algernon rzucił okiem na zasnuty pajęczynami hol wejściowy o pustych, obłazących z farby ścianach. Poczul unoszący się w powietrzu zapach tłęcego się ognia. Dochodził gdzieś z piętra. Skinął na współnika, po czym zaczęli skradać się w kierunku klatki schodowej.

Damien zbudził się nagle, choć nie wiedział, dlaczego. Nie dręczył go żaden koszmarne sen; chyba też nic podejrzanego nie słyszał, ale odezwała się czujność, która wszystkie jego wyostrzone w bitwach zmysły postawiła w stan alarmu. Miranda spała spokojnie obok. Był zadowolony, że oboje ubrali się, zanim na dobre ułożyli się do snu, bo w obszernym salonie było teraz zimno. W palenisku dogasały ostatnie żarzące się węgielki.

Duże, łukowo sklepione okno wypełniał już blask wschodzącego nad wzgórzami słońca.

Dobrze...

Usłyszał coś, jakby niewyraźne skrzypnięcie. Leżał cicho, wsłuchując się wyczulonymi zmysłami. Może to był po prostu jeden z tych dźwięków charakterystycznych dla starych domów... By się upewnić, wyśliznął się z miłosnego gniazdka i wstał.

Starał się nie przeszkadzać Mirandzie w wypoczynku, zostawił ją więc samą. Jej piękność chwyciła go za serce, ale nie zatrzymał się i cicho podszedł do okna.

Widok kilkunastu koni bez jeźdźców na trawniku przed domem zaparł mu dech.

Szybko odwrócił głowę, akurat na czas, by zobaczyć, jak dwóch mężczyzn przemknęło pod jego oknem ha tyły domu.

Kto to, u diabła? - zadawał sobie pytanie.

Sekundę później ściągał już zaspaną Mirandę z posłania.

- Są tutaj. Nie piśnij ani słówka - szeptał, niemal niosąc ją pod ścianę obok głównego wejścia do salonu. Rzucił się z powrotem do swojego „obozowiska” przy ogniu i chwycił broń: pistolety, szpadę i sztylet, po czym wrócił do niej i przycisnął ją plecami do ściany.

Patrzyła na niego, oszołomiona, ciągle jeszcze rozespana.

- Kto przyszedł?

- Ktoś po ciebie. Gwarantuję, że za chwilę będziemy wiedzieli, kto to taki. Ciii...

Bezszelestnie wydobyl nóż z pochwy, podczas gdy Miranda, przerażona, kucnęła obok niego, zasłaniając usta rękami. Słyszał kroki mężczyzn na dole w korytarzu. Nie było teraz czasu na zastanawianie się, w jaki sposób ten nieznany wróg dowiedział się, że wyjechali z Knight House i przybyli tutaj. Kroki intruzów słyhać było coraz bliżej. Skradali się do tego pokoju.

Przekrzywił głowę, próbując rozpoznać liczbę, wagę i wzrost tych mężczyzn po ich krokach, oceniając rozmiary, zanim zdoła rzucić na nich okiem. Obliczył, że jest ich dwóch. Wiedział, że musi zabić ich bezszelestnie, bo inaczej napadnie na niego cała reszta. Czekał, wstrzymując oddech; w mózgu dudniła mu żądza krwi. Jak śmieli się wedrzeć do jego domu? Musiał strzec Mirandy. Czuł, że wrogowie podchodzą coraz bliżej i bliżej. Zacisnął palce na rękojeści noża, czując tykanie sekund w mózgu.

Cztery... trzy... dwie... jedna.

Teraz.

Wypadł z ukrycia w chwili, kiedy - wchodzili do salonu, i wywinął nożem, przecinając gardło jednemu i niemal natychmiast wbijając nóż w brzuch drugiemu miękkim, tanecznym ruchem. Ten drugi zdołał nacisnąć spust pistoletu, zanim Damien spadł na niego i

wykończył, ale kula chybiła, wbijając się w sufit. Na Damiena i Mirandę zleciał kawał tynku.

Damien zdążył oberwać rękaw zabitemu aż do przedramienia. Zgadzało się: był tam wytatuowany drapieżny ptak ze sztyletem w szponach.

Drapieżniki!

Do cholery, czego, u diabła, chcą teraz od niego? Z pewnością niczego przyjemnego.

Obejrzał się i chwycił Mirandę za rękę, ciągnąc przez salon do miejsca, gdzie przedtem powymował deski z podłogi.

- Zejdź na dół! - Wcisnął jej do ręki jeden z pistoletów i pchnął w dół, do schowka pod podłogą. Mimo że była wysoka, zdołała się tam zmieścić. - Nieważne, co się będzie działo, musisz zostać na dole. Gdyby ktoś cię zobaczył, zastrzel go.

- Damien...

- Cicho. Kocham cię - szepnął, ułożył wyjęte deski na miejscu i narzucił na wierzch koce, pod którymi spali, by lepiej zamaskować kryjówkę. Wydobył szpadę i rzucił się na spotkanie ludzi, którzy, usłyszawszy strzał, tłumnie walili teraz do salonu ze wszystkich stron. W następnej chwili był osaczony przez tuzin mężczyzn, którzy wpadli do pokoju.

Jedni wbiegli przez główne wejście, inni przez podwójne białe drzwi wiodące do przyległego pokoju muzycznego. Rzucili się na niego. Z sufitu opadło więcej tynku, szyba wyleciała z okna, w salonie świstały kule. Jakimś cudem nie zraniły jednak Damiena.

Ponieważ dotychczas oszczędzał pistolet, kiedy tamci wystrzelili już wszystkie naboje, chłodno, spokojnie wymierzył w pierwszego zbira, który zaatakował go szpadą. Nacisnął spust i strzałem między oczy położył go trupem. Pozostali wściekle ryknęli i opadli Damiena.

Walczył na szpady z dwoma naraz, trzeciemu poderżnął gardło sztyletem, innego kopnął tak silnie, że odleciał w tył, dzięki czemu nie został nadziany na ostrze szpady. Inny skoczył na Damiena z tyłu, ale ten przerzucił go przez ramię i zatopił szpadę w sercu.

Walcząc o życie z całym gangiem, Damien dostrzegł ruch w pobliżu drzwi: do pokoju wkroczył Algernon, lord Hubert.

Na jego widok Damiena krew zalała z wściekłości.

A więc to on stał za tym wszystkim?

- Hubert! - ryknął.

Algernon posłał mu złośliwy uśmiech wąskich ust, ale Damien nie był w stanie go dosięgnąć, walcząc cały czas z Drapieżnikami.

- Cóż za niespodzianka, Winterley! Ty, wzór rycerskości, deprawujesz tu moją bratanicę!

- Idź do diabła! - parsknął Damien, nadal walcząc o życie. - Cóż, myślę, że nie można cię za to winić... Jej matka była w końcu dziwką, a jabłko niedaleko pada od jabłoni. Kim innym mogłaby być córka Fanny Blair, jeśli nie rozpustną ladacznicą, tak jak jej mamusia?

Damien ryknął i odciągnął napastników w tył pozorowanym atakiem, po czym sam cofnął się o krok czy dwa. Ostrza szpad szczękały zawzięcie. Strugi potu spływały mu po twarzy.

Wicehrabia zachichotał i zaczął leniwie spacerować wokół wielkiego salonu, wsunął też głowę do namiotu Damiena. Dał znak smagłemu bandycie, żeby sprawdził wystygły kominek w drugim końcu sali. Sam podszedł do jedyne mebla w salonie pozostawionego przez poprzednich właścicieli: wielkiej, przepastnej szafy. Otworzył ją i zajrzał do środka.

Damien zorientował się, że Algernon szuka Mirandy i mimo że nie miał bladego pojęcia, czemu ją ściga, poczuł napływającą do żył straszliwą potęgę gniewu, która zdwoiła jego postanowienie, że musi ją ustrzec przed wrogiem.

Ciął szpadą i rąbał mężczyzn próbujących go zabić, posuwając się stopniowo ku korzystniejszej pozycji w rogu pokoju, tam, gdzie nie musiał już zwracać uwagi na to, co

dzieje się za jego plecami i mógł walczyć z atakującymi go z przodu.

- Nie ma jej tu - burknął opryszek, wracając do Algernona po sprawdzeniu kominka.

- Och, musi tu gdzieś być ta mała lafirynda. Szukajmy dalej. Algernon ruszył do wyjścia.

- Zapłacisz za to głową, Hubert! - ryknął za nim Damien.

- O nie, Winterley - odparł wicehrabia z uśmiechem. - To ty zapłacisz.

Damien krzyknął, kiedy jeden z bandziorów ranił go w nogę, ale zacisnął tylko zęby i przeszył napastnika szpadą.

To było wyjątkowo brutalne przebudzenie, a teraz cała podłoga trzęsła się i trzeszczała pod stopami walczących, gdy Miranda kuliła się w swojej zatęchłej kryjówce. Brzmiało to, jakby co najmniej dwudziestu mężczyzn atakowało jej narzeczonego. Rozpoznała głos stryja Algernona; słyszała, jak znieważał pamięć jej matki... Najpierw Crispin wtedy na balu zachował się tak dziwnie, teraz stryj zjawia się tutaj z armią brutali... Dlaczego? - zastanawiała się z przestrawieniem. Co, u diabła, to wszystko oznacza?

Nagle gdzieś nad sobą usłyszała ostry, barbarzyński krzyk Damiena. Krew odpłynęła jej z twarzy. Czyżby go ranił? Nie miała pojęcia, co ten krzyk miał oznaczać. Podniosła się, by wyrzeć przez pęknięcia w deskach podłogi, nie mogła jednak nic zobaczyć, bo Damien pozasłaniał kocami deski nad jej kryjówką. Po łomocie wielu stóp poznała tylko, że Damien musi walczyć z wieloma napastnikami. Gdyby został ranny, znalazłby się w wyjątkowo trudnej sytuacji.

Spoconymi dłońmi wymacała pistolet. Damien kazał jej nie ruszać się stąd, ale na pewno się nie spodziewał, że osaczy go taki tłum! Musiała mu pomóc! Czuliła strach, wzięła się jednak w garść. Na Boga! Jako dziecko patrzyła bezradnie, jak jej rodzice tonęli. Teraz nie pozwoli, by jej przyszły mąż zginął w walce tuż obok niej, a ona nie zrobi nic, żeby mu

pomóc. Gdyby go zabili, nieważne, co się z nią stanie; nie było jednak powodu myśleć o

takiej ostateczności. Damien potrafił walczyć jak legendarny sir Lancelot, a ona... cóż? Ona miała w ręku broń.

Była pewna, że potrafi pociągnąć za cyngiel, jeśli to mogłoby uratować życie jej przyszłemu mężowi. Wysiłkiem woli opanowała drzenie rąk i ostrożnie odłożyła broń na bok, po czym zaczęła stopniowo wypychać deski podłogi. Starła się poruszać jak najciszej, by nie zaalarmować wroga. Wiedziała, że element zaskoczenia będzie działać na jej korzyść.

Gdy - wysunęła się z kryjówki i sięgnęła w dół po pistolet, jeden ze zbójów atakujących Damiena dostrzegł ją. Zostawił Damiena pozostałym napastnikom i z obleśnym uśmiechem ruszył w jej stronę. Miranda stanęła i uniosła pistolet. Skierowała broń w pierś zbója, po czym spojrzała w jego małe piwne oczka.

Boże, przebac mi, pomyślała i wypaliła.

- Co ty, u diabła, robisz?! - ryknął na nią Damien, kiedy zbój upadł martwy na podłogę. Strzeliła mu prosto w serce.

Przeniosła zafascynowane spojrzenie z ofiary na kochanka.

- Pomagam ci, najdroższy.

Chwyliła w obie ręce pogrzebacz i rzuciwszy się w kierunku walczących, walnęła z całej siły jednego z napastników w tył głowy.

- Dobry Boże! - wysapał Damien, kiedy bandzior padł zemdlony na ziemię. - Podaj mi to, dobrze?

Rzuciła mu pogrzebacz i odskoczyła w sam czas, bo właśnie jeden ze zbójów zamachnął się na nią szpadą. Damien użył pogrzebacza jak włóczni, przebijając kolejnego atakującego Mirandę zbója. Skrzywiła się na mrozący krew w żyłach wrzask; po chwili rozbójnik zwałił się na podłogę. Pozostałych pięciu natychmiast rzuciło się na Damiena, ale

po chwili dwaj z nich oddzielili się i skoczyli do Mirandy. Cofnęła się i niepewnie zerknęła na opiekuna, chcąc, by jej powiedział, co ma robić. Patrzył na nią, rozdając równocześnie ciosy, przerażony grożącym jej niebezpieczeństwem.

Dwaj obdarci, paskudni bandyci biegli za nią przez salon. Nic dała się złapać i pędziła w stronę kominka, chwytając po drodze siekiere Damiena. Odwróciła się do nich twarzą, broniąc się wielkim, śmiercionośnym ostrzem, ale wyszczerzyli tylko zęby: uważali widocznie, że z trudem utrzymuje tę siekiere w ręku, a na walkę jest dla niej o wiele za ciężka. Zmusili ją do cofnięcia się o parę kroków, nacierając zajadle.

- Mirando, za tobą! - wrzasnął nagle Damien.

Obróciła się i zaparło jej dech na widok stryja Algernona przekradającego się za jej plecami z pokoju muzycznego. Wyciągał już po nią rękę.

- Chodź i daj buzi stryjkowi, kochaneczko - rzekł ze złowróbnym uśmiechem.

Następnie spojrzał z gniewem na dwóch zbójów, którzy ją atakowali.

- Wykończyć go! - rozkazał, wskazując Damiena, wokół którego rosła coraz wyższa sterta martwych ciał.

Burknęli coś niechętnie, ale wrócili do walki z hrabią. Stryj Algernon zwrócił się do Mirandy ze złośliwym uśmiechem.

- Chodź no tu, moja pieśczołko.

- Cofnij się! - ostrzegła. - Czego chcesz ode mnie?

- Tego samego, czego chciałem kiedyś od twojej matki, *cherie*. Teraz, kiedy moi ludzie zajmują się twym opiekunem, ja zażyję z tobą rozkoszy, której ona mi odmówiła.

Zamachnęła się na niego siekiere, istotnie za ciężką dla niej, tak że nie zdołała zadać groźnego ciosu. Roześmiał jej się w twarz.

- Co wiesz o mojej matce? - rzuciła, przerażona jego bezwzględnością.

- Tylko to, że źle wybrała, przedkładając twój ojca nade mnie. To nie miało przyszłości.

Miranda spojrzała na niego, blednąc z obrzydzenia.

- Co przez to rozumiesz? Co znaczy „nie miało przyszłości”?

- Cóż... - odparł, wzruszając ramionami.

- Zabiłeś ich? - szepnęła ze zgrozą.

- W jakimś sensie... nie bezpośrednio... - powiedział ze skromnym uśmiechem.

Miranda stała bez ruchu, w głowie jej wirowało. Nagle tok jej myśli przerwał nowy głos.

- Ojczy!

Ona i stryj obejrżeli się i ujrzeli Crispina, który wpadł do salonu z rozwianymi złotymi kędziorami i w rozchełstany ubrani. Nie ufając już kuzynowi, Miranda cofnęła się o krok, by uciec od nich obu.

- Co ty tu robisz? - warknął Algernon na syna.

- Nie pozwolę ci na to, ojczy! Natychmiast odciągnij tych ludzi od lorda Winterleya! -

Zerknął na dziewczynę. - Nie bój się, Mirando. Nie zasługuję na twoje przebaczenie po tym, jak się zachowałem, ale chciałbym, żebyś wiedziała: to on kazał mi to robić - rzekł, wskazując z pogardą na ojca.

- Czemu? - spytała drżącym głosem.

- Crispin! - ostrzegawczo syknął wicehrabia. Syn puścił to mimo uszu.

- Dla... tego. - Sięgnął do kamizelki i wydobyl oficjalnie wyglądający dokument, który

jej podał. - Twój spadek. Odziedziczyłaś go, Mirando. Posiadasz majątek wart pięćdziesiąt tysięcy funtów.

Zdumiona otworzyła usta. Algernon rzucił się na Crispina ze sztyletem.

- Zdrajco! - wrzasnął. Crispin zwinnie odskoczył.

- Za późno, ojcze! Nie pozwolę ci więcej przelewać krwi. Błagam, zakończ to szaleństwo, zanim stanie się coś gorszego. Odpędź swoje psy od Winterleya!

- Crispinie! Twój ojciec chwali się, że zamordował moich rodziców - rzuciła posepnie Miranda, odwracając się z siekierą w stronę stryja, który ponownie zamachnął się sztyletem na syna. - Wiedziałaś o tym?

- Tak, wyjawiał to, kiedy mi zagroził, że mnie zabije, jeśli odmówię skompromitowania cię publicznie. I jeszcze coś: to on zamordował naszego stryja Jasona. Ach! - krzyknął nagle, uderzony sztyletem w pierś. Przerażony spojrzał na ranę, a potem na swego rodzica.

- Ojcze, zabiłeś mnie... - powiedział z niedowierzaniem.

- Crispin! - krzyknęła Miranda.

W tym momencie Damien odrzucił trupa ostatniego z przeciwników i przekroczył stertę ciał członków gangu. Podchodził teraz do Algernona. Krwawił i cały spływał potem, ale oczy lśniły mu srebrzyście w ataku straszliwego gniewu.

- Teraz jesteś mój, Hubert... Odsuń się od Mirandy...

- Nie! - zawołał Crispin. Zanim zdołał go powstrzymać, Algernon schylił się i chwycił pistolet tkwiący za paskiem spodni syna.

Zerwał się i Miranda usłyszała, że odwodzi kurek, celując w Damiena.

Otworzyła szeroko oczy. Jej matka... Jej ojciec... Stryj Jason... A teraz ten potwór z zimną krwią strzela do jej ukochanego!

Nie zdążyła pomyśleć. Uniosła siekierę z dzikim okrzykiem na wargach i zamachnęła się nią jak wojownicza królowa Boudicca, uderzając stryja - mordercę w brzuch. Ten zgiął się w pół, a wystrzelona przez niego kula przeleciała nad głową Damiena.

Algernon osunął się na kolana i padł na twarz z siekierą wbitą w brzuch. Miranda

patrzyła na swoje dzieło. Crispin bełkotał coś niezrozumiale.

Damien zbliżył się i objął ją ramionami. Czowała, jak drży po tym straszliwym wysiłku, nie mogła jednak oderwać oczu od rosnącej kałuży krwi wypływającej spod ciała stryja.

- Nie żyje? - wyszeptał Crispin.

- Nie żyje - potwierdził Damien i spojrzał na Mirandę. - Nic ci nie jest?

- Ja... ja... ja... przepraszam. Nie chciałam...

Ujął ją wpół i pocałował w czoło, odwracając jej twarz od straszego widoku.

- Musiałaś to zrobić. Ocaliłaś mi życie. Wszystko będzie dobrze, moja najśłodsza... A teraz posłuchaj. Spójrz na mnie.

Zrobiła to, nie zważając już na mdłości z powodu tak wielu trupów wokoło.

Wpatrywała się w jego usta, starając się ze wszystkich sił skupić uwagę na jego słowach.

- Weź bandaż z kufierka w moim namiocie - rozkazywał spokojnie. - Musimy zająć się ranami twego kuzyna, zanim straci więcej krwi. Crispinie? - zwrócił się do młodzieńca z posępnym spojrzeniem.

- Tak, sir? - odparł tamten słabym głosem.

- Zrzuć natychmiast płaszcz i koszulę. Zobaczymy, jak bardzo cię zranił. - Schylił się i podniósł zwinięte dokumenty, podając je następnie Mirandzie, by nie przesiąkły krwią. - A teraz musimy zgłosić władzom, że wszyscy czworo przyjechaliśmy do Bayley House i zastaliśmy tu intruzów, którzy nas zaatakowali. Algernon zginął, walcząc z nimi.

Rozumiecie?

- Tak, milordzie - szepnęła Crispin, powoli ściągając kurtkę. Twarz miał biada jak ściana.

Damien zwrócił się do Mirandy.

- Bandaże, aniołku - przypomniał jej łagodnie. Otrząsnęła się z oszołomienia i

pobiegła wykonać polecenie.

Pobrali się trzy tygodnie później, w ostatnią niedzielę stycznia. Gwałtowne wichry odkurzyły iglicę kościoła Wren, strzelającą w szare niebo w samym środku modnej dzielnicy Mayfair. Wewnątrz dziewczynka z kwiatami, mała Amy Perkins z Yardley School, rozsypywała płatki róż przed Mirandą, promieniującą przez kościół wspartą na ramieniu księcia Hawkscliffe, który uprzejmie zaofiarował się pełnić funkcję opiekuna przekazującego pannę młodą narzeczonemu. Za nimi postępowała Lizzie Carlisle, podtrzymując długi tren ślubnej sukni Mirandy, która właśnie tę przemiłą przyjaciółkę wybrała na pierwszą drużną. Miranda nieco nerwowo ścisnęła swój bukiet z białych, czerwonych i różowych róż, gdy mijala stojących w tylnym przedsionku dziennikarzy z rubryk towarzyskich, gorączkowo notujących szczegóły całego wydarzenia. Jej zaręczyny z Damienem narobiły sporo szumu, zwłaszcza gdy wszyscy usłyszeli, że zaatakowali ich „bandyci”, którzy wzięli się napaść na rezydencję w Bayley House pod nieobecność właściciela. Damiena ponownie obwołano bohaterem. Śmierć Algernona opłakało niewiele osób, Miranda zrozumiała jednak, że Damien swoją wersją wydarzeń pomógł Crispinowi ocalić reputację ojca.

Winowajcy ponieśli karę. Gdyby ujawniono bratobójstwa Algernona, Crispin postradałby tytuł; cała rodzina popadłaby w niełaskę, a ponieważ była zrujnowana, wyrzucono by wszystkich na ulicę, a może nawet wtrącono do więzienia za długi. Teraz Crispin miał szansę zacząć wszystko na nowo dla dobra swojej rodziny, która przecież była także rodziną Mirandy.

Robert i Miranda szli statecznym krokiem wzdłuż rzędów ludzi, wszystkich, których Miranda spotkała w trakcie ostatnich wydarzeń. Obecni byli wszyscy członkowie rodu Knightów, oczywiście z wyjątkiem czarnej owcy rodziny, lorda Jacka. Miranda była zachwycona propozycją księżnej i lady Lucien, by od tej chwili mówiły sobie po imieniu, gdyż

teraz jest ich krewniaczką. Dostrzegła Sally i Jane z Yardley School i przemiłe damy z towarzystwa dobroczynności, które się nimi zaopiekowały; byli też podpułkownik MacHugh, kapitan Sutherland i wszyscy dzielni oficerowie ze sto trzydziestego szóstego pułku; nie zabrakło grubasa Ollie Quinna i chudeusza Nigela Stanhope'a oraz pół tuzina innych dawnych konkurentów, wyraźnie zgnębionych; był też lord Griffith ze swoim nieśmiałym synkiem. Na koniec minęła Crispina, jego matkę i siostry. Przechodząc obok nich, posłała kuzynowi ciepłe spojrzenie. Nie wiadomo, co by się z nią stało, gdyby nie zjawił się z pomocą tego straszego poranka. Nadal drżała na myśl o swoim podłym stryju...

Teraz jednak skupiła wszystkie spojrzenia i myśli na Damienie, który czekał na nią przy ołtarzu, wspaniały w pełnej gali wojskowej. Lucien, pierwszy drużba, stał obok, ubrany w szary żakiet.

Przez całą ceremonię widziała wszystko jak przez mgłę. Serce jej biło jak szalone, a ręka się trzęsła, gdy Damien wsuwał jej na palec ślubną obrączkę. Musiał kilka razy próbować, zanim się udało, tak że w końcu szepnął, żeby się uspokoiła. Roześmiała się na to przy wszystkich i natychmiast odzyskała równowagę. Gdy pastor wreszcie ogłosił ich mężem i żoną, poczuła taką falę szczęścia, iż wydawało jej się, że miłość do męża po prostu rozsadza.

- Lady Winterley... - wyszeptał, patrząc jej głęboko w oczy i biorąc w ramiona.

Cały kościół rozbrzmiał gromkimi brawami, kiedy Damien pocałował Mirandę.

Śmiała jak zawsze, zarzuciła mu ręce na szyję i z całego serca oddała pocałunek, nie zwracając uwagi, że wszyscy na nich patrzą. Przerwał ten pocałunek, śmiejąc się z jej zapału.

Przed kościołem oficerowie z pułku Damiena stali w dwóch rzędach, tworząc lśniący szpaler z trzymanyh w górze skrzyżowanych szpad. Nowożeńcy przeszli pod nim, a dzwony kościelne biły donośnie. Wsiedli do przystrojonego wstęgami powozu, który ciągnęły cztery

białe konie z pióropuszcami na głowach, ale zanim drzwiczki zamknęły się za nimi, po kolei padli wszystkim bliskim w ramiona.

Przyjęcie w Knight House trwało cały dzień. Bel wynajęła na tę okazję francuskich kucharzy, a ci stworzyli prawdziwe dzieło sztuki: gigantyczny tort weselny, którym częstowano tłum składających życzenia gości, przychodzących i odchodzących, aż do piątej po południu. O siódmej dom opustoszał i pozostało już niewiele czasu na przebranie się i krótki odpoczynek przed kolejnym, bardziej już elitarnym przyjęciem, ciągnącym się jeszcze długo w noc. Po tym wszystkim Damien z Mirandą spędzili noc poślubną w luksusowym apartamencie w eleganckim Pulteney Hotel na Piccadilly, gdyż ich szykowny dom w mieście, który kupili na Mayfair, nic był jeszcze gotowy do wprowadzenia się.

Leżeli zwrócenii twarzami do siebie, wpatrzeni sobie w oczy. Miranda lekko pieściła jego włosy, a Damien bawił się obrysowywaniem kółeczkami pieprzyka na jej lewym biodrze.

- Lady Winterley - wyszeptał z uśmiechem.

- Kocham, kiedy to mówisz - zamruczała, przytulając się do niego. - Kocham cię.

- Ja też cię kocham. Nie mogę wprost uwierzyć, że będę mógł spędzić z tobą resztę życia, moja ty potężna, wspaniała Mirando.

- Co za czuły kochanek z tego Damiena - zażartowała, tuląc go w ramionach.

- Aha! Taki właśnie jestem. - Objął ją w talii i przetoczył na siebie. - Pocałuj mnie, moja droga żono - zażądał. Usłuchała go i natychmiast poczuła dowód jego wyznania.

- Ktoś chyba się obudził - wymruczała łobuzerskim tonem.

- Co z ciebie za kusicielka! Zaczynam być zadowolony z tego małżeństwa.

„wydała radosny okrzyk, kiedy przetoczył ją znowu, tym razem kładąc na plecy, i opadł na nią, gorąco całując. Przesunęła dłońmi po jego aksamitnej skórze.

- Wiesz, że cię uwielbiam? - wyszeptał, przerywając na chwilę pocałunki, by spojrzeć w jej oczy.

Płonąc pożądaniem, pociągnęła go w dół, by ją nadal całował. - Jak bardzo?

- Mmm... - odpowiedział, całując jej szyję, piersi, brzuch, i dalej przesuwając usta w dół po rozgrzanym, drżącym ciele żony.

Z jedną ręką w jego czuprynie, a drugą ściskając atlasowe prześcieradło pod sobą, Miranda zamknęła oczy i wygięła się w łuk z rozkoszy, kiedy rozchylił jej uda i pieścił powolnymi, namiętymi pocałunkami.

Co za mężczyzna, pomyślała. Tymczasem ten słodki, niesamowity mąż nadal wyjaśniał jej praktycznie, co oznacza wyrażenie „szczęście małżeńskie”.

Przez cały luty, aż do marca Bayley House był obleżony przez armię cieśli, kamieniarzy, dekarzy, sztukatorów, malarzy, glazurników, stolarzy meblowych i ogrodników, z wielkim, rozchwytywanym przez wszystkich architektem Matthew Watterem na czele. Jako że na restaurację gmachu użyto pieniędzy Mirandy, ona też dostąpiła zaszczytu nadania nazwy nowej rezydencji. Nazwała ją „Winterhaven” („Przystań Zimowa”). Otaczająca posiadłość rzeka wezbrała, gdy lód stopniał w wiosennym słońcu.

Młodzi małżonkowie odbywali regularnie wyprawy do hrabstwa Berkshire, by śledzić postępy robót. Kiedy gotów był już apartament we wschodnim skrzydle, od czasu do czasu zostawali tam nawet na kilka dni.

Okoliczni chłopcy reperowali dachy, Damien wynajął też mnóstwo nowych robotników do pracy przy przygotowaniu terenu do nasadzeń. Z ogrodu napływał balsamiczny zapach świeżej ziemi i kiełkujących roślin, wiatr falował gałązkami migdałowców na wzgórzu, zrzucających teraz białe płatki, które fruwały w powietrzu jak płatki śniegowe. Dla Mirandy było to najulubieńsze miejsce na ziemi.

Stajnia nadawała się dla koni na długo przedtem, zanim dom zaczął nadawać się dla ludzi. Damien rozpoczął skupowanie rasowych klaczy do haremu Zeusa, jak go, śmiejąc się, nazywała Miranda. Klacze miały być dopuszczone jesienią, a następnej wiosny powinny już urodzić źrebięta.

W Londynie Jacinda i Lizzie kończyły ostatni semestr zajęć w akademii dla młodych dam pani Hall i zaczynały przygotowywać się do debiutu w towarzystwie pod koniec kwietnia. Miranda wydała część swego spadku na wysłanie Amy, Sally i Jane do znakomitej szkoły z internatem w Islington, którą swego czasu ukończyły Jacinda i Lizzie. Tymczasem Bel wkroczyła w ostatni etap ciąży przed porodem, zaplanowanym na maj, biedny Robert aż się skręcał ze zdenerwowania, a ona robiła się coraz grubsza i potężniejsza. Lucien i Alice obwieścili, że u nich to błogosławione wydarzenie nastąpi we wrześniu. Mały Harry skończył cztery latka.

Z każdym dniem męczące Damiena wspomnienia blakły jak barwy na starym wojennym sztandarze. Aż pewnego dnia doszła ich wiadomość, która jak zwiastun nieszczęścia przebiegła całą Anglię. W połowie marca te wieści dotarły do Winterhaven. Wydarzyło się coś wprost niewiarygodnego.

Damien nadzorował właśnie pracę cieśli reperujących klatkę schodową, kiedy usłyszał dochodzące zza drzwi wołanie. Pochwalił rzemieślników i polecił, by nadal równie dobrze wykonywali swoją robotę, po czym wyszedł na portyk, skąd dojrzał Sutherlanda i MacHughę nadjeżdżających konno po zabłoconym podjeździe. Minęli ogrodników sadzących platany wzdłuż podjazdu. Za parę lat te drzewka będą już całkiem okazałe... Uśmiech przemknął po twarzy Damiena na myśl o tym, jak pokaże przyjaciółom wszystkie zmiany w domu. Razem z Mirandą spędzili w Winterhaven cały miniony tydzień i byli zachwyceni postępami w pracach nad posiadłością.

Dwaj oficerowie w mundurach zeskoczyli z koni i rzucili się w jego stronę.

- Winterley!

- Nie jesteście w mieście, chłopaki! Nie ma potrzeby tak się śpieszyć - rzekł przeciągle, opierając się o kolumnę. - Witam w moim małym rajku...

Spojrzelili po sobie posępnie.

- Co się stało? - spytał, marszcząc brwi.

- Napoleon uciekł z Elby - rzekł Sutherland wzburzony. - Nie słyszałeś? Maszeruje teraz do Paryża! Gromadzi coraz liczniejszy tłum zwolenników! Król Ludwik gotuje się do ucieczki...

- Dobry Boże! - wyszeptał Damien. Odsunął się od kolumny, czując narastający ciężar w żołądku.

- Wellington jest już w drodze do Anglii; wraca z kongresu wiedeńskiego - dodał MacHugh. - Będzie potrzebował jak najwięcej doświadczonych oficerów.

- Otóż to! - wtrącił się Sutherland. - Całe ich tuziny odpłynęły wiele tygodni temu do Ameryki i Indii, by tam dowodzić wojskami. Każdy, kto został w kraju, musi jak najprędzej jechać do Belgii. Rozumiesz, co to oznacza? - W braterskim podnieceniu stuknął przyjaciela w pierś. - Znowu idziemy na wojnę!

Damien spojrzał na niego, wstrząśnięty do głębi.

- Pojedziesz z nami do Londynu i pomożesz sformować pułk, prawda? - spytał MacHugh.

W głowie Damiena wirowało.

- Nie! - rzucił ostro.

Obaj mężczyźni zamarli, nie wierząc własnym uszom.

- Nie! - powtórzył gniewnie. - Rozejrzyjcie się dookoła! Spójrzcie na ten dom.

Popatrzcie tam... - wskazał Mirandę spacerującą po pagórku paręset metrów od nich. - Nie pojedę.

Popatrzyli na siebie niepewnie, sądząc, że stracił rozum.

- Mam teraz nowe życie! - tłumaczył żarliwie drżącym głosem. - Jestem żonaty. Ona być może będzie miała dziecko. Muszę pilnować dzierżawców. Mam obowiązki.

- Oczywiście, milordzie - mruknął MacHugh i spuścił głowę. Sutherland zerknął z ukosa na Szkota, kołysząc się z nogi na nogę.

- No dobrze, pułkowniku... więc co mamy powiedzieć ludziom?

- Skąd ja mam to wiedzieć? - odparował Damien.

- To są pańscy ludzie. Pan jest ich dowódcą.

- Już nie. Armia Jego Królewskiej Mości przelała już dosyć mojej krwi. Pytaj o wszystko MacHugh'a. Jest najwyższy rangą po mnie. Niech Wellington go awansuje.

Sutherland spojrzał na ogromnego MacHugh'a.

- W porządku.

MacHugh lekko poczerwieniał; unikał wzroku Damiena, jakby zakłopotany tą samolubną, nieżołnierską odpowiedzią. Odchrząknął i zwrócił się do kapitana.

- Tak czy owak trzeba wracać do miasta. Jest dużo do zrobienia. Sutherland przytaknął, po czym z przyzwyczajenia zasalutował Damienowi; MacHugh tylko na niego patrzył wzrokiem, w którym zdziwienie mieszało się z wyrzutem. Jego spojrzenie ugodziło Damiena w samo serce.

Do cholery, pomyślał. Tak być nie może.

Oficerowie odwrócili się i szli oszołomieni do swoich koni, jakby nie wiedzieli, od czego zacząć; zawsze zdawali się na jego polecenia. Zamknął oczy, czując, jak cała jego jasna, szczęśliwa przyszłość oddala się w nicość.

Napoleon maszeruje na Paryż... Jeżeli cesarz ponownie przejmie władzę, wszystko, o co dotąd walczyli, wszystko, za co zginęło tylu przyjaciół Damiena, okaże się daremne!

- Na Boga, nie dadzą mi spokoju aż do śmierci - mruknął pod nosem, po czym krzyknął: - Czekaście!

Odwrócili się.

- Sir?

Patrzył na nich, jakby to oni byli wszystkiemu winni.

- Czekaście na mnie w mieście. Zbierzcie sierżantów i sprawdźcie, kogo zdołacie powołać. Sądzę, że powinniśmy zdążyć akurat na czas.

Radosne uśmiechy rozjaśniły ich twarze.

- Robi się, pułkowniku! - odrzekli.

MacHugh wskoczył na konia i energicznie zasalutował Damienowi.

- Będzie jak za dawnych czasów, Winterley!

- Mam nadzieję, że nie... - odparł Damien, splatając ręce na piersi, ale poczuł mocniejsze pulsowanie krwi, wzywające go do bitwy. Popatrzył na częściowo odnowiony budynek za sobą, a potem na gotowe już do obsiania pola.

Nie, tkwić tutaj, kiedy kraj go potrzebuje, było ponad jego siły.

Wzrok Damiena powędrował do gaju migdałowego, gdzie Miranda spacerowała wśród drzew i obłoków białych płatków padających na jej ciemne włosy. Patrzył, jak zdjęła z głowy turecki kaszmirowy szal, pozwalając wiatrowi igrać z nim jak z latawcem. Wziął głęboki oddech i wolno wypuścił powietrze.

A potem poszedł powiedzieć jej o wszystkim.

Miranda, dostrzegłszy Damiena, ruszyła mu naprzeciw. Wiatr trzepotał jej spódnicą, ale popołudniowe słońce grzało mocno. Niebo za Damienem przybrało barwę jego oczu, a

przez wysokie, skłębione chmury przebijały srebrzyste promienie światła.

- Może urządzilibyśmy tu salon? - spytała, wskazując gestem drzewa. - Nie mogę sobie wyobrazić piękniejszego miejsca do przyjmowania gości.

Posłał jej ciepły uśmiech; promienie słońca padały na jego ogorzałą twarz. Ubrany był z wiejską prostotą w skórzane bryczesy i krótką skórzaną kurtkę; szyję owinał pięknym wełnianym szalem w szkocką kratę. Wysokie buty były oblepione błotem. Szedł ku niej, ściągając z rąk grube robocze rękawice.

- Mogłabym tu ustawić kanapę. - Pokazała ręką. - Tam stół, a na tych gałęziach powiesiłabym dwa hamaki, zamiast tych nudnych, starych krzeseł. Co ty na to?

- Gdzie masz płaszcz?

- Nie jest mi zimno. Jestem zahartowana - pochwaliła się; uśmiech zaczął znikać z jej twarzy na widok stroskanego wyrazu jego szarych oczu. - Co się stało, kochanie? - spytała, wpatrując mu się w twarz.

Wetknął rękawice do kieszeni płaszcza i ujawszy jej rękę, w milczeniu zdjął płatek migdałowca z jej włosów. Pozwolił, by wiatr uniósł go ze sobą, i długo patrzył za oddalającym się płatkiem.

Miranda dotknęła jego piersi.

- Damienie?

Uniósł głowę, nadal unikając jej wzroku. Patrzył na rzekę.

- Byli tu MacHugh i Sutherland - zaczął bezbarwnym tonem, którego nie słyszała u niego od wielu tygodni.

- Zostaną na kolacji? Może zabierzemy ich do zajazdu w Littlewick...

- Odjechali.

- Tak szybko? - Tak.

- Czego chcieli?

Wreszcie na nią spojrzął; w jej oczach mieszały się gniew i smutek.

- Przywieźli wiadomości z Londynu - odparł.

- Złe wiadomości? - wyszeptała. Skinął głową.

- Co się stało?

- Napoleon uciekł z Elby - powiedział. - Maszeruje na Paryż. Wellington zbiera wojsko...

- Nie! - jęknęła, blednąc. - Nie, Damienie! Nie!

Po jego pięknie rzeźbionej twarzy przemknął wyraz cierpienia.

- Muszę iść - wykrztusił. - Wiesz, że jestem im potrzebny. Ujął jej dłoń.

- Mirando...

- Nie odejdziesz, Damienie! Nie! Zabraniam ci! Nic nie odpowiedział.

Wiedziała, że już powziął decyzję. Usta miała wyschnięte z prze> rażenia, serce

łomotało jej w piersi. Zdenerwowała się tak bardzo, że zrobiło jej się niedobrze. Walczyła z tym.

- Damienie, nie mogę ci na to pozwolić - starała się mówić spokojnie, ale głos jej drżał. - Nie mogę cię stracić. Trzeba było tyle twojego wysiłku i mojej miłości, żebyś znalazł drogę wyjścia z ciemności. Omal cię przy tym nie utraciłam. Jeżeli wrócisz na wojnę i znowu narazisz się na to wszystko, na przemoc i rozlew krwi, tamto może wrócić, a tym razem już nie będę w stanie ci pomóc.

- To mój obowiązek.

- Ja jestem twoim obowiązkiem! Twoją żoną! Jesteś moim mężem i potrzebuję cię tutaj!

- Muszę to zakończyć, Mirando. Zbyt długo walczyłem, zbyt wiele poświęciłem, by

teraz spokojnie oglądać tego korsykańskiego potwora z powrotem na tronie.

- To sprawa Francji! Co cię ona obchodzi? To nie twój kraj...

- To nie takie proste, moja kochana - wyszeptał. - Jeżeli nie ruszymy zaraz, by go zgładzić, umocni się, okopie na dobre i cała ta cholerna wojna zacznie się od nowa. Czy chcesz tego dla naszych dzieci?

- Chcę, żeby nasze dzieci znały swojego ojca! - Odwróciła się i odbiegła, nie mogąc znieść ani jednego słowa więcej.

Biegła na brzeg rzeki, szlochając, łzy zalewały jej oczy. Ciężko opadła na ziemię wśród trzciny i patrzyła na płynącą wodę. Była przerażona. Damien ją opuszczał. To wszystko, co wiedziała.

Podszedł do niej niepewnym krokiem.

- Bądź silna, Mirando.

- Jak mam być silna, skoro mój od niespełna dwóch miesięcy mąż mnie porzuca?! - krzyknęła.

- Nie porzucam cię - wyszeptał bezradnie.

- Więc zostań. - Obróciła się do niego, klęcząc, po twarzy płynęły jej łzy. - Obiecuj mi, że zostaniesz, choćby nie wiem co się działo. Przysięgałeś mi to, prawda? W końcu dochodzisz do zdrowia, Damienie. Spójrz, jakie nowe życie tu tworzymy. A co z twoimi końmi? Z naszymi dziećmi? Z rodziną? Czy to nic dla ciebie nie znaczy?

. Przełknął z trudem ślinę.

- Mirando, moi żołnierze nie dadzą sobie beze mnie rady na polu walki. Będą walczyli o bezpieczeństwo Anglii i o własne życie. Nie mogę ich opuścić.

- A co ze mną? - lamentowała. - Mnie opuszczasz!

- Ty jesteś silna - szepnął z błaganiem w głosie. - Musisz być tak silna, jak tylko moja

Miranda potrafi.

Zgromadziła całą wewnętrzną siłę, pragnąc zmienić ją w gniew.

- Jeżeli odejdziesz, nie będę już twoją Mirandą.

Zbladł.

- Co przez to rozumiesz?

- Jeśli mnie opuścisz dla tej plugawej wojny, nigdy ci nie wybaczę. Nigdy.

- Co to ma oznaczać? - spytał głuchym głosem. - Nigdy nie dam ci rozwodu.

- To niepotrzebne, bo prawdopodobnie zostanę wdową, zanim upłynie rok. - Odsunęła go i ruszyła na trzęsących się nogach ku domowi.

Wrócili do swojego domu w Londynie. Miranda z uporem odmawiała rozmowy z Damienem podczas wspólnej podróży, a także przez cały następny tydzień. Po czterech dniach takiego milczenia Damien w końcu na nią ryknął, by dała spokój, ale jedyną odpowiedzią było lodowate spojrzenie. Na ten widok trzasnął drzwiami i wybiegł z domu, po czym zaczął odpłacać jej pięknym za nadobne. Wieczorem zamknęła drzwi łączące ich sypialnie, ale on nie starał się do niej wejść. Tak oto Napoleon stał się przyczyną ich pierwszej małżeńskiej kłótni, w dodatku poważnej, bo oboje byli uparci, a każde całkowicie przekonane o swojej racji.

Szesnastego marca, w czwartek, Damien otrzymał pilne wezwanie do służby specjalnym rozkazem z Ministerstwa Wojny. Miał się stawić w Brukseli trzeciego kwietnia. Spodziewał się tego, rozesłał więc już listy do swoich ludzi, rozproszonych teraz po całej Wielkiej Brytanii. Zaczął też zamawiać furaz dla żołnierzy oraz namioty, kotły, menażki i sztućce do kantyny.

- Tylko nie waż się wydać choć pensa z moich pieniędzy na wyposażenie twoich żołnierzy - ostrzegła go rozgoryczona Miranda.

- To już nie są twoje pieniądze, żono, i wydam je na to, na co mi się podoba - odparł sucho i wyszedł do Klubu Gwardii Królewskiej na spotkanie z kapitanami.

Siadła w saloniku, którego okna wychodziły na ulicę, i wsłuchiwała się w ciszę tego domu. W świeżo umeblowanym pokoju przytłumione odgłosy przejeżdżających od czasu do czasu powozów wydawały się ogłuszające. A więc tak tu będzie po jego odjeździe?

- zastanawiała się. Cisza przyprawiała ją o szaleństwo. Nie mogąc tego wytrzymać ani chwili dłużej, włożyła czepek i rękawiczki, udrapowała na ramionach turecki szal i wyszła na spacer. Mogła nie rozmawiać z Damienem, ale cały czas myślała tylko o nim. Jak zniesie jego odejście?

Będę sobie brała kochanków, pomyślała buntowniczo. Czemu nie? Będzie się bawić pod jego nieobecność z taką pasją, że w porównaniu z nią „nierządnica Hawkscliffe'a”, matka Damiena, będzie wyglądać jak zakonnica. To by mu dobrze zrobiło...

Po chwili dała jednak spokój zuchwałym myślom i smętnie opuściła ramiona, przeciągając ręką po kutyh żelaznych prętach ogrodzenia otaczającego eleganckie rezydencje miejskich domów w sąsiedztwie. Nie chciała przecież nikogo innego i nigdy nie zechce! Pragnęła wyłącznie tego okrutnego barbarzyńcy. Czemu nie kocha jej na tyle, żeby zostać? Lucien na przykład nie idzie na wojnę. Zostaje w domu z Alice. Dlaczego więc Damien musi iść?

Może gdyby była w ciąży, tak jak Alice, on też zostałby w domu, myślała. Wiedziała jednak, że oszukuje samą siebie. Mężczyzna, którego poślubiła i którego ciągle tak bardzo kocha, nie był w stanie odwrócić się od swoich żołnierzy czy nie zareagować na wezwanie kraju do walki - tak jak ona nie była w stanie długo gniewać się na niego. Ciężki jest los żony żołnierza, myślała. Trochę zawstydzona, że tak źle to znosi, poczuła się, jakby dotąd nie знаła samej siebie. Dawniej nigdy nie odczuwała tak przytłaczającej depresji i rozpacz. Wiedziała,

że w ten sposób nie ułatwia mu sytuacji, ale przecież był dla niej wszystkim - najlepszym przyjacielem, opiekunem, kochankiem, towarzyszem życia - a teraz opuszczał ją, być może by zginąć. Zdawała sobie sprawę, że nie próbował jej zdradzić, ale ciągle tak właśnie się czuła.

Szła samotnie ulicą z ciężkim sercem, pośród zgiełku wielkiego miasta. Godzinę krążyła bez celu, tam, gdzie ją nogi zaprowadziły. Podniosła wzrok i okazało się, że stoi przed domem Luciena i Alice na Upper Brooke Street. Stała tak długą chwilę, w końcu odetchnęła głęboko i na dobre dała spokój uzalaniu się nad sobą. Wyprostowała ramiona, uniosła głowę, weszła po trzech schodkach do frontowych drzwi i zastukała kołatką.

Ku jej zaskoczeniu drzwi otworzył sam Lucien, nie kamerdyner.

- O, lady Winterley! - rzekł zaskoczony, unosząc brwi. - Bardzo prosimy.

Weszła do przedpokoju nerwowym krokiem.

- Gdzie jest twój powóz?

- Przyszłam piechotą.

- Bez lokaja? Bez pokojówki? Rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie.

- Widzę, że domowa kłótnia nadal trwa - rzekł, zamykając za nią drzwi.

Kiedy odwracała się do niego, przelotnie dostrzegła swoje odbicie w lustrze w holu.

Nie była już biedną, bezdomną przybłądą, ale hrabiną, wytwornie ubraną kobietą o wysokiej pozycji, która ma obowiązki wobec małżonka, tak jak jej mąż miał obowiązki wobec króla.

Spojrzała szwagrowi w oczy.

- Potrzebuję twojej rady - rzekła. - Powiedz, co powinnam zabrać ze sobą na wojnę.

Na jego twarzy rozlał się serdeczny uśmiech. - Więc postanowiłaś ruszyć do boju?

Przytaknęła szybkim, gniewnym ruchem głowy.

- Mój szubrawiec nie daje mi wielkiego wyboru.

- *Brava, lady Winterley! Brava, helia* - mruknął, zamykając ją w braterskim uścisku.

- Ciągle nienawidzę go za to - przyznała cicho, wdzięczna za ten objaw tliwości szwagra.

Zaśmiał się serdecznie.

- Wiedziałem, że do mnie wpadniesz. Przecież ktoś musi się tam nim zaopiekować.

- Tylko mu nie mów o moim postanowieniu - ostrzegła, a jej oczy zamglily się na chwilę, kiedy odsunęła się i spojrzała na niego. - Gdyby się dowiedział, nigdy by mi na to nie pozwolił.

Lucien ścisnął ją mocno za ramiona.

- Nie bój się, siostrze. Potrafię zachować sekret. A teraz, do dzieła; Zastanówmy się, czego będziesz potrzebowała.

Dni upływały na gorączkowych przygotowaniach, Miranda jednak ani słowem nie zdradziła swego postanowienia z obawy, że jeśli Damien dowie się o jej zamiarze, uzna to za zbyt niebezpieczne i zabroni jej jechać.

Za radą Luciena gromadziła zaopatrzenie dla siebie, robiąc zapasy odpowiednich ubrań, szykując swoje dokumenty identyfikacyjne, a także porządkując sprawy osobiste.

Długie godziny jeździła po parku na Fancy, by jak najlepiej opanować jazdę konną; kupiła parę pistoletów pojedynkowych dla obrony własnej; znalazła i przyjęła do pracy jako pokojówkę dziewczynę, która przedtem jeździła z wojskiem; pożegnała się potajemnie z paniami z rodziny Knightów, które na jej decyzję zareagowały mieszaniną podziwu i strachu.

W końcu nadszedł poniedziałkowy świt dwudziestego siódmego marca, dzień, w którym Damien miał wyruszyć do portu Ramsgate, by przepłynąć kanał i wylądować w Ostendzie.

Miranda wstała już o wpół do czwartej, chcąc być gotowa, zanim Damien zdąży

zaprotestować. Zbyt zdenerwowana, by zjeść śniadanie, kazała wyprowadzić powóz jeszcze przed świtem. W świetle latarni pilnowała stajennych ładujących jej bagaże.

Nagle usłyszała, że Damien szuka jej po całym domu, wołając:

- Miranda! Miranda! Do diabła z tą kobietą, gdzie się podziała? - Wypadł przez drzwi wejściowe. - Mirando!

Zdrętwiała na te dzikie wrzaski i odwróciła się powoli, gotowa do starcia.

- Tak, milordzie?

Zdziwił się, widząc ją ubraną.

- Co tu robisz?

- To nie twoja sprawa.

- Próbowłaś wymknąć się do Winterhaven, zanim wstanę! - rzucił oskarżycielsko, dotknięty do żywego.

- Naprawdę sądzisz, że wyjechałabym, nie pożegnawszy się z tobą? - spytała oburzona.

Spojrzał na nią.

- Dokąd więc jedziesz?

Oparła dłonie na biodrach i uniosła brodę jeszcze wyżej.

- Do Brukseli. Z tobą - odparła z płomiennym wzrokiem, głosem nieznoszącym sprzeciwu.

Aż zaniemówił ze zdumienia.

- Ze mną? - zdołał wreszcie wykrztusić.

- Tak, z tobą, sir. A jeśli zamierzasz protestować, uprzedzam, że to się na nic nie zda. -

Odwróciła się plecami i wróciła do pilnowania pracy stajennych.

Po długiej chwili, nie słysząc ani słowa, obejrzała się przez ramię. Damien nadal stał

w drzwiach, kompletnie oszołomiony.

- Czy to będzie kłopot? - spytała. Zamknął gwałtownie usta. - Nie...

- Świetnie.

- No cóż... - Potrząsnął głową, jakby chciał uwolnić się od jakiejś myśli, wszedł z powrotem do domu i zamknął za sobą drzwi.

Miranda patrzyła chwilę na zamknięte drzwi, w najwyższym stopniu zaskoczona jego brakiem sprzeciwu. Serce zabiło jej radośnie, bo zorientowała się, że wygrała. Pojedzie z nim na kontynent. Będzie u jego boku!

Pierwsza batalia została wygrana.

Wyruszyli z Londynu o wschodzie słońca: Damien, Miranda, jej pokojówka, jego ordynans - jeden z żołnierzy pułkowych - oraz dwaj stajenni konno: na Fancy i na wielkim gniadym wałachu, którego Damien kupił w Newmarket. Robert, Lucien i Alec odprowadzali ich do Ramsgate. Podczas drogi bracia gawędzili pogodnie, ale Damien i Miranda nadal obrzucali się niepewnymi spojrzeniami. Nie wiedziała, co Damien myśli, a zresztą była zbyt zajęta ukrywaniem własnego zdenerwowania.

Po kilku godzinach wreszcie dotarli do portu, z którego odpływało mnóstwo statków konwojujących żołnierzy na kontynent. Pośpieszyli na nabrzeże, by wsiąść na pokład żaglowca, na którym Damien zamówił przejazd. Kapitan eskortował go, by się upewnić, czy jest dość miejsca dla całej grupy. Statek wyglądał na zdatny do żeglugi, a załoga na fachową, Miranda zbladła jednak, kiedy jej mąż wrócił z wiadomością, że podróż do Ostendy potrwa aż dwadzieścia cztery godziny. Przy tym kapitan chciał czym prędzej wyruszyć, bo wiatr był idealny.

Po załadowaniu koni i bagażu zostało niewiele miejsca dla nich, ich pięciorga służby i młodego, gorliwego adiutanta Damiena. Podczas gdy mąż doglądał przeprowadzania koni po

trapie, Miranda została na lądzie, trzymając się kurczowo ręki szwagra. Nie była na statku od dnia, kiedy utonęli jej rodzice.

Pożegnała się serdecznie z braćmi męża, szczególnie mocno ściskając Luciena, swego współspiskowca.

- Bądź dzielna! - szepnął, całując ją w czoło.

Skinęła głową i ruszyła wolno wzdłuż doku, starając się nie patrzeć w dół na wodę.

Gdy wreszcie znalazła się na pokładzie, dłonie miała całe mokre, czuła kurcz w żołądku, a na czole perliły jej się krople potu. Zeszła od razu do kabiny razem z pokojówką, podczas gdy Damien został na pokładzie, patrząc, jak sylwetki jego braci i brzeg Anglii powoli oddalają się i nikną we mgle.

Kiedy wszedł do kabiny z tekowego drewna, Miranda siedziała na koi zwinięta w kłębek i z całych sił ściskała drewnianą poręcz, by opanować nerwy z powodu przykrego kołysania. Pokojówka siedziała obok niej z małym flakonikiem soli trzeźwiących w pogotowiu. Miranda popatrzyła na męża.

Damien od razu zauważył, że jej hart ducha się ulotnił. Twarz miała zielonkawą, jak cierpiący na chorobę morską, on jednak wiedział, że przyczyną tego stanu nie jest kołysanie, ale strach. Poruszając się w rytm lekkich wahań statku, przeszedł przez niewielkąabinę i skinieniem odprawił pokojówkę, wzięwszy od niej sole trzeźwiące.

Usiadł na koi i pociągnął Mirandę na kolana, uciszając jej słabe protesty cichym:

- Już dobrze, żono...

Tuląc ją do piersi, głaskał jej włosy i plecy, a ona uspokajała się stopniowo.

- Boże, jak dobrze mieć cię znów przy sobie - szepnął w końcu. Przestał ją pieścić, zamknął oczy i oparł czoło o jej skroń. - Kiedy dziś rano zajrzałem do twego pokoju i nie zastałem cię w łóżku, pomyślałem, że odeszłaś ode mnie.

Patrzyła na niego bez słowa, splatając palce z jego palcami.

- Nie chcę nigdy więcej walczyć z tobą. To zbyt bolesne. - Uniósł jej rękę i oplótł wokół swojej szyi.

- Przepraszam, że mówiłam, iż nigdy ci nie przebaczę... - szepnęła niepewnie.

- Ależ wszystko jest w porządku...

- Nie, nie jest...

- Mirando, kocham cię i wiem, że ty też mnie kochasz. Możesz mówić, że mnie nienawidzisz, ale znam cię... Wiem, że miłość do mnie to jedyna rzecz, która mogła skłonić cię do wejścia na pokład statku.

Łzy napłynęły jej do oczu.

- Myślałam, że nie pozwoliłbyś mi pójść za tobą, gdybym cię o tym uprzedziła.

- Pewnie miałaś rację - zgodził się. - Zresztą... zawsze mogę cię odesłać do domu, jeśli zrobi się zbyt gorąco.

- Posłucham cię, zrobię, cokolwiek mi każesz, ale nie wytrzymałabym samotności.

Kiedy cię nie ma, Damienie, po prostu szaleję! Lucien pomógł mi wszystko przygotować.

- Domyślałem się - rzekł z uśmiechem.

- Widzisz? A tak, gdyby coś ci się stało, gdybyś został na przykład ranny, będę na miejscu i zaopiekuję się tobą. I cokolwiek się wydarzy, nie pozwolę, żebyś znowu zatracił się w ciemności.

- Z tobą przy boku nie grozi mi to. - Ujął jej twarz w dłonie i całował z dziką, namiętą tęsknotą. - Pragnę cię - szepnął. - Tak długo nie pozwalałaś mi zbliżyć się do siebie...

- Och, Damienie, nie mogę. Jestem zanadto wystraszona i chora - tłumaczyła się, zamykając oczy i bezradnie ulegając, gdy pieścił przez ubranie jej piersi.

- To cię uleczy - obiecał aksamitnym szeptem.

Dech jej zaparło, kiedy całował płatek jej ucha, budząc uspiętej zmysły.

- Nie możemy... Cała załoga usłyszy...

- Nie, będziemy bardzo cichutko - wyszeptał. - Skoro masz należeć do mojego pułku, najwyższy czas, byś poznała swoje obowiązki.

- Ach, ty wstręciuchu - mruknęła, czując, jak jej ciało reaguje na niego wilgotną falą gorąca.

- Jak myślisz, ile razy sprawię ci rozkosz, zanim dopłyniemy do Ostendy?

- Przez okrągłą dobę? - spytała bez tchu.

Nie odpowiedział, tylko ustami zamknął jej usta, zgłodniałe pocałunków Jego pełna 'wigoru namiętność podnieciła ją do najwyższego stopnia; strach ustąpił miejsca pożądaniu.

Czuła, że Damien w pośpiechu zdejmuje spodnie, a zaraz potem był już w niej, wielki i pulsujący. Wydał cichy jęk tuż przy jej uchu; drżała pod nim z rozkoszy. Wziął ją gwałtownie, tak jak lubił, jak należąca mu się prawnie własność.

Chłonęła jego namiętne pocałunki, całkowicie uległa. Każdy jego ruch napelniał ją pierwotną siłą, kiedy bezustannie dawał jej rozkosz, by nie zapomniała, do kogo należy. Cała powściągliwość obróciła się w niwecz, gdy dochodzili do szczytu rozkoszy, dysząc i skręcając się gwałtownie, jakby nie mogli się sobą nasycić. Objęła nogami jego biodra, a on wbił paznokcie w jej nagie pośladki, doprowadzając ją do szaleństwa gwałtowną, zakazaną przyjemnością. Gryzł płatek jej ucha prawie do bólu i ostrym, chrypliwym szeptem rozkazywał, by razem z nim wzleciała na szczyt.

Usłuchała, nie mogąc mu się oprzeć. Fala ulgi przeniknęła ją na wskroś, tak wszechobjmująca, że nie zdawała sobie sprawy z krzyków rozkoszy wyrrywających się z jej warg; odbijały się echem od fal kanału. W tym momencie cały wszechświat skoncentrował

się w oszałamiającej rozkoszy i namiętności, a ośrodkiem tego wszechświata był jej dziki wojownik. Gorący i twardy pulsował w niej, aż w końcu opadł na nią wyczerpany, a jego muskularne ciało pokryło się potem, ciężkie jak z ołowiu.

- Oooch, Damienie - szepnęła po kilku minutach, obejmując go leniwie.

Uśmiechnął się i złożył głowę na jej piersi.

- Myślę - mruknął - że powinniśmy częściej się kłócić.

Kiedy następnego dnia zagłowiec dotarł na płyciznę w pobliżu Ostendy, spuszczone konie do wody na grubej linie, tak by dopłynęły do brzegu. Pasażerowie zeszli do największej szalupy, którą kilku marynarzy z załogi dopłynęło do plaży. Damien wziął Mirandę na ręce i wyniósł na brzeg, by nie musiała moczyć nóg w głębokim, grząskim piachu.

Krajobraz był płaski. Miranda uznała fort za nudne i posępne miejsce. Czuć było odór koni, bo piaszczyste plaże były wygodnym miejscem do lądowania dla kawalerii.

Nie zabawili długo. Zapakowali bagaże na kilka mułów, które adiutant Damiena wynalazł dla nich w mieście, wsiedli na konie i ruszyli wygodną brukowaną drogą ciągnącą się wzdłuż kanału. Jechali pełne dwie godziny. Nagi, podmokły teren był tak płaski, że mogli dostrzec wiatraki i wieże kościołów w mieście odległym aż o piętnaście kilometrów. Gdy dotarli do niewielkiego, malowniczego miasteczka, zjedli wczesną kolację w Hotel de Commerce. Recepcjonista powiedział im, że od Gandawy dzieli ich około siedmiu godzin jazdy; tam właśnie przybył król Ludwik z całym dworem, uciekając przed powracającym do Paryża Napoleonem. Pokrzepieni posiłkiem ruszyli w dalszą drogę.

Jeśli nawet Miranda nie była zbyt zadowolona ze swojej przygody, poczuła prawdziwy zachwyt na widok uwielbienia żołnierzy dla jej męża. Brytyjska piechota ochraniająca Gandawę zaczęła wiwatować, kiedy rozpoznała przejeżdżającego koło wart Damiena. Zatrzymał się, by ich powitać, i dowiedział się, że w mieście jest już wielu jego

przyjaciół. Wjechali dalej do centrum Gandawy i zamówili nocleg w eleganckim Hotel de Flandre, a wieczorem uczestniczyli w oficjalnej audiencji u króla. Miranda nigdy przedtem nie była przedstawiana żadnemu monarsze, ale biedny podagryk Ludwik XVIII nie do końca spełnił jej oczekiwania. Sapał i ciężko opierał tłuste cielsko na królewskiej lasce, tak jakby lada chwila serce miało mu odmówić posłuszeństwa.

Chociaż była zamężna od pełnych dwóch miesięcy, przeszedł ją dreszcz, gdy usłyszała, jak majestatyczny dworzanin przedstawia Damiena i ją Jego Królewskiej Mości jako hrabiego i hrabinę Winterley.

Naprawdę jestem hrabiną? - pomyślała, z trudem powstrzymując uśmiech. Ja, mała buntowniczką z Yardley School! Zachowywała się jednak nienagannie, składając niemal doskonały głęboki dyg, podczas gdy Damien pochylał głowę przed opasłym królewskim majestatem. Po tych uprzejmościach polecono im się podnieść, podziękowano i pozwolono odejść. Rozmawiali z wysoko urodzonymi oficerami, przyjaciółmi Damiena. Przedstawiał ich po kolei żonie, a każdy gratulował mu znakomitego gustu. Miranda promiennym uśmiechem kwitowała komplementy, trzymając męża pod ramię.

Po kilku mile spędzonych godzinach na audiencji i po o wiele miłszym przerywniku w atletycznych objęciach Damiena twardo zasnęli, trzymając się w objęciach. Rano spotkali się z pozostałymi oficerami i razem udali się do Brukseli, gdzie książę Wellington zbierał swoją armię.

Spędzili w Brukseli dwa i pół miesiąca, zakwaterowani we wspaniałym gotyckim Hotel de Ville, pełnym brytyjskich oficerów. Podkomendni Damiena napływali teraz przez kanał wielkimi transportowcami; przybywały ich dziesiątki tysięcy. Oficerowie szukali kwater w mieście, szeregowcy biwakowali po okolicznych wioskach. Mnóstwo zaprawionych w bojach weteranów, a także chłopców z mlekiem pod nosem marzyło o zakosztowaniu

wojennej sławy. Wszyscy oni jednak musieli czekać na rozkaz rozpoczęcia akcji. Kwiecień był już w pełni i wszystko rozrastało się bujnie; żyzne pola Flandrii były pokryte kwiatami. Do Brukseli napłynęło jeszcze więcej brytyjskiej ludności cywilnej związanej z armią, przybywała też szlachta ze wszystkich krajów sojuszniczych koalicji. Co wieczór odbywały się przyjęcia i bale, na których nie tańczono prawie nic innego poza „nieprzyzwoitym” walcem. Na promenadzie w parku można było obejrzeć najmodniejsze stroje, a w teatrach wystawiano komedie. Wszystkie przedstawienia grane były jednak po francusku, więc Miranda nie chodziła na niejako że ten język znała bardzo słabo. Ona i Damien odrzucali co najmniej połowę zaproszeń, woleli bowiem spędzać każdą wolną chwilę razem.

Pod pozorami beztraskiej atmosfery panującej w Brukseli krył się jednak mroczny niepokój; przynajmniej mężczyźni zdawali sobie sprawę, że przybyli tu na wojnę, na której część z nich poległ. Damien wiedział to dobrze, Miranda również często o tym myślała. Ta świadomość sprawiała, że każda wspólnie spędzona chwila była dla nich wręcz bezcenna. Na razie obowiązki jej ukochanego pułkownika nie były zbyt męczące. Gdy odbywał musztrę ze swoimi ludźmi, Miranda starała się oderwać myśli od męczącej ją niepewności, co będzie, kiedy Napoleon zbierze armię gotową do walki. Aby się rozerwać, z nowymi przyjaciółkami, przeważnie żonami oficerów, zwiedzała katedrę i kupowała pamiątki - brukselskie koronki, które wysyłała do Londynu swoim krewniaczkom. Dzięki listom od Alice, Bel, Lizzie i Jacindy wiedziała o wszystkim, co dzieje się w domu. W końcu kwietnia Jacinda została przedstawiona u dworu; był to jej oficjalny debiut towarzyski. Unosiła się nad wspaniałością toalety, którą miała na sobie tego dnia; opisała dokładnie każdy szczegół, ale uskarżała się, że podjęcie działań wojennych całkiem zakłóciło sezon, na który czekała przecież siedemnaście lat! Pisała, że Londyn jest „ogołocony” z

interesujących młodych dżentelmenów. Musiała więc liczyć na więcej szczęścia w przyszłym roku. Chciała przyjechać do Brukseli, dokąd „wszyscy” wyjechali, ale bracia zabronili jej tego.

Alice przesłała szwagierce listę imion jakie wraz z Lucienem proponowali dla swojego dziecka, którego oczekiwali we wrześniu.

Mirandzie, która jedenastego maja miała obchodzić swoje dwudzieste urodziny, to ciągle oczekiwanie coraz bardziej działało na nerwy. Nie rozumiała, jakim cudem wojska stacjonujące w polu są w stanie to wytrzymać. Od czasu do czasu towarzyszyła Damienowi, kiedy wizytował swoje oddziały, i starała się wtedy być szczególnie wesoła, by podnieść tych ludzi na duchu.

Pod koniec maja nadeszła wiadomość, że Bel urodziła zdrowego, krzepkiego chłopca.

Oboje, matka i syn, czuli się znakomicie; Hawkscliffe puszył się jak paw. Dziecku nadano imiona Robert William, po ojcu; od urodzenia nosił tytuł hrabiego Morley.

Po maju nastąpił czerwiec. Miranda nie mogła się pozbyć ciągłych nudności z powodu coraz większych upałów i wilgoci w powietrzu. Nic jej nie służyło: ani dania podawane w hotelu, ani wystawne posiłki na przyjęciach. Trwało to ponad dwa tygodnie. Nic nie mówiła mężowi, ale pewnego dnia, gdy Damien wyjechał na przegląd wojsk, posłała po doktora.

Szacowny medyk dokonał wielkiego odkrycia: nie jest bynajmniej chora. Jest w ciąży.

Ta wiadomość zaskoczyła ją, chociaż Bóg jeden wie, dlaczego. Powinna się była tego spodziewać: Damien był taki nienasycony! Czekwała na odpowiedni moment, by przekazać mu nowinę, kiedy do Brukseli przybył pruski goniec i nie zwlekając, podążył wprost do kwatery głównej Wellingtona. Niedługo po tym lotem błyskawicy rozniosła się wieść, że Napoleon zaatakował wojska pruskie, odległe zaledwie o pół dnia jazdy na południe.

Na południe? - pomyślała z przerażeniem, uświadomiwszy sobie, że jej mąż ze swoim

wojskiem znajduje się właśnie w tamtych stronach. Kiedy przeciskała się przez tłum zgromadzony w hotelowym holu, znajomi oficerowie próbowali ją uspokoić, mówiąc, że to może nic wielkiego, po prostu jakieś forpoczty wymieniły kilka strzałów. Wellington jednak zarządził, że armia ma być w każdej chwili gotowa do wymarszu. Miranda szalała z niepokoju, czekając, aż Damien się pojawi.

Kiedy wreszcie przyjechał, był wieczór i rześisty deszcz siekł głośno po bruku głównego placu miasta. Czekala na męża w holu hotelowym. W końcu zobaczyła, że Damien, MacHugh i Sutherland wjeżdżają konno na plac, ubłoceni jak nieboskie stworzenia. Deszcz spływał im na twarze z wysokich czak. Nie bacząc na pogodę, zerwała się na nogi i wybiegła do nich, nim zdążyli wstrzymać konie przed wejściem do hotelu. Zerknęła na pozostałych dwóch oficerów. MacHugh wyglądał groźnie, Sutherland był wyraźnie wstrząśnięty. Damien zeskoczył z wierzchowca i podbiegł do niej. Rzuciła mu się w ramiona.

- Nic ci nie jest? Tak się niepokoiłam.

Nie odpowiedział, po prostu trzymał ją przez chwilę w objęciach. Wilgotny, ubłoczony mundur brudził jej suknię, ale nie zwracała na to uwagi. Damien miał gorącą skórę, a jego pocałunek smakował deszczem.

- Widzieliśmy odwrót... Napoleon rozbił Prusaków w pył. Szykuje się wielka bitwa, Mirando. Nie zostanę tu długo.

- Nie możesz przynajmniej wejść i zjeść kolację? Potrząsnął przecząco głową.

- Nie ma na to czasu.

Ogarnęło ją przerażenie, ale próbowała tego nie okazać.

- Masz dość zaopatrzenia? - spytała rzeczowo. - Wszystko, czego ci trzeba?

Damien się uśmiechnął.

- Prawie... - odpowiedział i pochylił się, by skraść jej całusa.

- No, wracaj do środka. Muszę jechać.

- Ale dlaczego? Wellington jest w tej chwili na balu u księcia Richmond, więc z pewnością to nie jest aż tak poważne...

- Musiał się tam pokazać, kochanie - wyjaśnił Damien, odprowadzając ją do holu. -

Gdyby tego nie zrobił, w mieście wybuchłaby panika. Cywile uciekaliby na północ, a to mogłoby zdemoralizować żołnierzy. Zrobił to na pokaz. Zaraz przyłączy się do nas na froncie. Mój batalion otrzymał rozkaz, by być gotowy w chwili, kiedy on się tam pojawi. Nie wiem, jak to długo potrwa, ale postaram się informować cię o każdym swoim miejscu pobytu. Może będziesz się musiała ewakuować do Antwerpii. Dam ci znać.

Łzy popłynęły jej z oczu. Tej właśnie chwili lękała się najbardziej - chwili rozstania.

Nie mogła uwierzyć, że ten moment nadszedł. Przyłgnęła do niego całym ciałem.

- Damienie...

Ponownie wziął ją w ramiona.

- Nie płacz. Błagam cię, nie płacz!

Wiedziała, że teraz bardziej niż kiedykolwiek Damien potrzebuje jej siły. Czowała, że w każdej chwili mogłaby paść bez zmysłów ze strachu i żalu, ale jakimś cudem zdołała się opanować, pragnąc okazać się godną swego mężczyzny. Z trudem przełknęła ślinę, powtarzając w duchu: Będę dzielna... Cofnęła się trochę, by móc spojrzeć mu w oczy.

- Kocham cię - wyszeptała. - Oboje cię kochamy. Delikatnie ujęła jego rękę i przycisnęła do swego brzucha. Zamrugął, niepewny, czy dobrze zrozumiał.

- Chcesz powiedzieć, że...

Zdołała się uśmiechnąć i skinęła głową.

- Jesteś pewna? - wyszeptał.

- Tak.

- Kiedy?

- W marcu.

- O mój Boże! - wyszeptał. Objął ją i całował z gorącym, płomiennym oddaniem, po czym odsunął od siebie i przyrzekł drżącym głosem: - Wrócę do ciebie.

- Jeśli Bóg pozwoli - rzekła cicho.

Potrząsnął głową i zawołał:

- Wrócę!

Krzyknęła, bo nagle ją puścił, wypadł przez otwarte drzwi i szybkim krokiem ruszył do czekającego konia. Patrzyła, jak wskakuje na siodło. MacHugh i Sutherland pożegnali ją skinieniem głowy. Szare oczy Damiena lśniły jak stal, kiedy posłał jej ręką pocałunek, po czym zawrócił swego wysokiego rumaka i wszyscy trzej pogalopowali - walczyć z Francuzami.

Miranda stała w tym samym miejscu długo po tym, kiedy ich sylwetki zniknęły za horyzontem. W końcu nadeszła pokojówka i zaprowadziła ją z powrotem do apartamentu.

Tej nocy od generała Bluchera nadeszła kolejna depesza, dostarczona Wellingtonowi na salę balową u księcia Richmond. Cokolwiek zawierała, spowodowała nagły exodus oficerów i samego wodza; o świcie cała armia maszerowała na południe, gdzie Damien ze swoim batalionem udał się już przedtem. Wielu cywilów wyjechało do Antwerpii, ale że Damien nie żądał od Mirandy, by tak zrobiła, nie miała zamiaru ruszyć się nawet na kilometr, nawet gdyby pozostanie w Brukseli było niebezpieczne.

- Hrabiowie Winterley nie zwykli uciekać - oznajmiła pokojówce.

Do rana deszcz ustał, dzień był jednak pochmurny, a pogoda kapryśna. Ze swojego pokoju na piętrze Miranda mogła dostrzec szare dymy unoszące się daleko nad polem bitwy, a okna i drzwi bez przerwy stukały od ciągłego huku artylerii. Zbiegła na dół i przyłączyła się

do żon oficerów, które szykowały wszystko na przyjęcie rannych. Z ich nerwowych pogwarek zorientowała się, że wszystkie są przekonane, iż miłość uchroni ich mężów od wszelkich nieszczęść.

Miranda nie podzielała tego zdania. Śmierć rodziców nauczyła ją, że miłość nie jest aż tak potężna, by utrzymać na powierzchni tonącą łódź; nie przypuszczała więc, by jej potęga potrafiła zmienić kierunek lotu pocisku. W głębi duszy nie miała wielkiej nadziei na ponowne ujście Damiana żywego - mimo jego szlachetnej obietnicy.

W sobotę wieczorem kurier dostarczył jej wiadomość od męża. Płakała z radości, czytając, że Damien jest bezpieczny. Pisał jej, że pobili marszałka Ney'a pod Quatre Bras i sprawili Francuzom solidne lanie, ale do końca walk jeszcze daleko. Tej nocy spała najwyżej godzinę. Modliła się - jeszcze nigdy w ciągu dwudziestu lat życia nie modliła się tak żarliwie.

- Proszę Cię, Boże, spraw, by moje dziecko знаło swojego ojca. Nie pozwól, by zostało sierotą jak ja...

Nadeszła niedziela osiemnastego czerwca - nadeszła i minęła. Miranda udała się do katedry na nabożeństwo. Pastor próbował dodawać wiernym odwagi, ale ogromne witraże grzechotały, jakby do kościoła dobijał się diabeł. Pokojówka Mirandy była nieporuszona jak wielki sfinks egipski, chociaż jej pani bywała przykra ze zdenerwowania i zmęczenia.

Wieczorem dotarła do nich wieść o wielkiej rzezi w miejscowości o nazwie Waterloo. Podobno bitwa jeszcze trwała.

A potem zaczęto zwozić rannych. Miranda wyszła zobaczyć, czy potrzebna jest jej pomoc, i zebrać jak najwięcej wiadomości. Ale nikt nie wiedział nic o sto trzydziestym szóstym pułku.

- Kawaleria widziała wielką bitwę - powiedział jej mężczyzna z owiżaną twarzą, ciętego szablą. - Chyba będziemy musieli ewakuować się do Antwerpii, jeśli Blucher nie

nadeśle wkrótce posiłków.

Rzuciła się na pomoc tym pokrwawionym, pokiereszowanym wojakom przywożonym do miasta na furmankach. Domy bogaczy zmieniły się w szpitale. Miranda godzinami krążyła wśród rannych, podając wodę, ukrywając przerażenie na widok straszliwych ran, opatrując je, jeśli tylko było to możliwe, szeptem powtarzając im, jak bardzo są dzielni, kiedy czekali na operację w kolejce do chirurga. Błada, roztrzęsiona, lepka od potu i strachu, nie zważała na własne wyczerpanie i robiła, co mogła, by opanować dręczący ją ustawicznie lęk o Damiena. Noc mijała. Miranda słyszała, jak ktoś mówił, że pułk jej męża dzielnie stawiał opór atakowi elitarnej Gwardii Cesarskiej Napoleona, ale straty były wielkie. Ogarnęła ją panika, którą w końcu udało się jej opanować.

Krążyły teraz nowe listy strat, nie była jednak w stanie na nie spojrzeć. Widziała, jak żony oficerów, jej przyjaciółki, jedna po drugiej mdleją na wieść o śmierci mężów albo o ich ranach tak ciężkich, że musieli zostać w Waterloo, gdzie doktorzy pospiesznie ich opatrywali. Miranda posępnie gotowała się na przyjęcie złych wieści, które z każdą chwilą wy dawały jej się coraz bardziej nieuchronne.

Będzie przynajmniej miała jego dziecko, powtarzała sobie. Dziecko musi jej wystarczyć.

Nawet wieść o wielkim zwycięstwie Wellingtona niewiele ją obeszła. Napoleona wzięto pod straż, ale i to nic dla niej nie znaczyło, wciąż bowiem nie wiedziała, co z Damienem, a nowe transporty rannych napływały przez cały czas, dosłownie zalewając miasto. Młody kawalerzysta, któremu podała wodę, błagał, by przy nim została, aż umrze. Zabito pod nim wiernego wierzchowca, a on sam został stratowany przez szarżę kawalerii; do tego wszystkiego lansjer francuski przebił mu płuco. Miranda ocierała czoło chłopca wilgotną szmatką i cicho mu śpiewała, aż stracił przytomność. Nie zdawała sobie nawet sprawy, że

płacze nad swoją własną bezradnością, nie mogąc mu pomóc, nie mogąc skończyć z tym koszmarem. Umarł na jej oczach.

I wtedy właśnie usłyszała za sobą cichy, znużony głos.

- Milady...

Zdrętwiała. Serce przestało jej bić. Zerwała się i odwróciła, ledwie mogąc odetchnąć.

- Damien! Cały był pokryty czarnym prochem i krwią. W oczach widać było potworne zmęczenie. Miał ranę na policzku, podarty mundur, ale żył - i stał tu przed nią! Kiedy otworzył ramiona, padła w nie z dzikim okrzykiem, zarzucając mu ręce na szyję.

Uścisnął ją mocno. Czowała, jak drży z wyczerpania dziewięciogodzinną bitwą, a potem długą jazdą w nocy do Brukseli - do niej.

- Już po wszystkim - rzekł stłumionym szeptem, głaszcząc jej włosy. - Tym razem to ja uż naprawdę po wszystkim.

- Kocham cię - powtarzała w kółko, unosząc się na palcach, by całować jego posiniaczoną, zakrwawioną twarz.

Obejmując ją, przymknął oczy i wsparł się czołem o jej czoło.

- Sutherland nie żyje. Zostawiłem MacHugha, by zaopiekował się pułkiem... tym, co z niego zostało. Nie chciał mnie puścić, ale powiedziałem mu, że ci to przyrzekłem. - Ukrył twarz w jej włosach. - Och, Mirando, jak pragnę wrócić do domu!

Ucałowała go. Łzy płynęły jej po twarzy, a w duchu powtarzała gorączkowo dziękczynną modlitwę.

- Tak, kochanie... Chodźmy... Teraz ona objęła go w pasie, oparła jego rękę na swoim ramieniu i podtrzymywała, gdy szli razem w gwiazdzistą noc.

EPILOG

Marzec 1816 roku

Wiiiinterleeey!

Potężny krzyk odbił się echem od okna na piętrze rezydencji Winterhaven z trójkątnym frontonem wspartym na czterech klasycznych kolumnach. Wiosenny wiatr poniósł ten kobiecy okrzyk poprzez zielone trawniki, nad starannie wyreperowane dachy wiejskiej osady, aż do ogrodzenia ze sztachet, przy którym stał potwornie zdenerwowany pułkownik lord Winterley. Czekał tam ze ściśniętym gardłem, podczas gdy jego bracia spokojnie palili cygara, z pogodą ludzi doświadczonych, którzy mają już za sobą tę ciężką próbę. Serce było mu przerażeniem, nadzieją i niepokojem, kiedy Robert i Lucien spokojnie oglądali źrebięta baraszkujące między pasącymi się kłaczami, wymieniając uwagi na temat wspaniałej rasy zwierząt.

- Winterley, ty draniu! - rozległ się znowu krzyk kobiety. - Skręć ci za to kark!

Popatrzył na odnowiony, odmalowany dom, po czym zwrócił się do braci:

- Muszę do niej pójść.

- Nie radziłbym - rzekł roztropnie Robert, a jego piwne oczy się śmiały. - Odwagi, chłopie!

Lucien klepnął bliźniaka po ramieniu.

- Zostaw to lekarzowi, stary. Taka jest moja rada.

Damien wodził dłonią po nagranych słońcem włosach i bezradnie patrzył w stronę domu. Z trudem mógł ustać na miejscu, ale bał się wejść. Bitwa pod Waterloo to nic w porównaniu z pierwszym porodem Mirandy! Dziecko nie śpieszyło się z przyjściem na świat, a musiało być naprawdę ogromne, bo brzuch Mirandy osiągnął ostatnio takie rozmiary, że chwaliła się, iż jest grubsza od króla Ludwika.

W tym momencie z domu wybiegł czteroletni Harry, prześcigając swoją elegancką ciocię Jacindę, która szykowała się do nowego sezonu towarzyskiego w kwietniu. Lizzie i Alec wyszli także, we dwójkę, nieco wolniejszym krokiem. Wszyscy przybyli tu, by podtrzymać Damiena na duchu. Harry wdrapał się na ogrodzenie i wyciągnął małą rączkę, próbując zwabić do siebie żrebaki, ale na próżno. Lucien zdjął chłopczyka z płotu i posadził sobie na barana. Wkrótce spokojnym krokiem nadeszła Alice, niosąc w ramionach półroczną córeczkę Philippe, która gruchała z radości na widok taty.

Robert odwrócił się z miną posiadacza, kiedy podeszła do nich Bel, tuląc do łona małego Morleya i obiecując mu, że zaraz zobaczy koniki. Mały dziedzic starożytnego rodu miał skupioną, zaciekawioną minkę, niezwykłą u niespełna rocznego malucha.

Mimo że Damien uwielbiał swoją rozkoszną bratanicę i dwóch bratanków, z niecierpliwością oczekiwał spotkania z własnym dzieckiem.

- Myślicie, że zaraz będzie po wszystkim? - pytał zdesperowany Bel i Alice.

Bel uśmiechnęła się ze znawstwem i szepnęła:

- Niedługo.

- Nie denerwuj się - dodała Alice. - Nic jej nie będzie.

- Chyba nigdy mi tego nie przebaczy...

- Przebaczy, przebaczy - zapewnił Lucien, pochylając się, by ucałować miękkie, puszyste włoski córeczki. Mała złapała go za nos, a on wybuchnął śmiechem.

- Milordzie!

Damien odwrócił się błyskawicznie, bo przez trawnik biegł ku niemu zadyszany kamerdyner.

- Doktor mówi, że może ją pan teraz zobaczyć!

Kobiety krzyknęły z przejęcia, a Damien już pędził do domu. Zatrzymał się nagle w

połowie schodów na dźwięk cieniutkiego, gniewnego wrzasku. Natychmiast ze zdwojoną szybkością wpadł do sypialni, oszołomiony i pełen zachwytu. Lekarz kiwnął mu głową i ustąpił z drogi z porozumiewawczym mrugnięciem starych oczu.

- Mirando!

Odwróciła głowę na poduszce i spojrzała na niego, po czym z trudem wyciągnęła rękę.

Twarcz miała bladą, pokrytą potem. Kosmyki ciemnych włosów przylgnęły jej do czoła.

Serce biło mu głośniejsz niż armaty Wellingtona, kiedy zbliżał się do żony, wpatrzony w małe zawiniątko umieszczone w zagięciu jej ramienia. Przeniosła wzrok na męża i obdarzyła go pełnym podziwu uśmiechem.

Podszedł powoli, ujął jej rękę i opadł na kolana przy łóżku, wpatrując się to w nią, to w maleństwo.

- Chłopiec - wyszeptała.

Ponownie spojrzał na nią z zachwytem. Nie mógł wymówić słowa. Z trudem potrafił uwierzyć, że to rzeczywistość, a nie jakiś piękny sen. Gdy spojrzał na synka, łzy zakręciły mu się w oczach. Dziecko było wiercącym się małym stworzonkiem z czerwoną twarzyczką, ledwie otwartymi oczkami i delikatnym kosmykiem czarnych włosów.

Damien zaczął się cicho śmiać, pełen podziwu i niedowierzania. Szybko policzył paluszki u rąk i nóżek dziecka i stwierdził, że wszystko jest, jak należy.

Miranda dotknęła jego ramienia z drżącym uśmiechem.

- Czyż to nie największy cud, jaki widziałeś w całym swoim życiu? - spytała.

- Tak. - Przejęty podziwem pochylił się nad nią i wycisnął długi pocałunek na jej wilgotnym czole. - Ja... ja myślę, że to dla mnie wstrząs.

Uśmiechnęła się czule.

- Jak się czujesz? - szepnął, pieszcząc jej włosy.

Uspokoiła go skinieniem głowy.

- Zupełnie dobrze. Poproś do mnie Bel i Alice. Chcę je zobaczyć... - urwała nagle, marszcząc brwi.

- Mirando...? - Damien zaniepokoił się, widząc, jak żona blednie.

- Och nie! - zawołała. - Poproś doktora!

- Co się dzieje? - wykrzyknął. Patrzyła na niego ze zdumieniem.

- Chyba... chyba to jeszcze jedno dziecko! Nic dziwnego, że byłam taka gruba.

Damienie, to bliźnięta!

Zerwał się na równe nogi.

- Żartujesz - szepnął. Krzyk bólu Mirandy przekonał go, że nie żartowała. Pobiegnął po doktora, który zresztą już spieszył z pomocą, zakasując rękawy koszuli, by sprowadzić na świat drugie z bliźniąt. Chwycił pierwsze dziecko i rzucił Damienowi w ramiona, wypychając ich do przedsionka.

- Chwileczkę! - protestował Damien. - Nie umiem trzymać dziecka!

- Drogi młodzieńcze, właśnie zostałeś ojcem bliźniaków - rzekł uradowany doktor. - Radzę ci się nauczyć.

Z tymi słowami zamknął mu drzwi przed nosem. Damien z niepokojem zerknął na synka w swoich ramionach, starając się trzymać go jak najdelikatniej.

- No cóż, chłopaczku - szepnął mu - będziemy musieli poczekać na twojego braciszka, a wtedy mama powie nam wszystkim, co robić. - Przysiadł na stojącym w pobliżu fotelu, niezdolny oderwać oczu od dziecka.

Kiedy po raz drugi gniewny, ale zdrowy krzyk odbił się echem od ścian domu, doktor wysunął głowę z sypialni.

- Chłopiec - oznajmił krótko i znów zamknął drzwi. - Wiedziałem! - mruknął Damien i

przymknął oczy. Odmówił modlitwę dziękczynną, odrzucił głowę na oparcie fotela i wybuchnął długim, radosnym śmiechem.

Potomstwo Georgiany: ród Knightów
(linią kropkowaną zaznaczono kochanków Georgiany)

lord Alexander „Alec” Knight
(ur. 1786)

Robert Knight,
ósmą księżę Hawkscliffe
(1744_1797)

sir Phillip Preston Lawrence,
aktor specjalizujący się
w rolach szekspirowskich

Robert „Hawk” Knight,
dziewiąty księżę
Hawkscliffe
(ur. 1779, dziedzic
tytułu od 1797)

lady Jacinda Knight
(ur. 1798)

Georgiana Knight,
księżna Hawkscliffe,
„nierządnicą Hawkscliffe’a”
(1759-1799)

lord
Lucien Knight,
pułkownik
(bliźniaki,
ur. 1783)

lord
Damien Knight,
pułkownik

Samuel O'Shay
bokser zawodowy,
„Twardziel z Killarney”

lord Edward Merion,
markiz Carnarthen

lord John „Jack” Knight (ur. 1781)